JOHN GRISHAM

ADEPT

MŁODY PRAWNIK OSACZONY PRZEZ SZANTAŻYSTÓW

O książce

Zdarzenie z czasów college'u, o którym Kyle McAvoy – właśnie kończący z najlepszym wynikiem studia na renomowanej prawniczej uczelni – zapomniał, powraca w bardzo bolesny sposób.

Groźni i dysponujący nieograniczonymi możliwościami ludzie pokazują mu kompromitujące nagranie sprzed lat i stawiają przed trudnym wyborem. Albo je ujawnią, albo on zrezygnuje ze swoich planów zawodowych i przyjmie pracę w jednej z największych korporacji prawniczych na świecie. O takiej posadzie marzyłby wprawdzie każdy absolwent prawa. Tyle że nie każdy musiałby – tak jak Kyle – wynosić z firmy supertajne informacje.

Rozpoczyna się koszmar, zabawa w kotka i myszkę, w której stawką jest coś więcej niż reputacja i kariera. Chodzi o życie.

JOHN GRISHAM

ADEPT

Z angielskiego przełożył
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

ALBATROS
Wydawnictwo A. Kuryłowicz

JOHN GRISHAM

John Grisham, współczesny amerykański pisarz, autor 32 powieści (w tym pięciu dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład przekroczył 300 milionów egzemplarzy. W 2011 r. otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee. Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy, takiej miary jak Sydney Pollack, Francis Ford Coppola, Robert Altman czy Alan J. Pakula, a ekranizacje jego powieści, m.in. **Raport Pelikana** z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, **Firma** z Tomem Cruise'em, **Klient** z Susan Sarandon czy **Zaklinacz deszczu** z Mattem Damonem, stały się megahitami.

www.facebook.com/JohnGrisham

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
NIEWINNY CZŁOWIEK
RAPORT PELIKANA
GÓRA BEZPRAWIA
CHŁOPCY EDDIEGO
KLIENT
SAMOTNY WILK
ADEPT

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA

CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone

OSKARŻONY
AKTYWISTA

Wkrótce

SYGNALISTA

Tytuł oryginału:
THE ASSOCIATE

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2017

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2017

Książka ukazała się także pod tytułem *Prawnik*

Redakcja: Grażyna Dziedzic

Zdjęcie na okładce: © Paul Gooney/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki i serii: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-373-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42

DLA
Steve'a Rubina, Suzanne Herz, Johna Pittsa,
Alison Rich, Rebekki Holland, Johna Fontany
i całej bandy w Doubleday

Rozdział 1

Reguły obowiązujące w Lidze Młodzieżowej New Haven stanowiły, że wszyscy zawodnicy muszą w każdym meczu zagrać co najmniej dziesięć minut. Odstępstwa od tej zasady zdarzały się tylko wówczas, gdy zawodnik wkurzył trenera nieprzychodzeniem na treningi lub innymi wykroczeniami porządkowymi. Wówczas trener mógł przed meczem sporządzić protokół i poinformować sędziego, że za karę taki a taki zagra krócej lub nie zagra wcale. Kierownictwo ligi patrzyło krzywo na takie decyzje, bo rozgrywki traktowano bardziej jako zabawę niż poważne zawody.

Cztery minuty przed końcem meczu trener Kyle powiódł wzrokiem po ławce rezerwowych i skinął na naburmuszonego chłopca nazwiskiem Marquis.

– Chcesz zagrać? – rzucił.

Marquis bez słowa wstał i w oczekiwaniu na gwizdek stanął przy stoliku sędziowskim. Miał na

swym koncie wiele wykroczeń – opuszczanie treningów, wagarowanie ze szkoły, marne stopnie, utratę stroju zawodniczego, posługiwanie się wulgarnym językiem. Tak naprawdę podczas minionych dziesięciu tygodni i piętnastu meczów złamał wszystkie – niezbyt liczne – zakazy obowiązujące zawodników. Trener Kyle już dawno zdał sobie sprawę, że gwiazda jego drużyny od razu złamie każdy nowo wprowadzony zakaz, zredukował więc je do niezbędnego minimum i skutecznie zwalczał w sobie pokusę wprowadzania nowych ograniczeń. Wiedział, że zakazy na nic się nie zdadzą, tyle że patrzenie przez palce na wybryki dziesięciu urwisów ze śródmieścia zaowocowało ostatnim miejscem drużyny Czerwonych Rycerzy w zimowych rozgrywkach ligi dwunastolatków i młodszych.

Marquis miał tylko jedenaście lat, ale był niewątpliwie najlepszym zawodnikiem na boisku, który zdecydowanie wolał rzucać i zdobywać punkty, niż podawać i bronić własnego kosza. W ciągu dwóch minut od wejścia dwa razy ograł dużo roślejszych od siebie przeciwników i zdobył sześć punktów. Średnio zdobywał ich czternaście na mecz, ale gdyby pozwolono mu grać dłużej niż pół spotkania,

zapewne jego wynik sięgałby trzydziestu. W swym młodzieńczym zadufaniu uważał, że treningi nie są mu do niczego potrzebne.

Mimo wzmocnienia drużyna Rycerzy grała beznadziejnie i Kyle McAvoy już tylko czekał, aż zegar ogłosi koniec spotkania. Jeszcze tylko jeden mecz i sezon dobiegnie końca, a on rozstanie się z funkcją trenera dziecięcej koszykówki. W ciągu minionych dwóch lat wygrał kilkanaście i przegrał kilkadziesiąt meczów, cały czas zastanawiając się, jak ktoś myślący może z własnej woli pakować się w coś takiego. Tysiące razy powtarzał sobie, że robi to dla dobra dzieci – chłopców, bez ojców i z patologicznych rodzin, chłopców, którym brakowało właściwego męskiego wzorca. Nadal tak uważał, ale po dwóch latach starań i wykłócania się z nielicznymi rodzicami, którym chciało się przychodzić na mecze, a także użerania się z trenerami innych drużyn, dla których oszukiwanie nie było problemem, oraz przymykania oczu na decyzje nastoletnich sędziów nieodróżniających ataku od bloku miał już dość. Uznał, że spełnił swój obywatelski obowiązek, przynajmniej tu.

Obserwował grę, od czasu do czasu coś pokrzykując – bo tego się oczekuje od trenera –

i rozglądając się po sali gimnastycznej w starym ceglanym budynku w śródmieściu New Haven, który od pięćdziesięciu lat należał do ligi młodzieżowej. Na miejscach dla publiczności siedziały grupki rodziców czekających na końcową syrenę. Marquis zdobył kolejne punkty, ale nikt nawet nie zaklaskał. Drużyna Czerwonych Rycerzy przegrywała dwunastoma punktami, do końca meczu zostały dwie minuty.

Drzwi pod wiekową tablicą wyników otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w ciemnym garniturze; wszedł do środka i oparł się o rozbieralną konstrukcję trybuny. Zwracał uwagę jako biały – w obu drużynach nie było ani jednego białego zawodnika – ale także dlatego, że miał na sobie czarny lub granatowy garnitur, białą koszulę, wiśniowy krawat oraz szary trencz. Ani chybi jakiś agent lub gliniarz.

Trener Kyle od razu go zauważył i pomyślał, że gość zupełnie tu nie pasuje. Mógł być tajniakiem lub agentem narkotykowym śledzącym dilera. Nie byłby to pierwszy przypadek aresztowania kogoś spośród obecnych na sali gimnastycznej.

Tajniak – lub agent – stał oparty o rusztowanie trybuny, obrzucając czujnym spojrzeniem ławkę drużyny Czerwonych Rycerzy

i wyraźnie wpatrując się w trenera Kyle’a. Ten w pierwszej chwili hardo zrewanżował się tym samym, szybko jednak poczuł niepokój. Marquis oddał z połowy boiska niecelny rzut w stronę tablicy, więc Kyle zerwał się na nogi i rozłożył ramiona w niemym geście: „Po co?”. Chłopak kompletnie go zignorował i natarł na obrońcę, a ten dureń sędzia zatrzymał grę, przedłużając mękę. Niby obserwując wykonującego rzut osobisty, Kyle powędrował wzrokiem głębiej i spojrzał na tajniaka – lub agenta – który stojąc pod koszem, uważnie się przypatrywał. Nie zawodnikowi, lecz trenerowi na ławce.

Dwudziestopięcioletniego studenta prawa, nienotowanego i nieposiadającego żadnych skłonności przestępczych, zainteresowanie ze strony kogoś reprezentującego organ porządku publicznego nie powinno w ogóle niepokoić. W przypadku Kyle’a McAvoya tak to jednak nie działało. Przedstawiciele miejskich i stanowych służb mundurowych nie robili na nim większego wrażenia. Wiadomo było, że są od pilnowania porządku i im za to płacą. Ale faceci w ciemnych garniturach – tajniacy od inwigilacji i węszenia w czyimś życiu – działali mu na nerwy.

Do końca zostało trzydzieści sekund i Marquis wdał się w sprzeczkę z sędzią. Dwa tygodnie

wcześniej rzucił sędziemu kilka „fucków” i został za karę odsunięty od kolejnego meczu. Trener Kyle wrzasnął na swojego gwiazdora, który jak zwykle się tym nie przejął, po czym zerknął na koniec sali, by się upewnić, czy tajniak – lub agent – numer jeden wciąż jest sam, czy dołączył do niego tajniak – lub agent – numer dwa. Nie dołączył.

Marquis znów dał popalić i Kyle krzyknął do sędziego, żeby mu odpuścił, po czym usiadł na ławce, przejechał palcami po szyi i strząsnął z niej krople potu. Był początek lutego i na sali jak zwykle było dość chłodno.

Więc czemu się poci?

Tajniak – lub agent – nie tylko nie odwrócił wzroku, ale wręcz sprawiał wrażenie, jakby świdrowanie nim Kyle’a sprawiało mu przyjemność.

Rzężąca syrena w końcu zawyła i mecz nareszcie dobiegł końca. Zwycięzcy wydali okrzyk radości, pokonanym było to obojętne. Drużyny ustawiły się w rzędach, aby przybić sobie obowiązkowe piątki i wzajemnie się zapewnić: „Dobry mecz, dobry mecz”, co dla dwunastolatków jest gestem równie pustym i bez znaczenia, jak dla licealistów. Kyle pogratulował zwycięstwa trenerowi drużyny przeciwnej

i przeniósł wzrok na kosz. Białego tajniaka już pod nim nie było.

Może wyszedł i czeka przed budynkiem? Zakrawało to trochę na paranoję, ale paranoja towarzyszyła Kyle'owi od tak dawna, że jej kolejny przypływ przyjął bez szczególnych emocji. Stłamsił ją i przeszedł nad nią do porządku dziennego.

Drużyna Czerwonych Rycerzy przeszła do szatni gości, ciasnego pomieszczenia pod stałą trybuną po stronie gospodarzy. Trener Kyle palnął typową mówkę na zasadzie: wiem, że się staraliście, dobre zwody, nasza gra jest chwilami coraz lepsza, w najbliższą sobotę stańmy na wysokości zadania i zakończmy sezon zwycięstwem. Chłopcy przebierali się, prawie go nie słuchając. Mieli dość koszykówki, bo mieli dość przegrywania, a winę za wszystko ponosił oczywiście trener. Był do tej funkcji za młody, za biały i zbytnio się kojarzył z Ligą Bluszczową.

Grupka rodziców zebrała się pod drzwiami szatni i to właśnie tych pełnych napięcia chwil opuszczania szatni Kyle najbardziej nie lubił w swej pracy dla dobra lokalnej społeczności. Jak zawsze rodzice będą mieli pretensje o za krótki czas gry ich dzieci, a odznaczający się płynną wymową wujek Marquisa, dwudziestodwuletni

były reprezentant stanu, będzie jak zwykle się wyżywał za niesprawiedliwe traktowanie „najlepszego gracza w lidze”.

Z szatni można też było wyjść tylnymi drzwiami prowadzącymi do ciągnącego się pod trybuną wąskiego ciemnego korytarzyka, którym wychodziło się na boczną alejkę. Kyle nie byłby pierwszym trenerem salwującym się ucieczką tą drogą, a dziś zależało mu na uniknięciu spotkania nie tylko z rozeźlonymi rodzicami, ale także z nieznajomym tajniakiem – lub agentem. Rzucił chłopcom „no to cześć” i gdy ci ruszyli do wyjścia, skierował się ku tylnym drzwiom. Dotarcie do końca korytarzyka zajęło mu tylko kilka sekund. Wyszedł na boczną alejkę i szybkim krokiem ruszył po oblodzonym chodniku. Z jezdni zgarnięto zwały zamarzniętego śniegu i chodnik był nimi zasypany i trudny do przejścia. Temperatura powietrza wynosiła grubo poniżej zera, była środa, dochodziła dwudziesta trzydzieści. Kyle ruszył w stronę biblioteki wydziału prawa Yale, gdzie zamierzał posiedzieć co najmniej do północy.

Los jednak zdecydował inaczej.

Agent stał oparty o błotnik zaparkowanego na ulicy czerwonego jeepa cherokee. Samochód był

zarejestrowany na Johna McAvoya z Yorku w Pensylwanii, ale od sześciu lat wiernie służył synowi właściciela, jako jego jedynemu użytkownikowi.

Chociaż nogi nagle zaczęły mu ciążyć jak kamienie, a kolana wypełniły się watą, Kyle'owi udało się nie potknąć i nie rzucić do ucieczki. Nie tylko mnie znaleźli, przemknęło mu przez myśl, ale odrobili zadanie domowe i namierzyli jeepa. Co w końcu nie było takie trudne. Nie zrobiłem nic złego, powtórzył w myślach.

– Trudny mecz, trenerze – powiedział agent, gdy Kyle znalazł się trzy metry od niego i zwolnił.

Kyle stanął i obrzucił wzrokiem zwaliście zbudowanego młodego osiłka z rumianymi policzkami i rudymi loczkami, którego chwilę wcześniej obserwował w sali gimnastycznej.

– Mogę czymś służyć? – spytał, po czym natychmiast dostrzegł agenta numer dwa, który właśnie przemykał na drugą stronę ulicy. No jasne, zawsze pracują parami.

Agent numer jeden sięgnął do kieszeni, mruknął „Jak najbardziej" i otworzył skórzany portfelik.

– Bob Plant, FBI – przedstawił się.

– Bardzo mi miło. – Kyle poczuł, jak krew odpływa mu z mózgu, i nie udało mu się

opanować wzdrygnięcia.

W kadrze pojawił się agent – lub gliniarz – numer dwa. Był od kolegi dużo szczuplejszy, co najmniej dziesięć lat starszy i miał pasma siwizny przy skroniach. Ten też miał w kieszeni portfelik i też go wyjął dobrze wyćwiczonym ruchem.

– Nelson Ginyard, FBI – oznajmił.

Bob i Nelson, dwaj Irlandczycy. Obaj z północnego wschodu.

– Ktoś jeszcze? – spytał Kyle.

– Nie. Możemy chwilę porozmawiać?

– Nie bardzo.

– Myślę, że powinniśmy – powiedział Ginyard. – Może się to okazać bardzo przydatne.

– Wątpię.

– Jeśli stąd odjedziesz, pojedziemy za tobą – wtrącił Plant, odrywając się od jeepa i robiąc krok do przodu. – A chyba nie chcesz widzieć nas w kampusie.

– Grozicie mi? – Kyle poczuł, że pod pachami znów ma mokro i mimo arktycznego zimna po żebrach spływają mu krople potu.

– Jeszcze nie – rzucił Plant ze złośliwym uśmieszkiem.

– Słuchaj, chodźmy gdzieś na kawę i chwilę porozmawiajmy – zaproponował Ginyard. – Za

rogiem jest bar kanapkowy. Na pewno będzie nam tam dużo cieplej.

– Potrzebny mi adwokat?

– Nie.

– Zawsze tak mówicie. Mój ojciec jest adwokatem, a ja dorastałem w jego kancelarii. Znam się na waszych sztuczkach.

– Nie stosujemy żadnych sztuczek, Kyle, przysięgam – zapewnił Ginyard tonem, który brzmiał całkiem szczerze. – Poświęć nam dziesięć minut. Obiecuję, że tego nie pożałujesz.

– W czym rzecz?

– Dziesięć minut. O nic więcej nie prosimy.

– Albo mi powiecie, o co chodzi, albo moja odpowiedź brzmi „nie”.

Bob i Nelson spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Właściwie czemu nie? Przecież i tak prędzej czy później trzeba będzie mu powiedzieć. Ginyard odwrócił głowę, spojrzał w głąb ulicy i rzucił w przestrzeń:

– Uniwersytet Duquesne’a. Pięć lat temu. Kilku zalanych studentów i dziewczyna.

Ciało i umysł Kyle’a zareagowały każde na swój sposób. Ciało przyjęło cios, co się wyraziło lekkim przygarbieniem ramion, westchnieniem i ugięciem nóg. Umysł bez wahania podjął walkę.

– To brednie! – prychnął Kyle i splunął na chodnik. – Już to przerabiałem. Nic się nie wydarzyło i dobrze o tym wiecie.

Zapadło długie milczenie. Ginyard nie przestawał wpatrywać się w głąb pustej ulicy, Plant nie spuszczał wzroku z Kyle'a, w którego głowie trwała gonitwa myśli. Dlaczego FBI miesza się do rzekomego przestępstwa stanowego? Na zajęciach z procedur karnych na drugim roku zajmowali się nowymi przepisami dotyczącymi śledztw federalnych. W wyniku ich wprowadzenia okłamywanie agenta FBI było przestępstwem ściganym z mocy prawa. Czy w tej sytuacji nie powinien milczeć? A może należałoby zadzwonić do ojca? Nie, w żadnym razie nie będzie go mieszał do tej sprawy.

Ginyard odwrócił głowę, zrobił trzy kroki w stronę Kyle'a i jak zły aktor wysyczał przez zaciśnięte szczęki następną kwestię:

– Nie traćmy czasu, panie McAvoy, bo marznę. W Pittsburghu czeka akt oskarżenia o gwałt. Jeśli chce pan zgrywać przemądrzałego studenta prawa i grozić wezwaniem adwokata lub telefonem do starego, jutro ten akt może się znaleźć w naszych rękach i pańskie plany życiowe poważnie się zesrają. Natomiast jeśli zechce pan poświęcić nam teraz dziesięć minut

swego cennego czasu i pójdziemy do baru kanapkowego za rogiem, akt oskarżenia trafi na półkę i być może już zawsze na niej zostanie.

– Możesz się od tego uwolnić – dorzucił Plant z boku. – Raz na zawsze.

– Czemu miałbym wam zaufać? – wydusił Kyle, czując, że zaschło mu w ustach.

– Tylko dziesięć minut.

– Będziecie nagrywać?

– Oczywiście.

– Chcę widzieć wasz magnetofon na stoliku. Chcę, żeby każde słowo zostało nagrane, bo wam nie ufam.

– Nie ma sprawy.

Obaj wetknęli ręce do kieszeni identycznych trenczów i ruszyli przodem. Kyle otworzył kluczykiem drzwi jeepa i wsiadł do środka. Uruchomił silnik, ustawił ogrzewanie na ful i zaczął dumać, czy nie powinien jednak odjechać w drugą stronę.

Rozdział 2

Buster’s Deli było długą wąską kiszką z rzędem pokrytych czerwonym winylem boksów pod prawą ścianą. Pod lewą mieścił się bar z grillem, dalej ciągnął się rząd fliperów. Ściany zdobił zbiór pamiątek z Yale. Wiele miesięcy temu, jako student pierwszego roku, Kyle jadł tu kilka razy.

Ostatnie dwa boksy zostały przejęte we władanie przez władze federalne. Przy ostatnim stał kolejny agent w trenczu, gawędząc z siedzącymi w niej Plantem i Ginyardem. Widząc zbliżającego się Kyle’a, mężczyzna zaprezentował typowy ironiczny uśmieszek i usiadł w przedostatnim boksie, dołączając do sączącego kawę agenta numer cztery. Plant i Ginyard zamówili kanapki z bagietek oraz porcje frytek i pikle, ale żaden nawet ich nie ruszył, zostawiając stół zawalony nietkniętym jedzeniem i kubkami z kawą. Na widok Kyle’a Plant wstał z miejsca i przesiadł się obok

Ginyarda, tak by obaj, siedząc ramię w ramię w niezdjętych trenczach, mogli mieć na oku swą ofiarę. Kyle usiadł na kanapie po drugiej stronie stołu.

Oświetlenie baru było zapyziałe i niezbyt efektywne, przez co końcowy boks tonął w mroku. Krzyki grających na fliperach mieszały się z odgłosami płynącymi z płaskiego telewizora nad barem, na którym szedł jakiś program rozrywkowy z udziałem publiczności.

– Musi was być aż czterech? – mruknął Kyle, wskazując głową boks za swoimi plecami.

– Tylko tylu zauważyłeś – odrzekł Ginyard.

– Masz ochotę coś zjeść? – spytał Plant.

– Nie. – Godzinę temu głód skręcał Kyle'owi kiszki, ale w tej chwili jego układ trawienny, system wydalania i system nerwowy zdawały się być stopione w jedną masę. Rozpaczliwie starał się spokojnie oddychać i nie okazywać zdenerwowania. Wyjął z kieszeni długopis i kartkę papieru i przywoławszy na pomoc całą odwagę, powiedział:

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć wasze odznaki.

Obaj agenci zareagowali niemal identycznie. Na ich twarzach odmalowało się zdumienie, potem uraza, potem miny z gatunku „a co mi

tam”. Obaj powoli sięgnęli do kieszeni, wyjęli swe najcenniejsze skarby i położyli na stole. Kyle sięgnął najpierw po portfelik Ginyarda i odczytał pełne nazwisko agenta – Nelson Edward Ginyard – i jego numer służbowy. Uważnie zapisał je na kartce, mocno dociskając długopis. Czuł drżenie ręki, ale liczył, że dzięki temu tego nie zauważą. Nie wiadomo, po co potarł palcem mosiężną odznakę i przyjrzał się jej.

– Mogę zobaczyć jakąś legitymację ze zdjęciem? – powiedział.

– Co, u diabła? – warknął Ginyard.

– Poproszę o dowód ze zdjęciem.

– Nie.

– Nie powiem ani słowa, póki nie dokończymy formalności. Wystarczy mi prawo jazdy, ja też pokażę swoje.

– Mamy już fotokopię twojego prawka.

– Nie szkodzi. Chcę zobaczyć twoje.

Ginyard zrobił cierpiętniczą minę i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął podniszczony portfel i wyjął z niego prawo jazdy stanu Connecticut z posępną podobizną swej twarzy. Kyle uważnie je obejrzał i zanotował datę urodzenia oraz numer i datę wydania dokumentu.

– Jeszcze gorsza fotka niż w paszporcie – zauważył.

– Może chcesz też zdjęcie żony i dzieci? – burknął Ginyard, wyjmując kolorową fotografię i rzucając ją na stół.

– Nie, dziękuję. Skąd jesteście?

– Z Hartford – odparł Ginyard. – Tamci są z Pittsburgha – dodał, wskazując głową sąsiedni boks.

– Miło.

Kyle równie skrupulatnie obejrzał legitymację służbową i prawo jazdy Planta, po czym wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął stukać w klawiaturę.

– Co ty robisz? – obruszył się Ginyard.

– Wchodzę do sieci, żeby was sprawdzić.

– Wyobrażasz sobie, że znajdziesz nas na jakiejś kolorowej stronie FBI? – burknął ze złością Plant. Ale tak naprawdę obaj agenci sprawiali wrażenie rozbawionych i niezbyt przejętych.

– Wiem, gdzie was szukać. – Kyle wpisał mało znany adres federalnej bazy adresowej.

– Nas tam nie znajdziesz – uprzedził Ginyard.

– Chwilę to potrwa. A co z magnetofonem?

Plant wyjął małą nagrywarkę cyfrową wielkości elektrycznej szczoteczki do zębów

i włączył ją.

– Podajcie datę, godzinę i miejsce nagrania – powiedział Kyle tak pewnym siebie tonem, że jego samego to zdziwiło. – Dodajcie też, że przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło i nikt jak dotąd nie złożył żadnych oświadczeń.

– Tak jest, proszę pana. Jak ja kocham takich studentów prawa – mruknął Plant.

– Oglądasz za dużo telewizji – dodał Ginyard.

– Możemy zaczynać.

Plant umieścił nagrywarkę pośrodku stołu między kanapkami z pastrami i cheddarem z jednej strony i wędzonym tuńczykiem z drugiej, po czym zwrócił się do Kyle'a i wygłosił wstępną formułkę. Kyle nie odrywał wzroku od wyświetlacza komórki i gdy pojawiła się na nim żądana strona, wpisał: „Nelson Edward Ginyard". Po paru sekundach oczekiwania na stronie ukazało się potwierdzenie, że agent Ginyard pracuje w oddziale FBI w Hartford, co nikogo z obecnych nie zaskoczyło.

– Chcesz zobaczyć? – spytał Kyle, odwracając ku niemu wyświetlacz.

– Gratulacje – burknął Ginyard. – Zadowolony?

– Nie. Bo wolałbym tu nie być.

– Możesz w każdej chwili wyjść – zapewnił go Plant.

– Prosiliście o dziesięć minut. – Kyle spojrzał na zegarek.

Agenci pochylili się nad stołem i jednocześnie oparli na nim łokcie. Boks nagle zrobił się ciasny.

– Pamiętasz Benniego Wrighta, detektywa z wydziału przestępstw seksualnych policji w Pittsburghu? – spytał Ginyard. Agenci nie spuszczali wzroku z Kyle'a, czekając na choćby najdrobniejsze drgnienie powiek.

– Nie.

– Nie spotkałeś się z nim pięć lat temu w trakcie śledztwa?

– Nie pamiętam nikogo, kto nazywałby się Bennie Wright. Mogłem się z nim zetknąć, jednak to imię i nazwisko nic mi nie mówią. Ale minęło pięć lat od czegoś, co się w ogóle nie wydarzyło.

Przez chwilę smakowali jego słowa, nie spuszczając z niego wzroku. Kyle czuł, że obaj mieliby ochotę parsknąć: „Kłamiesz!".

Ginyard jednak powiedział tylko:

– No cóż, śledczy Wright jest akurat w mieście i chciałby się z tobą spotkać za jakąś godzinę.

– Jeszcze jedno spotkanie?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. To nie potrwa długo, a są duże szanse, że pozwoli ci to

wyplątać się z kłopotów.

– Jakich kłopotów?

– Oskarżenia o gwałt.

– Nie było żadnego gwałtu. Policja w Pittsburghu doszła do tego już pięć lat temu.

– No cóż, wygląda na to, że dziewczyna znów się odezwała – powiedział Ginyard. – Pozbierała się, przeszła intensywną terapię i co najważniejsze, znalazła sobie adwokata.

Ponieważ na końcu tej wypowiedzi Ginyard nie postawił znaku zapytania, nie było na co odpowiadać i Kyle wbrew sobie tylko się przygarbił. Omiótł spojrzeniem kontuar i puste stołki barowe, po czym przeniósł wzrok na ekran telewizora na ścianie. Trwały jakieś szkolne zawody, trybuny były pełne rozwrzeszczanej młodzieży i zaczął się zastanawiać, dlaczego on musi siedzieć przy tym stole.

Nie przestawaj mówić, upomniał się w duchu, ale niczego im nie powiedz.

– Mogę o coś spytać? – rzucił.

– Jasne.

– Jeśli sporządzono akt oskarżenia, to jak go można odłożyć na półkę? Po co w ogóle rozmawiamy?

– Na polecenie sądu został wstrzymany – wyjaśnił Ginyard. – Ze słów śledczego Wrighta

wynika, że prokurator ma dla ciebie propozycję ugody. Złożyła ją adwokat ofiary i jeśli ją przyjmiesz, będziesz mógł zapomnieć o całej sprawie. Pójdziesz na ugodę i akt oskarżenia przeciwko tobie nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Nadal nic z tego nie rozumiem. Może rzeczywiście powinienem zadzwonić do ojca.

– Twoja decyzja, ale jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to najpierw spotkasz się ze śledczym Wrightem.

– Nie odczytaliście mi moich praw Mirandy[1].

– Bo to nie przesłuchanie – odparł po chwili milczenia Plant. – Nie ma też dochodzenia – dodał, sięgając do zestawu z wędzonym tuńczykiem i wyławiając z niego połyskującą tłuszczem frytkę.

– To co to, do diabła, jest?

– Rozmowa. – Ginyard odchrząknął, odchylił się do tyłu i ciągnął: – Rzecz dotyczy przestępstwa stanowego, Kyle, wszyscy to wiemy. Normalnie byśmy się do tego nie mieszali, ale ponieważ przebywasz w Connecticut, a oskarżenie pochodzi z Pensylwanii, chłopcy z Pittsburgha poprosili nas o pomoc w zorganizowaniu spotkania. Zaraz potem się z tego wyłączymy.

– Nadal nic nie rozumiem.

– Daj spokój. Taki prawniczy bystrzak jak ty? Przecież nie możesz być aż tak tępy.

Zapadło długie milczenie, bo wszyscy trzej zaczęli obmyślać następny ruch. Plant znów sięgnął po frytkę, ani na moment nie spuszczając wzroku z Kyle'a. Ginyard upił łyk kawy, skrzywił się z niesmakiem i powrócił do świdrowania wzrokiem swej ofiary. Przy fliperach zrobiło się cicho, lokal opustoszał i zostali w nim tylko czterej agenci, barman i Kyle.

W końcu Kyle pochylił się nad stołem, wsparł na łokciach i zbliżywszy usta na parę centymetrów do nagrywarki, powiedział:

– Nie było żadnego gwałtu ani żadnego przestępstwa. Nie zrobiłem nic złego.

– Świetnie. W takim razie powiedz to Wrightowi.

– A gdzie on jest?

– O dziesiątej będzie czekał w Holiday Inn przy Saw Mill Road, pokój dwieście dwadzieścia dwa.

– To niedobry pomysł. Potrzebuję adwokata.

– Może tak, może nie. – Ginyard też się pochylił, tak że ich głowy niemal się zetknęły. – Słuchaj, wiem, że nam nie ufasz, ale proszę, uwierz, kiedy ci mówimy, że powinieneś pogadać

z Wrightem, nim porozmawiasz z kimkolwiek innym. Przecież możesz zadzwonić do adwokata czy do ojca nawet o północy. Albo jutro. Jeśli dasz się teraz ponieść emocjom, może się to skończyć dla ciebie katastrofą.

– Wychodzę. Koniec rozmowy. Wyłączcie nagrywanie.

Żaden nie wykonał ruchu w stronę nagrywarki. Kyle wpatrzył się w nią, pochylił głowę i głośno powiedział: „Mówi Kyle McAvoy. Jest godzina dwudziesta pięćdziesiąt. Nie mam nic do powiedzenia. Nie złożyłem żadnego oświadczenia i właśnie opuszczam lokal Buster's Deli". Przesunął się po siedzeniu i już miał wstać, gdy Plant nagle rzucił:

– On ma nagranie wideo.

Nawet końskie kopnięcie w podbrzusze nie zrobiłoby na Kyle'u większego wrażenia. Chwycił się kurczowo czerwonej winylowej okładziny siedzenia i zrobił taką minę, jakby za chwilę miał zemdleć. Wolno usiadł z powrotem, sięgnął po plastikowy kubek i wypił długi łyk wody. Ale wargi miał spieczone, język jak kołek i woda niewiele mu pomogła.

Nagranie wideo. Jeden z uczestniczących w imprezce zalanych członków bractwa podobno nagrał coś komórką. Podobno na nagraniu widać

było nagą dziewczynę na kanapie i podziwiających ją czterech czy pięciu nagich lub rozbierających się członków bractwa Beta. Kyle ledwo pamiętał tę scenę, nagrania nigdy nie widział. Według rozpowszechnianej w bractwie wersji zostało skasowane. Gliniarze z Pittsburgha szukali go, ale nic nie znaleźli. Nagranie przepadło i zostało zapomniane, pogrzebane w owianej tajemnicą historii bractwa Beta.

Plant i Ginyard znów siedzieli łokieć w łokieć, nie spuszczając z Kyle'a dwóch par nieruchomych oczu.

– Jakie nagranie? – wydusił tonem tak nieprzekonującym, że sam sobie by nie uwierzył.

– To, które ukryliście przed policją – powiedział Plant, niemal nie poruszając wargami. – To, które świadczy o twojej obecności na miejscu przestępstwa. To, które raz na zawsze zniszczy ci życie i odeśle na dwadzieścia lat do pierdla.

A, to nagranie.

– Nie wiem, o czym mówicie – wycharczał Kyle i pociągnął kolejny łyk wody. Czuł ogarniające go nudności, które sunęły falami od żołądka aż po głowę i groziły, że zaraz zwymiotuje.

– Och, sądzę, że dobrze wiesz – wtrącił Ginyard.

– Widzieliście je? – spytał Kyle.

Obaj skinęli głowami.

– No to wiecie, że nawet jej nie tknąłem.

– Może nie, może tak. Ale niewątpliwie tam byłeś – zauważył Ginyard. – A to czyni z ciebie współwinnego przestępstwa.

Starając się przewalczyć odruch wymiotny, Kyle zamknął oczy i zaczął masować sobie skronie. Dziewczyna była ostrą zawodniczką, spędzającą więcej czasu w akademiku chłopaków niż we własnym pokoju. Typową groupie, która kleiła się do każdego i traciła mnóstwo czasu i kasy tatusia na niekończące się imprezy. Członkowie bractwa Beta przekazywali ją sobie z rąk do rąk, więc gdy nagle podniosła larum o rzekomy gwałt, braci zamurowało, zamieniając ich w zjednoczony front zaprzeczeń i niewinności. Gdy jeszcze się okazało, że dziewczyna plącze się w szczegółach, gliniarze odpuścili i nikomu nie postawili zarzutów. Wkrótce potem zrezygnowała z nauki w Duquesne i ku zadowoleniu wszystkich zniknęła. Największym cudem w tej sprawie było to, że wiadomość o brzydkim epizodzie

z udziałem członków bractwa Beta nigdy się nie rozeszła i niczyje życie nie zostało zrujnowane.

– W akcie oskarżenia jesteś wymieniony ty i trzech innych studentów – powiedział Ginyard.

– Nie było żadnego gwałtu – powtórzył Kyle, nie przestając rozcierać sobie skroni. – Jeśli nawet doszło do seksu, mogę was zapewnić, że odbyło się to za jej zgodą.

– Nie może być mowy o zgodzie, skoro wcześniej straciła przytomność – przypomniał mu Ginyard.

– Nie przyszliśmy się sprzeczać, Kyle – wtrącił Plant. – Od tego są prawnicy. Jesteśmy tu po to, żeby pomóc w zawarciu ugody. Jeśli zdecydujesz się współpracować, cała sprawa się skończy, przynajmniej dla ciebie.

– Co to za ugoda?

– Śledczy Wright wszystko ci wyjaśni.

Kyle powoli odchylił się do tyłu i postukał głową w czerwoną okładzinę oparcia. Miał ochotę zacząć prosić, błagać, tłumaczyć, że to niesprawiedliwe, że właśnie kończy studia, zamierza przystąpić do egzaminu adwokackiego i rozpocząć karierę. Jego przyszłość niosła w sobie tyle obietnic, a przeszłość była bez skazy. Prawie.

Ale oni to wszystko wiedzą, prawda? Popatrzył na nagrywarkę i postanowił nic im nie mówić.

– Dobrze już, dobrze. Pojadę do niego – powiedział.

Ginyard jeszcze bardziej pochylił głowę.

– Została ci godzina. Jeśli w tym czasie gdzieś zadzwonisz, będziemy o tym wiedzieć. Jeśli spróbujesz dać nogę, pojedziemy za tobą, jasne? Więc bez sztuczek, Kyle. Zapewniam cię, że podjąłeś słuszną decyzję, i tego się trzymaj. Twoje kłopoty szybko się skończą.

– Nie wierzę wam.

– Sam się przekonasz.

Kyle zostawił ich przy stole zastawionym zimnym jedzeniem i gorzką kawą. Wsiadł do jeepa i pojechał do domu, trzy przecznice od kampusu. Pogrzebał w łazienkowej szafce współlokatora, znalazł valium i wrócił do swojego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, zgasił światło i rozciągnął się na podłodze.

Rozdział 3

Był to jeden ze starszych hoteli Holiday Inn, pochodzący z lat sześćdziesiątych, gdy panowała moda na rozmieszczanie hoteli i fast foodów przy głównych szosach i drogach wylotowych. Kyle przejeżdżał tędy setki razy, nigdy go nie widząc. Obok znajdował się bar z pankejkami, dalej stał wielki market z artykułami budowlanymi.

Wjechał na mroczny i zapełniony zaledwie w jednej trzeciej parking i postawił czerwonego jeepa obok minivana z rejestracją z Indiany. Zgasił światła, ale zostawił na chodzie silnik i włączone ogrzewanie. Prószył lekki śnieg. Szkoda, że nie groźna zadymka albo powódź, albo trzęsienie ziemi. Cokolwiek, co uniemożliwiłoby realizację tego koszmarnego scenariusza. Dlaczego w ogóle dał się wmanewrować w ten chory plan?

No tak, przez to cholerne nagranie.

W ciągu minionej godziny bił się z myślami, czy jednak nie zadzwonić do ojca, ale wiedział, że

rozmowa trwałaby o wiele za długo. John McAvoy mógłby mu udzielić rzetelnej porady prawnej, ale historia nie była taka prosta. Kyle chwilę się zastanawiał nad telefonem do profesora Barta Mallory'ego, swojego mentora, przyjaciela, błyskotliwego wykładowcy procedur kryminalnych i byłego sędziego. On wiedziałby dokładnie, co zrobić, ale także w tym przypadku Kyle musiałby najpierw wypełnić wiele luk w opowieści, a na to nie było czasu. Pomyślał też o telefonie do dwóch członków bractwa Beta z Duquesne, ale właściwie po co? Wszelkie ich rady byłyby równie nierealistyczne jak pomysły, które jemu samemu pchały się do głowy. Więc po co ich denerwować? Był do tego stopnia zgnębiony całą sytuacją, że zaczął nawet obmyślać sposoby zniknięcia na dobre. Potajemny wyjazd na dworzec autobusowy. Długi skok z wysokiego mostu.

Tylko że przecież go pilnują, nie? I pewnie też podsłuchują, więc będą znali treść każdej rozmowy telefonicznej. Ktoś bezustannie ma go na oku, był tego pewny. Może w minivanie z Indiany siedzi dwóch nygusów ze słuchawkami na uszach i noktowizorami na oczach, którzy go obserwują, świetnie się bawią i marnotrawią pieniądze podatników.

Jeśli połknięte valium zadziałało, to tego nie czuł.

Cyferki na samochodowym radiu przeskoczyły na 9.58 i Kyle zgasił silnik, wysiadł i zanurzył się w wirujące płatki śniegu. Przeszedł szybkim krokiem po wyasfaltowanym parkingu, zostawiając wyraźne ślady stóp. Czy tak wygląda jego ostatnia chwila na wolności? Czytał o wielu przypadkach, kiedy ktoś się zjawiał na policji tylko po to, by udzielić kilku dodatkowych wyjaśnień, a tam stawiano go w stan oskarżenia, zakuwano w kajdany, wsadzano za kratki i musiał się przeczołgiwać przez cały system penitencjarny. Jeszcze mógł zawrócić i dać nogę.

Szklane drzwi zamknęły się ze szczękiem za jego plecami i na moment znieruchomiał w opustoszałym holu hotelowym, bo zabrzmiało to jak kraty zatrzaskujące się w więziennym bloku. Zaczynał mieć słuchowe i wzrokowe omamy, wyobraźnia podsuwała mu dziwne obrazy. Najwyraźniej valium odnosiło odwrotny skutek, powodując, że gotował się we własnej skórze. Skinął głową ponuremu recepcjoniście, ale nie wywołało to żadnego zauważalnego skutku. Jadąc skrzypiącą windą na pierwsze piętro, nie mógł się opędzić od myśli, że trzeba być idiotą, by z własnej woli pakować się do

pokoju hotelowego pełnego gliniarzy i agentów, którzy tylko czekają, żeby go oskarżyć o coś, co się nigdy nie wydarzyło. Dlaczego on to robi?

Przez to cholerne nagranie.

Nigdy go nie widział i nie znał nikogo, kto by je oglądał. W tajemnym świecie Bety krążyły plotki, zaprzeczenia i groźby, ale nikt nie był do końca pewny, czy „numer z Elaine” został rzeczywiście nagrany. Świadomość, że jednak został i że nagranie trafiło do rąk pittsburskiej policji i FBI, podsuwała myśli o tym, by jednak skoczyć z mostu.

Zaraz, moment. Przecież nie zrobiłem nic złego. Nawet jej nie tknąłem, w każdym razie nie tamtego wieczoru.

W ogóle nikt jej nie tknął. W każdym razie tak brzmiała oficjalna i zaprzysiężona wersja członków bractwa Beta. A jeśli to nagranie dowodzi czegoś innego? Nie będzie wiedział na pewno, póki sam go nie obejrzy.

Wysiadł z windy na pierwszym piętrze i w nozdrza uderzył go ostry zapach świeżej farby. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju 222 i rzucił okiem na zegarek, by się upewnić, że nie przyszedł ani o minutę za wcześnie. Zapukał i usłyszał stłumione głosy. Zabrzęczał zdejmowany łańcuch, drzwi się otworzyły i agent

specjalny Nelson Edward Ginyard powitał go słowami: „Cieszę się, że ci się udało”. Kyle wszedł do środka, zostawiając za sobą swój dotychczasowy świat. Otwierający się przed nim nowy świat budził w nim przerażenie.

Ginyard był bez marynarki, białą koszulę miał przepasaną uprzężą z czarną kaburą pod lewą pachą, w której tkwił wielgachny czarny pistolet. Agent Plant i dwaj pozostali z baru Buster’s Deli przyglądali się Kyle’owi w milczeniu. Oni też byli bez marynarek, dzięki czemu chłopak mógł podziwiać ich podręczny arsenał: identyczne dziewięciomilimetrowe beretty w kaburach na czarnej skórzanej uprzęży. Nie na żarty uzbrojeni mężczyźni z identycznymi krzywymi uśmieszkami mającymi świadczyć o tym, że zastrzelenie wstrętnego gwałciciela sprawi im prawdziwą frajdę.

– Słuszna decyzja – powiedział Plant, kiwając głową.

Wręcz przeciwnie, przemknęło Kyle’owi przez głowę, kretyńska.

Pokój 222 przerobiono na prowizoryczne biuro. Wielkie dwuosobowe łóżko wsunięto w róg, zasłony szczelnie zaciągnięto, stojące na środku dwa składane stoły zarzucono teczkami, grubymi kopertami i notatnikami na dowód, że

wre tu wytężona praca. Wśród papierzysk stały trzy otwarte i włączone laptopy; na ekranie pierwszego Kyle dostrzegł swoją podobiznę ze szkolnej księgi pamiątkowej. Absolwenci Liceum Centralnego w Yorku, matura w roku 2001. Na ścianie rozmieszczono kolorowe fotografie trzech jego kolegów z bractwa Beta, na samym końcu, tuż obok zasłony na oknie, wisiała podobizna Elaine Keenan.

Pokój łączył się z sąsiednim i drzwi między nimi stały otworem. Przeszedł przez nie agent numer pięć – identyczny pistolet, identyczna kabura – i wlepił wzrok w Kyle'a. Pięciu agentów, dwa pokoje, tona papierzysk i wszystko tylko po to, żeby go dopaść? Kyle poczuł lekki zawrót głowy na widok zmasowanej akcji służb swojego kraju.

– Zechciej opróżnić kieszenie – powiedział Ginyard, podając mu niewielkie kartonowe pudło.

– Po co?

– Proszę.

– Myślisz, że jestem uzbrojony? Myślisz, że wyciągnę nóż i się na was rzucę?

Agent numer pięć wykazał się poczuciem humoru i parsknął głośnym śmiechem, przełamując naprężoną atmosferę. Kyle wyjął

z kieszeni pęk kluczy, zabrzęczał przed nosem Ginyarda i ponownie schował.

– Może lepiej cię obszukam – rzucił Plant, ruszając ku niemu.

– Jasne, koniecznie – burknął Kyle, rozkładając ramiona. – Wszyscy studenci Yale chodzą uzbrojeni po zęby.

Plant dokonał parusekundowego i bardzo delikatnego obszukania. Skończył i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

– Śledczy Wright czeka w pokoju po drugiej stronie korytarza – rzekł Ginyard, ruszając do wyjścia.

Jeszcze jeden pokój?

Kyle wyszedł za nim na odrapany korytarz i zatrzymał się pod drzwiami pokoju 225. Ginyard lekko w nie zastukał, otworzyły się i chłopak wszedł do środka.

Bennie Wright nie szpanował żadną bronią.

– Śledczy Wright, pittsburska policja – powiedział, wyciągając rękę.

Strasznie mi miło, pomyślał Kyle, ale nie powiedział tego głośno. Co ja tu w ogóle robię?

Wright miał czterdzieści kilka lat, był niski, szczupły i nie licząc kępek czarnych włosów przy uszach, zupełnie łysy. Czarne oczy były częściowo ukryte za malutkimi okularami do

czytania, zsuniętymi do połowy wąskiego nosa. Zamknął za Kyle'em drzwi i machnął ręką, wskazując mu miejsce.

– Proszę, niech pan siada – powiedział.

– O co panu chodzi? – burknął Kyle, nie ruszając się z miejsca.

Śledczy ominął łóżko i stanął przy kolejnym składanym stole, po którego obu stronach stały tym razem dwa rachityczne metalowe krzesła.

– O rozmowę, Kyle – powiedział łagodnym tonem i chłopak nagle sobie uzmysłowił, że policjant mówi z lekkim obcym akcentem. Angielski nie był jego rodzimym językiem, choć akcent był na tyle nikły, że trudno było określić jego pochodzenie. Ale był. Ktoś nazywający się Bennie Wright i mieszkający w Pittsburghu nie powinien mówić z obcym akcentem.

Na statywie w rogu pokoju stała niewielka kamerka wideo, od której ciągnęły się przewody do leżącego na stole laptopa z dwunastocalowym ekranem.

– Proszę – powtórzył Wright, siadając na krześle i wskazując ręką drugie.

– Chcę mieć wszystko nagrane – mruknął Kyle.

Wright spojrzał przez ramię na kamerę.

– Nie ma sprawy – powiedział.

Chłopak z ociąganiem podszedł do drugiego krzesła i usiadł. Wright wyciągnął ręce i przystąpił do podwijania rękawów białej koszuli. Węzeł krawata miał już rozluźniony.

Kyle miał po prawej ręce pusty ekran laptopa, po lewej leżała zamknięta teczka z papierami, pomiędzy nimi notatnik i czarny długopis.

– Niech pan włączy kamerę – przypomniał.

Wright stuknął w klawiaturę laptopa i na ekranie ukazała się twarz Kyle'a. Chłopak przyjrzał się i nie dostrzegł w niej nic poza strachem.

Wright wprawnym ruchem otworzył teczkę, wyjął z niej kilka druczków i rozłożył przed sobą na stole, jakby się szykował do wystawienia Kyle'owi studenckiej karty kredytowej.

– Przede wszystkim musimy odczytać panu prawa Mirandy – oświadczył.

– Nie – rzekł cicho Kyle. – Przede wszystkim musimy zobaczyć pańską odznakę służbową i dokument ze zdjęciem.

To policjanta wyraźnie zirytowało, ale szybko się opanował. Bez słowa wyjął z tylnej kieszeni spodni brązowy skórzany portfel i otworzył.

– Ta sama od dwudziestu dwóch lat – mruknął.

Kyle przyjrzał się brązowej odznace. Rzeczywiście nosiła ślady wieloletniego użytkowania. Benjamin J. Wright, Policja Miasta Pittsburgh, numer służbowy 6658.

– Proszę jeszcze o prawo jazdy.

Wright wyjął mu z ręki portfel, sięgnął do innej przegródki, chwilę pogrzebał i spośród innych kart wyciągnął prawo jazdy stanu Pensylwania ze zdjęciem.

– Zadowolony? – burknął.

Chłopak zwrócił mu dokument i uniósł głowę.

– Dlaczego interesuje się tym FBI? – zapytał.

– Czy możemy najpierw skończyć z prawami Mirandy? – Wright powrócił wzrokiem do swych druczków.

– Oczywiście. Wiem, co to są prawa Mirandy.

– Nie wątpię. Jest pan wyróżniającym się studentem prawa na jednej z naszych renomowanych uczelni. Bardzo bystrym młodzieńcem. – Kyle zabrał się do czytania, a Wright równocześnie zaczął mówić: – Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte w sądzie przeciwko panu. Ma pan prawo do adwokata. Jeśli pana na niego nie stać, władze stanowe przydzielą panu swojego adwokata. Jakieś pytania?

– Nie. – Kyle podpisał dwa druczki i przesunął je z powrotem do Wrighta. – Co tu robi FBI? – powtórzył pytanie.

– Wierz mi, Kyle, obecność FBI jest najmniejszym z twoich problemów. – Mocno owłosione ręce Wrighta leżały nieruchomo na stole, palce miał splecione na notatniku. Mówił wolno, pewnym siebie tonem. Ktoś patrzący z boku nie miałby wątpliwości, kto rządzi przy tym stole. – Pozwól, że coś ci zaproponuję. Mamy mnóstwo spraw do omówienia, a czas ucieka. Grałeś kiedyś w football?

– Tak.

– Więc umówmy się, że ten stół jest jak boisko do footballu. To niezbyt wymyślne porównanie, ale dla naszych celów ujdzie. Ty jesteś tu, na linii bramkowej. – Lewą ręką przeciągnął przed laptopem wyimaginowaną linię bramkową. – Masz do pokonania sto jardów, żeby zapunktować, wygrać i wyjść stąd cały i zdrowy. – Prawą ręką wyznaczył drugą linię bramkową obok teczki z dokumentami. Odległość między nimi wynosiła ponad metr. – Sto jardów, Kyle. Wszystko jasne?

– Jasne.

Wright złączył dłonie i klepnął teczkę z dokumentami.

– Gdzieś tu, mniej więcej na pięćdziesiątym jardzie, pokażę ci wideo, które stanowi podstawę naszego problemu. Nie spodoba ci się. Zrobi ci się niedobrze. Zemdli cię. Możesz się nawet porzygać. Ale jeśli dasz radę, podążymy dalej ku linii bramkowej. A gdy do niej dotrzemy, poczujesz dużą ulgę. Znów zobaczysz siebie jako złotego chłopca, przystojnego młodzieńca o jasnej przyszłości i nieskalanej przeszłości. Tak więc trzymaj się mnie, pozwól mi sobą pokierować, być trenerem, który podpowiada kolejne zagrywki, a razem dotrzemy do ziemi obiecanej. – Stuknął prawą ręką w drugą linię bramkową.

– A co z tym aktem oskarżenia?

– Jest tu. – Wright położył dłoń na teczce z dokumentami.

– Kiedy go zobaczę?

– Przestań mnie wypytywać, Kyle. To ja będę zadawał pytania. I miejmy nadzieję, że ty będziesz umiał na nie odpowiedzieć.

Nie miał hiszpańskiego akcentu. Już prędzej wschodnioeuropejski, choć chwilami tak słaby, że prawie niezauważalny.

Położył lewą dłoń na linii bramkowej przy laptopie.

– A więc, Kyle, zacznijmy od początku. Ustalmy najpierw pewne podstawowe fakty, zgoda?

– Jak pan chce.

Wright wyjął z teczki jakieś papiery, przez chwilę im się przyglądał, po czym wziął do ręki długopis.

– Urodziłeś się czwartego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego w Yorku, w Pensylwanii, jako trzecie dziecko i jedyny syn Johna i Patty McAvoyów. Rodzice rozwiedli się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy miałeś sześć lat. Żadne z nich nie zawarło ponownego związku, zgadza się?

– Zgadza się.

Śledczy postawił ptaszek, po czym zadał serię szybkich pytań o członków rodziny, ich daty urodzenia, wykształcenie, zawód, adresy, zainteresowania, przynależność do Kościoła, a nawet poglądy polityczne. W miarę zadawania pytań przekładał kartki i stawiał kolejne ptaszki. Miał dokładne rozeznanie w sprawie i wszystkie fakty się zgadzały. Znał nawet datę i miejsce urodzenia zamieszkałego w Santa Monica dwuletniego siostrzeńca Kyle’a. Skończył z pytaniami o rodzinę i wziął do ręki kolejną

kartkę. Kyle poczuł pierwsze oznaki znużenia. A wyglądało na to, że to dopiero rozgrzewka.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał Wright.

– Nie.

– Ojciec ma kancelarię adwokacką w Yorku. – Było to stwierdzenie faktu, ale zabrzmiało bardziej jak pytanie.

Kyle bez słowa skinął głową. Nastąpiła seria pytań o ojca, jego życie prywatne i karierę zawodową, zainteresowania. Co kilka pytań chłopak miał ochotę spytać, czy to naprawdę takie ważne, ale trzymał język za zębami. Policjant znał wszystkie szczegóły. Kyle'owi pozostawało tylko potwierdzać to, co ktoś wcześniej ustalił.

– Twoja matka jest kimś w rodzaju artystki, czy tak? – usłyszał.

– Tak, a piłka gdzie jest teraz?

– Pokonałeś jakieś dziesięć jardów. W jakiej dziedzinie sztuki?

– Maluje.

Przez następne dziesięć minut skupiali się na życiu Patty McAvoy.

Wreszcie Wright skończył z rodziną i zajął się podejrzanym. Zaczął od kilku prostych pytań o dzieciństwo, zbytnio się jednak nie rozwodził

nad szczegółami. Nie musi, bo i tak wszystko wie, pomyślał Kyle.

– Ukończyłeś z wyróżnieniem liceum w Yorku, byłeś wybitnym sportowcem i skautem orlim. Dlaczego wybrałeś Uniwersytet Duquesne'a?

– Bo mi zaoferowali stypendium koszykarskie.

– Miałeś też inne oferty?

– Kilka z mniejszych uczelni.

– Ale długo w Duquesne nie pograłeś.

– Na pierwszym roku zagrałem trzynaście minut, po czym w ostatniej minucie ostatniej kwarty zerwałem przednie więzadło kolana.

– Zrobili ci operację?

– Tak, ale było już po kolanie. Zrezygnowałem z koszykówki i zapisałem się do bractwa.

– Do bractwa jeszcze dojdziemy. Chcieli, żebyś po operacji wrócił do koszykówki?

– Tak jakby. Ale to nie miało znaczenia. Moje kolano było już do niczego.

– Zrobiłeś dyplom z ekonomii, zdobywając niemal maksimum punktów. Na drugim roku nie dostałeś piątki z hiszpańskiego. Co się stało?

– Chyba należało wybrać niemiecki.

– Jedna czwórka na cztery lata to nieźle. – Wright przełożył kartkę i coś zanotował.

Kyle spojrzał na siebie na ekranie laptopa i pomyślał, że dobrze by było trochę się rozluźnić.

– Świetne stopnie, członkostwo kilkunastu organizacji studenckich, mistrzostwo w salowym softballu, sekretarz i następnie przewodniczący bractwa studenckiego. Imponująca lista, a do tego znajdowałeś jeszcze czas na intensywne życie towarzyskie. Opowiedz mi o swoim pierwszym aresztowaniu.

– Na pewno ma pan wszystko opisane w swoich papierach.

– Twoje pierwsze aresztowanie, Kyle.

– Pierwsze i jedyne. W każdym razie jak dotąd.

– Co się stało?

– Typowa uczniowska wpadka. Głośna impreza, którą zakończyło dopiero pojawienie się policji. Przyłapali mnie z otwartą butelką piwa w ręce i przyczepili się do mnie. Zarzucono mi wykroczenie, zapłaciłem trzysta dolców grzywny i dostałem półroczną kuratelę. Później sprawa uległa zatarciu i w Yale w ogóle się o tym nie dowiedzieli.

– Ojciec był w to włączony?

– Wiedział, ale miałem obrońcę z miasta.

– Kogo?

– Panią mecenas Sylvię Marks.

– Słyszałem o niej. Specjalizuje się w studenckich rozróbach, tak?

– Tak. I zna się na tym.

– Zdawało mi się, że było też drugie aresztowanie.

– Nie. W kampusie policja raz mnie zatrzymała, ale nie aresztowała. Skończyło się na upomnieniu.

– Za co?

– Za nic.

– To czemu cię zatrzymali?

– Dwaj rozrabiacy strzelali do siebie racami butelkowymi. Waleczni kolesie. Ja nie brałem w tym udziału. Nie było żadnego wpisu do akt, więc ciekawe, skąd pan w ogóle o tym wie.

Wright zignorował pytanie i zapisał coś w notatniku.

– Dlaczego wybrałeś studia prawnicze? – spytał, skończywszy pisać.

– Podjąłem decyzję już w wieku dwunastu lat. Od zawsze chciałem być prawnikiem. Moją pierwszą w życiu pracą była obsługa kserokopiarki u ojca. Praktycznie wychowałem się w kancelarii.

– W jakich uczelniach złożyłeś papiery?

– W Penn, Yale, Cornell i Stanfordzie.

– Wszędzie cię przyjęli?
– We wszystkich czterech.
– Czemu wybrałeś Yale?
– Yale zawsze było dla mnie numerem jeden.
– Zaoferowali ci tam jakieś stypendium?
– Zachętę finansową, tak. Wszyscy inni też.
– Musiałeś zaciągnąć kredyt?
– Tak.
– Ile?
– Naprawdę musi pan to wiedzieć?
– Nie pytałbym, gdybym nie musiał. Myślisz, że rozmawiamy, bo tak kocham dźwięk swojego głosu?
– Na to nie umiem odpowiedzieć.
– To wróćmy do kredytu studenckiego.
– Kiedy skończę studia w maju, mój dług wyniesie około sześćdziesięciu tysięcy.
Wright pokiwał głową jakby na potwierdzenie, że Kyle podaje prawdziwą kwotę. Przełożył kartkę i chłopak dostrzegł, że następna też jest wypełniona pytaniami.
– Pisujesz do czasopisma prawniczego?
– Jestem redaktorem naczelnym „Yale Law Journal”.
– To najbardziej zaszczytna funkcja na uczelni?
– Niektórzy tak uważają.

– Zeszłego lata odbyłeś praktykę kancelaryjną w Nowym Jorku. Opowiedz mi o niej.

– Trafiłem do jednej z wielkich firm prawniczych na Wall Street, Scully and Pershing, i odbyłem typową wakacyjną praktykę biurową. Goszczono nas winem i obiadkami, nie wymagano zbyt wielu godzin w pracy. Takie typowe uwodzenie, stosowane przez wszystkie wielkie firmy prawnicze. Najpierw rozpieszczają praktykantów, a gdy ci po dyplomie podejmują pracę, orzą nimi bez opamiętania.

– Scully and Pershing zaproponowali ci pracę po dyplomie?

– Tak.

– Przyjąłeś czy odrzuciłeś ich ofertę?

– Ani to, ani to. Jeszcze się nie zdecydowałem. Firma zostawiła mi czas do namysłu.

– I czemu tak długo się zastanawiasz?

– Mam kilka innych możliwości. Na przykład pracę w biurze sędziego federalnego, który jednak może awansować i wtedy mogę zostać na lodzie. Trudno coś przewidzieć.

– Masz też inne propozycje?

– Tak, mam też inne propozycje.

– Opowiedz mi o nich.

– To naprawdę ma jakieś znaczenie?

– Wszystko, o czym rozmawiamy, ma znaczenie.

– Ma pan może wodę?

– Zajrzyj do łazienki. Na pewno jest w niej woda.

Kyle zerwał się z miejsca, przeszedł między łóżkiem a komodą, zapalił światło w ciasnej łazience i odkręciwszy kran nad umywalką, napełnił wiotki plastikowy kubek. Łapczywie wypił, napełnił po raz drugi i wrócił do stołu. Postawił kubek dwadzieścia jardów od swojej linii bramkowej, po czym zerknął na ekran.

– Tak tylko patrzę, z ciekawości – wyjaśnił szybko. – To gdzie jest teraz piłka?

– Trzecia i daleko[2]. Opowiedz mi o tych innych propozycjach i firmach.

– Dlaczego nie chce mi pan pokazać tego nagrania i skończyć z tymi bzdurami? Jeśli naprawdę istnieje i naprawdę mnie obciąża, to po prostu wyjdę stąd i poszukam sobie adwokata – powiedział Kyle ze złością.

Wright oparł łokcie na stole, pochylił głowę i zaczął lekko stukać o siebie końcami palców. Dolną część jego twarzy rozjaśnił uśmiech, górna pozostawała nieruchoma.

– Utrata panowania nad sobą może cię kosztować życie, Kyle – wycedził zimno.

Kosztować życie w sensie fizycznym, czy perspektyw na przyszłość? Chłopak nie był pewny. Westchnął i upił trochę wody. Poirytowanie ustąpiło, w jego miejsce pojawiło się poczucie niepewności i lęku.

Uśmieszek na twarzy Wrighta pojaśniał.

– Kyle, proszę, naprawdę dobrze ci idzie. Jeszcze tylko parę pytań i przejdziemy do trudniejszych tematów. Jakie inne firmy?

– Dostałem propozycję z firm Logan and Kupec z Nowego Jorku, Baker Potts z San Francisco i od Gartona z Londynu. Wszystkim odmówiłem. Wciąż jeszcze zastanawiam się nad podjęciem pracy w sektorze publicznym.

– Jako kto? Gdzie?

– W Wirginii na stanowisku doradcy prawnego migrantów.

– I jak długo byś to robił?

– Może ze dwa lata, sam nie wiem. To tylko jedna z możliwości.

– Za dużo mniejsze pieniądze?

– O, tak. Dużo mniejsze.

– To jak byś spłacił studenckie zadłużenie?

– Jakoś bym sobie poradził.

Wrightowi nie spodobała się ta odpowiedź zadufanego w sobie młokosa, ale postanowił puścić ją mimo uszu. Zerknął do swoich notatek,

choć wcale nie musiał. Wiedział, że chłopak ma dług w wysokości 61 000 dolarów z tytułu kredytu studenckiego, który zostanie w całości umorzony przez Yale, pod warunkiem że dłużnik następne trzy lata przepracuje za niewielkie wynagrodzenie dla dobra ubogich, ciemiężonych i prześladowanych lub w ochronie środowiska. Oferta, którą dostał Kyle, pochodziła z organizacji o nazwie Piedmoncka Poradnia Prawna; jej działalność finansowano z donacji gigantycznej firmy prawniczej z Chicago. Z informacji Wrighta wynikało, że chłopak już ustnie potwierdził podjęcie tej pracy za roczne wynagrodzenie 32 000 dolarów. Wall Street mogło poczekać. Nigdzie nie ucieknie. Ojciec namawiał go do spędzenia kilku lat w okopach na linii frontu i ubrudzenia sobie rąk. Daleko od korporacyjnego stylu uprawiania prawa, którego John McAvoy szczerze nie znosił.

Z informacji pochodzących z tych samych źródeł wynikało, że firma Scully & Pershing zaoferowała mu podstawowe wynagrodzenie 200 000 dolarów rocznie plus zwyczajowe dodatkowe korzyści. Oferty pozostałych firm kształtowały się na zbliżonym poziomie.

– Kiedy się ostatecznie zdecydujesz? – spytał Wright.

– Niedługo.

– Ku której z tych propozycji się skłaniasz?

– Ku żadnej.

– Na pewno?

– Oczywiście, że na pewno.

Wright sięgnął po teczkę i pokręcił ze smutkiem głową, jakby odpowiedź Kyle’a osobiście go dotknęła. Wyjął kilka kolejnych kartek, przejrzał i wlepił wzrok w chłopaka.

– Chcesz powiedzieć, że nie wyraziłeś ustnej zgody na objęcie z dniem drugiego września bieżącego roku stanowiska w Piedmonckiej Poradni Prawnej w Winchesterze w Wirginii?

Ze spieczonych warg Kyle’a dobył się strumień gorącego powietrza. Chłopak odruchowo spojrzał na monitor i tak, jego mina była tak samo niewyraźna, jak się czuł. Na końcu języka miał już: „Skąd, u diabła, pan o tym wie?”, ale taką reakcją tylko by potwierdził, że tamten mówi prawdę. Lecz nie mógł też zaprzeczyć, bo Wright najwyraźniej już wiedział.

Gorączkowe poszukiwanie w myślach jakiegoś wyjścia zostało przerwane kończącym sztychem rozmówcy.

– Uznajemy to za kłamstwo numer jeden, zgoda? – powiedział Wright z krzywym uśmieszkiem. – I umawiamy się, że gdybyśmy się

natknęli na kłamstwo numer dwa, to wyłączamy kamerę, mówimy sobie „dobranoc” i widzimy się ponownie jutro podczas aresztowania. Kajdanki, policyjna eskorta, fotki do policyjnej kartoteki, może nawet jacyś reporterzy. Nie będziesz się już musiał martwić ani nielegalnymi imigrantami, ani pracą na Wall Street. Nie okłamuj mnie, Kyle. Za dużo wiem.

Mało brakowało, by chłopak służbiście zameldował: „Tak jest, proszę pana”, ale udało mu się ograniczyć tylko do lekkiego skinienia głową.

– A więc przez najbliższe kilka lat zamierzasz się poświęcić pracy charytatywnej, tak?

– Tak.

– A co potem?

– Jeszcze nie wiem. Zapewne podejmę pracę w jakiejś firmie i rozpocznę karierę zawodową.

– Co sądzisz o firmie Scully and Pershing?

– Ogromna, potężna, bogata. Z tego, co wiem, to największa firma prawnicza na świecie. O ile wczoraj ktoś kogoś nie połknął lub zmusił do fuzji. Oddziały w trzydziestu krajach na pięciu kontynentach. Zatrudniają naprawdę dobrych ludzi, którzy ciężko orzą i wzajemnie się motywują. Zwłaszcza młodzi szeregowi prawnicy.

– To ci odpowiada?

– Trudno powiedzieć. Płacą świetnie. Praca jest mordercza. Ale to pierwsza liga, więc pewnie do nich dołączę.

– W jakim dziale odbywałeś letnią praktykę?

– Przechodziłem z działu do działu, ale najwięcej czasu spędziłem w dziale procesowym.

– Lubisz procesy sądowe?

– Niespecjalnie. Czy mogę spytać, co te wszystkie pytania mają wspólnego ze sprawą z Pittsburgha?

Wright zabrał łokcie ze stołu i spróbował wygodniej się rozsiąść na składanym krześle. Założył nogę na nogę, położył sobie notatnik na lewym udzie, wsadził koniec długopisu do ust i przez chwilę go żuł, wpatrując się w Kyle'a jak psychiatra, który próbuje rozgryźć pacjenta.

– Porozmawiajmy teraz o bractwie w Duquesne – powiedział.

– Jak pan chce.

– Przysięgę w twojej grupie złożyło około dziesięciu członków, zgadza się?

– Dziewięciu.

– Ze wszystkimi z nich utrzymujesz kontakt?

– Do pewnego stopnia.

– Akt oskarżenia wymienia ciebie i trzech innych, więc skupmy się na tych trzech. Gdzie

jest teraz Alan Strock?

Akt oskarżenia. Gdzieś w tej cholernej teczce w odległości niecałego metra od niego leży akt oskarżenia. Jakim cudem znalazło się w nim jego nazwisko? Przecież nawet nie tknął tej dziewczyny. Nie był świadkiem gwałtu. Nie widział, by ktokolwiek uprawiał z nią seks. Jak przez mgłę pamiętał, że był w tym pokoju, ale najwyraźniej w pewnej chwili odpłynął i nic więcej nie pamiętał. Więc jakim cudem może być współwinny, skoro urwał mu się film? W razie procesu przyjmie taką linię obrony. Obrony trudnej do podważenia, ale widmo procesu było trudne do wyobrażenia. Doszłoby do niego długo po aresztowaniu, ale wcześniej miałby do czynienia z koszmarem notatek prasowych i swoich zdjęć w gazecie. Zamknął oczy, potarł sobie skronie i pomyślał o telefonach do rodziców, najpierw do ojca, potem do matki. Musiałby wykonać dużo więcej telefonów. Do szefów personelu w firmach, w których zaoferowano mu pracę, do obu sióstr. Oczywiście wszystkich ich by zapewnił o swojej niewinności, ale wiedział, że już nigdy nie uwolniłby się od podejrzeń o udział w gwałcie.

Zupełnie nie ufał Wrightowi ani warunkom ugody, jakie ten miałby mu zaproponować. Jeśli

akt oskarżenia naprawdę istnieje, żadną siłą się go nie pogrzebie.

– Alan Strock? – powtórzył Wright.

– Jest na medycynie na stanowym w Ohio.

– Korespondowaliście ostatnio?

– Parę dni temu wymieniliśmy maile.

– A Joey Bernardo?

– Nadal mieszka w Pittsburghu, pracuje w firmie maklerskiej.

– Ostatnie kontakty?

– Telefoniczne, kilka dni temu.

– Rozmawiałeś z Alanem lub Joeyem o Elaine Keenan?

– Nie.

– Wszyscy staracie się o niej zapomnieć, co?

– Tak.

– Ale ona wróciła.

– Najwyraźniej.

Wright poprawił się na krześle, zdjął nogę z nogi, przeciągnął się i powrócił do pozycji z łokciami na stole.

– Elaine odeszła z Duquesne po pierwszym roku – podjął luźniejszym tonem, jakby się szykował do dłuższej opowieści. – Była wstrząśnięta, opuściła się w nauce. Twierdzi, że gwałt wywołał u niej poważne zaburzenia emocjonalne. Przez jakiś rok mieszkała

z rodzicami w Erie, potem zaczęła się kręcić po kraju. Cierpiała na ciężką lekomanię, dużo piła i ćpała. Zwracała się nawet o pomoc do paru terapeutów, ale nic to nie dało. Wiedziałeś o tym?

– Nie. Po jej wyjeździe z Duquesne nie mieliśmy z nią żadnego kontaktu.

– W Scranton ma starszą siostrę, która wzięła ją do siebie i zorganizowała jej pomoc, opłaciła terapię. A potem znalazła jej jakiegoś psychoanalityka, który się nią zajął i wyprowadził na prostą. Obecnie jest czysta, trzeźwa i czuje się świetnie, a jej pamięć uległa dramatycznej poprawie. Znalazła też sobie adwokatkę i oczywiście żąda sprawiedliwości.

– Zabrzmiało to dość sceptycznie.

– Jestem gliną, Kyle. Do wszystkiego podchodzę sceptycznie, ale mamy do czynienia z wiarygodnie brzmiącą młodą kobietą, która utrzymuje, że została zgwałcona. W dodatku mam nagranie wideo, a to trudny do podważenia dowód. I do tego wszystkiego adwokatka, która żąda krwi.

– To próba wymuszenia, prawda? Chodzi tylko o pieniądze.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bo czwartym oskarżonym jest Baxter Tate, a to wszystko wyjaśnia. Rodzina Tate’ów jest

obrzydliwie bogata. Stare pittsburskie pieniądze. Baxter od urodzenia jest beneficjentem rodzinnego trustu. Ile chcą?

– Najpierw mi odpowiedz. Czy kiedykolwiek uprawiałeś seks…

– Tak, uprawiałem seks z Elaine Keenan, podobnie jak większość kolegów z bractwa. Była zabawową dziewczyną i spędzała więcej czasu w akademiku chłopaków niż większość jego mieszkańców. Potrafiła też spić każdego z nas do nieprzytomności i miała zawsze torebkę pełną prochów. Jej problemy zaczęły się na długo przed przybyciem do Duquesne. Może mi pan wierzyć, że ta dziewczyna nie chciałaby stanąć przed sądem.

– Ile razy uprawiałeś z nią seks?

– Raz, jakiś miesiąc przed rzekomym gwałtem.

– Czy wiadomo ci, czy owego wieczoru Baxter Tate uprawiał seks z Elaine Keenan?

Kyle zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie, nie wiadomo mi – powiedział. – Urwał mi się wtedy film.

– Czy Baxter Tate chwalił się potem, że tego wieczoru ją przeleciał?

– Przede mną nie.

Wright zakończył długi wpis w notatniku i atmosfera w pokoju jakby się rozluźniła, a Kyle

niemal dosłyszał szum pracującej kamery. Spojrzał na nią i zobaczył, że czerwona kontrolka wciąż się świeci.

– Gdzie jest teraz Baxter? – spytał Wright po dłuższej chwili.

– Gdzieś w Los Angeles. Z trudem ukończył studia, wyjechał do Hollywood i został aktorem. Nie prowadzi zbyt ustabilizowanego życia.

– Co to znaczy?

– Pochodzi z bogatej rodziny, która jest jeszcze bardziej dysfunkcjonalna niż większość bogatych rodzin. Jest zawziętym imprezowiczem, ostro pije, ćpa i zalicza dziewczyny. I nie wygląda na to, żeby miał z tego wyrosnąć. Jego życiową ambicją jest zostać wielkim aktorem i zapić się na śmierć. Chce młodo umrzeć. Taki drugi James Dean.

– Wystąpił w jakimś filmie?

– W żadnym. Za to w bardzo wielu barach.

Wrighta jakby nagle znużyło zadawanie pytań, bo przestał notować, a jego czujne dotąd spojrzenie utraciło ostrość. Włożył kilka kartek do teczki i postukał palcem w środek stołu.

– Zrobiliśmy postępy, Kyle. Dziękuję. Piłka jest już w połowie boiska. Chcesz teraz obejrzeć to wideo?

Rozdział 4

Wright wstał po raz pierwszy z krzesła, przeciągnął się i podszedł do rogu pokoju, gdzie leżał niewielki biały karton ze starannie wykaligrafowanym napisem: „Dot. KYLE'A L. McAVOYA i pozostałych". Sięgnął do środka uroczystym gestem kata, który się szykuje do naciśnięcia śmiercionośnego przycisku, wyjął z pudełka płytę, włożył ją do napędu w laptopie, nacisnął kilka klawiszy i usiadł z powrotem na krześle.

Kyle niemal przestał oddychać.

W laptopie coś zatrzeszczało i zaczęło cicho bzyczeć.

– Telefon był smartfonem Nokia sześć tysięcy z dwa tysiące trzeciego roku, z zainstalowanym oprogramowaniem kamwidu ETI i kartą pamięci jeden giga, która starcza na nagranie około trzystu minut skompresowanego wideo w megapikselowej jakości, przy szybkości piętnastu klatek na sekundę, sterowanie głosem –

powiedział Wright. – W tamtym czasie najwyższa półka. Naprawdę fajna komóra.

– Należąca do?

– Przykro mi, Kyle.

Z jakiegoś powodu Wright uznał, że pokazanie telefonu może więcej wyjaśnić. Nacisnął coś na klawiaturze i na ekranie ukazała się fotografia Nokii 6000.

– Widziałeś taką kiedyś? – spytał.

– Nie.

– Tak myślałem. A oto okoliczności nagrania, Kyle, bo być może niektóre szczegóły zatarły ci się w pamięci. Jest dwudziesty piąty kwietnia dwa tysiące trzeciego roku, ostatni dzień zajęć, za tydzień zaczynają się egzaminy końcowe. Jest piątek, wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku w Pittsburghu, temperatura w ciągu dnia sięga trzydziestu stopni, co zbliża się do rekordu wszech czasów. Młodzi ludzie z Duquesne postanawiają zająć się tym, czym zajmują się wszyscy normalni studenci w całym kraju. Zaczynają pić już po południu i mają ambitny plan picia przez całą noc. Do osiedla, w którym z trzema kolegami wynajmujecie mieszkanie, schodzi się tłum. Spotkanie przekształca się w imprezę nad basenem, w której uczestniczą głównie członkowie bractwa Beta i kilka

znajomych dziewczyn. Trochę pływacie, trochę się opalacie, trochę popijacie piwo, trochę słuchacie Phisha. Dziewczęta są w bikini, życie jest piękne. Po zmroku impreza przenosi się do waszego mieszkania. Zamawiacie pizzę, muzyka... teraz gra już zespół Widespread Panic... jest głośna. Donoszą więcej piwa, ktoś przynosi dwie butelki tequili i wszyscy się nią raczą. Pamiętasz coś z tego?

– Większość.

– Masz dwadzieścia lat i właśnie kończysz drugi rok college'u…

– Wszystko to wiem.

– Tequila jest rozcieńczana red bullem i wszyscy to piją. Jestem pewny, że ty też wypiłeś kilka szklaneczek.

Kyle skinął głową, ani na moment nie odrywając wzroku od ekranu.

– W pewnej chwili zaczynają się rozbieranki i właściciel telefonu postanawia ukradkiem to nagrać. Pewnie głównie chodzi mu o nagranie dziewczyn topless. Pamiętasz to mieszkanie, Kyle?

– Tak, mieszkałem w nim przez rok.

– Obejrzeliśmy sobie ten lokal. Jak większość studenckich mieszkań, to dość prymitywna kwatera, ale gospodarz nas zapewnił, że od

tamtej pory nic się w niej nie zmieniło. Domyślamy się, że właściciel telefonu umieścił go na wąskim blacie między kuchnią a salonem. Blat chyba zawsze był składowiskiem podręczników, książek telefonicznych, pustych butelek po piwie, praktycznie wszystkiego, co się kiedykolwiek przewinęło przez to mieszkanie.

– Tak było.

– Więc nasz nagrywacz wyjmuje telefon, podchodzi do blatu i niezauważony przez nikogo włącza go i umieszcza za książką. Początkowa scena jest dość lubieżna. Dokładnie ją obejrzeliśmy i mogę ci powiedzieć, że uczestniczy w niej sześć dziewczyn i dziewięciu chłopaków. Wszyscy tańczą, znajdując się w różnych stadiach rozmemłania. Coś ci świta, Kyle?

– Częściowo.

– Znamy wszystkie piętnaście nazwisk.

– Pokaże mi pan wreszcie to nagranie, czy będzie pan tylko opowiadał?

– Na twoim miejscu aż tak bardzo bym się nie śpieszył do oglądania. – Wright wcisnął kolejny klawisz. – Nagranie zaczyna się o godzinie dwudziestej trzeciej czternaście. – Coś znów nacisnął i z głośnika buchnęła głośna muzyka, numer Widespread Panic *Aunt Avis* z albumu

Bombs and Butterflies, a ekran wypełniły wijące się w tańcu ciała.

Gdzieś w głębi duszy Kyle miał nadzieję, że nagranie okaże się gruboziarnistym niewyraźnym zapisem paru kretynów z bractwa Beta, którzy coś po ciemku piją. Okazało się, że patrzy na doskonałej jakości obraz z mikroskopijnej kamerki w telefonie. Ustawiony przez nieznanego właściciela telefonu kadr ukazywał niemal całe wnętrze salonu w mieszkaniu 6B przy East Chase 4880.

Cała piętnastka zabawowiczów wyglądała na mocno podciętą. Wszystkie dziewczyny były topless, większość chłopców miała nagie torsy. Taniec był zbiorowym tarłem i żadna z par nie trzymała się z sobą dłużej niż kilka sekund. Wszyscy mieli w jednej ręce szklankę z drinkiem, połowa w drugiej trzymała palącego się papierosa lub jointa. Dwanaście podrygujących piersi było na wyciągnięcie rąk chłopców i właściwie wszystkie obnażone ciała – damskie i męskie – mieszały się w jednej kotłowaninie. Dotykanie i miętoszenie odbywało się bez żadnego skrępowania. Nagie ciała stykały się, ocierały i rozdzielały, by za chwilę otrzeć się o inne. Niektórzy zachowywali się głośno i wyzywająco, inni sprawiali wrażenie

zamulonych przez alkohol i prochy. Niektórzy przywierali do siebie wargami w namiętnych pocałunkach, jednocześnie błądząc rękami w poszukiwaniu intymniejszych części ciał.

– Ten w ciemnych okularach to chyba ty – powiedział z satysfakcją w głosie Wright.

– Dzięki.

Ciemne okulary, żółta czapeczka Piratów, nisko opadające szorty w brudnobiałym kolorze, domagające się słońca smukłe ciało o bladej zimowej karnacji. Plastikowy kubek w jednej ręce, papieros w drugiej. Usta otwarte w próbie śpiewu z zespołem. Zalany dureń. Dwudziestoletni kretyn o krok od utraty przytomności.

Od tamtej pory minęło pięć lat i Kyle nie czuł cienia tęsknoty za szalonym życiem w college'u. Nie brakowało mu głośnych balang, porannego kaca, budzenia się w południe w cudzym łóżku. Ale nie miał też wyrzutów sumienia. Czuł tylko lekkie zażenowanie, że dał się komuś nagrać, ale było to tak dawno… W końcu to typowe dla lat spędzanych w college'u, nie? Nie szalał bardziej niż inni i na pewno nie odstawał od zdecydowanej większości znajomych.

Numer się skończył i na moment muzyka umilkła, co natychmiast zmobilizowało do

rozlania kolejnych drinków. Jedna z dziewcząt opadła na krzesło, sprawiając wrażenie, że zabawa już się dla niej skończyła. Po chwili zabrzmiał następny utwór.

– Zabawa trwa jeszcze przez jakieś osiem minut – rzekł Wright, zaglądając do notatek.

Kyle nie miał wątpliwości, że on i jego ludzie dokładnie obejrzeli i zapamiętali każdą klatkę nagrania.

– Jak może zauważyłeś, Elaine Keenan nie ma wśród tańczących. Twierdzi, że była w tym czasie w innym pokoju i piła z paroma znajomymi.

– Czyli znów zmieniła wersję – mruknął Kyle.

Śledczy zignorował jego uwagę.

– Jeśli pozwolisz, przesunę trochę do przodu. Do chwili, gdy zjawia się policja. Pamiętasz przyjście gliniarzy, Kyle?

– Tak.

Obraz gwałtownie przyśpieszył, po chwili Wright znów coś nacisnął.

– O godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć zabawa gwałtownie się kończy. Posłuchaj.

W połowie utworu, gdy na ekranie wciąż widać rozochoconą i pijącą gromadę, ktoś niewidoczny nagle wrzeszczy: „Gliny! Gliny!”, Kyle chwyta jakąś dziewczynę za rękę i znika

z kadru. Muzyka milknie, światła gasną, obraz na ekranie niemal całkiem ciemnieje.

– Z naszej dokumentacji wynika – ciągnął Wright – że policję tej wiosny aż trzykrotnie wzywano do waszego mieszkania. To był trzeci raz. Drzwi otworzył Alan Strock, jeden z twoich współlokatorów, i próbował zagadać policjantów. Zarzekał się, że w środku nie ma nikogo nieletniego i wszystko jest pod kontrolą. Obiecał, że natychmiast ściszy muzykę i od teraz będzie spokój. Gliniarze dali się przekonać, ograniczyli się do udzielenia napomnienia i sobie poszli. Sądzimy, że wszyscy pochowali się po pokojach.

– Większość uciekła tylnymi drzwiami – sprostował Kyle.

– Wszystko jedno. Telefon miał włączone sterowanie głosem, więc po minucie ciszy automatycznie się wyłączył. Znajdował się jakieś sześć metrów od wyjścia z mieszkania. W odruchu paniki właściciel zwiał, całkiem o nim zapominając, ale w panującym zamieszaniu ktoś przesunął go na blacie i telefon znów się włączył, tyle że kadr się zmienił i teraz widać dużo mniej niż poprzednio. Mija około dwudziestu minut w spokoju, po czym o dwudziestej trzeciej czterdzieści osiem rozlegają się głosy i zapalają światła.

Kyle zbliżył twarz do ekranu. Mniej więcej jedną trzecią kadru przesłaniało coś żółtego.

– Pewnie żółte stronice książki telefonicznej – wyjaśnił Wright.

Muzyka znów zaczyna grać, jednak dużo ciszej niż poprzednio.

Po salonie kręcą się współlokatorzy mieszkania: Kyle, Alan Strock, Baxter Tate i Joey Bernardo. Wszyscy czterej mają na sobie szorty i T-shirty, wszyscy trzymają drinki. Do salonu wchodzi Elaine Keenan i nie przestając tokować, siada na kanapie. Pali coś wyglądającego na jointa. Kadr obejmuje tylko fragment kanapy, słychać też niewidoczny telewizor. Do Elaine podchodzi Baxter Tate, coś do niej mówi, potem odstawia drinka i ściąga T-shirt. Oboje kładą się na kanapie i wyraźnie zabierają do dzieła, w tym czasie reszta ogląda telewizję i rozmawia, ale muzyka i dźwięk z telewizora zagłuszają ich słowa. W pewnej chwili w kadrze przesuwa się sylwetka Alana Strocka, który zdejmuje T-shirt i mówi coś do niewidocznego Baxtera. Głosu Elaine nie słychać. Widać mniej niż połowę kanapy, ale plątanina gołych nóg jest dobrze widoczna.

A potem gaśnie światło i na chwilę obraz zanika, stopniowo jednak kamera zaczyna

rejestrować odbitą od ścian poświatę ekranu telewizora i obraz staje się wyraźniejszy. W kadrze pojawia się Joey Bernardo; on też zdejmuje T-shirt i staje przy kanapie, na której trwa pełna wigoru akcja.

– Słuchaj teraz – syknął Wright.

Joey mówi coś, czego Kyle nie rozumie.

– Zrozumiałeś? – spytał śledczy.

– Nie.

Zatrzymał odtwarzanie.

– Nasi specjaliści zbadali ścieżkę dźwiękową. Joey Bernardo pyta Baxtera Tate'a: „Jest przytomna?". Wygląda na to, że Tate uprawia seks z Elaine, która jest tak pijana, że urwał jej się film. Bernardo podchodzi, widzi, co się dzieje, i upewnia się, czy dziewczyna jest w ogóle przytomna. Chcesz jeszcze raz posłuchać?

– Tak.

Wright cofnął nagranie i odtworzył je. Kyle z pochyloną głową i nosem tuż przy ekranie jeszcze bardziej się skupił i wyłowił słowo „przytomna". Śledczy ponuro pokręcił głową.

Akcja trwała dalej z muzyką i telewizją w tle i choć w salonie zgaszono światło, widać było poruszające się w mroku sylwetki. W końcu Baxter Tate podniósł się z kanapy, chwilę postał zupełnie nagi i wyszedł poza kadr, jego miejsce

na kanapie szybko zajął Joey Bernardo. Wszystko odbyło się niemal w całkowitej ciszy.

Z głośnika zaczął się dobywać miarowy stukot.

– Sądzimy, że to coś w kanapie – powiedział Wright. – Ale pewnie nie potrafisz tego rozpoznać, co?

– Nie.

Zaraz potem rozległo się narastające pojękiwanie i stukot ustał. Joey wstał z kanapy i zniknął z kadru.

– Praktycznie na tym film się kończy – rzekł Wright. – Nagranie ciągnie się jeszcze jakieś dwanaście minut, ale już nic specjalnego się nie dzieje. Jeśli ta Elaine w którymś momencie wstała z kanapy, to na nagraniu tego nie ma. Jesteśmy niemal pewni, że Baxter Tate i Joey Bernardo uprawiali z nią seks, brak dowodu na to, żebyś zrobił to ty lub Alan Strock.

– Ja nie, mogę pana zapewnić.

– Pamiętasz, gdzie byłeś podczas tych dwóch gwałtów, Kyle? – Wright przycisnął klawisz i ekran zgasł.

– Nie wątpię, że ma pan w tej sprawie własną teorię.

– No dobra. – Wright znów wziął do ręki długopis i notatnik. – Elaine twierdzi, że po paru

godzinach, gdzieś tak około trzeciej, obudziła się zupełnie naga na kanapie i nagle zaświtało jej w głowie, że została zgwałcona. Wpadła w panikę, bo nie była nawet pewna, gdzie się znajduje. Przyznaje, że była wciąż bardzo pijana. Po chwili znalazła swoje rzeczy, ubrała się i natknęła na ciebie śpiącego na fotelu przed telewizorem. To jej pozwoliło zorientować się, gdzie się znajduje, i zaczęła sobie przypominać, co się z nią działo. Nigdzie w mieszkaniu nie było Strocka, Tate'a ani Bernardo. Zaczęła cię budzić i coś do ciebie mówić, ale ty nie reagowałeś. W końcu wybiegła z mieszkania, poszła do sąsiadów i tam usnęła.

– Po czym przez następne cztery dni ani słowem nie wspomniała o gwałcie… czy może znów zmieniła swoją wersję?

– Zgadza się, cztery dni.

– Chociaż tyle. Przez cztery dni nikomu nic nie mówi. Ani swoim współlokatorkom, ani koleżankom, ani rodzicom. A po czterech dniach nagle dochodzi do wniosku, że została zgwałcona. Policja bardzo nieufnie podeszła do jej opowieści, prawda? W końcu zjawili się u nas i w lokalu Beta, zadali niedużo pytań i uzyskali jeszcze mniej odpowiedzi. Dlaczego? Bo nie było żadnego gwałtu. Wszystko się odbyło za

obopólną zgodą. Może mi pan wierzyć, że ta dziewczyna bardzo chętnie się godziła.

– Kyle, jak mogła się zgodzić, jeśli była nieprzytomna?

– Jeśli była nieprzytomna, to jakim cudem pamiętała, że została zgwałcona? Nie poddała się badaniu lekarskiemu. Nie było żadnych śladów gwałtu, żadnych dowodów. Tylko jakieś wymysły kompletnie pokręconej dziewczyny. Policja pięć lat temu machnęła na to ręką i tak powinno zostać.

– Ale już tak nie jest. Sprawa odżyła. Na podstawie tego nagrania wielka ława przysięgłych uznała, że doszło do gwałtu.

– To absurd i sam pan to wie. Tu nie chodzi o gwałt. Tu chodzi o pieniądze. Rodzina Baxtera Tate'a jest strasznie bogata, a Elaine znalazła sobie chciwą adwokatkę. Ten akt oskarżenia to nic innego jak próba wymuszenia.

– Jesteś gotów zaryzykować, stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok skazujący? Chcesz, żeby przysięgli obejrzeli to nagranie? Zobaczyli ciebie i twoich trzech zalanych kolegów, jak wykorzystują młodą kobietę?

– Ja jej nie tknąłem.

– Nie, ale przy tym byłeś. Bardzo blisko, niecałe trzy metry. No, daj spokój.

– Nic z tego nie pamiętam.

– Łatwo tak powiedzieć.

Kyle dźwignął się z miejsca i poszedł do łazienki. Ponownie nalał do kubka wody z kranu, wypił duszkiem, nalał znów i znów wypił. A potem wrócił do pokoju, usiadł na krawędzi łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Nie, nie chce, żeby przysięgli obejrzeli to nagranie. Widział je po raz pierwszy w życiu i modlił się w duchu, by nie musiał go więcej oglądać. Wyobraził sobie siebie i swoich trzech kolegów, jak siedzą w zatłoczonej sali sądowej, światła są przygaszone, sędzia patrzy na nich z wyrzutem na twarzy, przysięgli przewiercają ich wzrokiem, Elaine płacze, jego rodzice siedzą z kamiennymi twarzami w pierwszym rzędzie dla publiczności. I wszyscy patrzą w ekran, na którym leci to nagranie. Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze.

Czuł się niewinny, ale wcale nie był pewien, czy przysięgli też tak uznają.

Wright wyjął płytę z odtwarzacza i ostrożnie schował do plastikowego pudełka.

Kyle przed długą chwilę siedział wpatrzony w standardową wykładzinę na podłodze. Z korytarza dochodziły jakieś odgłosy, stłumione rozmowy, szuranie nogami. Być może federalni

zaczynali się już niecierpliwić, ale było mu to obojętne. W uszach mu dzwoniło i nie bardzo wiedział dlaczego.

Każdą ulotną myśl w głowie przeganiała następna i Kyle stwierdził, że nie jest w stanie się skupić i zacząć myśleć racjonalnie. Zdecydować, co powinien, a czego nie powinien mówić. Bo decyzje podjęte pod wpływem tego koszmaru mogą potem rzutować na całą przyszłość. Przez głowę przemknęła mu historia trzech graczy lacrosse'a z Duke'a, których niesłusznie oskarżono o gwałt na striptizerce. W końcu oczyszczono ich z wszelkich zarzutów, ale piekło, przez jakie musieli przejść, było niewyobrażalne. A w ich przypadku nie było żadnego nagrania, niczego, co by ich łączyło z ofiarą.

„Jest przytomna?" – spytał Joey Baxtera. Ile razy te słowa zostaną przypomniane w sali sądowej?

Będą analizować nagranie słowo po słowie, klatka po klatce. Gdy przysięgli w końcu pójdą ustalić werdykt, będą znali je na pamięć.

Wright siedział w milczeniu przy stole. Jego owłosione ręce znów były rozłożone na blacie, nieruchome dłonie spoczywały na notatniku. Nie śpieszyło mu się. Mógł tak siedzieć bez końca.

– Jesteśmy już w połowie boiska? – spytał Kyle, przerywając ciszę.

– Za połową, w okolicach czterdziestki, i posuwamy się do przodu.

– Chciałbym zobaczyć ten akt oskarżenia.

– Oczywiście.

Kyle wstał i podszedł do stołu, śledczy wykonał kilka ruchów, które w pierwszej chwili wydały się niezrozumiałe. Najpierw z tylnej lewej kieszeni spodni wyciągnął portfel, wyjął z niego swoje prawo jazdy i położył na stole. Potem wyjął odznakę służbową pittsburskiej policji i umieścił obok. A potem z pudła na podłodze wyciągnął kilka legitymacji i odznak i ułożył je rzędem na stole. Po czym sięgnął po teczkę z dokumentami i podał ją Kyle'owi.

– Miłej lektury – powiedział.

Na teczce było napisane INFORMACJE, Kyle otworzył ją i wyjął plik kartek spiętych zszywką. Tytułowa stronica wyglądała bardzo urzędowo, nagłówek tłustym drukiem głosił: „Wspólnota Pensylwanii, Okręg Allegheny, Sąd Powszechny". Pod spodem mniejszą czcionką napisano: „Wspólnota przeciwko Baxterowi F. Tate'owi, Josephowi N. Bernardo, Kyle'owi L. McAvoyowi i Alanowi B. Strockowi". Dokument był opatrzony

sygnaturą wokandy, numerem akt i kilkoma urzędowymi adnotacjami.

Wright wyjął nożyczki i starannie przeciął swoje prawo jazdy na dwa równiutkie kwadraty.

Treść dokumentu zaczynała się od: „Niniejszy akt oskarżenia sporządzono w imieniu i z upoważnienia Wspólnoty Pensylwanii przeciwko wyżej wymienionym oskarżonym…”.

Wright przystąpił do przecinania pozostałych kawałków plastiku, z których wszystkie wyglądały na prawa jazdy i karty kredytowe.

„Kto, pozostając w jurysdykcji tego sądu…”

Śledczy oderwał swoją brązową odznakę od skórzanej podkładki i walnął nią o stół.

– Co pan robi? – spytał w końcu Kyle.

– Niszczę dowody.

– Jakie dowody?

– Zajrzyj na drugą stronę.

Kyle dotarł do końca pierwszej strony i przewrócił kartkę. Na drugiej stronie nie było ani słowa, ani jednej literki, ani kropki, niczego. Przerzucił kolejne kartki. Strony trzecia, czwarta i piąta były tak samo puste. Wright był zajęty odrywaniem kolejnych odznak. Kyle uniósł wzrok znad rzekomego aktu oskarżenia i wlepił go w policjanta.

– Siadaj, Kyle – powiedział Wright, wskazując ręką puste krzesło przy stole.

Chłopak starał się coś powiedzieć, ale wydusił z siebie tylko ciche jęknięcie i usiadł.

– Nie ma żadnego aktu oskarżenia – rzucił Wright obojętnym tonem, jakby to było coś oczywistego. – Nie było wielkiej ławy przysięgłych ani gliniarzy, nie będzie aresztowań ani procesu. Nie ma nic poza tym nagraniem.

– Nie było gliniarzy?

– Oczywiście, że nie. To wszystko fałszywki. – Wskazał ręką stertę zniszczonych dowodów. – Nie jestem policjantem. A ci chłopcy po drugiej stronie korytarza nie są agentami FBI.

Kyle odrzucił głowę do tyłu jak trafiony bokser i przetarł sobie oczy. Akt oskarżenia zsunął się na podłogę.

– To kim ty jesteś? – wydusił.

– To bardzo dobre pytanie, Kyle, niestety odpowiedź na nie zajmie nam trochę czasu.

Chłopak niepewnie wziął do ręki jedną z odznak – Ginyarda z FBI – i potarł ją palcem.

– Ale przecież sprawdziłem go w sieci – jęknął. – On naprawdę pracuje w FBI.

– Bo wszystkie nazwiska są prawdziwe. Po prostu na chwilę je pożyczyliśmy.

– Czyli podszywasz się pod funkcjonariusza policji?

– Oczywiście, tyle że to błahe wykroczenie. Niewarte twojej uwagi.

– Ale dlaczego?

– Żeby cię przekonać, Kyle. Namówić, żebyś tu przyszedł i mnie wysłuchał. Bo inaczej mógłbyś zwiać. A poza tym chcieliśmy ci zademonstrować nasze możliwości.

– My?

– Tak, moja firma. Pracujemy dla prywatnego zleceniodawcy, który nas wynajął do wykonania określonego zadania. Jesteś nam do tego potrzebny, a tak rekrutujemy nasz personel.

Kyle wybuchnął nerwowym śmiechem. Jego policzki nabierały kolorów, krew znów zaczynała krążyć. Narastało w nim poczucie ulgi, że nie grozi mu żadne oskarżenie, że nie stanie przed plutonem egzekucyjnym. Ale równocześnie wzbierała w nim wściekłość.

– Rekrutujecie personel drogą szantażu? – prychnął.

– Jeśli trzeba. Mamy to nagranie i wiemy, gdzie jest ta dziewczyna. A ona naprawdę wynajęła adwokatkę.

– Wie o tym nagraniu?

– Nie, ale gdyby je obejrzała, twoje życie mogłoby się mocno skomplikować.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Pomyśl, Kyle. Oskarżenie o gwałt w Pensylwanii przedawnia się po dwunastu latach. Zostało jeszcze siedem. Gdyby Elaine i jej adwokatka dowiedziały się o istnieniu tego nagrania, zagroziłyby wystąpieniem na drogę sądową, żeby was skłonić do zawarcia ugody. Tak jak sam powiedziałeś, byłoby to wymuszenie, ale całkiem skuteczne. Twoje życie potoczy się dużo gładziej, jeśli dołączysz do nas, a to nagranie nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Werbujesz mnie?

– Tak.

– Do czego?

– Do pracy prawnika.

Rozdział 5

Czując, jak ogromny ciężar spada mu z serca, a oddech się wyrównuje, Kyle spojrzał na zegarek. Było już po północy. Przeniósł wzrok na Wrighta – czy jak tam się naprawdę nazywał – gotów się uśmiechnąć, może nawet uściskać go za to, że nie jest gliniarzem z Pittsburgha i nie ma z sobą aktu oskarżenia. Myśl, że nie będzie aresztowany, ścigany ani upokorzony, wzbudziła w nim gwałtowną wdzięczność. Ale jednocześnie miał ochotę zerwać się z miejsca i walnąć Wrighta z całej siły w twarz, a potem powalić go na podłogę i kopać tak długo, aż przestanie się ruszać.

Odrzucił obie skrajności. Ten facet sprawiał wrażenie dobrze zakonserwowanego, pewnie ćwiczył na siłowni i niewątpliwie umiałby się obronić. I oczywiście nie należał do ludzi, których ma się ochotę ściskać. Kyle oparł się plecami o oparcie krzesła, położył prawą stopę

na lewym kolanie i po raz pierwszy od wielu godzin głęboko odetchnął.

– To jak naprawdę się nazywasz? – zapytał.

Wright był zajęty szykowaniem nowego notatnika do następnej rundy pytań i w lewym górnym rogu wstawiał datę.

– Kyle, nie traćmy czasu na bzdurne pytania – mruknął.

– Tak? A dlaczego? Nie możesz nawet ujawnić prawdziwego nazwiska?

– Zostańmy na razie przy Benniem Wrighcie. Nie ma to i tak żadnego znaczenia, bo mojego prawdziwego nazwiska nigdy poznasz.

– Zaczyna mi się to podobać. Prawdziwe gówno spod znaku płaszcza i szpady. Nieźli jesteście, panowie. Trzymaliście mnie tu całe cztery godziny, a mnie rosła w brzuchu gula wielkości arbuza. Zaczynałem już nawet myśleć o poszukaniu fajnego mostu do skoku. Nienawidzę was za to i radzę, żebyście to zapamiętali.

– Jak się już nagadasz, to będziemy mogli przejść do rzeczy.

– Mogę od razu stąd wyjść?

– Oczywiście.

– Nikt mnie nie będzie gonił? Żadnych więcej fałszywych odznak, żadnych fałszywych agentów

FBI?

– Żadnych. Możesz iść. Jesteś wolnym człowiekiem.

– Och, serdeczne dzięki.

Minęła minuta w całkowitej ciszy. Przenikliwe spojrzenie oczu Wrighta przewiercało twarz Kyle'a, który mimo usilnych starań nie potrafił zrewanżować się tym samym. Noga drgała mu nerwowo, oczy miał rozbiegane, palcami stukał w blat stołu. Przez głowę przelatywały mu różne scenariusze, ale w żadnym nie było wstania i wyjścia z pokoju.

– Kyle, pogadajmy o twojej przyszłości – odezwał się w końcu Wright.

– Jasne. Jak już wiadomo, że nie zostanę aresztowany, moja przyszłość wygląda dużo jaśniej.

– Ta praca, którą chcesz podjąć w Piedmonckiej Poradni Prawnej… Czemu chcesz zmarnować dwa lata życia na zbawianie świata?

– Ja tak tego nie widzę. W Wirginii jest mnóstwo imigrantów, w tym bardzo wielu nielegalnych, których pracodawcy wykorzystują i gnębią na różne sposoby. Ci ludzie mieszkają w kartonach, dwa razy dziennie zjadają porcję ryżu, pracują za dwa dolce za godzinę, często w ogóle im nie płacą za katorżniczą pracę i tak

dalej, i tak dalej. Myślę, że przydałaby im się pomoc.

– Ale dlaczego?

– Mówię o pracy dla pożytku publicznego, tylko że ty najwyraźniej tego nie rozumiesz. Mówię o prawnikach, którzy poświęcają czas dla dobra innych. Na wydziałach prawa wciąż to jeszcze wbijają do głów. I niektórzy z nas w to wierzą.

Na Wrighcie nie zrobiło to większego wrażenia.

– Pomówmy o firmie Scully and Pershing.

– O czym mianowicie? Nie wątpię, że przeprowadziliście dokładny wywiad.

– Zaoferowali ci pracę.

– Zaoferowali.

– Od kiedy?

– Od drugiego września. Mam egzamin adwokacki w lipcu i mogę zaczynać we wrześniu.

– Jako szeregowy prawnik?

– Nie, od razu jako starszy wspólnik. A może sekretarka lub pomoc biurowa? Daj spokój, Bennie, przecież wiesz, jak to działa.

– Nie złość się. Przed nami jeszcze długa droga.

– Wiem. I chcesz powiedzieć, że powinniśmy z sobą współpracować i zaprzyjaźnić się, bo

przyświeca nam wspólny cel. Tylko ty i ja, tak, Bennie? Jak dwóch starych przyjaciół. Do czego to, do diabła, prowadzi?

– Do firmy Scully and Pershing.

– A jeśli nie chcę tam pracować?

– Masz niewielki wybór.

Chłopak położył łokcie na stole i potarł sobie oczy. Stół był wąski i ich twarze znajdowały się nie więcej niż pół metra od siebie.

– Czy formalnie odrzuciłeś ich ofertę? – spytał Wright.

– Domyślam się, że znasz odpowiedź na to pytanie. Domyślam się, że od pewnego czasu podsłuchujecie wszystkie moje rozmowy telefoniczne.

– Nie wszystkie.

– Prawdziwy bandzior z ciebie.

– Bandziory łamią kości, Kyle. My jesteśmy o wiele bardziej wyrafinowani.

– Nie, nie odrzuciłem oferty firmy Scully and Pershing. Powiadomiłem ich tylko, że rozważam poświęcenie paru lat na pracę w sektorze publicznym, i rozmawialiśmy nawet o prolongacie ich oferty. Zostawili mi czas do namysłu, ale wkrótce muszę się zdecydować.

– Czyli nadal cię chcą?

– Tak.

– Z początkową pensją dwustu tysięcy dolarów?

– Coś koło tego. Liczby to twoja specjalność.

– To jedna z największych i najbardziej znanych firm prawniczych na świecie.

– Największa, tak przynajmniej twierdzą.

– Wielka firma, ważni klienci, bogaci wspólnicy z dojściami wszędzie. Kyle, zastanów się, to propozycja, za jaką inni studenci prawa byliby gotowi zamordować. Czemu nie chcesz jej przyjąć?

Kyle zerwał się z miejsca i zaczął krążyć między stołem a drzwiami. W końcu stanął przy Wrighcie i wlepił w niego rozeźlone spojrzenie.

– Żebym to dobrze zrozumiał. Mam podjąć pracę w Scully and Pershing z powodów, które zapewne będą sprzeczne z moim dobrze pojętym interesem, a jeśli powiem „nie”, to mnie zaszantażujecie tym nagraniem i zagrozicie oskarżeniem o gwałt, czy tak? Do tego to zmierza, Bennie?

– Z grubsza. Tyle że „zaszantażujecie” brzmi paskudnie.

– Boże, nie chciałbym cię urazić, Bennie, bo pewnie jesteś człowiekiem o wielkiej wrażliwości, ale to jest szantaż czy wymuszenie,

czy jakkolwiek chcesz to nazwać. To działanie wbrew prawu, a ty jesteś przestępcą.

– Przymknij się i przestań mnie obrażać!

– Mogę jutro pójść na policję i na ciebie donieść. Za podszywanie się pod funkcjonariusza i próbę szantażu.

– Ale tego nie zrobisz.

– Mogę się zdecydować.

Wright zerwał się z krzesła i przez moment zanosiło się na to, że się zamachnie i mu przyłoży. On jednak tylko wyciągnął oskarżycielsko palec i powiedział:

– Smarkacz z ciebie i masz głowę pełną prawniczych frazesów. Chcesz iść na policję, bardzo proszę. Użyj swojej podręcznikowej wiedzy o tym, kto ma rację, a kto nie. Wiesz, co wtedy będzie, Kyle? Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Chłopców z naprzeciwka, udawanych agentów FBI, już tu nie ma. Zniknęli bez śladu i na zawsze. A ja wkrótce odwiedzę adwokatkę Elaine Keenan, pokażę jej nagranie i wspólnie wycenimy wartość netto Baxtera Tate’a. Podam jej aktualne adresy, numery telefonów i adresy mailowe Alana Strocka, Joeya Bernardo i twoje, oraz zachęcę do kontaktu z prokuratorem w Pittsburghu. Ani się obejrzysz, jak sprawy

wymkną ci się spod kontroli. Może postawią ci zarzuty, może nie, ale wierz mi, że cię zniszczę.

– Gdzie jest Elaine? Trzymacie ją w jakimś lochu?

– To nieważne. Mamy powody sądzić, że jest przeświadczona, że została w twoim mieszkaniu zgwałcona.

– Daruj sobie.

– Jest jak tykająca bomba, Kyle, a to nagranie może ją zdetonować. Zostało ci jeszcze siedem lat strachu. – Wright wrócił na krzesło i zaczął coś notować.

Kyle przysiadł na łóżku przed lustrem.

– Może się zrobić naprawdę paskudnie – ciągnął Wright. – Wyobraź to sobie, Kyle. Najzdolniejszy student Yale, którego aresztują pod zarzutem gwałtu. Organizacje kobiece domagają się obcięcia sprawcom wszystkich ośmiu jąder. Nagranie wycieka do internetu. Paskudny proces z szansą na wyrok skazujący na więzienie. Zrujnowana kariera.

– Zamknij się.

– Nie. Więc jeśli sądzisz, że mnie nastraszyłeś swoimi śmiesznymi groźbami, to chcę cię zapewnić, że nie. Podejdźmy do tego jak ludzie interesu. Weźmy to nagranie i schowajmy

w jakimś sejfie, żeby nikt nigdy nie mógł go obejrzeć. Co ty na to, Kyle?

Brzmiało to nieźle. Chłopak podrapał się po nieogolonej brodzie.

– Czego chcesz w zamian? – spytał.

– Chcę, żebyś podjął pracę w firmie Scully and Pershing.

– Dlaczego?

– Wreszcie zaczynasz mówić z sensem. Wreszcie możemy porozmawiać o interesach. A już myślałem, że nigdy nie spytasz.

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

– Bo potrzebuję informacji.

– Świetnie. To już wszystko wiem. Serdeczne dzięki.

– Daj mi jeszcze chwilę, Kyle. Muszę cię najpierw nieco wprowadzić. Na rynku istnieją pewne dwie korporacje, które zażarcie z sobą konkurują. Obie grają ostro, obie są warte miliardy i naprawdę wzajemnie się nienawidzą. Dochodziło już między nimi do procesów, wielkich publicznych spektakli, w których żadna jednoznacznie nie wygrywała ani nie przegrywała. Dlatego od pewnego czasu unikali konfrontacji na sali rozpraw. Aż do teraz. Bo teraz zamierzają się odegrać w największym procesie ze wszystkich. Za parę tygodni pozew

trafi do sądu federalnego w Nowym Jorku. Gra idzie o kwotę rzędu ośmiuset miliardów dolarów i przegrany może tego nie przeżyć. Brutalny, pełen zajadłości proces sądowy. I żyła złota dla prawników. Konkurenci korzystają z usług dwóch wielkich firm prawniczych z Wall Street i wyobraź sobie: te firmy prawnicze też się wzajemnie nienawidzą.

– Już się nie mogę doczekać, żeby się w to włączyć.

– I to cię właśnie czeka. Jedną z tych firm jest Scully and Pershing, drugą Agee, Poe and Epps.

– Znana też jako APE[3].

– Właśnie.

– Byłem u nich na rozmowie.

– Zaoferowali ci pracę?

– Myślałem, że wszystko wiesz.

– Tylko tyle, ile muszę.

– Nie spodobali mi się.

– Zuch chłopak. A teraz będziesz mógł ich znienawidzić.

Kyle przeszedł do łazienki, nalał do umywalki zimnej wody i spryskał sobie twarz i kark, a potem przez dłuższą chwilę przyglądał się sobie w lustrze. Nie poddawaj się zmęczeniu, upomniał się. Nie zwracaj uwagi na zmęczenie i strach. Staraj się wyprzedzać ruchy tego faceta.

Spróbuj go czymś zaskoczyć, namieszaj mu w głowie, wytrąć z równowagi.

Wrócił do pokoju i usiadł naprzeciwko Wrighta.

– Skąd masz to nagranie? – spytał.

– Kyle, chłopcze, tracisz tylko czas.

– Gdyby to nagranie trafiło do sądu, właściciel telefonu musiałby zeznawać. Wtedy nie dałoby się ukryć jego tożsamości. Czy on zdaje sobie z tego sprawę? Uprzedziłeś go o tym? Bo to jeden z członków mojego bractwa i jestem gotów się założyć, że odmówi składania zeznań na procesie.

– Na procesie? Chcesz iść do sądu? Sąd może cię skazać na więzienie. A wymuskani biali chłopcy z wyrokiem za gwałt nie mają w więzieniu najłatwiej.

– Założę się, że ona nie odważy się nas oskarżyć.

– Nie masz się o co zakładać. Ona potrzebuje pieniędzy. Jeśli będzie mogła wycisnąć trochę kasy z Tate’a, ciebie i pozostałych dwóch, zrobi to. Zaufaj mi.

– Nie zaufałbym ci, nawet gdyby chodziło o moje brudne gacie.

– Dość już tych zniewag. Porozumiemy się z jej adwokatką i dokładnie ją poinstruujemy, co

ma zrobić. A może nie. Może tylko wpuścimy do internetu skróconą wersję nagrania. Wytniemy scenę gwałtu i zostawimy tylko waszą balangę. Roześlemy maile do wszystkich twoich krewnych i znajomych, do potencjalnych pracodawców na całym świecie. Niech sobie obejrzą. A potem je przemontujemy, dodamy kawałek z gwałtem i znów umieścimy w sieci. Jak Elaine to zobaczy, twoja twarz trafi do wszystkich gazet.

Z wrażenia Kyle dosłownie rozdziawił usta i opuścił ramiona. Nie przychodziła mu do głowy żadna celna riposta i jedyne, co go uderzyło jak obuchem, to myśl, że został trafiony. Wright wyglądał na pozbawionego skrupułów drania na usługach jakiejś grupy o ogromnych zasobach finansowych i jeszcze większej determinacji. Mogli łatwo go zniszczyć. Może nawet zabić.

Jakby czytając w jego myślach, Wright pochylił się lekko nad stołem i powiedział:

– Kyle, nie jesteśmy drużyną skautów. I jestem już zmęczony tym przekomarzaniem się. Nie jestem tu, żeby z tobą negocjować. Jestem tu po to, żeby ci dać polecenie. Albo się do niego zastosujesz, albo powiem moim ludziom, że mają cię zniszczyć.

– Gardzę tobą.

– Niech ci będzie. Wykonuję tylko moją pracę.

– Co za żałosna praca!

– Porozmawiajmy lepiej o twojej nowej pracy.

– Nie po to kończę prawo, żeby zostać szpiegiem.

– Nie nazywajmy tego szpiegowaniem, Kyle.

– A jak byś to inaczej nazwał, Bennie?

– Dostarczaniem informacji.

– Bzdura. To nic innego jak szpiegostwo.

– Jest mi obojętne, jak to sobie nazwiesz.

– Jakich informacji? – spytał Kyle.

– Gdy tylko ruszy proces, pojawi się milion różnych dokumentów. Może nawet dziesięć milionów, kto to może wiedzieć? Cała masa dokumentów i masa sekretów. Spodziewamy się, że obie firmy prawnicze oddelegują do sprawy po pięćdziesięciu prawników, z tego pewnie po dziesięciu wspólników i resztę szeregowych prawników. Będziesz zatrudniony w dziale procesowym Scully and Pershing, więc będziesz miał dostęp do różnych materiałów.

– Środki bezpieczeństwa w takich firmach są bardzo ostre.

– Wiemy. Ale nasi spece od zabezpieczeń są lepsi od ich speców. Myśmy to wszystko wymyślili.

– W to nie wątpię. Mogę spytać, o co walczą te dwie wielkie korporacje?

– O dostęp do tajemnic. O technologię.

– Wspaniale. Dzięki. A te korporacje jakoś się nazywają.

– Tak, Fortune 500[4]. W miarę rozwoju sytuacji dostarczę ci szczegółów.

– Czyli na pewien czas staniesz się częścią mojego życia.

– Będę twoim oficjalnym prowadzącym. Spędzimy z sobą dużo czasu.

– To ja rezygnuję. Proszę bardzo, weź i mnie zastrzel. Nie zamierzam szpiegować i nie zamierzam kraść. Gdy tylko opuszczę gmach Scully and Pershing z dokumentem lub dyskiem, którego nie powinienem brać do ręki, i przekażę go tobie lub komuś od ciebie, złamię prawo i pogwałcę połowę zasad etycznych zawodu. Zabiorą mi uprawnienia adwokackie i skażą.

– Tylko jeśli dasz się złapać.

– Na pewno mnie złapią.

– Nie, Kyle. Jesteśmy na to o wiele za sprytni. Już to robiliśmy. To nasza praca.

– Twoja firma specjalizuje się w wykradaniu dokumentów?

– Nazwijmy to wywiadem przemysłowym. Robimy to często i jesteśmy w tym bardzo dobrzy.

– To znajdźcie sobie kogoś innego do zaszantażowania.

– Nie. Ty jesteś do tego stworzony, Kyle. Zastanów się. Podejmiesz pracę, o jakiej zawsze marzyłeś, za nieprzyzwoicie duże pieniądze, i będziesz żył jak król w wielkim mieście. Przez kilka lat będą próbowali zatyrać cię na śmierć, ale dobrze cię za to wynagrodzą. W wieku trzydziestu lat będziesz już starszym prawnikiem z pensją czterystu tysięcy rocznie, ładnym mieszkaniem w SoHo i udziałem w domu weekendowym w Hamptons. Będziesz jeździł porsche i obracał się w kręgach znajomych, którzy będą jak ty sprytni, bogaci i prący do przodu jak burza. A potem pewnego dnia proces się skończy i my znikniemy. Sprawa w Pittsburghu ulegnie przedawnieniu, nagranie pójdzie w ostateczne zapomnienie, a tobie w wieku trzydziestu dwóch czy trzech lat zaproponują zostanie pełnoprawnym wspólnikiem w firmie Scully and Pershing, z zarobkami rzędu miliona czy dwóch rocznie. Znajdziesz się na szczycie i długa kariera będzie stała przed tobą otworem. Będziesz wiódł wspaniałe życie. I nikt nigdy się nie dowie, że przekazywałeś jakieś informacje.

Ból głowy, który od godziny nad nim wisiał, w końcu dojrzał i z całą mocą uderzył w sam środek czoła. Kyle wyciągnął się na łóżku i zaczął masować skronie. Zamknął oczy i zaczął mówić:

– Posłuchaj, Bennie, wiem, że zasady moralne i etyczne nic dla ciebie nie znaczą, ale dla mnie tak. Jak mam z sobą żyć, jeśli zdradzę zaufanie pracodawcy i jego klientów? Zaufanie to najcenniejszy skarb adwokata. Nauczyłem się tego od ojca jako nastolatek.

– Chodzi nam tylko o informacje. Nie poświęcamy dużo czasu dylematom moralnym.

– Tak też myślałem.

– Potrzebuję twojego słowa, Kyle. Musisz się zobowiązać.

– Masz może tylenol?

– Nie. Czy jesteśmy dogadani, Kyle?

– Masz cokolwiek na ból głowy?

– Nie.

– Masz spluwę?

– W marynarce.

– Daj mi ją.

Na moment zapadło milczenie. Wright nie spuszczał wzroku z chłopaka, który leżał bez ruchu i tylko jego palce lekko masowały czoło. A potem Kyle usiadł i cicho jęknął:

– Jak długo chcesz to jeszcze ciągnąć?

– Och, zostało mi jeszcze wiele pytań.

– Tego się obawiałem. Ja już więcej nie dam rady. Głowa mi pęka.

– Jak chcesz, Kyle. Twój wybór. Ale muszę znać odpowiedź. Porozumieliśmy się, jesteśmy dogadani, zawarliśmy umowę?

– A mam wybór?

– Ja go nie widzę.

– Ani ja.

– A więc?

– Jak nie mam wyboru, to nie mam wyboru.

– Doskonale. Rozsądna decyzja, Kyle.

– Och, uprzejmie dziękuję.

Wright wstał i przeciągnął się tak, jakby długi i nużący dzień pracy dobiegał wreszcie końca. Przełożył kilka kartek, wyłączył kamerę i zamknął laptop.

– Chcesz odsapnąć? – spytał.

– Tak.

– Mamy tu kilka pokoi. Jeśli chcesz, możesz się zdrzemnąć i wrócimy do sprawy jutro.

– Już jest jutro.

Wright ruszył do drzwi, Kyle podążył za nim. Znaleźli się na korytarzu i weszli do pokoju 222. Pomieszczenie, które jeszcze niedawno udawało prowizoryczne biuro FBI, nabrało znów wyglądu pokoju hotelowego za osiemdziesiąt dziewięć

dolarów za dobę. Ginyard, Plant i pozostali rzekomi agenci już dawno się zmyli, zabierając z sobą cały biurowy sztafaż: papiery, komputery, fotografie, składane stoły. Łóżko wróciło na miejsce pośrodku pokoju i zostało gładko zasłane.

– Obudzić cię za parę godzin? – spytał przyjaznym tonem Wright.

– Nie, po prostu zostaw mnie w spokoju.

– Będę po drugiej stronie korytarza.

Wright wyszedł, Kyle ściągnął kapę, zgasił światło i chwilę później już spał.

Rozdział 6

Wbrew nadziei już po paru godzinach się obudził. Wolałby spać bez końca, zwyczajnie odpłynąć w niebyt i pozwolić sobie na zapomnienie. Ocknął się w ciepłym ciemnym pokoju na twardym łóżku i przez moment nie był pewien, gdzie jest i jak tu się znalazł. Głowa wciąż go bolała, w ustach czuł suchość. Koszmar ostatniej nocy szybko powrócił i Kyle poczuł gwałtowną chęć ucieczki. Chciałby wyjść na dwór, popatrzeć na motel i wmówić sobie, że jego spotkania z Wrightem w ogóle nie było. Czuł potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, może pogadania z kimś.

Przemierzył na palcach korytarz i zszedł na dół. W holu siedziało paru akwizytorów, którzy popijając kawę, omawiali plany na zaczynający się dzień. Słońce już wzeszło i śnieg przestał padać. Powietrze na dworze było mroźne i ostre, a on łapczywie wciągał je do płuc, jakby mu brakowało tchu. Wsiadł do jeepa, uruchomił

silnik, włączył ogrzewanie i odczekał, aż nadmuch roztopi szron na szybie.

Szok wczorajszej nocy mijał, ale zastępowała go jeszcze gorsza dzienna rzeczywistość.

Sprawdził wiadomości w telefonie. Jego dziewczyna dzwoniła sześć razy, współlokator trzy. Oboje się martwili, co się z nim dzieje. O dziewiątej miał zajęcia, czekało też mnóstwo pracy w redakcji „Yale Law Journal”. Ale ani dziewczyna, ani współlokator, ani zajęcia czy praca nie wzbudziły w nim żywszej reakcji. Wyjechał z parkingu Holiday Inn i ruszył jedynką na wschód, zostawiając za sobą New Haven. Natknął się na pracujący pług śnieżny i z radością zaczął się wlec pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Za nim ustawiła się kolejka samochodów i wtedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że ktoś go może śledzić. Zaczął niespokojnie zerkać w lusterko wsteczne.

W Guilford zatrzymał się pod jakimś sklepem i wreszcie zdobył tylenol. Popił tabletki sokiem i już miał zawrócić w stronę New Haven, gdy po drugiej stronie jezdni dostrzegł przydrożny bar. Od wczorajszego lunchu nic nie jadł i nagle poczuł ostry głód; niemal czuł w powietrzu zapach smażonego bekonu.

Bar był pełen miłośników porannej smażeniny. Kyle znalazł wolne miejsce przy bufecie i zamówił jajecznicę, bekon, podsmażane ziemniaki, tosty, kawę i sok pomarańczowy. Jadł w milczeniu, wsłuchując się w wybuchy śmiechu i miejscowe plotki. Ból głowy szybko mijał i Kyle zaczął obmyślać plan na resztę dnia. Dociekliwość dziewczyny mogła być problemem. Nie odezwał się do niej od dwunastu godzin, noc spędził poza domem. Dla kogoś tak zorganizowanego jak on takie zachowanie mocno odbiegało od normy. A przecież nie mógł jej powiedzieć prawdy. W ogóle mówienie prawdy szybko stawało się pojęciem z przeszłości. Teraźniejszość i przyszłość będą polegać na kłamaniu, kręceniu, okradaniu, szpiegowaniu i znów kłamaniu.

Olivia była studentką pierwszego roku prawa w Yale, Kalifornijką i absolwentką UCLA[5], zdolną i ambitną dziewczyną, której nie zależało na poważnym związku. Spotykali się od czterech miesięcy, a ich znajomość była bardziej przyjaźnią niż romansem. Ale i tak z przykrością myślał, że będzie musiał coś nazmyślać na temat nocy, która po prostu wypadła z jego życiorysu.

Poczuł czyjąś bliskość za plecami, w zasięgu wzroku pojawiła się ręka trzymająca białą

wizytówkę. Kyle odwrócił głowę i znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną, którego w innym życiu poznał jako agenta specjalnego Ginyarda, a który teraz był ubrany w sportową marynarkę z wielbłądziej wełny i dżinsy.

– Pan Wright chce cię widzieć dziś o trzeciej po zajęciach, w tym samym miejscu – rzucił i zniknął, nim Kyle zdążył coś powiedzieć.

Zostawiona wizytówka okazała się czystym kartonikiem bez nadruku, na którym ktoś odręcznie napisał: „Dziś o 15.00, pokój 225 w Holiday Inn”. Chłopak przyglądał się jej przez dłuższą chwilę w milczeniu, szybko tracąc apetyt na resztę jedzenia na talerzu.

To tak ma teraz wyglądać moje życie? Ktoś będzie mnie stale pilnował, krył się w mroku, obserwował, łaził krok w krok i podsłuchiwał jak pieprzony stalker?

Przy drzwiach stał tłumek czekający na wolne miejsca. Kelnerka wsunęła Kyle’owi rachunek pod kubek z kawą i obdarzyła przelotnym uśmieszkiem, za którym kryło się napomnienie: „Twój czas się skończył”. Zapłacił przy kasie, wyszedł i celowo zrezygnował z rozglądania się po zaparkowanych samochodach i sprawdzania, czy w którymś nie siedzi ktoś następny. Wsiadł i zadzwonił do Olivii, która jeszcze spała.

– Nic ci się nie stało? – spytała.

– Nie, wszystko w porządku.

– O nic cię nie pytam, chcę tylko wiedzieć, czy jesteś cały i zdrowy.

– Jestem cały i zdrowy. Wszystko w porządku i przepraszam.

– Nie musisz.

– Ale przepraszam. Powinienem był zadzwonić.

– Nie chcę nic wiedzieć.

– Właśnie, że chcesz. Przyjmujesz moje przeprosiny?

– Nie wiem.

– Tak już lepiej. Bo myślę, że masz prawo być na mnie zła.

– Nie zaczynaj.

– Spotkamy się na lunchu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Jestem zajęta.

– Ale lunch i tak musisz zjeść.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Guilford.

– A gdzie to mniej więcej jest?

– Kawałek na wschód od New Haven. Mają tu świetną śniadaniową knajpkę. Kiedyś cię tu przywiozę.

– Już nie mogę się doczekać.

– Spotkajmy się w południe w The Grill. Proszę.

– Zastanowię się.

Ruszył w drogę powrotną do New Haven, starając się nie zerkać co kilometr w lusterko wsteczne. Po cichu wślizgnął się do mieszkania i wziął prysznic. Gdy jego współlokator Mitch, który potrafiłby przespać trzęsienie ziemi, zwlókł się w końcu z łóżka, Kyle siedział już przy kuchennym blacie, sącząc kawę i czytając wiadomości na ekranie laptopa. Mitch rzucił kilka obojętnych pytań o wczorajszą noc, Kyle za pomocą kilku zręcznych niedomówień dał mu do zrozumienia, że poznał zupełnie nową dziewczynę i znajomość z nią potoczyła się jak burza. Mitch pokiwał głową i wrócił do łóżka.

Od początku znajomości przyrzekli sobie absolutną wierność i gdy Olivia ostatecznie uwierzyła, że Kyle naprawdę jej nie zdradził, atmosfera przy stole uległa pewnemu ociepleniu. Opowieść, którą obmyślał od paru godzin, wyglądała następująco: Jak jej wiadomo, od pewnego czasu bił się z myślami, czy podjąć pracę w sektorze publicznym, czy od razu

skorzystać z oferty wielkiej firmy prawniczej. Ale skoro nie zamierzał robić kariery w tym sektorze, to właściwie po co zawracać sobie głowę? Wiadomo było, że prędzej czy później podejmie pracę w Nowym Jorku, więc bez sensu tracić czas. I tak dalej, i tak dalej. Wczoraj wieczorem, tuż po meczu koszykówki, uznał, że pora podjąć ostateczną decyzję. Wyłączył telefon i ruszył na długą przejażdżkę, z jakiegoś powodu kierując się na wschód jedynką. Minął New London i dojechał aż do Rhode Island, zupełnie tracąc poczucie czasu. Po północy śnieg zaczął gęściej sypać, zatrzymał się więc w jakimś tanim motelu i przespał kilka godzin.

W końcu się zdecydował i postanowił podjąć pracę w firmie Scully & Pershing w Nowym Jorku.

Opowieść ciągnęła się przez cały lunch w The Grill, Olivia słuchała z niedowierzaniem, ale mu nie przerywała. Wyglądało na to, że wierzy w wydarzenia ubiegłej nocy, ale nie w jego nagłą zmianę planów życiowych.

– Chyba żartujesz – parsknęła, gdy dotarł do końca.

– To nie była łatwa decyzja – przyznał, od razu przechodząc do defensywy. Czuł, że nie będzie łatwo.

– Ty, uosobienie prawnika pro bono, zwolennik pomocy prawnej na użytek publiczny?

– Wiem, wiem. Czuję się trochę jak zaprzaniec.

– Bo to jest zaprzaństwo. Chcesz się sprzedać jak pierwszy lepszy studenciak trzeciego roku prawa.

– Mów trochę ciszej, proszę – syknął, rozglądając się na boki. – Nie róbmy sceny.

Spuściła nieco z tonu, ale nie opuściła brwi.

– Powtarzałeś setki razy, Kyle. Wszyscy idziemy na prawo pełni najlepszych chęci i szczytnych idei czynienia dobra, pomocy innym, walki z niesprawiedliwością, tylko że po drodze gdzieś to gubimy i dajemy się kupić. Pozwalamy się uwieść wielkim pieniądzom i zostajemy korporacyjnymi dziwkami. To twoje słowa, Kyle.

– Rzeczywiście brzmią znajomo.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Oboje przełknęli po parę kęsów, ale jedzenie przestało mieć znaczenie.

– Mamy trzydzieści lat na zbijanie majątku – powiedziała. – Dlaczego nie możemy poświęcić paru lat na pomoc innym?

Kyle został przyparty do rogu ringu i krwawił.

– Wiem, wiem – mruknął. – Ale liczy się też odpowiedni moment. Nie jestem pewien, czy Scully and Pershing byliby skłonni na mnie czekać. – Kolejne kłamstwo, ale co zrobić. Jak się raz zacznie, to potem trudno przestać i kłamstwa same się mnożą.

– Kyle, nie chrzań! Dadzą ci pracę w każdej firmie w kraju, teraz czy za pięć lat.

– Nie byłbym taki pewny. Rynek pracy się kurczy. W niektórych wielkich firmach szykują się zwolnienia.

Odsunęła talerz, skrzyżowała ręce na piersi i wolno pokręciła głową.

– Po prostu nie wierzę – rzuciła.

I w tej chwili Kyle też w to nie wierzył, musiał jednak ugruntować w niej przekonanie – na dziś i jeszcze bardziej na przyszłość – że skrupulatnie rozważył wszystkie „za” i „przeciw” i doszedł do takiego wniosku. Innymi słowy, musiał umieć jej to sprzedać. Olivia była jego pierwszym testem, następnym będą koledzy z wydziału, potem ulubieni profesorowie. Kiedy poćwiczy trochę argumenty i wygładzi wszystkie chropowatości swoich kłamstw, zdobędzie się na odwagę i powiadomi o tym ojca. Czuł, że dojdzie do głośnej awantury. John McAvoy był

zdecydowanym przeciwnikiem pracy syna w korporacji na Wall Street.

Ale wysiłki Kyle'a nie zrobiły na Olivii wrażenia. Przez jakiś czas przerzucali się jeszcze argumentami, po czym machnęli ręką na lunch i rozeszli się każde w swoją stronę. Obyło się bez pożegnalnego cmoknięcia w policzek, uścisków i obietnic, że do siebie zadzwonią. Godzinę posiedział w redakcji, po czym niechętnie wsiadł do samochodu i pojechał do Holiday Inn.

Pokój zmienił nieco wygląd. Zniknęła kamera i laptop i nigdzie nie było widać żadnej elektroniki, choć Kyle nie miał wątpliwości, że każde jego słowo jest w ten czy inny sposób rejestrowane. Centralnym meblem pozostawał składany stół, tyle że wraz z dwoma krzesłami przesunięto go bliżej okien. Pokój nawiązywał wyglądem do surowego wystroju sali przesłuchań w podziemiach jakiegoś komisariatu policji.

Ból głowy powrócił.

Kyle rzucił na stół zostawioną przez Ginyarda wizytówkę i zaczął od pretensji.

– Powiedz temu sukinsynowi, żeby przestał za mną łazić.

– Chcemy tylko wiedzieć, co się z tobą dzieje, nic więcej.

– Bennie, nie zgadzam się, żeby mnie śledzono, rozumiesz?

Po twarzy Benniego przemknął wyrozumiały uśmieszek.

– Zrywam umowę, Bennie. Nie zamierzam żyć ze świadomością, że paru palantów obserwuje każdy mój ruch. Nie zgadzam się na podglądanie, nie zgadzam się na podsłuchy, nie zgadzam się na przechwytywanie maili, słyszysz? Nie zamierzam chodzić ulicami Nowego Jorku i cały czas się zastanawiać, kto mnie śledzi. Nie zamierzam rozmawiać przez telefon, wiedząc, że jakiś dureń słucha każdego mojego słowa. Już wystarczająco zrujnowałeś mi życie, więc przynajmniej zostaw mi odrobinę prywatności.

– Nie zamierzamy…

– To kłamstwo, i dobrze o tym wiesz. Oto nasza nowa umowa, Bennie. Umawiamy się, że ty i twoi ludzie nie wtrącacie się do mojego życia. Nie podsłuchujecie, nie śledzicie, nie chowacie się w cieniu, nie nękacie mnie zabawą w kotka i myszkę. Zrobię to, czego ode mnie oczekujecie, cokolwiek to jest, ale musicie zostawić mnie w spokoju.

– A jak nie?

– Och, a jak nie... Jak nie, to zaryzykuję stawienie czoła Elaine i jej zmyślonemu gwałtowi. Posłuchaj, Bennie, jeśli moje życie i tak legnie w gruzach, to co za różnica? To już wolę sam sobie wybrać truciznę. Po jednej stronie jest Elaine, po drugiej twoje pachołki.

Bennie wolno wypuścił powietrze i odchrząknął.

– Tak, Kyle, ale musimy mieć cię na oku. Na tym polega nasza praca. W ten sposób działamy.

– To tylko ordynarny szantaż, nic więcej.

– Kyle, Kyle, nie zaczynaj od nowa. To nie przesuwa piłki po boisku ani o centymetr.

– Czy możemy dać już spokój z tą piłką? Zrobiło się to męczące.

– Nie możesz nam tak po prostu zniknąć z oczu w Nowym Jorku.

– To mój nieodwołalny warunek. Nikt nie będzie mnie nękał, obserwował ani śledził. Czy rozumiesz, co mówię?

– Możemy mieć z tym problem.

– Już mamy z tym problem. Czego jeszcze chcesz? Wiesz, gdzie mieszkam i gdzie będę pracował. Przez najbliższe pięć lat będzie to praktycznie jedno i to samo miejsce. Będę spędzał w kancelarii po osiemnaście godzin na

dobę, może więcej. Więc skąd ta potrzeba trzymania mnie na krótkiej smyczy?

– Istnieją pewne procedury, do których musimy się stosować.

– To zmieńcie procedury. Bo ja nie ustąpię. – Kyle zerwał się z krzesła i ruszył do drzwi. – Na kiedy się umawiamy?

– A ty dokąd? – warknął Bennie, też wstając.

– Nie twoja sprawa i nie próbuj za mną iść. – Kyle położył rękę na klamce.

– Dobra, dobra, posłuchaj: możemy w tej sprawie zachować pewną elastyczność. Rozumiem twój punkt widzenia.

– Gdzie i kiedy?

– Teraz.

– Nie. Mam swoje sprawy i nie życzę sobie szpiegowania.

– Ale mamy jeszcze dużo spraw do omówienia.

– Kiedy?

– Dziś o szóstej?

– Przyjdę o ósmej i będę miał tylko godzinę. A jutro w ogóle mnie tu nie będzie.

Rozdział 7

Na dworcu w New Haven Kyle wsiadł do pociągu o 7.22 na Grand Central. Miał na sobie elegantszy z dwóch posiadanych garniturów, gładką białą koszulę, nijaki krawat i czarne półbuty z dziurkowanymi czubkami, w ręku elegancką skórzaną aktówkę, prezent od ojca na ubiegłoroczną Gwiazdkę, pod pachą trzymał poranne wydania „New York Timesa” i „Wall Street Journal”. Wyglądem nie odróżniał się od niedospanych przedstawicieli kadry kierowniczej, którzy co rano dojeżdżali do pracy w mieście.

Zapatrzył się w pędzący za oknem krajobraz i zapomniawszy o czytaniu, pogrążył w myślach. Ciekawe, czy też kiedyś zamieszka pod miastem i będzie spędzał w pociągu po trzy godziny dziennie po to, by jego dzieci mogły chodzić do ekskluzywnych szkół i rozbijać się rowerami po zasłanych liśćmi ulicach. Dla dwudziestopięciolatka nie brzmiało to zbyt

zachęcająco. A do tego jego przyszłość dodatkowo się skomplikowała i przedstawiała się jeszcze bardziej zniechęcająco. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się uniknąć postawienia w stan oskarżenia albo usunięcia z palestry, albo i tego, i tego. Praca w wielkich firmach była sama w sobie dostatecznie wymagająca, a on dodatkowo stanie przed piekielnie trudnym zadaniem przetrwania pierwszych lat, podczas których będzie musiał wykradać poufne informacje, modląc się w duchu, by go na tym nie przyłapano.

Więc może codzienne dojeżdżanie do pracy nie było aż tak złe.

Po trzech dniach wielogodzinnego maglowania, poniewierania nim i straszenia go Bennie Wright w końcu wyjechał z miasta. Rozpłynął się w mroku, ale Kyle nie miał wątpliwości, że wkrótce znów się objawi. Zdążył już znienawidzić brzmienie jego głosu, rysy twarzy i maniery, jego nieruchome owłosione ręce i przylizane włosy, jego arogancję i bezczelność. Właściwie nienawidził wszystkiego, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Benniem Wrightem, jego ludźmi i firmą, czy jak tam się nazywało to, czym kierował. W ciągu minionego tygodnia Kyle wielokrotnie w nocy

zmieniał zdanie i postanawiał, że ich wszystkich pośle do diabła.

Zaraz jednak wyobrażał sobie ręce skute kajdankami, widział siebie w gazetach, miny rodziców i – co było najgorsze ze wszystkiego – bał się spojrzeć na twarze przysięgłych, podczas gdy na oczach oniemiałej publiczności w sali sądowej na ekranie leciało to nagranie.

„Jest przytomna?” – pyta Joey Bernardo Baxtera Tate’a, podczas gdy ten figluje z Elaine na kanapie.

„Jest przytomna?” – powtarza za nim cała sala.

Pejzaż wiejski ustąpił miejsca przedmieściom, potem pociąg wjechał w tunel, w którymś momencie przejechał głęboko pod East River i wynurzył się na Manhattanie. Kyle wysiadł na Grand Central i na rogu Lex i Czterdziestej Czwartej złapał taksówkę, ani razu się nie oglądając.

Firma Scully & Pershing zajmowała górne piętra w gmachu zwanym Broad 110 – smukłym, obłożonym szkłem wieżowcu o czterdziestu czterech kondygnacjach, w samym sercu dzielnicy finansowej. Podczas ostatnich wakacji Kyle spędził w nim jako praktykant dziesięć tygodni, podczas których uwodzono go w sposób

typowy dla wielkich firm. Były długie lunche i wyskakiwanie do pobliskich barów, wspólne oglądanie meczów Yankees i niezbyt uciążliwe obowiązki. Do pracy podchodzono z przymrużeniem oka i wszyscy o tym wiedzieli. Jeśli wabienie praktykanta jadłem i napitkiem osiągało zamierzony cel – a niemal zawsze tak było – adept po zrobieniu dyplomu podejmował pracę na stanowisku szeregowego prawnika i jego życie osobiste praktycznie się kończyło.

Dochodziła dziesiąta i winda była pusta, bo pracownicy już od paru godzin ślęczeli przy biurkach. Wjechał na dwudzieste dziewiąte piętro, gdzie mieściła się główna recepcja firmy, i przez chwilę podziwiał ogromny napis z brązu, który informował gości, że wkraczają na święty teren Scully & Pershing, największej firmy prawniczej świata, zatrudniającej dwa tysiące stu prawników. Pierwszej i jak dotąd jedynej na świecie, która mogła się pochwalić liczbą ponad dwóch tysięcy etatowych prawników, a także większą liczbą klientów z listy Fortune 500 niż jakakolwiek kancelaria adwokacka w historii amerykańskiego prawa. Firma miała oddziały w dziesięciu miastach na terenie Stanów Zjednoczonych i w dwudziestu poza ich granicami. Jej renoma opierała się na stu

trzydziestu latach hołdowania konserwatywnym standardom, co w tej branży jest najsilniejszym magnesem dla klientów, bo oznacza potęgę, pieniądze i prestiż.

Kyle już się czuł jak intruz.

Ściany obwieszono abstrakcyjnymi malowidłami, meble były nowoczesne i wystawne. Autorem wystroju wnętrza był jakiś słynny azjatycki projektant i na jednym ze stołów leżała broszura, w której opisano to ze szczegółami. Jakby ktoś miał czas czytać i zachwycać się zastosowanymi technikami dekoratorskimi. Prześliczna drobna recepcjonistka na niebywale wysokich szpilkach zapisała jego nazwisko i poprosiła, by zechciał zaczekać. Kyle stanął plecami do wnętrza i zaczął studiować tak dziwaczne obrazy, że zupełnie nie umiałby powiedzieć, na co patrzy. Po paru minutach błądzenia wzrokiem po ścianach usłyszał głos recepcjonistki.

– Pan Peckham już na pana czeka. Dwa piętra wyżej.

Kyle postanowił pójść schodami.

Jak większość firm prawniczych na Manhattanie, Scully & Pershing wydawała masę pieniędzy na windy oraz wystrój recepcji i sal konferencyjnych, czyli tych miejsc, do których

przychodzący z miasta klient miał dostęp. W trzewiach firmy, gdzie kręcili się szeregowi pracownicy, obowiązywała surowa prostota. Ściany korytarzy były obstawione szafkami na dokumenty, sekretarki i maszynistki, same kobiety, pracowały w ciasnych boksach, gońcy i cała reszta personelu pomocniczego byli cały czas na nogach, bo powierzchnia biurowa w Nowym Jorku jest zbyt droga, by można było przydzielić im jakiś kąt. Starszym pracownikom i młodszym wspólnikom przysługiwały nieduże pokoje na obwodzie budynku, z których okien roztaczał się widok na sąsiednie wieżowce.

Młodzi prawnicy tłoczyli się po kilku w pomieszczeniach bez okien, podzielonych na ciasne boksy, tak zlokalizowane, że nikt postronny do nich nie zaglądał. Okropne warunki pracy, nieludzkie godziny, wyżywający się szefowie, wieczny stres – tak wyglądało zatrudnienie w szacownych firmach prawniczych i Kyle już na pierwszym roku w Yale słuchał koszmarnych opowieści na ten temat. Firma Scully & Pershing nie była pod tym względem lepsza ani zapewne gorsza od innych liderów branży prawniczej, wabiących najzdolniejszych studentów po to, by ich następnie bez litości wykorzystywać.

Narożne gabinety na poszczególnych piętrach zajmowali prawdziwi wspólnicy firmy i ci mieli coś do powiedzenia w kwestii wystroju swych miejsc pracy. Jednym z nich był Doug Peckham, czterdziestojednoletni wspólnik z działu procesowego, absolwent Yale i opiekun Kyle'a podczas jego letniej praktyki. Dużo wtedy z sobą przebywali i nawet się zaprzyjaźnili.

Parę minut po dziesiątej drzwi się otworzyły, z gabinetu wyszło dwóch pracowników i Kyle'a poproszono do środka. Spotkanie widać nie poszło dobrze, bo wychodzący mieli bardzo kwaśne miny, Peckham starał się jednak zachować dobry nastrój.

Podali sobie ręce i wymienili się uprzejmościami, jak przystało na kolegów z dobrego starego Yale. Kyle wiedział, że co najmniej dziesięciogodzinny dzień pracy Peckhama kosztuje jego klientów osiemset dolarów za godzinę, można więc było uznać, że czas poświęcany Kyle'owi jest wart całkiem sporo.

– Nie jestem do końca pewny, czy chcę poświęcić kilka lat życia na doradztwo prawne – zaczął Kyle, gdy zasiedli po obu stronach biurka.

– I wcale mnie to nie dziwi – rzucił Peckham bez zastanowienia. – Masz na to zbyt wielki

potencjał w prawdziwym świecie. Twoja przyszłość jest tu. – Rozłożył ramiona, jakby obejmował nimi potężne imperium. Jego gabinet, choć dość ładny i duży, na pewno nie był królestwem.

– Najchętniej podjąłbym pracę w dziale procesowym.

– Nie widzę problemu. Twoja praktyka u nas przebiegła doskonale. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem i sam bym ci to chciał zaproponować. Bo jak wiesz, prawo procesowe nie jest dla każdego.

Wszyscy tak mówili. Przeciętna kariera prawnika procesowego trwała dwadzieścia pięć lat, praca była wyczerpująca, ponieważ wymagała funkcjonowania w ciągłym stresie. Peckham może miał czterdzieści jeden lat, ale bez trudu można by mu dać pięćdziesiątkę. Był całkiem siwy, oczy miał mocno podkrążone, za dużo fałd na twarzy i w talii. Prawdopodobnie od lat nie ćwiczył.

– Mój termin na podjęcie decyzji już minął – powiedział Kyle.

– Kiedy?

– Tydzień temu.

– Nie ma problemu. Daj spokój, Kyle. Redaktora naczelnego „Yale Law Journal”

z chęcią potraktujemy ulgowo. Pogadam z Woodym w kadrach i załatwię sprawę. Nasza tegoroczna rekrutacja przebiegła świetnie. Dołączysz do najlepszej od lat grupy adeptów.

To samo mówiono o każdej grupie adeptów w każdej wielkiej firmie.

– Dzięki. I chciałbym rozpocząć pracę od praktyki w zespole procesowym.

– Nie ma sprawy, Kyle. Załatwione. – Peckham zerknął na zegarek, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Telefon na jego biurku zaczął dzwonić, zza drzwi dobiegł szmer głosów. Podali sobie ręce, powiedzieli „do widzenia” i Kyle dokładnie w tym momencie uznał, że nie chce zostać drugim Dougiem Peckhamem. Tyle że nie wiedział, kim i czym zostanie, bo tak naprawdę nie był pewien, czy jego jedyną opcją nie będzie adwokat karnie pozbawiony uprawnień. Ale na pewno nie zamierzał zaprzedawać duszy za szansę zostania wspólnikiem.

Pod drzwiami stało kilka osób. Elegancko ubrani młodzi mężczyźni, niewiele starsi od Kyle’a, pewni swego, ale jednocześnie spięci i czujni. Wkroczyli do jaskini lwa i zamknęli za sobą drzwi, jednak do uszu Kyle’a i tak dobiegł podniesiony głos Douga. Co za życie! A był to

przecież dzień jak co dzień w dziale procesowym. Prawdziwe nerwy zaczynały się dopiero na sali sądowej.

W windzie Kyle uświadomił sobie absurdalność swego zadania. Opuszczając biura Scully & Pershing i wsiadając wraz z setkami innych pracowników do jednej z wind, będzie musiał przemycać ukryte gdzieś na sobie lub przy sobie ściśle tajne informacje, nienależące do niego, lecz do firmy, a właściwie do jej klienta. A potem przekaże je Benniemu z włochatymi rękami, czy jak się tam naprawdę nazywa, a ten je wykorzysta przeciwko firmie i jej klientowi.

Kogo ja właściwie oszukuję? – pomyślał w duchu Kyle. Windą poza nim jechały jeszcze cztery osoby, i poczuł, jak pot zrasza mu brwi.

A więc do tego sprowadzi się moje życie, pomyślał. Albo więzienie za gwałt w Pensylwanii, albo więzienie w Nowym Jorku za kradzież tajemnic. I nie ma trzeciej drogi? Cztery lata w college'u i trzy lata prawa na Yale. Siedem pełnych sukcesów lat nauki i świat stojący otworem. I wszystko po to, by zostać wysokopłatnym szpiegiem?

Nie miał nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać.

Chciał uciec. Uciec z tej windy, z budynku, z miasta. Wydostać się z matni, w której się znalazł. Zamknął oczy i zaczął dumać.

W Pensylwanii mieli na niego haka, w Nowym Jorku nie mieli nic, ale był pewien, że go przyskrzynią. Nie popełnił jeszcze żadnego wykroczenia, a już był pewien, że wpadnie.

Dwie przecznice dalej natknął się na kawiarnię. Wszedł, usiadł na wysokim stołku przy oknie i zapatrzył się tępo w wieżowiec przy Broad 110. Gmach, który wkrótce stanie się jego domem lub więzieniem. Znał na pamięć dane statystyczne. Scully & Pershing zatrudni stu pięćdziesięciu nowych prawników na całym świecie, z czego stu w samym Nowym Jorku. Wszyscy dostaną dobre pensje, które w przeliczeniu dadzą sto dolarów za godzinę ich pracy. Firma obciąży za to swych bogatych klientów, licząc wielokrotnie wyższe stawki. Jak wszyscy nowicjusze na Wall Street, Kyle będzie miał obowiązek zafakturować minimum dwa tysiące godzin rocznie, jednak dla jego dobra powinno być ich znacznie więcej, bo inaczej się nie przebije i szefowie nie zwrócą na niego uwagi. Stugodzinne tygodnie pracy nie będą należały do rzadkości. Po dwóch latach harówy młody narybek zacznie się wykruszać i szukać

rozsądniejszego zatrudnienia. Po czterech latach połowy z nich już nie będzie. Z jego grupy nowo przyjętych wytrwa nie więcej niż dziesięć procent. Ci będą piąć się coraz wyżej i po siedmiu lub ośmiu latach dochrapią się partnerstwa w firmie. Jeśli któryś z nich nie znajdzie uznania w oczach wspólników i mimo przetrwania zostanie uznany za nieodpowiedni materiał na partnera, firma znajdzie sposób, aby się go pozbyć.

Codzienna harówka stawała się tak ciężka, że od pewnego czasu firmy próbowały kryć się za hasłem „dbałości o jakość życia" swego personelu. Młodym prawnikom obiecywano niższe normy godzin do zafakturowania, dłuższe urlopy i temu podobne, najczęściej jednak było to tylko mydlenie oczu. Obowiązujący w wielkich firmach pracoholizm powodował, że adeptom narzucano niemal takie same normy fakturowania co najbardziej doświadczonym wspólnikom, a obietnice składane przy lunchu przez firmowego headhuntera przestawały się liczyć.

Zarobki rzeczywiście były świetne. Na początek płacono co najmniej dwieście tysięcy dolarów rocznie, po pięciu latach starsi prawnicy zarabiali już dwa razy więcej, po siedmiu

awansowali na młodszych wspólników i ponownie podwajali zarobki. Trzydziestopięcioletni pełnoprawny wspólnik mógł liczyć na roczny przychód znacznie przekraczający milion dolarów, a także na dalsze znaczące podwyżki w przyszłości.

Liczby, liczby. Kyle miał dość liczb. Marzyło mu się mieszkanie w górach Blue Ridge, trzydzieści dwa tysiące rocznie z kasy jakiejś organizacji typu non profit i spokojna praca, bez wiecznego stresu i borykania się z problemami wynikającymi z mieszkania w wielkim mieście. Marzyła mu się wolność.

Zamiast tego czekało go następne spotkanie z Benniem Wrightem. Taksówka zatrzymała się przed wejściem do Millenium Hilton przy Church Street. Kyle zapłacił kierowcy, skinął głową portierowi, przejechał windą cztery piętra i wszedł do pokoju, w którym czekał jego prześladowca. Bennie zapraszającym gestem wskazał stół z misą jasnozielonych jabłek, ale Kyle pokręcił głową. Nie usiadł i nie zdjął marynarki.

– Oferta wciąż ważna – rzucił. – Zaczynam we wrześniu, razem z resztą nowych.

– To dobrze. Nie dziwi mnie to. Zaczniesz w dziale procesowym?

– Peckham tak powiedział.

Bennie dysponował teczką personalną Douga Peckhama, podobnie zresztą jak teczkami pozostałych prawników z działu procesowego, a także wielu prawników z innych działów firmy.

– Ale pewności nie mam – dodał Kyle.

– Możesz się postarać.

– Zobaczymy.

– Myślałeś o mieszkaniu na Manhattanie?

– Jeszcze nie.

– No cóż, wyręczyliśmy cię i trochę się rozejrzeliśmy.

– To zabawne, bo nie przypominam sobie, bym prosił cię o pomoc.

– I znaleźliśmy ci dwa wymarzone miejsca.

– Wymarzone dla kogo?

– Dla ciebie, oczywiście. Oba znajdują się w Tribeca, całkiem niedaleko biura.

– Skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle jestem skłonny rozważać zamieszkanie w miejscu wskazanym przez was?

– Zapłacimy za ciebie czynsz, a to dość kosztowne lokale.

– A, rozumiem. Znajdziecie mi mieszkanie i zapłacicie czynsz, więc nie będzie mi potrzebny współlokator. O to chodzi, Bennie? Jeden mniej do pilnowania, tak? Będziecie mogli jeszcze

bardziej mnie odizolować. A płacenie za mnie czynszu będzie znaczyło, że jesteśmy finansowo zrośnięci biodrami. Ty za mnie płacisz, ja ci za to dostarczam tajemnice. Po prostu zwykła biznesowa umowa, czy tak, Bennie?

– Znalezienie odpowiedniego lokum w tym mieście to prawdziwy koszmar. Ja tylko staram się pomóc.

– Serdeczne dzięki. Nie wątpię, że oba mieszkania można łatwo obserwować, może nawet założyć w nich podsłuch lub kamery albo kontrolować w jakiś inny sposób, o którym nawet nie słyszałem. Sprytne, Bennie.

– Czynsz wynosi pięć tysięcy dolców za miesiąc.

– Zatrzymajcie je sobie. Nie dam się kupić. Możecie mnie szantażować, ale nie kupić.

– Gdzie zamierzasz mieszkać?

– Coś sobie znajdę. I zrobię to bez waszej pomocy.

– Jak chcesz.

– Otóż to. O czym jeszcze chcesz rozmawiać?

Bennie podszedł do stołu i zajrzał do notatnika, jakby nie pamiętał, co sam w nim zapisał.

– Leczyłeś się kiedyś u psychiatry? – zapytał.

– Nie.

– A u psychologa?

– Nie.

– A chodziłeś do jakiejś poradni lub na terapię?

– Tak.

– Opowiedz mi o tym coś więcej.

– To nie było nic ważnego.

– Więc porozmawiajmy o tym „nic”. Co się stało?

Kyle oparł się o ścianę i założył ręce na piersiach. Nie miał wątpliwości, że Bennie wie większość z tego, co mu może powiedzieć. Znał aż za dużo szczegółów z jego życia.

– Po tym incydencie z Elaine i po zamknięciu śledztwa policyjnego poszedłem do studenckiej poradni zdrowia psychicznego, a oni skierowali mnie do doktora Thorpa, specjalisty od uzależnień narkotykowych i alkoholowych. Doktor trochę mnie przeczołgał i zmusił do uważnego spojrzenia w lustro. Przekonał mnie, że moje picie może się wymknąć spod kontroli.

– Byłeś alkoholikiem?

– Nie, doktor Thorp tak nie uważał. Ja na pewno też nie. Ale uznał, że za dużo piję, co głównie przybierało formę okazjonalnego upijania się w trupa. Czasem popalałem też trawkę.

– Wytrzeźwiałeś?

– Przestałem pić. Dorosłem, znalazłem innych współlokatorów i już mnie nie kusi. Za porannymi kacami też nie tęsknię.

– Nie pijesz nawet piwa od czasu do czasu?

– Nie. W ogóle nie przychodzi mi to do głowy.

Bennie jakby z satysfakcją pokiwał głową.

– A co z dziewczyną?

– Co mianowicie?

– Na ile poważny jest wasz związek?

– Nie bardzo rozumiem, czemu miałoby cię to obchodzić. Mógłbyś mi to wyjaśnić?

– Twoje życie wystarczająco się skomplikuje bez wdawania się w romanse. Poważny związek mógłby rodzić problemy. Byłoby najlepiej, gdybyś na parę lat mógł się powstrzymać.

Kyle'a tak to zdumiało, że aż parsknął śmiechem. Pokręcił głową i zamyślił się nad odpowiednio uszczypliwą ripostą, jednak nic mu nie przyszło do głowy. A co gorsza, musiał przyznać rozmówcy rację. Ale znajomość z Olivią nie groziła szybkim przerodzeniem się w coś poważniejszego.

– I co jeszcze, Bennie? Wolno mi mieć znajomych? Będę mógł czasem odwiedzić rodziców?

– Nie będziesz miał na to czasu.

Kyle bez słowa podszedł do drzwi, otworzył je i z hukiem zatrzasnął za sobą.

Rozdział 8

Na parterze wydziału prawa Yale mieści się studencka sala klubowa, która od strony korytarza jest obwieszona ogłoszeniami informującymi o praktykach i pracy w instytucjach pożytku publicznego. Namawia się w nich studentów do poświęcenia kilku lat na pomaganie dręczonym kobietom, zaniedbywanym dzieciom, skazańcom w celach śmierci, imigrantom, nastoletnim uciekinierom, przestępcom, bezdomnym, azylantom, uchodźcom płynącym łodziami z Haiti, Amerykanom w zagranicznych więzieniach i obcokrajowcom w amerykańskich, ofiarom Pierwszej Poprawki, niesłusznie skazanym, obrońcom przyrody i środowiska, i tak dalej, i tak dalej.

Wiara w sens służby publicznej jest w Yale głęboko zakorzeniona i o przyjęciu na studia często decyduje aktywność kandydata na tym polu, a także jego, czy jej, pisemna deklaracja

o wykorzystaniu uzyskanego dyplomu dla pożytku publicznego. Studentom pierwszego roku wpaja się zalety praktykowania prawa w sektorze publicznym oraz wyraźnie daje do zrozumienia, że powinni jak najszybciej podjąć tego typu działalność.

I większość tak robi. Mniej więcej osiemdziesiąt procent nowo przyjętych studentów deklaruje, że w prawie najbardziej ich pociąga możliwość pomagania innym. Potem jednak – zazwyczaj w połowie drugiego roku – nastawienie to zaczyna się zmieniać. W kampusie pojawiają się headhunterzy z wielkich firm, rozpoczyna się uwodzenie i odbywa się wstępna selekcja. Studentom proponuje się letnie praktyki i atrakcyjne wynagrodzenie oraz mami ich perspektywą dziesięciu tygodni pysznej zabawy w Nowym Jorku, Waszyngtonie lub San Francisco. I co najważniejsze, macha się przed nosem kluczami do lukratywnej kariery. Na wydziale prawa Yale, tak jak na wszystkich prestiżowych uczelniach prawniczych w kraju, dochodzi do rozłamu. Wielu zauroczonych dotąd szlachetnymi marzeniami o pomaganiu skrzywdzonym przez los nagle zmienia zapatrywania i zaczyna marzyć o grze w pierwszej lidze amerykańskiego prawa.

Tylko niektórzy nie dają się uwieść idyllicznym opowieściom headhunterów i trwają przy służbie w sektorze publicznym. Rozłam zarysowuje się wyraźnie, ale przebiega w sposób cywilizowany.

Gdy redaktor „Yale Law Journal” decyduje się podjąć niskopłatną pracę w służbie publicznej, staje się idolem podobnie myślących, ale też większości studentów i wykładowców na wydziale. I gdy potem nagle ulega presji Wall Street, jego zwolennicy czują się oszukani i zaczynają krzywo na niego patrzeć.

Życie Kyle’a stawało się nieznośne. Koledzy wierzący w służbę publiczną patrzyli na niego z niedowierzaniem, a szykujący się do pracy korporacyjnej byli zbyt zajęci sobą, by się nim przejmować. Relacje z Olivią sprowadzały się do seksu raz na tydzień, i to tylko dlatego, że obojgu było to potrzebne. Olivia widziała, że się zmienił, stał się humorzasty, markotny i wiecznie zamyślony, ale jeśli coś go gryzło, nie chciał jej o tym powiedzieć.

Gdybyś ty wiedziała, myślał.

Olivia wybrała letnią praktykę w organizacji walczącej z karą śmierci w Teksasie, była tym głęboko przejęta i gotowa walczyć do upadłego o zmianę prawa. W rezultacie widywali się coraz

rzadziej, za to jakimś cudem coraz częściej się kłócili.

Jednym z ulubionych wykładowców Kyle'a był stary radykał, który większość lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku spędził na marszach za czymś lub przeciwko czemuś i który wciąż był pierwszy do organizowania protestów, kiedy miał wrażenie, że w kampusie dzieje się jakaś niesprawiedliwość. Gdy dowiedział się, że Kyle zmienił swoje podyplomowe plany, zadzwonił i zażądał wspólnego lunchu. Spotkali się w meksykańskim barze tuż za granicami kampusu i siedząc nad porcjami enchilady, przez godzinę się sprzeczali. Kyle udawał oburzenie wtrącaniem się profesora, w głębi duszy jednak wiedział, że to on nie ma racji. Profesor starał się jak mógł, ale nic nie wskórał. Żegnając się, rzucił: „Bardzo mnie zawiodłeś", czym boleśnie dotknął swojego studenta.

– Dzięki – wykrztusił tylko Kyle, po czym zwymyślał się w drodze powrotnej do kampusu. A potem z taką samą zawziętością sklął Benniego Wrighta, Elaine Keenan, firmę Scully & Pershing i całe swoje życie. Ostatnio często mamrotał i przeklinał pod nosem.

Po kilku nieprzyjemnych rozmowach z kolegami w końcu zebrał się na odwagę

i wyruszył do domu.

McAvoyowie osiedlili się pod koniec osiemnastego wieku we wschodniej Pensylwanii, dokąd przybyli wraz z falą tysięcy szkockich osadników. Przez kilka pokoleń członkowie rodu zajmowali się rolnictwem, po czym niektórzy ruszyli dalej do Wirginii, obu Karolin i nawet jeszcze dalej na południe. Inni – w tym dziadek Kyle'a, prezbiteriański pastor, który zmarł przed jego przyjściem na świat – zostali w Pensylwanii. Wielebny McAvoy kierował kilkoma kościołami na przedmieściach Filadelfii, po czym w 1960 roku został przeniesiony do Yorku. Jego jedyny syn John skończył tamtejsze liceum, następnie college i po odbyciu służby w Wietnamie i zrobieniu dyplomu z prawa na uniwersytecie wrócił do rodzinnego domu.

W 1975 roku John McAvoy rzucił źle płatną pracę prawnika gryzipiórka w małej agencji nieruchomości w Yorku i przeniósł się na drugą stronę Market Street, gdzie wynajął dwupokojowy „apartament" w zaadaptowanym szeregowcu, wywiesił szyld i ogłosił światu, że jest gotów do walki przed sądem. W agencji nieruchomości za bardzo się nudził. Jego

żywiołem były spory na sali rozpraw, dramatyczne zwroty akcji, wyroki. Życie mieszkańca Yorku było wystarczająco monotonne, a on jako były żołnierz piechoty morskiej potrzebował akcji.

Pracował sumiennie i wszystkich traktował jednakowo. Klienci mieli prawo dzwonić do niego do domu, a jeśli sytuacja tego wymagała, odbywał spotkania nawet w niedzielne popołudnia. Odwiedzał ich też w domach, szpitalach i więzieniach. Sam siebie nazywał prawnikiem ulicy i doradcą robotników – krzywdzonych, dyskryminowanych i takich, którzy narazili się prawu. Jego klientami nie były banki, firmy ubezpieczeniowe, agencje nieruchomości ani wielkie korporacje, a on nie pobierał opłat według stawki godzinowej. Co więcej, często w ogóle ich nie pobierał, a zapłatę za swe usługi przyjmował w postaci zapasu drewna na opał, wiejskich jajek i drobiu, połaci mięsa lub bezpłatnej pracy w jego domu. Biuro rozrastało się w górę i w dół, aż w końcu wykupił dom na własność. Zatrudniani u niego prawnicy przychodzili i odchodzili i żaden nie pracował dłużej niż trzy lata. Mecenas McAvoy był bardzo wymagającym pracodawcą wobec młodych prawników, jednak nieco łagodniejszym dla

sekretarek. Jedna z nich, młoda rozwódka imieniem Patty, po dwumiesięcznych podchodach wyszła za niego i szybko zaszła w ciążę.

Kancelaria prawna Johna L. McAvoya nie specjalizowała się w żadnej dziedzinie prawa. Reprezentowała płacących grosze biedaków i każdy mógł do niej wejść, czy był umówiony, czy nie, i spotkać się z Johnem, jeśli tylko ten był osiągalny. Pracownicy zajmowali się testamentami, nieruchomościami, rozwodami, wypadkami, drobnymi sprawami karnymi i setką innych przypadków, jakie trafiały do biura przy Market Street. Ruch interesantów był nieustanny, drzwi wejściowe otwierano wcześnie i zamykano późno, a i tak rzadko się zdarzało, by w recepcji nie było kolejki. Dzięki dużej liczbie interesantów i prezbiteriańskiej skłonności do oszczędności kancelaria nie tylko na siebie zarabiała, ale zapewniała rodzinie McAvoyów godziwy zysk, lokując ją w górnej warstwie klasy średniej Yorku. Gdyby John był bardziej chciwy lub bardziej wybredny – albo tylko bardziej stanowczy w egzekwowaniu należności – mógłby bez trudu podwoić zyski i wstąpić nawet do miejscowego Country Clubu, nienawidził jednak golfa i nie lubił bogatych członków miejscowej

społeczności. A co najważniejsze, praktykowanie prawa uznawał za powołanie i traktował jako misję niesienia pomocy mniej uprzywilejowanym.

W 1980 roku Patty urodziła bliźniaczki, trzy lata później urodził się Kyle i zanim poszedł do przedszkola, już buszował po ojcowskim gabinecie. Po rozwodzie rodziców sam wybrał stabilność kancelarii adwokackiej zamiast niepewności dzielonej opieki rodzicielskiej i w rezultacie codziennie po szkole wracał do swojego pokoiku nad kancelarią i zabierał się do odrabiania lekcji. Mając dziesięć lat, obsługiwał już kopiarkę, parzył kawę i utrzymywał porządek w podręcznej bibliotece, za co dostawał dolara za godzinę. W wieku piętnastu lat na tyle opanował umiejętność czytania dokumentów, że mógł sporządzać konspekty z wynikami swych prawniczych analiz. W czasie wolnym od nauki albo grał w koszykówkę, albo siedział z ojcem w kancelarii lub na sali sądowej.

Kyle uwielbiał przebywać w kancelarii. Wdawał się w rozmowy z klientami czekającymi na mecenasa McAvoya, flirtował z sekretarkami i był postrachem młodych prawników. Potrafił rozładować napiętą atmosferę jakimś żartem, zwłaszcza gdy dochodziło do scysji między

szefem a kimś z personelu. Lubił robić psikusy przyjezdnym prawnikom. Znał go każdy adwokat i każdy sędzia w Yorku i często się zdarzało, że Kyle wślizgiwał się do pustej sali sądowej, przedstawiał sędziemu jakiś wniosek, w razie potrzeby go uzasadniał i wychodził z jego podpisem. Urzędnicy sądowi traktowali go, jakby był jednym z zatrudnionych w kancelarii prawników.

Przed wyjazdem do college'u w każdy wtorek o piątej po południu czekał w kancelarii na przyjazd pana Randolpha Weeksa, który latem i wiosną przywoził owoce i jarzyny ze swego ogrodu, a jesienią i zimą wieprzowinę, drób i dziczyznę. Od co najmniej dziesięciu lat Weeks przyjeżdżał w każdy wtorek o siedemnastej, by spłacić kolejną ratę swego zadłużenia. Nikt dokładnie nie wiedział, ile ten dług wynosi i w jakim stopniu został już spłacony, ale Weeks najwyraźniej nadal uważał się za dłużnika. Wiele lat wcześniej wyjaśnił małemu Kyle'owi, że jego ojciec, wspaniały prawnik, dokonał cudu i nie dopuścił do tego, by syn pana Weeksa trafił do więzienia.

Kyle – choć był dopiero nastolatkiem – został nieoficjalnym pełnomocnikiem panny Brily, zwariowanej staruszki, z którą żadna kancelaria

adwokacka w Yorku nie chciała mieć nic wspólnego. Panna Brily kręciła się po ulicach miasteczka, ciągnąc za sobą drewnianą szafkę na kółkach z kartonami papierzysk, z których jej zdaniem jasno wynikało, że zmarły w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat ojciec (nadal się upierała, że jego śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych) był legalnym spadkobiercą ogromnych złóż węgla we wschodniej Pensylwanii. Kyle przeczytał jej całą „dokumentację" i szybko doszedł do wniosku, że staruszka jest walnięta jeszcze bardziej, niż sądzi większość tutejszych prawników. Mimo to poświęcał jej czas i cierpliwie wysłuchiwał spiskowych opowieści. W owym czasie zarabiał już cztery dolary za godzinę, ale ilość wysiłku wkładanego w sesje z panną Brily w pełni uzasadniała tę wysoką stawkę. Ojciec często też sadzał go w recepcji, by dokonywał wstępnej selekcji klientów, co do których miał obawy, że będą niepotrzebnie zawracać mu głowę.

Nie licząc typowych chłopięcych marzeń o byciu gwiazdą sportu zawodowego, Kyle od zawsze wiedział, że zostanie prawnikiem. Nie był do końca pewien, jakiej specjalności ani gdzie będzie praktykował, ale już wyjeżdżając z Yorku do Duquesne, nie był pewien, czy jeszcze kiedyś

tu wróci. John McAvoy też w to wątpił, choć – jak każdy ojciec – myślał, że chętnie zmieniłby szyld swej kancelarii na McAvoy & McAvoy. Wymagał od syna pilnej nauki i dobrych stopni, ale nawet on był nieco zaskoczony studenckimi sukcesami Kyle'a w college'u i na wydziale prawa w Yale. Kiedy więc Kyle rozpoczął rozmowy w wielkich korporacjach prawniczych, John miał w tej sprawie dużo do powiedzenia.

O swoim przyjeździe do Yorku w piątek po południu Kyle zawiadomił ojca telefonicznie i wspólnie uzgodnili, że wieczorem zjedzą razem kolację. Dotarł na miejsce o wpół do szóstej i jak zwykle zastał kancelarię pełną interesantów. W piątki większość kancelarii zamykano wcześniej, a ich pracownicy i właściciele przenosili się do barów lub do Country Clubu. John McAvoy pracował do późna, bo wielu jego klientów dostawało w piątki wypłatę i niektórzy wpadali, by wypisać czek na kolejną ratę długu lub wypytać o stan swoich spraw. Kyle'a nie było w domu od Bożego Narodzenia i kancelaria wydała mu się jeszcze bardziej zapuszczona niż zwykle. Wykładzina dywanowa domagała się wymiany na nową, regały aż się uginały pod

zwałami książek. Ojciec nie mógł się wyzwolić z papierosowego nałogu, palenie w kancelarii było więc dozwolone i pod koniec dnia pod sufitem wisiała niebieskawa mgiełka.

Na widok Kyle'a Sybil, główna sekretarka, gwałtownie rzuciła słuchawkę, zerwała się z miejsca, radośnie pisnęła i naparła na niego swym gigantycznym biustem. Wycałowali się w policzki, oboje usatysfakcjonowani taką formą powitania. Jego ojciec już dwukrotnie ją rozwiódł i wszystko wskazywało na to, że trzeci mąż podąży śladem swych poprzedników. Kyle słyszał, jak rozmawiano o tym podczas jego wizyty na święta. Firma zatrudniała obecnie trzy sekretarki i dwóch prawników i Kyle obszedł wszystkich, żeby się przywitać. Najpierw parter, potem piętro, gdzie urzędowali prawnicy. Wszyscy szykowali się już do wyjścia, pakowali aktówki i torebki i porządkowali biurka. Szef może sobie siedzieć w pracy w piątkowe wieczory, ale personel chciał już iść do domu.

Siedząc w pokoju socjalnym i popijając dietetyczny napój gazowany, Kyle wsłuchiwał się w odgłosy pustoszejącego biura. Jakże się to różniło od Nowego Jorku! Tu personel biura składał się z zaprzyjaźnionych osób, którym można było ufać. Ruch czasami przybierał na

sile, ale nigdy nie był zwariowany. Szef był przyzwoitym facetem, którego chciałoby się mieć za adwokata. Klienci mieli twarze i nazwiska. Prawnicy zatrudnieni w konkurencji byli starymi znajomymi. Tu był kompletnie inny świat, zupełnie nieporównywalny z tamtym.

Nie po raz pierwszy Kyle zadał sobie pytanie, czemu nie przyznał się ojcu do wszystkiego. Dlaczego się przed nim nie otworzył w sprawie Elaine i jej oskarżeń, gliniarzy i ich pytań. Pięć lat temu był o krok od wyjazdu do domu i poproszenia ojca o pomoc. Ale coś go powstrzymało, a potem całkiem mu przeszło i paskudny epizod z życia syna nigdy nie zmącił spokoju Johna McAvoya. Żaden z czterech uczestników balangi – Kyle, Joey Bernardo, Alan Strock i Baxter Tate – nie przyznał się wtedy rodzicom, a nim sytuacja dojrzała do tego, że musieliby to zrobić, dochodzenie straciło impet i rozeszło się po kościach.

Wiedział, że gdyby się teraz przyznał, pierwsze pytanie ojca brzmiałoby: „Czemu wcześniej mi nie powiedziałeś?”. A Kyle nie był gotów na nie odpowiedzieć. Pierwsze pytanie pociągnęłoby za sobą dalsze i skończyłoby się na regularnym przesłuchaniu przez starego wyjadacza sądowego, który od dziecka

o wszystko go wypytywał. Dużo łatwiej będzie zachować to w tajemnicy i mieć nadzieję, że jakoś z tego wybrnie.

To, co miałby ojcu do powiedzenia, i bez tego było wystarczająco trudne.

Ostatni klient wyszedł, Sybil pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi wejściowe, więc ojciec z synem mogli się wreszcie swobodnie rozsiąść w przestronnym gabinecie i pogadać o studenckiej koszykówce i hokeju na lodzie. Następnie przeszli do spraw rodzinnych i omówili jak zwykle najpierw bliźniaczki, potem Patty.

– Mama wie, że przyjechałeś? – spytał John.

– Nie, zadzwonię do niej jutro. U niej wszystko w porządku?

– Nic się nie zmieniło. Czuje się dobrze.

Patty mieszkała i malowała na strychu starego magazynu w Yorku. Było to ogromne pomieszczenie z mnóstwem okien, które zapewniały odpowiednie światło dla jej pracy. John pokrywał koszt wynajmu, wszystkie opłaty i całą resztę jej wydatków w postaci renty w wysokości trzech tysięcy dolarów miesięcznie. Nie miało to charakteru alimentów dla niej ani tym bardziej dla dzieci i było zwykłą darowizną. Przekazywanie jej uważał za swój obowiązek, bo

Patty nie była w stanie sama się utrzymać. Jeśli w ciągu ostatnich dziewiętnastu lat udało jej się sprzedać jakiś obraz czy rzeźbę, nikt w rodzinie o tym nie słyszał.

– Dzwonię do niej regularnie w każdy wtorek wieczorem – powiedział Kyle.

– Tak, wiem.

Patty nie uznawała komputerów ani telefonów komórkowych. Miała typową chorobę dwubiegunową i jej gwałtowne zmiany nastroju były niekiedy zdumiewające. John nadal ją kochał i pewnie dlatego nigdy ponownie się nie ożenił, choć przez jego życie przewinęło się kilka kobiet. Patty wdała się w co najmniej dwa wyniszczające romanse, oba z dużo młodszymi kolegami od pędzla, i John w obu przypadkach pomógł jej się pozbierać. Ich wzajemny stosunek był, mówiąc oględnie, dość skomplikowany.

– A jak tam studia? – spytał John.

– Już z górki. Za trzy miesiące kończę.

– Aż trudno uwierzyć.

Kyle głośno przełknął ślinę i postanowił dłużej nie zwlekać.

– Zmieniłem plany zatrudnienia. Po dyplomie podejmę pracę na Wall Street. W Scully and Pershing.

John wolno zapalił papierosa. Miał sześćdziesiąt dwa lata, ale z wiekiem nie przybrał na wadze. Na głowie miał bujną strzechę siwych włosów, która zaczynała się kilka centymetrów nad brwiami. Czupryna dwudziestopięcioletniego Kyle'a była bardziej przerzedzona.

Ojciec zaciągnął się głęboko winstonem i przewiercił syna spojrzeniem znad tkwiących na nosie okularów w drucianej oprawce.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? – spytał.

Listę powodów Kyle mógłby wyrecytować z pamięci, ale wiedział, że cokolwiek by powiedział, i tak zabrzmi to nieprzekonująco.

– Praca w poradni prawnej to strata czasu. Wiadomo, że prędzej czy później wyląduję na Wall Street, więc lepiej zrobić to od razu.

– Nie wierzę własnym uszom.

– Wiem, wiem, brzmi to jak komenda „w tył zwrot".

– Chcesz się zaprzedać. Nic cię nie zmusza do pracy w korporacji.

– To pierwsza liga, tato.

– W jakim sensie? Z powodu zarobków?

– Od tego można by zacząć.

– Bzdura! Wielcy prawnicy procesowi zarabiają dziesięć razy więcej od

najważniejszych wspólników w Nowym Jorku.

– Tylko że na każdego wielkiego prawnika procesowego przypada pięć tysięcy takich, którzy ledwo wiążą koniec z końcem. Średnie zarobki w dużych firmach są bez porównania lepsze.

– Znienawidzisz każdą minutę spędzoną w takiej firmie.

– Może nie będzie tak źle.

– Oczywiście, że będzie. Człowiek rozwija się w takich kancelariach jak ta, bo styka się z prawdziwymi sprawami i prawdziwymi klientami. W Nowym Jorku przez dziesięć lat nie ujrzysz ani jednego klienta.

– To dobra firma, tato. Jedna z najlepszych.

John wyszarpnął z kieszeni pióro.

– Pozwól, że zapiszę twoje słowa i za rok ci je odczytam.

– Jasne, zapisz. Powiedziałem: „To dobra firma. Jedna z najlepszych”.

Ojciec rzeczywiście coś zapisał, po czym przeniósł wzrok na syna.

– Znienawidzisz tę firmę, jej personel i jej sprawy. Znienawidzisz nawet sekretarki i kolegów, którzy razem z tobą zaczną. Znienawidzisz pracę i obowiązujące procedury. To całe szambo, w którym cię utopią. I co ty na to?

– Uważam inaczej.

– No to pięknie – burknął John, nie przestając notować. Zaciągnął się papierosem, wypuścił imponujący kłąb dymu i odłożył pióro. – Zdawało mi się, że chciałeś wybrać inną drogę i pomagać ludziom. Czy nie tak mówiłeś zaledwie parę tygodni temu?

– Zmieniłem zdanie.

– No to zmień je na powrót. Jeszcze nie jest za późno.

– Nie.

– Ale dlaczego? Musi być jakiś powód.

– Po prostu nie chce mi się siedzieć trzy lata na jakimś zadupiu w Wirginii i uczyć się hiszpańskiego tylko po to, by wysłuchiwać problemów ludzi, którzy dostali się tu nielegalnie.

– Wybacz, ale dla mnie brzmi to jak świetny sposób na spędzenie następnych trzech lat. Nie kupuję tego. Podaj jakiś inny powód. – John odepchnął się na skórzanym fotelu na kółkach i zerwał na nogi. Kyle widział ten ruch milion razy. W chwilach zdenerwowania ojciec wolał chodzić i podkreślać swe słowa wymachiwaniem rąk. Nauczył się tego na sali rozpraw i Kyle nie był teraz zaskoczony.

– Chcę zacząć zarabiać prawdziwe pieniądze.

– Po co? Żeby kupować nowe zabawki? Nawet nie będziesz miał czasu się nimi pobawić.

– Zamierzam odkładać…

– No, jasne. Życie na Manhattanie jest tak tanie, że odłożysz majątek. – John zaczął chodzić przed swą ścianą próżności, zapełnioną niemal pod sufit oprawionymi w ramki dyplomami i fotografiami. – Nie kupuję tego i to mi się nie podoba. – Policzki mu poczerwieniały, zaczynał dawać o sobie znać jego szkocki temperament.

Tylko cicho i łagodnie, napomniał się Kyle. Głośniejsze czy ostrzejsze słowo mogło łatwo doprowadzić do wybuchu. Jakoś przeżyje tę sprzeczkę, tak jak przeżył wiele wcześniejszych. W pewnej chwili ostre słowa ucichną, a on wróci do Nowego Jorku.

– Jesteś chciwy na forsę, co? – odezwał się ojciec. – Nie tak cię wychowywałem.

– Nie przyjechałem tu po to, żebyś mnie obrażał, tato. Podjąłem decyzję i proszę, byś ją uszanował. Wielu ojców zachwyciłoby się perspektywą takiej pracy syna.

John McAvoy przestał chodzić, przestał palić, wlepił wzrok w przystojną twarz jedynego syna – całkiem dojrzałego i niezwykle bystrego dwudziestopięciolatka – i postanowił odpuścić. Najwyraźniej decyzja została podjęta, a on

powiedział wystarczająco dużo. Jeszcze trochę, i może powiedzieć za dużo.

– No dobra, cały ty – rzucił. – Jesteś dość mądry, żeby wiedzieć, czego chcesz, ale ja jestem twoim ojcem i zawsze będę miał swoje zdanie o twoich decyzjach. Tej i wszystkich następnych. Po to tu jestem. I jeśli znów coś zawalisz, nie omieszkam ci o tym powiedzieć.

– Niczego nie zawaliłem, tato.

– Nie kłóćmy się.

– Możemy już pójść na tę kolację? Umieram z głodu.

– A ja się muszę napić.

Pojechali jednym samochodem do włoskiej restauracji U Victora, co od zawsze było stałym piątkowym rytuałem Johna, przed którym bez pytania postawiono jego tradycyjne weekendowe martini. Kyle poprosił o równie tradycyjną wodę sodową z paroma kroplami soku z limonki. Zamówili spaghetti z klopsikami i John po wypiciu drugiego martini zaczął tajać. W końcu praca syna w najbardziej prestiżowej i największej firmie prawniczej miała swoje dobre strony.

Wciąż jednak nie mógł się nadziwić, że tak nagle zmienił swe życiowe plany.

Gdybyś ty wiedział, powtarzał sobie w duchu Kyle. Czuł się bardzo niekomfortowo, nie mogąc powiedzieć ojcu całej prawdy.

Rozdział 9

Kyle wręcz poczuł ulgę, że matka nie odbiera. Z zadzwonieniem do niej zwlekał prawie do jedenastej w sobotę rano i zostawił jej w poczcie ciepłą wiadomość, że wpadnie do niej później, bo z jakiegoś niejasnego powodu jest przejazdem w Yorku. Albo spała, albo była odurzona lekarstwami, albo miała dobry dzień i siedziała w pracowni zajęta tworzeniem kolejnego koszmaru, który i tak nigdy nie trafi do żadnej galerii czy na wystawę. Wizyty u matki były okropne. Prawie nie opuszczała swego strychu i wszelkie próby zaproszenia jej na kawę czy lunch gdzieś w mieście były przez nią odrzucane. Jeśli lekarstwa akurat działały, usta jej się nie zamykały i kazała synowi podziwiać swe ostatnie dzieła; jeśli była w dołku, potrafiła całymi dniami leżeć na kanapie z zamkniętymi oczami, niewykąpana, rozczochrana i pogrążona w nieutulonym żalu i nieszczęściu. Rzadko pytała o jego sprawy – naukę w college'u i w Yale,

dziewczyny, plany na przyszłość. Była zbyt zaabsorbowana swym małym światem. Siostry Kyle'a w ogóle się w Yorku nie pokazywały.

Wyjeżdżając, zadzwonił ponownie i zostawił jej wiadomość, że już opuszcza miasto. Miał nadzieję, że od razu do niego nie oddzwoni, i się nie mylił. Nie oddzwoniła nie tylko od razu, ale wcale, co zresztą nie było niczym niezwykłym. Cztery godziny później dojeżdżał już do Pittsburgha, gdzie Joey Bernardo załatwił bilety na sobotni mecz hokejowy Penguinów z Senatorami. Trzy bilety, nie dwa.

Spotkali się w Boomerangu, ich ulubionym barze z czasów studenckich, choć od początku abstynencji Kyle (Joeya to nie dotyczyło) z zasady unikał lokali z alkoholem. Jadąc do Pittsburgha, liczył na cichy wieczór w towarzystwie dawnego współlokatora, niestety się przeliczył.

Trzeci bilet był dla Blair, z którą Joey wkrótce miał się oficjalnie zaręczyć. Nim zdążyli się dobrze rozsiąść i zamówić drinki, Joey już zaczął z zapałem opowiadać o ich zaręczynach i szukaniu odpowiedniej daty na ślub. Oboje wyglądali na śmiertelnie zakochanych i sobą zauroczonych i nie zwracali uwagi na nic innego. Trzymali się za ręce, siedzieli przytuleni, chichotali, więc po pięciu minutach w ich

towarzystwie Kyle zaczął się czuć niezręcznie. Co się porobiło z jego starym kumplem? Gdzie się podział dawny Joey, twardziel z południowego Pittsburgha, syn strażaka, utalentowany bokser, członek reprezentacji szkół licealnych na pozycji ofensywnego obrońcy, nałogowy podrywacz i cyniczny kpiarz, który uważał dziewczyny za artykuł jednorazowego użytku? Chłopak, który się zaklinał, że się nie ożeni przed czterdziestką?

Blair ulepiła go jak plastelinę i Kyle nie mógł się nadziwić tej przemianie.

W końcu znudzili się omawianiem weselnych planów i rozważaniem trasy podróży poślubnej i przeszli do rozmowy o planach zawodowych. Blair, pracująca w agencji reklamowej okropna gaduła, której każde zdanie zaczynało się od „ja”, „mnie” lub „moje”, zaczęła z zachwytem rozprawiać o najnowszych pomysłach reklamowych firmy. Joey spijał z jej ust każde słowo, a Kyle zaczął ukradkiem zerkać na zegar umieszczony wysoko ponad rzędem okien. Słuchał jednym uchem potoku słów i utrzymywał jaki taki kontakt wzrokowy dla zachowania pozorów, jednocześnie odpływając myślami do tamtego nagrania.

„Jest przytomna?” – spytał Joey Baxtera, rżnącego kompletnie nawaloną Elaine Keenan.

– Blair często jeździ do Montrealu – poinformował Joey, co skłoniło Blair do zmiany tematu i rozpoczęcia pełnych zachwytu opowieści o Montrealu i jego urodzie. Do tego stopnia jej się tam podobało, że nawet zaczęła się uczyć francuskiego!

„Jest przytomna?”. Joey siedział z ręką pod stołem, zapewne nie odrywając jej od różnych zakamarków ukochanego ciała i nie mając pojęcia o istnieniu tego nagrania. Ciekawe, kiedy ostatnio myślał o tym incydencie? A może nigdy? Może całkiem o nim zapomniał? I co Kyle’owi przyjdzie z tego, że mu teraz o nim przypomni?

Po tym, jak pittsburska policja szybko zamknęła sprawę Elaine i rzekomego gwałtu, członkowie bractwa Beta też ją pogrzebali w pamięci. Kyle nie pamiętał, by w ciągu ostatnich dwóch lat college’u ktoś choćby raz o tym wspomniał. Elaine zniknęła z pola widzenia i szybko o niej zapomniano.

Jeśli Bennie Wright i jego ludzie węszyli ostatnio w Duquesne i w Pittsburghu, Kyle wolałby o tym wiedzieć. Może Joey coś zauważył lub coś słyszał. Ale może nie. Wyglądało na to, że poza Blair niczego nie widzi ani nie słyszy.

– Rozmawiałeś ostatnio z Baxterem? – spytał Kyle, gdy Blair na chwilę zaczerpnęła powietrza.

– Od jakiegoś miesiąca nie. – Joey powiedział to z takim uśmieszkiem, jakby w zanadrzu miał jakiś żart. – Wiesz, że w końcu dostał się do filmu?

– Żartujesz! Nic mi nie mówił.

Blair radośnie zachichotała, najwidoczniej znając dalszy ciąg opowieści.

– Bo nie chce, żebyś się o tym dowiedział – parsknął Joey.

– Pewnie jakieś wybitne dzieło filmowe.

– No. Któregoś wieczoru się spił… a nawiasem mówiąc, jego picie wymknęło się już zupełnie spod kontroli… No więc dzwoni do mnie i mówi, że zadebiutował w filmie. Jakaś kablówkowa szmira o dziewczynie, która znajduje na plaży wyrzuconą przez morze ludzką nogę, po czym przez resztę filmu przeżywa koszmarne wizje ścigającego ją jednonogiego mordercy.

– I gdzie w tym rola dla wielkiego Baxtera Tate’a?

– Musiałbyś bardzo uważać, żeby go nie przegapić. Jest taka scena na łodzi patrolowej, którą gliniarze pływają po oceanie, prawdopodobnie wypatrując reszty ciała, choć nie jest to do końca jasne. W całym filmie jest zresztą mnóstwo niejasności. Jeden z gliniarzy podchodzi do szeryfa i melduje: „Szeryfie, zostało

nam już mało paliwa”. I to jest właśnie nasz gwiazdor.

– Baxter jest gliniarzem?

– I to złym. Ma tylko jedną linijkę tekstu i wygłasza ją jak stremowany uczeń pierwszej klasy w przedstawieniu szkolnym.

– Był trzeźwy?

– Kto go tam wie, ale chyba tak. Gdyby był jak zwykle zalany, nie daliby mu tekstu.

– Już się nie mogę doczekać, żeby to zobaczyć.

– Nie oglądaj i nie mów mu, że ci powiedziałem. Następnego dnia rano zadzwonił, błagając, żebym tego nie oglądał, i grożąc mi śmiercią, jeśli komukolwiek o tym powiem. Kompletnie się pogubił.

To przypomniało Blair o koleżance, która znała kogoś „stamtąd”, kto dostał rolę w nowym sitcomie, i się zaczęło. Kyle z uśmiechem kiwał głową, ale jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Z trzech współlokatorów Joey był jedynym, który mógłby mu pomóc, o ile jakaś pomoc w ogóle była możliwa. Baxter Tate sam potrzebował pomocy w postaci intensywnej terapii odwykowej, Alan Strock nie widział świata poza swoją medycyną na uniwersytecie stanowym w Ohio i z całej czwórki najmniej chętnie dałby się wmieszać do tej sprawy.

Dla Joeya stawka mogła być wysoka. Występował w nagraniu, miał wątpliwości, czy podczas seksu z Baxterem Elaine nie spała i była przytomna, po czym sam zabrał się do dzieła. Pracował w dziale obsługi klientów w firmie maklerskiej w Pittsburghu, w której zaliczył już dwa awanse. Był nieprzytomnie zakochany w Blair i jakakolwiek wzmianka o jego udziale w gwałcie mogła mu zrujnować dobrze poukładane życie.

Bo Kyle czuł się tak, jakby cierpiał za Joeya. Tamtego wieczoru nawet nie tknął Elaine, ale przez to koszmarne nagranie jego życiu i karierze zawodowej groziła teraz katastrofa z rąk Benniego Wrighta. Czy Joey nie powinien przynajmniej o tym wiedzieć?

Z drugiej jednak strony Kyle nie potrafił się zdobyć, by podłożyć taką minę pod Joeya. No bo jeśli podejmie pracę w Scully & Pershing, spełni oczekiwania Wrighta i nie zostanie przyłapany, to istniała realna szansa, że nagranie nigdy nie zostanie ujawnione i pójdzie w zapomnienie.

Korzystając z tego, że podczas przerwy w meczu Blair poszła do toalety, Kyle zaprosił Joeya na niedzielne śniadanie. Wyjaśnił, że musi wcześnie wyjechać z miasta, i zaproponował, by

spotkali się na nim bez Blair. Niech dziewczyna sobie pośpi, powiedział z troską w głosie.

Umówili się w knajpce z bajglami, której w czasach Kyle'a w Duquesne w ogóle jeszcze nie było. Blair rzeczywiście jeszcze spała i nawet Joey przyznał, że przyda mu się chwila wytchnienia. „Urocza dziewczyna", zapewnił go kilkakrotnie Kyle, każdorazowo wstydząc się, że tak kłamie. Wręcz nie wyobrażał sobie życia z taką paplą, choć musiał przyznać, że ma świetne nogi, a to na Joeya zawsze działało.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o Nowym Jorku – o pracy w wielkiej firmie i życiu w wielkim mieście, o tamtejszych drużynach sportowych i znajomych, którzy też się tam zahaczyli, i tak dalej, i tak dalej. W końcu Kyle skierował rozmowę na kolegów z bractwa Beta i przez chwilę grali w „zgadnij, o kim mówię". Pośmiali się z dawnych psikusów, dręczenia młodszych roczników, prywatek i głupawych wyskoków. Mieli teraz po dwadzieścia pięć lat i już dawno wyrośli z szaleństw college'u, ale i tak przez chwilę wspominali je z rozrzewnieniem. Kilkakrotnie „sprawa Elaine" zdawała się na wyciągnięcie ręki i tylko czekała na jakąś wzmiankę ze strony Joeya, ten jej jednak nie zrobił.

Pożegnali się i Kyle doszedł do wniosku, że Joey pogrzebał cały incydent w niepamięci. I co ważniejsze, nikt mu o nim ostatnio nie przypomniał.

Ruszył na północ międzystanową osiemdziesiątką, po czym skręcił na wschód. Do Nowego Jorku nie było stąd daleko, zarówno w sensie czasu, jak i odległości. Jeszcze kilka tygodni we własnym świecie uczelni, dwa miesiące przygotowań do egzaminu adwokackiego i z początkiem września stawi się do pracy w największej firmie prawniczej na świecie. W jego grupie będzie stu nowych prawników, samych prymusów z najlepszych szkół z całego kraju. Wszyscy się zjawią odpicowani w najlepsze ciuchy i gotowi rozpocząć wielkie kariery prawnicze.

Kyle czuł się coraz bardziej samotny.

W rzeczywistości nie był ani trochę osamotniony. Wszystkie jego ruchy w Nowym Jorku i Pittsburghu były pilnie monitorowane przez Wrighta i jego ludzi. Namagnesowany nadajnik wielkości męskiego portfela tkwił zamaskowany warstwą błota pod tylnym zderzakiem czerwonego cherokee Kyle’a. Był

zasilany kabelkiem z lewego światła pozycyjnego i nadawał ciągły sygnał GPS, dzięki któremu można było śledzić wszystkie ruchy samochodu. Siedząc w biurze na dolnym Manhattanie, Bennie wiedział dokładnie, gdzie w danym momencie znajduje się auto Kyle'a. Jego wyjazd do rodzinnego domu nie zaskoczył Benniego, zaciekawiło go natomiast spotkanie z Joeyem Bernardo.

Bennie miał mnóstwo przeróżnych gadżetów. Niektóre były bardzo wyrafinowane, inne dość prymitywne, ale wszystkie niezwykle skuteczne, używano ich bowiem do śledzenia zwyczajnych ludzi, nie zawodowców. Szpiegostwo korporacyjne jest o wiele prostsze od wojskowego czy troski o bezpieczeństwo narodowe.

Komórka Kyle'a była już od dawna na podsłuchu i ludzie Wrighta słyszeli każde jego słowo. Stąd wiedzieli, że chłopak nie wspomniał nikomu o swych kłopotach, przynajmniej przez telefon. Podsłuchiwali też rozmowy Olivii oraz Mitcha, współlokatora Kyle'a, ale jak dotąd nic z nich nie wynikało.

Czytali także maile Kyle'a. Odbierał i wysyłał średnio dwadzieścia siedem dziennie, ale niemal wszystkie dotyczyły spraw uczelnianych.

Inne działania inwigilacyjne były już trudniejsze. Człowiek Wrighta siedział przy sąsiednim stoliku U Victora w Yorku, pięć metrów od Kyle'a i jego ojca, ale praktycznie nic nie słyszał. Innemu udało się usiąść dwa rzędy dalej na meczu Penguinów, ale cały wysiłek okazał się stratą czasu i pieniędzy. Natomiast w Boomerangu znalazła się jedna z gwiazd Benniego, dwudziestosześcioletnia blondynka w obcisłych dżinsach, której udało się usiąść w sąsiednim boksie, tuż obok Kyle'a, Joeya i Blair. Przez dwie godziny sączyła jedno piwo i czytała książkę, po czym w raporcie napisała, że wprawdzie dziewczyna gadała jak najęta, ale o niczym ważnym.

Bennie był w zasadzie zadowolony z rozwoju sytuacji. Kyle definitywnie odmówił podjęcia pracy w poradni prawnej w Wirginii, pojechał do Nowego Jorku i dogadał się w firmie Scully & Pershing. Dużo rzadziej widywał Olivię i zdaniem Benniego było oczywiste, że ich związek długo nie potrwa.

Zaniepokoił go tylko nagły wyjazd do Pittsburgha. Czyżby Kyle zamierzał zwierzyć się Joeyowi? A może już to zrobił? I czy następnym powiernikiem będzie Alan Strock? Czy Kyle

spróbuje się skontaktować z nim albo z Baxterem Tate’em, lub z jednym i drugim?

Bennie słuchał wszystkiego, co było do słuchania, i czekał. W budynku po drugiej stronie Broad Street, dwie przecznice od siedziby Scully & Pershing, wynajął blisko dwustumetrowe biuro, podając jako najemcę firmę Fancher Group, start-up w dziedzinie usług finansowych, z siedzibą na Bermudach. Jego oficjalnym przedstawicielem w Nowym Jorku był niejaki Aaron Kurtz, znany też jako Bennie Wright oraz pod kilkunastoma innymi nazwiskami, z których na każde dysponował dokumentami potwierdzającymi tożsamość. Z okna swego nowego biura mógł patrzeć na Broad Street, gdzie kawałek dalej jego agent Kyle zacznie wkrótce wchodzić i wychodzić z gmachu nowego pracodawcy.

Rozdział 10

Pozew został złożony w manhattańskim oddziale sądu federalnego rejon południe w Nowym Jorku. Zrobiono to w piątek, dziesięć minut przed siedemnastą, by dzięki tak zwanej „piątkowej wrzutce” uniknąć nadmiernego zainteresowania mediów. Skargę podpisał mecenas Wilson Rush, znany prawnik procesowy i starszy wspólnik w firmie Scully & Pershing, którego ludzie przez cały dzień wydzwaniali do kancelarii sądu, upewniając się, że pozew złożony pod koniec dnia zostanie przyjęty i wpisany do rejestru jeszcze przed weekendem. Jak wszystkie pozwy, ten też trafił do sądu drogą elektroniczną, dzięki czemu nikt z firmy nie musiał jechać z grubym plikiem dokumentów pod pachą do gmachu im. Daniela Patricka Moynihana przy Pearl Street. Spośród około czterdziestu pozwów, jakie tego dnia wpłynęły do sądów w rejonie południe, ten bez wątpienia miał największy ciężar gatunkowy i był

oczekiwany z największym zainteresowaniem. Strony walczyły z sobą od lat, ale o ile ich starcia były szeroko opisywane w prasie, przedmiot sporu był zbyt drażliwy, by wałkować go publicznie. Pentagon, wielu poważnych kongresmenów i nawet Biały Dom starali się nie dopuścić do procesu, ale ich starania spełzły na niczym. Zaczynała się kolejna bitwa w wieloletniej wojnie i nikt nie oczekiwał szybkiego jej zakończenia. Wiadomo było, że strony i ich prawnicy będą latami okładać się pięściami, a spór będzie trafiał do sądów coraz wyższych instancji, włącznie z Sądem Najwyższym, który wyda ostateczny werdykt.

Urzędnik odbierający skargę natychmiast przekazał ją do specjalnie zabezpieczonego sejfu, by zapobiec wydostaniu się treści na zewnątrz. Było to postępowanie niezwykle rzadko stosowane i zostało podjęte na osobiste polecenie prezesa sądu rejonowego. Już wcześniej pod osobistym nadzorem mecenasa Rusha przygotowano konspekt pozwu dla mediów i przekazano go sędziemu do zatwierdzenia.

Stroną powodową był Trylon Aeronautics, znany producent sprzętu wojskowego z siedzibą w Nowym Jorku, prywatna firma zajmująca się od czterdziestu lat projektowaniem i produkcją

samolotów wojskowych. Stroną pozwaną był Bartin Dynamics, spółka akcyjna z siedzibą w Bethesda w Marylandzie, zajmująca się dostawami sprzętu dla wojska. Wartość zamówień rządowych u Bartina wynosiła średnio piętnaście miliardów dolarów rocznie, co stanowiło dziewięćdziesiąt pięć procent rocznych obrotów spółki. Zależnie od potrzeb, Bartin korzystał z usług różnych kancelarii prawniczych, ale w najważniejszych bataliach był reprezentowany przez firmę Agee, Poe & Epps z Wall Street.

Aktualnie w Scully & Pershing pracowało dwa tysiące stu prawników, co pozwalało firmie twierdzić, iż są najwięksi na świecie. Firma Agee, Poe & Epps zatrudniała o dwustu prawników mniej, ale za to szczyciła się największą liczbą oddziałów na świecie i z powodu tego też uważała się za największą. Firmy poświęcały zdecydowanie za dużo uwagi wiecznemu podgryzaniu i przechwalaniu się swą wielkością, znaczeniem, liczbą zafakturowanych godzin, prestiżem wspólników i wszystkim, co korzystnie wpływało na wizerunek.

Przedmiotem sporu był najnowszy pomysł Pentagonu w postaci hiperdźwiękowego bombowca B-10, samolotu ery kosmicznej,

o którym wojskowi marzyli od dziesięcioleci i który był bliski realizacji. Przed pięcioma laty siły powietrzne ogłosiły wśród producentów sprzętu lotniczego konkurs na budowę B-10, smukłego bombowca, który miał zastąpić starzejące się modele B-52 i B-22 i posłużyć w lotnictwie wojskowym do roku 2060. Faworytem w konkursie był Lockheed, największy dostawca sprzętu lotniczego, został on jednak szybko prześcignięty przez joint venture Trylona i Bartina. W przedsięwzięciu uczestniczyło też konsorcjum zagranicznych firm brytyjskich, francuskich i izraelskich, lecz te odgrywały w nim pośledniejszą rolę.

Stawka była olbrzymia. Zwycięzca konkursu miał otrzymać od sił powietrznych zadatek na prace badawczo-konstrukcyjne i budowę prototypu w wysokości dziesięciu miliardów dolarów, a także kontrakt na dostawy od dwustu pięćdziesięciu do czterystu pięćdziesięciu bombowców B-10 przez następne trzydzieści lat. Łączna wartość kontraktu rzędu ośmiuset miliardów dolarów czyniła z niego największe zamówienie w historii Pentagonu. Nikt nie próbował nawet oszacować, o ile te koszty mogą zostać przekroczone.

Projekt konsorcjum Trylon-Bartin zapierał dech w piersiach. Zaprojektowane przez nich B-10 mogło wystartować z bazy w Stanach Zjednoczonych z takim samym ładunkiem jak B-52, odbyć lot z szybkością dziesięciu machów, czyli ponad dwunastu tysięcy kilometrów na godzinę, i godzinę później zrzucić ładunek na drugim końcu świata. Przy tej szybkości i wysokości wszystkie znane obecnie i przewidywane na przyszłość środki obrony przeciwlotniczej byłyby bezbronne. Po zrzuceniu ładunku – jakikolwiek by on był – bombowiec mógł powrócić do bazy bez tankowania paliwa w powietrzu lub na ziemi. B-10 miało dosłownie ślizgać się po górnej warstwie atmosfery. Po osiągnięciu pułapu około czterdziestu tysięcy metrów, czyli granicy stratosfery, silniki ulegały wyłączeniu i samolot zaczynał wolno opadać w gęstsze warstwy atmosfery. Po wejściu w nie silniki wyczuwały obecność powietrza i samoczynnie się włączały, wynosząc samolot ponownie na pułap czterdziestu tysięcy metrów. Cykl ten – ślizganie się po górnej warstwie atmosfery przypominające puszczanie kaczek po stawie – powtarzał się do osiągnięcia wyznaczonego celu. Lot bojowy zapoczątkowany w Arizonie i zakończony w Azji wymagałby

wykonania około trzydziestu takich „kaczek” z zanurzaniem się w atmosferze co dziewięćdziesiąt sekund. Ponieważ silniki nie pracowały w sposób ciągły, zużycie paliwa radykalnie malało. „Odbijanie” się od atmosfery i wchodzenie w lodowatą pustkę zapewniało odpowiednie ich chłodzenie.

Po trzech latach wytężonych (a chwilami gorączkowych) prac badawczo-rozwojowych dowództwo sił powietrznych wydało komunikat o wyborze projektu konsorcjum Trylon-Bartin. Zrobiono to bez nadmiernego rozgłosu, ponieważ wchodzące w grę kwoty zapierały dech w piersiach. Kraj był zaangażowany w dwie wojny i Pentagon uznał, że lepiej będzie nie nagłaśniać tak kosztownych planów. Siły powietrzne starały się maksymalnie wyciszać program budowy B-10, ale ich wysiłki na nic się nie zdały. Gdy tylko ogłoszono zwycięzcę wyścigu, na wszystkich frontach rozgorzała zażarta wojna.

Lockheed ustami swych senatorów, lobbystów i prawników zawył z wściekłości. Drogi Trylona i Bartina, odwiecznych konkurentów, niemal od razu zaczęły się rozchodzić, bo perspektywa zdobycia tak gigantycznych pieniędzy praktycznie wykluczała współpracę. Obie firmy

zaczęły przeciągać na swą stronę polityków i lobbystów, a ci podejmowali walkę o jak największy kawał pieczeni. Brytyjczycy, Francuzi i Izraelczycy zeszli wprawdzie z pierwszej linii ognia, ale z pewnością nie zrezygnowali.

Zarówno Trylon, jak i Bartin zaczęli rościć prawa do projektu i użytej w nim technologii. Próby pogodzenia początkowo zakończyły się sukcesem, wojna jednak szybko rozgorzała na nowo. W kulisach konfliktu czaił się Lockheed, który tylko czekał na wynik. Pentagon wkrótce zagroził unieważnieniem kontraktu i ogłoszeniem nowego przetargu. Kongresmeni organizowali przesłuchania. Gubernatorom zależało na nowych miejscach pracy i szansie na rozwój gospodarczy ich rejonu. Dziennikarze pisali sążniste artykuły. Grupy aktywistów organizowały protesty przeciwko produkcji B-10, jakby chodziło o prom na Marsa.

A prawnicy w ciszy gabinetów szykowali się do procesu.

Siedząc przy biurku w redakcji „Yale Law Journal” i redagując na komputerze długaśny artykuł, Kyle dwie godziny po złożeniu pozwu natknął się na wiadomość o nim na stronie

internetowej sądu federalnego. Od trzech tygodni regularnie sprawdzał rejestry we wszystkich oddziałach sądu federalnego w Nowym Jorku, na wszelki wypadek zaglądając też do rejestrów sądu stanowego. Podczas pierwszego spotkania Bennie wspomniał o szykującym się wielkim procesie w Nowym Jorku, którego przebieg Kyle miał szpiegować. Od tamtej pory Kyle regularnie dopominał się o bliższe szczegóły, Bennie jednak każdorazowo go zbywał, mówiąc: „Porozmawiamy o tym później”.

Ku zaskoczeniu Kyle’a wiadomość o pozwie nie zawierała żadnych danych poza jego tytułem oraz nazwiskiem, adresem, firmą prawniczą i numerem certyfikatu adwokackiego składającego pozew Wilsona Rusha. Obok tytułu widniała adnotacja ZABEZPIECZONO i Kyle’owi nie udało się zagłębić w treść skargi. Żaden pozew złożony w ciągu minionych trzech tygodni w rejonie południowego Nowego Jorku nie zawierał takiej adnotacji.

W głowie Kyle’a zapaliły się czerwone lampki alarmowe.

Zajrzał na strony Agee, Poe & Epps i przejrzał imponującą listę ich klientów korporacyjnych. Okazało się, że firma od lat osiemdziesiątych reprezentuje Bartin Dynamics.

Zapomniał o stercie materiałów redakcyjnych na biurku i podłodze i zaczął buszować w internecie. Na stronach firmy Trylon szybko natknął się na wzmiankę o hiperdźwiękowym bombowcu B-10, z której dowiedział się o związanych z nim problemach, dawnych i obecnych.

Zamknął się od środka w swej niewielkiej redakcji i sprawdził zapas papieru w drukarce. Dochodziła ósma wieczór, był piątek i wprawdzie redaktorzy prawniczych pisemek znani byli z długich godzin pracy, to cała redakcja wyjechała już na wiosenne ferie. Wydrukował podstawowe informacje o firmach Trylon i Bartin, po czym dołożył więcej papieru do drukarki. W sieci znalazł kilkanaście artykułów o fiasku projektu B-10, wydrukował wszystkie i zaczął czytać najpoważniejsze z nich.

W internecie znalazł też setki stron o tematyce obronnej i militarnej i na jednej z nich, poświęconej futurystycznej broni, znalazł nieco informacji o B-10. Zajrzał do rejestru dawnych pozwów i sprawdził, jak często firma Scully & Pershing występowała w sądzie w imieniu lub obronie Trylona, potem zrobił to samo w odniesieniu do firmy Agee, Poe & Epps i Bartina. Godziny mijały, a on siedział,

przekopując się przez sieć, ale im grubsza stawała się sterta wydruków, tym bardziej czuł się zniechęcony.

Wciąż istniała możliwość, że grzebie nie w tej sprawie co trzeba. Dopóki Bennie tego nie potwierdzi, nie będzie miał pewności. Ale w zasadzie nie miał wątpliwości. Zgadzał się czas, zgadzały się firmy prawnicze reprezentujące strony, zgadzała się gigantyczna wartość sporu, o czym wspominał Bennie. Dwie korporacje od dawna z sobą konkurujące. Dwie firmy prawnicze wzajemnie się nienawidzące.

Tajemnice wojskowe. Skradzione technologie. Szpiegostwo korporacyjne. Obcy wywiad. Groźba procesu cywilnego, a nawet postępowania karnego. Jedno wielkie szambo, w które on, Kyle McAvoy, miał się teraz zanurzyć po uszy.

W ciągu ostatnich tygodni często się zastanawiał, jaka to sprawa mogła być warta aż tak wysokich kosztów i tak szeroko zakrojonej akcji szpiegowskiej. Walka dwóch konkurujących korporacji mogła dotyczyć któregoś z niezliczonych sporów sądowych z innych dziedzin. Równie dobrze mogło chodzić o przepisy antytrustowe lub prawa patentowe albo dwie firmy farmaceutyczne brały się za łby o prawa do najnowszej tabletki odchudzającej.

Najgorszym możliwym scenariuszem był ten, który właśnie lądował na jego biurku: ociekający forsą przetarg Pentagonu na ściśle tajne technologie, w którym uczestniczyli wojujący z sobą politycy, pozbawieni skrupułów biznesmeni i im podobni. Lista możliwych pułapek była długa i bardzo zniechęcająca.

Dlaczego nie może po prostu wrócić do Yorku i rozpocząć pracę w kancelarii ojca?

O pierwszej w nocy poupychał papiery w plecaku i poświęcił trochę czasu na beznadziejną próbę uporządkowania biurka. Rozejrzał się, zgasił światło i zamknął drzwi na klucz, raz jeszcze uświadamiając sobie, że byle agent może i tak bez trudu zajrzeć wszędzie, gdzie mu się spodoba. Był pewien, że ludzie Benniego już tu byli i być może zostawili po sobie jakieś pluskwy, kabelki, mikrofony i całą resztę szpiegowskiego szajsu, o którym nie chciało mu się nawet myśleć.

Podobnie jak był pewien tego, że go obserwują. Wbrew jego żądaniom, by zostawili go w spokoju, czuł, że za nim łażą. Parę razy nawet ich przyuważył. Byli dobrzy, ale nawet oni popełniali błędy. Sztuka polega na tym, powtarzał sobie w duchu, by tak się zachowywać, jakby niczego nie podejrzewał. Udawać

naiwnego, beztroskiego studenciaka, który kręci się po kampusie z plecakiem na ramieniu i wypatruje dziewczyn. Ani na trochę nie zmienił swych przyzwyczajeń czy tras. Lunch jadł niemal codziennie w tym samym miejscu. Ta sama kafejka, w której umawiał się po zajęciach z Olivią. Poza tym czas spędzał albo na zajęciach, albo w domu, z paroma tylko odstępstwami. A ponieważ jego przyzwyczajenia pozostawały niezmienne, to samo dotyczyło śledzących. Był tak łatwym obiektem, że musiało ich to rozleniwić. Kyle, okaz niewinności, kołysał ich do snu, a gdy w końcu tracili czujność, nagle ich zaskakiwał. Jedną z twarzy namierzył już trzykrotnie. Młodą, rumianą, w różnych okularach i z różnymi wąsami, które to się pojawiały, to znikały.

W antykwariacie w pobliżu kampusu Kyle zaczął kupować stare szpiegowskie powieści w wydaniu kieszonkowym, po dolarze sztuka. Kupował, nosił w plecaku, po przeczytaniu wyrzucał do kosza i kupował następną.

Z góry zakładał, że żaden z jego kanałów komunikacji nie jest bezpieczny. Był pewien, że komórka i laptop zostały odpowiednio spreparowane i są ściśle monitorowane. Nieco ożywił korespondencję z Joeyem Bernardo,

Alanem Strockiem i Baxterem Tate’em, ale wszystkie maile sprowadzały się do zdawkowych pozdrowień i nie zawierały żadnych istotnych treści. To samo dotyczyło innych członków bractwa Beta i odbywało się pod hasłem mobilizowania kolegów do częstszych kontaktów mailowych. Do każdego z nich dzwonił raz w tygodniu, a rozmowy niezmiennie dotyczyły wydarzeń sportowych, nauki i karier zawodowych.

Jeśli Bennie rzeczywiście tego słuchał, ani jedno słowo Kyle’a nie wskazywało na to, że coś podejrzewa.

Kyle przyjął do wiadomości, że aby przeżyć następne siedem lat, będzie zmuszony nauczyć się myśleć i postępować jak jego prześladowcy. Przecież musi istnieć jakieś wyjście.

Bennie wrócił i w sobotę spotkali się na przekąsce w barze z kebabami pod miastem, z dala od kampusu. Podczas ostatniego spotkania zapowiedział, że będzie się odzywał mniej więcej co dwa tygodnie aż do ukończenia przez Kyle’a studiów w maju. Chłopak spytał, czemu te spotkania mają służyć, a Bennie wygłosił mętny banał o konieczności pozostawania w kontakcie.

Podczas kolejnych trzech spotkań wizerunek Benniego jakby nieco złagodniał. Niezmiennie odgrywał twardego, wolnego od wszelkich sentymentów agenta z misją, ale jednocześnie zaczął się zachowywać tak, jakby mu zależało na przyjacielskiej atmosferze ich spotkań. W końcu będą musieli spędzać z sobą wiele godzin, tłumaczył, co u Kyle'a zawsze wywoływało mars na czole. Nie zamierzał w najmniejszym stopniu się zaprzyjaźniać.

– Masz jakieś plany na wiosenne ferie? – spytał Bennie, rozpakowując kanapkę.

– Naukę. – Ferie wiosenne zaczęły się dzień wcześniej i połowa studentów Yale zdążyła już wyjechać na południe Florydy.

– No, daj spokój. Ostatnie w życiu wiosenne ferie, a ty ich nie spędzisz na plaży?

– Nie. Przyszły tydzień spędzę w Nowym Jorku na szukaniu mieszkania.

Bennie spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Możemy ci w tym pomóc.

– Już to omawialiśmy. Nie potrzebuję twojej pomocy.

Obaj odgryźli duże kęsy pity i zaczęli żuć.

W końcu Kyle przerwał milczenie.

– Jakieś wiadomości o procesie? – zapytał.

Bennie pokręcił głową. Żadnych.

– Pozew został już złożony? Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć?

Przełknął jedzenie i popił wodą.

– Za tydzień – rzucił. – Spotkajmy się w przyszłym tygodniu w Nowym Jorku, to opowiem ci o procesie.

– Już się nie mogę doczekać.

Znów odgryźli kęsy i przez chwilę żuli w milczeniu.

– Kiedy przystępujesz do egzaminu adwokackiego? – spytał Bennie.

– W lipcu.

– Gdzie?

– W Nowym Jorku. Gdzieś na Manhattanie. Nie czekam na to z utęsknieniem.

– Poradzisz sobie. Kiedy będziesz miał wyniki? – spytał Bennie, który znał adres i datę egzaminu w Nowym Jorku i wiedział, kiedy wyniki zostaną ogłoszone w sieci. Wiedział też, co się dzieje z młodymi prawnikami, którzy oblewają. Wiedział wszystko.

– Na początku listopada. A ty studiowałeś prawo?

Uśmiech, niemal chichot.

– Och, nie. Zawsze próbowałem unikać prawa i prawników. Ale czasami… Cóż, jeśli wymagają tego obowiązki.

Kyle wsłuchiwał się w jego akcent. Chwilami stawał się wyraźniejszy, po czym znów zanikał. Pomyślał o Izraelczykach i ich zdolnościach językowych, zwłaszcza wśród agentów Mosadu i wojskowych.

Nie po raz pierwszy się zastanowił, dla kogo ma szpiegować i przeciwko komu.

Pięć dni później spotkali się w hotelu Ritz-Carlton na dolnym Manhattanie. Kyle spytał Benniego, czy ma w mieście biuro, czy działa tylko w hotelach, ale on nie odpowiedział. Przed spotkaniem chłopak obejrzał cztery mieszkania, wszystkie w SoHo i Tribeca. Za najtańszy o powierzchni siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych w budynku bez windy żądano cztery tysiące dwieście dolarów miesięcznie; za najdroższy o powierzchni dziewięćdziesięciu trzech metrów w przebudowanym magazynie żądano sześciu tysięcy pięciuset dolarów. Niezależnie od tego, ile by wynosił czynsz, Kyle zamierzał wziąć go w całości na siebie, bo nie chciał mieć współlokatora. Jego życie było wystarczająco skomplikowane, by je jeszcze dodatkowo komplikować mieszkaniem z kimś

obcym. Nie mówiąc o tym, że Bennie też był temu przeciwny.

Ludzie Benniego obeszli dolny Manhattan w ślad za Kyle'em i agentką z agencji nieruchomości i dokładnie ustalili lokalizację oglądanych mieszkań. Zanim Kyle dotarł na umówione spotkanie z Benniem, jego człowiek zdążył już zadzwonić do tej samej agencji, wypytać o wolne mieszkania i umówić się na ich obejrzenie. Kyle może sobie zamieszkać w wybranym przez siebie mieszkaniu, ale zanim to nastąpi, lokal zostanie odpowiednio spreparowany.

Na stoliku w hotelowym apartamencie leżało kilka opasłych teczek z papierami.

– Pozew złożono w ubiegły piątek w sądzie federalnym na Manhattanie – zaczął Bennie. – Stroną powodową jest firma o nazwie Trylon Aeronautics, pozwaną firma Bartin Dynamics.

Kyle przyjął to do wiadomości z kamienną twarzą. Zebrana przez niego dokumentacja na temat sporu i jego uczestników zajmowała trzy grube segregatory, liczyła ponad dwa tysiące stron i z każdym dniem rosła. Nie miał wątpliwości, że nie wie aż tyle co kolega Bennie, wiedział już jednak bardzo dużo.

A Bennie wiedział, że on wie. Siedząc w nowym biurze przy Broad Street, on i jego technicy nie spuszczali z oka laptopa Kyle'a oraz komputera stacjonarnego na biurku w redakcji. Mieli założony ciągły monitoring i gdy Kyle włączał w domu laptop, żeby wysłać profesorowi jakąś wiadomość, Bennie natychmiast o tym wiedział. Gdy siedział w pokoju „Yale Law Journal" i redagował notatkę do druku, Bennie się temu przyglądał. A kiedy Kyle przeglądał rejestry w nowojorskich sądach w poszukiwaniu brudów dotyczących Trylona i Bartina, Bennie też w tym uczestniczył.

Tak że możesz sobie, synu, siedzieć i udawać naiwniaka, a ja podejmę tę grę. Jesteś cholernie inteligentny, ale i tak jesteś za głupi na to, by wiedzieć, że siedzisz w tym gównie po uszy.

Rozdział 11

Wiosna z oporami zawitała do Nowej Anglii i kampus przebudził się do życia, otrząsając się ze smętnego zimowego snu. Rośliny zakwitły, trawa stała się zieleńsza, coraz dłuższe dni skłaniały brać studencką do przebywania więcej na powietrzu. Wokół fruwały setki frisbee, młodzi jedli długie lunche na słońcu i urządzali nawet pikniki, profesorowie złagodnieli, zajęcia zrobiły się krótsze.

Kyle, któremu został ostatni semestr nauki, postanowił nie poddawać się nastrojowi laby w kampusie. Siedział głównie w pokoju redakcyjnym i gorączkowo dopinał czerwcowy numer „Yale Law Journal”. Miał być ostatnim pod jego redakcją i Kyle chciał, by był też najlepszy. Zajmowanie się nim stanowiło doskonałą wymówkę, aby ignorować praktycznie wszystko inne. Olivia w końcu nie zdzierżyła i rozstali się za obopólną zgodą. Koledzy kończący jak on trzeci rok podzielili się na dwa

obozy. Jedni oddawali się piciu, zabawie i smakowaniu ostatnich chwil życia studenckiego, zanim przyjdzie im żyć w prawdziwym świecie; drudzy myśleli o karierze, uczyli się do egzaminu adwokackiego i rozglądali za kwaterami w wielkich miastach. Kyle'owi udało się nie dołączyć do żadnej z tych grup.

Pierwszego maja wysłał list do Joeya Bernardo.

Drogi Joey. 25 maja będzie rozdanie dyplomów. Czy jest szansa, żebyś mógł przyjechać? Alan nie może, a Baxtera boję się pytać. Byłoby wspaniale spędzić razem parę dni. Bez dziewczyn, proszę. Odpowiedz listownie na ten adres. Nie telefonicznie i nie mailem. Później ci wyjaśnię.

Ściskam, Kyle

List był napisany odręcznie i wysłany z redakcji pisma. Po tygodniu nadeszła odpowiedź.

Cześć, Kyle. Co ci strzeliło do łba z tą ślimaczą pocztą? Charakter pisma też masz niemożliwy, ale pewnie i tak lepszy od mojego. Przyjadę na rozdanie, będzie fajnie. Co to za pieprzone tajemnice, że nie

możemy rozmawiać przez telefon ani mailować? Odbiło ci? Bo Baxterowi odbiło. Naprawdę odjechał. Jak czegoś nie zrobimy, to za rok go już nie będzie. Dobra, kończę, bo mnie ręka boli i od tego pisania długopisem czuję się jak stary pierdziel. Nie mogę się doczekać na Twój następny słodki liścik.

Całusy, Joey

Drugi list Kyle'a był dłuższy i zawierał więcej szczegółów. Odpowiedź Joeya była równie sarkastyczna jak pierwsza i było w niej jeszcze więcej pytań. Kyle wyrzucił ją zaraz po przeczytaniu. Raz jeszcze wymienili się listami i wspólny weekend został zaplanowany.

Patty McAvoy nie udało się namówić, by ruszyła się ze swego strychu na uroczystość wręczenia dyplomu synowi, choć tak naprawdę nikt jej specjalnie nie namawiał. John McAvoy i Kyle właściwie z zadowoleniem przyjęli jej decyzję, obawiając się, że obecność Patty w Yale mogłaby tylko narobić im wstydu. Trzy lata wcześniej nie pojawiła się na rozdaniu dyplomów w Duquesne, ominęły ją też podobne uroczystości obu córek. Krótko mówiąc, Patty nie

uczestniczyła w rozdaniach dyplomów, bez względu na to, kto je otrzymywał. Udało jej się pojawić na ślubach obu córek, ale w żadnym stopniu nie uczestniczyła w przygotowaniach do nich. John po prostu wypisał czeki na odpowiednie kwoty i w ten sposób rodzina jakoś przeżyła oba wydarzenia.

Joey Bernardo przyjechał do New Haven w sobotę po południu, dzień przed rozdaniem dyplomów na wydziale prawa, i zgodnie z instrukcją otrzymaną w liście doręczonym przez pocztę amerykańską udał się do wielkiej, pogrążonej w półmroku pizzerii Santo's, półtora kilometra za kampusem. Punktualnie o piętnastej w sobotę, dwudziestego czwartego maja, usiadł w boksie w prawym kącie w głębi sali i zaczął czekać. Był trochę rozbawiony, trochę zaciekawiony i nadal niepewny, czy jego przyjaciel nie postradał zmysłów. Po minucie zjawił się Kyle, który wszedł na salę od tyłu i usiadł naprzeciwko Joeya. Podali sobie ręce i Kyle obrzucił czujnym spojrzeniem znajdujące się daleko przed nimi główne wejście. Pizzeria była niemal pusta, z głośników płynął śpiew Bruce'a Springsteena.

– Powiedz coś – rzucił Joey, coraz mniej rozbawiony.

– Chodzą za mną.

– Chyba ci odbiło. Pewnie z przepracowania.

– Przymknij się i słuchaj.

Nastoletnia kelnerka zatrzymała się przy ich stoliku na tyle długo, by spytać, czego sobie życzą. Obaj zamówili po dietetycznej coli, Kyle dodatkowo dużą pizzę pepperoni.

– Aż taki głodny nie jestem – mruknął Joey po odejściu dziewczyny.

– Jesteśmy w pizzerii, więc trzeba zamówić pizzę. Inaczej będzie wyglądać podejrzanie. Za chwilę bandzior w spranych dżinsach, ciemnozielonej bluzie i bejsbolówce khaki wejdzie tamtymi drzwiami, nie zwróci na nas uwagi i prawdopodobnie usiądzie przy barze. Posiedzi jakieś dziesięć minut i wyjdzie. Nawet nie spojrzy w naszą stronę, ale wszystko odnotuje. Kiedy stąd wyjdziesz, on lub któryś z jego kompanów pójdzie za tobą, spisze twoje numery i po paru minutach będą wiedzieli, że odbyłem na wpół potajemne spotkanie ze swoim starym kumplem Joeyem Bernardo.

– Ci ludzie to twoi koledzy?

– Nie. To zawodowcy, ale ponieważ ja to ja, a nie jakiś podobny do nich drań, to im się zdaje, że nic nie wiem o tym, że mnie śledzą.

– No jasne! To mi wszystko wyjaśnia. A dlaczego, mniej więcej, oni cię śledzą?

– To długa historia.

– Chyba nie zacząłeś znów pić, co? Ani nic nie ćpasz?

– Nigdy niczego nie ćpałem i doskonale to wiesz. Nie, nie zacząłem pić i nie jestem walnięty. Mówię śmiertelnie poważnie i potrzebuję twojej pomocy.

– Potrzebujesz wizyty u psychulca, Kyle. Zachowujesz się jak nawiedzony. Oczy też ci podejrzanie błyszczą.

Drzwi się otworzyły i na salę wszedł ktoś wyglądający dokładnie tak, jak Kyle go opisał, tyle że miał jeszcze okulary w okrągłej szylkretowej oprawce.

– Nie przypatruj mu się – szepnął Kyle, widząc, jak Joeyowi opada szczęka.

Kelnerka przyniosła cole i obaj się napili.

Mężczyzna podszedł do baru i zamówił beczkowe piwo. Siedząc na stołku, mógł w długim lustrze nad rzędami butelek obserwować ich stolik, nie mógł jednak w żaden sposób słyszeć tego, co mówią.

– Założył okulary – powiedział Kyle, szeroko się uśmiechając, jakby opowiadał coś śmiesznego. – Okulary przeciwsłoneczne

wyglądałyby tu dziwnie. Włożył duże i okrągłe, więc może się niepostrzeżenie rozglądać. Uśmiechaj się. Parsknij śmiechem. Jesteśmy starymi kumplami, którym zebrało się na wspomnienia. Ale nic poważnego.

Joey był tak zdumiony, że nie udało mu się ani uśmiechnąć, ani parsknąć. Wyręczył go Kyle, który wybuchnął głośnym śmiechem i oderwał kawał pizzy właśnie przyniesionej przez kelnerkę. Sprawiając wrażenie rozbawionego, z pełnymi ustami wymamrotał do Joeya:

– Jedz, stary, uśmiechaj się i mów coś.

– Coś ty narozrabiał? Ten facet to glina czy ktoś w tym rodzaju?

– Ktoś w tym rodzaju. Nie zrobiłem nic złego, ale to nadal skomplikowana sprawa. A ty jesteś w nią zamieszany. Pogadajmy o Piratach.

– Piraci zajmują ostatnie miejsce i we wrześniu też będą ostatni. Lepiej znajdź inny temat albo inną drużynę. – Joey w końcu wziął kawałek pizzy i odgryzł połowę. – Muszę zamówić piwo. Nie da się jeść pizzy bez piwa.

Kyle kiwnął na ospałą kelnerkę i zamówił jedno piwo.

W rogu sali wisiał wielki płaski telewizor i na kanale ESPN szły migawki z meczów baseballu. Przez chwilę jedli, wpatrując się w ekran.

Mężczyzna przy barze zmagał się z dużym kuflem piwa i po dziesięciu minutach udało mu się opróżnić go do dna. Zapłacił drobnymi i wyszedł. Gdy drzwi za nim się zamknęły, Joey spojrzał na Kyle'a.

– Co tu, do cholery, jest grane? – prychnął.

– Musimy o tym porozmawiać, ale nie tu. Zajmie nam to z godzinę albo dwie, a pierwsza rozmowa doprowadzi do następnej. Jeśli spróbujemy to zrobić podczas tego weekendu, to nas namierzą. Dranie nas obserwują i jak tylko zauważą, że rozmawiamy poważnie, domyślą się o czym. Trzeba spokojnie dokończyć pizzę, wyjść stąd frontowymi drzwiami i aż do twojego wyjazdu nie rozmawiać w cztery oczy.

– Dzięki za zaproszenie na rozdanie dyplomów.

– Nie zaprosiłem cię na rozdanie dyplomów, Joey. Przepraszam. Powodem, dla którego tu jesteś, jest to. – Kyle przesunął ku niemu złożoną kartkę. – Schowaj to do kieszeni. Szybko.

Joey chwycił kartkę, rozejrzał się lękliwie, jakby się bojąc, że ktoś się na niego rzuci, i wsunął kartkę do kieszeni dżinsów.

– Co to jest, Kyle?

– Zaufaj mi, Joey. Mam kłopoty i potrzebuję pomocy. Poza tobą nie mam nikogo.

– I ja w to jestem zamieszany?

– Może. Skończmy tę pizzę i chodźmy stąd. Oto mój plan. Zaraz będzie czwarty lipca. Wpadniesz na cudowny pomysł spływu tratwą po New River w Wirginii Zachodniej. Trzy dni na wodzie, dwie noce na biwaku. Ja, ty i paru chłopaków ze starej bandy z Duquesne. Męski weekend, póki jeszcze można. Na tej liście masz dziesięć nazwisk i adresów mailowych, wszystkich znasz. Na liście jest też nazwa wypożyczalni sprzętu w Beckley, w Wirginii Zachodniej. Odrobiłem pracę domową.

Joey bezradnie pokręcił głową, jakby nic z tego nie rozumiał.

– Celem wycieczki jest wyrwanie się spod kurateli. Jak już znajdziemy się na wodzie i w otoczeniu gór, nie będą mogli mnie śledzić. Wtedy będziemy mogli porozmawiać bez obaw, że ktoś nas szpieguje.

– To szaleństwo. Ty oszalałeś!

– Zamknij się, Joey. Nie oszalałem. Mówię śmiertelnie poważnie. Szpiegują mnie non stop. Podsłuchują moje rozmowy telefoniczne, włamali mi się do laptopa.

– I to nie są gliny?

– Nie, są dużo gorsi od glin. Jeśli za długo tu posiedzimy razem, od razu nabiorą podejrzeń

i twoje życie mocno się skomplikuje. Zjedz kawałek pizzy.

– Nie jestem głodny.

Zapadło dłuższe milczenie. Kyle nie przestawał jeść, Joey nie odrywał wzroku od ekranu z urywkami meczów. Springsteen nie przestawał śpiewać.

– Słuchaj, trzeba stąd pryskać – odezwał się w końcu Kyle. – Mam ci dużo do powiedzenia, ale nie mogę tego zrobić teraz. Jeśli zorganizujesz ten spływ, będzie fajna zabawa, a ja ci opowiem całą historię.

– Pływałeś kiedyś na tratwie?

– Jasne. A ty?

– Nie. I nie lubię wody.

– Dadzą nam kamizelki ratunkowe. Nie daj się prosić, Joey, będzie fajnie. Za rok o tej porze będziesz żonaty i twoje życie się skończy.

– Dzięki, przyjacielu.

– To będzie męska przygoda na rzece, paru starych kumpli z college'u. Porozsyłaj maile i zbierz ich do kupy. Co ty na to?

– Jasne, Kyle. Jak chcesz.

– Ale kiedy wyślesz maila do mnie, użyj zmyłki.

– Zmyłki?

– Masz tam wszystko opisane. Zawiadomisz mnie, że wybieramy się nad Potomac w zachodnim Marylandzie. Te sukinsyny nie mogą zbyt wcześnie poznać naszych planów.

– Bo co by zrobili? Popłynęli za nami motorówką?

– Nie, to tak na wszelki wypadek. Po prostu nie chcę ich mieć nigdzie w pobliżu.

– Wszystko to brzmi naprawdę bardzo dziwnie.

– Zrobi się jeszcze dziwniej.

Joey gwałtownym ruchem odsunął pizzę, oparł się łokciami o stół i wlepił wzrok w Kyle'a.

– Dobra, zrobię to – rzucił. – Ale musisz mi choć coś powiedzieć.

– Elaine wróciła ze swoją opowieścią o gwałcie.

Joey równie gwałtownym ruchem odchylił się, opadł plecami na oparcie i skulił się w sobie. Jaka Elaine? Zapomniał jej nazwiska, jeśli w ogóle kiedyś je znał. Przecież od tamtej pory minęło pięć, może sześć lat, a gliniarze nie tylko przestali się tym zajmować, lecz z hukiem to zamknęli. A dlaczego? Bo nic się nie wydarzyło. Nie było żadnego gwałtu. Może był seks, ale z tą dziwką wszystko odbywało się za jej zgodą. Na grudzień miał zaplanowany ślub z dziewczyną swoich

marzeń i nic, absolutnie nic, nie mogło mu w tym przeszkodzić. Czekała go kariera, jasna przyszłość, reputacja. Więc jak ten koszmar może znów powracać?

Tak wiele słów cisnęło mu się na usta, że w końcu nie powiedział nic. Wpatrywał się tylko w Kyle'a, a ten poczuł, że zaczyna mu współczuć.

„Jest przytomna?" – spytał Joey.

A Baxter Tate nie odpowiedział. Nie odpowiedziała też ona.

– Poradzimy sobie z tym, Joey. To jest straszne, ale damy radę. Musimy jedynie parę godzin porozmawiać. Tylko nie tu i nie teraz. Musimy wyjechać.

– Jasne. Jak chcesz.

Tego wieczoru Kyle spotkał się z ojcem na kolacji w greckiej knajpie Athenian. Dołączył do nich Joey Bernardo, który wcześniej wypił kilka drinków i zrobił się tak posępny, że aż nudny. A może nie tyle posępny, co zgnębiony lub wystraszony, trudno powiedzieć jaki. John McAvoy wypił dwa martini, nim w ogóle zajrzał do menu, i zaczął snuć opowieści ze swych dawnych spraw i potyczek w sądzie. Joey pił równo z nim i wkrótce jego mowa stała się nieco

bełkotliwa, ale posępny nastrój i tak go nie opuszczał.

Kyle zaprosił go po to, by zniechęcić ojca do podejmowania prób ostatniej szansy i namawiania go, by oparł się pokusom prawa korporacyjnego i zrobił ze swym życiem coś pożytecznego. Ale po drugim martini i w obecności z trudem kojarzącego Joeya ojciec i tak przystąpił do szturmu. Kyle nie próbował nawet dyskutować. Jedząc hummus i zagryzając czosnkowymi krakersami, słuchał w milczeniu. Kelner przyniósł czerwone wino i ojciec wdał się w kolejną opowieść o tym, jak przyszło mu reprezentować pewnego biedaka, który miał rację, ale nie miał pieniędzy, i jak przyjął tę sprawę i oczywiście wygrał, bo tym się kończy większość opowieści adwokatów. John McAvoy był bohaterem wszystkich swoich opowieści, ratował w nich biedaków i chronił bezbronnych.

Kyle niemal zatęsknił za matką.

Późnym wieczorem Kyle po raz ostatni przespacerował się po kampusie jako student. Oszołomiło go tempo, w jakim minęły ostatnie trzy lata, ale jednocześnie był już zmęczony uczelnią. Miał dość wykładów, ćwiczeń i egzaminów, a także skromnej studenckiej egzystencji. Miał dwadzieścia pięć lat i był

dojrzałym, solidnie wykształconym mężczyzną, wolnym od zgubnych nałogów i pozbawionym zasadniczych wad.

Miał wszystkie dane ku temu, by patrzeć z optymizmem w jasną i radosną przyszłość.

A tymczasem ogarniał go lęk i złe przeczucia. Miał za sobą siedem lat nauki i pasmo szkolnych i studenckich sukcesów, przed sobą godne pożałowania życie szpiega wbrew woli.

Rozdział 12

Z dwóch mieszkań rozważanych przez Kyle'a Bennie preferował lokal w dawnej rzeźni – studwudziestoletnim budynku w okolicy hotelu Gansevoort, który zaprojektowano z myślą o szlachtowaniu bydła. Śmiercionośna działalność należała już jednak do przeszłości, deweloper stanął na wysokości zadania i całkowicie przebudował wnętrza, zamieniając je w rząd butików na parterze, eleganckie biura na pierwszym piętrze i nowoczesne mieszkania od drugiego piętra wzwyż. Na Benniem słowa „elegancki" i „nowoczesny" nie robiły żadnego wrażenia, obojętna mu też była atrakcyjna lokalizacja. Dla niego najważniejsze było to, że mieszkanie bezpośrednio nad mieszkaniem 5D też jest na wynajem. Natychmiast wynajął na sześć miesięcy lokal 6D za pięć tysięcy dwieście dolarów miesięcznie i czekał, aż Kyle podpisze umowę na mieszkanie 5D.

Kyle jednak coraz bardziej się skłaniał ku mieszkaniu na pierwszym piętrze w budynku bez windy przy Beekman Street, nieopodal ratusza i mostu Brooklińskiego. Mieszkanie było mniejsze i tańsze i kosztowało „tylko” trzy tysiące osiemset dolarów, co w przeliczeniu na metr kwadratowy i tak było zdzierstwem. W New Haven dzielili się ze współlokatorem czynszem wysokości tysiąca dolarów za lokal trzykrotnie większy od mieszkań oglądanych na Manhattanie.

Od firmy Scully & Pershing dostał bonus powitalny wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów i chciał te pieniądze wykorzystać na wynajęcie przyzwoitego lokum i zrobić to na początku lata, gdy ceny mieszkań spadały. Zamierzał się zamknąć w swoim nowym domu, przez sześć tygodni kuć do egzaminu adwokackiego i przystąpić do niego pod koniec lipca.

Bojąc się, że Kyle jest gotów zdecydować się na mieszkanie przy Beekman Street, Bennie wysłał jednego ze swoich ludzi z zadaniem podkupienia agenta nieruchomości i zaoferowania mu wyższej ceny. Plan się powiódł i Kyle’owi nie pozostało nic innego, jak zamieszkać w dawnej rzeźni. Po tym, jak ustnie

potwierdził wynajem mieszkania 5D na rok za pięć tysięcy sto dolarów miesięcznie od piętnastego lipca, dwa tygodnie przed planowaną przeprowadzką Bennie wysłał ekipę specjalistów w celu odpowiedniego „wykończenia” lokalu. Ściany we wszystkich pomieszczeniach naszpikowano urządzeniami podsłuchowymi. Zajęto się łączami telefonicznymi i internetowymi i podłączono je do odbiorników w komputerach w mieszkaniu piętro wyżej. Zainstalowano też cztery ukryte kamery – po jednej w salonie, kuchni i obu sypialniach. W razie gdyby Kyle lub ktoś inny je wypatrzył, każdą można było natychmiast zdemontować. Obraz z kamer też trafiał do komputerów w 6D, dzięki czemu Bennie i jego ludzie mogli podglądać Kyle’a w każdej sytuacji z wyjątkiem stania pod prysznicem, golenia, mycia zębów i korzystania z toalety. W pewnych sprawach należy zachowywać dyskrecję.

Drugiego lipca Kyle załadował cały swój dobytek do jeepa cherokee i opuścił Yale i New Haven. Przez kilka pierwszych kilometrów żegnał się z rozrzewnieniem ze swym studenckim życiem, ale po minięciu Bridgeport myślał już tylko o egzaminie adwokackim i tym, co go po nim czeka. Wjechał na Manhattan, gdzie

miał spędzić kilka dni u przyjaciół i piętnastego wprowadzić się do nowego mieszkania. Zostało mu jeszcze podpisanie formalnej umowy najmu i agentka nieruchomości zaczynała się niecierpliwić, on jednak nie reagował na jej telefony.

Zgodnie z planem trzeciego lipca pojechał taksówką do hotelu Peninsula w centrum Manhattanu i w apartamencie na dziewiątym piętrze spotkał się z Benniem Wrightem. Jego prześladowca był jak zwykle w ciemnym garniturze, białej koszuli, nijakim krawacie i czarnych butach, ale tym razem zmienił nieco wygląd. Był bez marynarki, a koszulę opinała uprząż z czarnej skóry z kaburą, w której pod lewą pachą tkwiła dziewięciomilimetrowa beretta. Jeden szybki ruch prawej ręki wystarczał do wyszarpnięcia pistoletu. Kyle'owi przemknęły przez głowę liczne uszczypliwe uwagi, jakie mógłby wygłosić na temat takiej demonstracji siły, w końcu jednak postanowił przemilczeć sprawę. Nie ulegało wątpliwości, że Bennie zrobił to celowo i może właśnie chciał sprowokować jakiś komentarz.

Po prostu to zignoruj, pomyślał Kyle.

Usiadł jak zawsze w towarzystwie Benniego – kostka prawej nogi na lewym kolanie, ręce

skrzyżowane na piersi, wyraz pogardy na twarzy.

– Gratulacje z okazji ukończenia studiów – powiedział Bennie, stając z kawą w papierowym kubku pod oknem wychodzącym na Piątą Aleję. – Wszystko poszło jak trzeba?

Przecież sam wiesz, zasrańcu. Twój człowiek widział Joeya i mnie w pizzerii. Wiesz też, co mój ojciec zjadł na kolację i ile wypił martini. Widzieliście, jak urżnięty Joey opuszczał chwiejnym krokiem grecką knajpę. A kiedy mi robili zdjęcie w todze i birecie, twoje gnojki też pewnie pstryknęły parę fotek.

– Gładko.

– To świetnie. Znalazłeś już mieszkanie?

– Chyba tak.

– Gdzie?

– A co cię to obchodzi? Myślałem, że uzgodniliśmy, że będziesz się trzymał z daleka.

– Pytam przez grzeczność, Kyle, nic więcej.

– Dlaczego? Naprawdę mnie wkurza, kiedy podczas naszych spotkań udajesz taką serdeczność, jakbyśmy byli starymi kumplami. Nie przychodzę tu dlatego, że tego chcę. Nie rozmawiam z tobą z własnego wyboru. Wolałbym w tej chwili być zupełnie gdzie indziej. Jestem tu, bo mnie szantażujesz. Gardzę tobą,

rozumiesz? Zawsze o tym pamiętaj. I skończ z tymi serdecznościami. To do ciebie nie pasuje.

– Och, mogę się zachowywać jak ostatni skurwiel.

– Bo jesteś ostatnim skurwielem!

Bennie łyknął kawy, nie przestając się uśmiechać.

– No dobra, idźmy dalej. Mogę spytać, kiedy stajesz do egzaminu?

– Nie, bo wiesz dokładnie, kiedy mam egzamin adwokacki. Po co tu jestem, Bennie? Jaki jest cel dzisiejszego spotkania?

– Czysto kurtuazyjny. Żeby cię powitać w Nowym Jorku. Żeby pogratulować ukończenia studiów. Spytać, co słychać w domu. Tego typu sprawy.

– Jestem wzruszony.

Bennie odstawił kubek, wziął do ręki gruby segregator i podał Kyle'owi.

– Tu masz zestaw najnowszych poczynań w sprawie Trylon kontra Bartin. Wniosek o oddalenie pozwu podparty oświadczeniami złożonymi pod przysięgą i dowodami, analizy za i przeciw oddaleniu, decyzja sądu o odrzuceniu wniosku, odpowiedź na pozew strony pozwanej i tak dalej. Jak ci wiadomo, akta sprawy zostały

utajnione, więc to, co trzymasz w ręce, to tylko nieautoryzowane kopie.

– Skąd to masz? – spytał Kyle.

Bennie zareagował takim samym pogardliwym uśmieszkiem, jakim kwitował wszystkie tego typu pytania.

– Jak zrobisz sobie przerwę w nauce do egzaminu, mógłbyś to przejrzeć.

– Mam pytanie. Wydaje mi się bardzo wątpliwe, żeby Scully and Pershing włączyło mnie do grupy procesowej w tej sprawie, a jeśli nawet, to jest jeszcze mniej prawdopodobne, by pozwolili takiemu żółtodziobowi wtykać w nią nos. Jestem pewny, że o tym pomyślałeś.

– A twoje pytanie…?

– Co się stanie, jeśli nie będę miał dostępu do sprawy?

– W twojej grupie nowicjuszy będzie około stu prawników, tyle samo co w roku ubiegłym i poprzednim. Z tego jakieś dziesięć procent trafi do działu procesowego, reszta rozejdzie się po działach zajmujących się fuzjami, przejęciami, podatkami, ochroną antytrustową, transakcjami, papierami wartościowymi, finansami, handlem nieruchomościami i wszystkimi innymi cudownymi usługami, jakie firma oferuje. Ty będziesz gwiazdą wśród adeptów, którzy trafią

do działu procesowego, bo jesteś z nich najlepszy, będziesz gotów pracować po osiemnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu i będziesz się przymilał, lizał tyłki i spiskował za plecami, czyli robił to wszystko, co jest niezbędne do odniesienia sukcesu w wielkiej firmie prawniczej. Będziesz chciał pracować przy tej sprawie, zażądasz tego, a ponieważ będzie to największa sprawa w firmie, w końcu postawisz na swoim.

– Przepraszam, że spytałem.

– A zanim w pełni się w nią wgryziesz, będziesz nam dostarczał innych cennych informacji.

– Na przykład jakich?

– Za wcześnie o tym mówić. Na razie skup się na egzaminie adwokackim.

– Serdeczne dzięki. Gdyby nie ty, nie przyszłoby mi to do głowy.

Dogryzali sobie jeszcze przez dziesięć minut, po czym Kyle wyszedł, jak zwykle kipiąc ze złości. Z taksówki zadzwonił do agentki nieruchomości, by ją zawiadomić, że rezygnuje z mieszkania w rzeźni. Była mocno rozczarowana, ale zachowała spokój. Kyle niczego nie podpisał i tak naprawdę nie miała na niego żadnej amunicji. Na koniec obiecał, że za

parę dni się do niej odezwie i poszukają czegoś mniejszego i tańszego.

Przeniósł swoje rzeczy do nieużywanego pokoju w mieszkaniu dwóch Charlesów w SoHo, absolwentów Yale z ubiegłego roku, którzy pracowali w dwóch różnych wielkich firmach prawniczych. Obaj grali w lacrosse w Hopkinsie i Kyle podejrzewał, że są parą, choć oficjalnie się do tego nie przyznawali, przynajmniej w Yale. Ich wzajemne relacje były dla niego obojętne, interesowało go wyłącznie łóżko, na którym mógłby się przespać, i kawałek podłogi na złożenie rzeczy. I chciał, żeby Bennie mu się nie wtrącał… na ile to możliwe. Jego gospodarze zaoferowali mu swoją graciarnię bezpłatnie, ale on się uparł, że będzie im płacił dwieście dolarów tygodniowo. Liczył, że mieszkanie okaże się idealnym miejscem do nauki, bo Charlesów prawie nigdy nie było w domu. Obaj harowali w swych firmach po sto godzin tygodniowo.

Gdy Bennie się zorientował, że przyjdzie mu zapłacić sześciomiesięczny czynsz za mieszkanie 6D w dawnej rzeźni, po pięć tysięcy dwieście dolarów miesięcznie, pokryć niebagatelny koszt „wykończenia” mieszkania piętro niżej i do tego

przez następny rok płacić po cztery tysiące sto dolarów miesięcznie za mieszkanie przy Beekman, i wszystko to za nic, wściekł się, ale nie wpadł w panikę. Strata materialna nie miała większego znaczenia. Najbardziej zdenerwowała go nieprzewidywalność postępowania Kyle'a. W ciągu minionych czterech miesięcy chłopak właściwie niczym ich nie zaskakiwał i prowadzenie jego inwigilacji przebiegało gładko. Jego lutowy wypad do Pittsburgha był dobrze rozpracowany i nie stanowił już problemu. Teraz jednak Kyle pojawił się w Nowym Jorku i śledzenie go okazało się trudniejsze. Inwigilacja cywilnego obiektu zwykle nie nastręcza problemów, bo obiekt taki myśli i postępuje w sposób przewidywalny. Dlaczego ktoś miałby się wymykać spod kontroli, jeśli nawet nie wie, że jest kontrolowany. Pytanie tylko, ile tak naprawdę Kyle wiedział i co podejrzewał? I na ile przewidywalne będzie jego dalsze postępowanie?

Bennie przez godzinę gotował się w środku, po czym zajął się planowaniem następnego ruchu. Musiał się dowiedzieć więcej o dwóch Charlesach i dokonać szybkiego rozpoznania ich mieszkania.

Drugi detoks Baxtera Tate’a zaczął się od pukania do drzwi jego domu. Potem zapukano ponownie. Nie odbierał komórki. O czwartej nad ranem wrócił taksówką z modnego klubu nocnego w Beverly Hills, a kierowca pomógł mu doczłapać do domu.

Po czwartym pukaniu bez odzewu drzwi zostały otwarte, co nie było trudne, bo Baxter nie zamknął ich od środka. Dwaj mężczyźni, specjaliści od czarnych owiec z uzależnieniami, znaleźli Baxtera leżącego na łóżku. Był kompletnie ubrany we wczorajszy strój wyjściowy – białą lnianą koszulę z plamami po jakichś płynach, czarną lnianą marynarkę od Zegny i sztucznie postarzone markowe dżinsy i mokasyny od Bragano, włożone na gołe stopy, nad którymi widać było mocno opalone kostki. Pogrążony w głębokim śnie, ciężko oddychał, ale nie chrapał. Jeszcze żył, ale można było sądzić, że przy takim trybie życia długo nie pociągnie.

Mężczyźni szybko przeszukali sypialnię i przylegającą do niej łazienkę, by upewnić się, że nie ma w nich broni. Sami byli uzbrojeni, ale pistolety mieli schowane pod marynarkami. Następnie połączyli się przez radio z czekającym pod domem samochodem i do mieszkania wkroczył trzeci mężczyzna. Był nim stryj

Baxtera, Walter Tate. Wujek Wally, brat ojca Baxtera, jedyny z pięciu braci, który do czegoś w życiu doszedł. Rodzinna fortuna w bankowości liczyła już trzy pokolenia i topniała w regularnym, choć nie zastraszającym tempie. Walter ostatni raz spotkał się z bratankiem w kancelarii adwokackiej w Pittsburghu, gdzie obaj znaleźli się podczas próby załagodzenia sprawy po kolejnym pijackim wyskoku Baxtera.

Jako że jego czterej bracia nie byli w stanie samodzielnie podejmować najprostszych decyzji życiowych, Walter już dawno przejął na siebie obowiązki głowy całej rodziny. Decydował o inwestycjach, spotykał się z prawnikami, w razie potrzeby rozmawiał z prasą i niechętnie interweniował, gdy któreś z jego bratanic lub bratanków narozrabiało. Syn Waltera zginął w wypadku na lotni.

Była to jego druga interwencja w sprawie Baxtera i jednocześnie ostatnia. Do pierwszej doszło przed dwoma laty, także w Los Angeles, w wyniku czego zawieziono chłopaka na rancho w Montanie, gdzie trzeźwiał, jeździł konno, nawiązywał nowe przyjaźnie i generalnie stawał na nogi. Po powrocie do Los Angeles i swej tak zwanej hollywoodzkiej kariery Baxter wytrwał bez picia pełne dwa tygodnie. Stryj ustawił limit

na maksymalnie dwie sesje odwykowe, uznał bowiem, że jeśli to nie pomoże, bratanek może się zapić na śmierć.

Wujek Wally zaczął budzić Baxtera, dość brutalnie szarpiąc go za nogę i wyrywając z narkotycznego snu, w którym chłopak był pogrążony od dobrych dziewięciu godzin. Widok trzech obcych mężczyzn nad jego łóżkiem tak go przeraził, że odruchowo wcisnął się w najdalszy kąt i dopiero po chwili skojarzył wujka Wally'ego, który od ostatniego spotkania trochę wyłysiał i trochę przytył. Jak dawno to było? Członkowie rodziny Tate'ów rzadko się widywali i prawdę mówiąc, unikali spotkań.

Baxter przetarł oczy i rozmasował skronie, bo głowa nagle zaczęła mu pękać z bólu. Obrzucił wzrokiem wujka Wally'ego i dwóch nieznajomych.

– No, no – wymamrotał. – Co u cioci Rochelle?

Rochelle była pierwszą z żon Waltera, ale Baxter pamiętał tylko tę jedną. Bał się jej panicznie jako dziecko i od tamtej pory jej nie znosił.

– Umarła rok temu – odparł Walter.

– To straszne. To co wujka sprowadza do Los Angeles? – Baxter strząsnął ze stóp mokasyny

i objął rękami poduszkę. Nie miał już wątpliwości, do czego to wszystko zmierza.

– Przejedziemy się, Baxter. Wszyscy czterej. Zawieziemy cię do innego ośrodka. Tam cię otrzeźwią i zobaczą, czy da się jeszcze postawić cię na nogi.

– Czyli to interwencja?

– Tak.

– Ale jaja! Tu wciąż urządzają interwencje. Aż cud, że w Hollywood udaje się skończyć choćby jeden film. Wszyscy wciąż proszą o interwencje. Może w to nie uwierzysz, ale dwa miesiące temu sam wziąłem udział w czymś takim. Nazwali mnie ogniwem łączącym, ale pewnie wy dwaj wiecie wszystko na ten temat. Wyobrażacie sobie? Siedzę w pokoju hotelowym z innymi ogniwami, niektórych znam, niektórych nie, i na to wchodzi biedny Jimmy z piwem w ręce i wpada w pułapkę. Jego brat każe mu usiąść, a potem my podchodzimy i tłumaczymy biedakowi, jakim jest żałosnym zasrańcem. Jimmy się rozpłakał, ale zawsze się płacze, nie? Ja też płakałem, co? Tak, pamiętam, płakałem. Szkoda, że nie słyszeliście, jak pouczam Jimmy'ego o strasznych skutkach wódki i kokainy. Gdyby tak nie szlochał, toby się pewnie

na mnie rzucił. Mógłbym dostać szklankę wody? Co to za jedni?

– Są ze mną – burknął wujek Wally.

– Tego akurat się domyśliłem.

Jeden z pielęgniarzy wręczył Baxterowi butelkę wody, a ten wypił ją duszkiem, siorbiąc i rozlewając ją po brodzie.

– Macie może coś na ból głowy? – bąknął żałośnie. Pielęgniarze podali mu jakieś tabletki i następną butelkę wody. Łyknął tabletki, wypił butelkę do końca i spytał: – To dokąd mnie zabieracie?

– Do Nevady. W górach koło Reno jest ośrodek. Z pięknymi widokami.

– Ale nie jakieś kowbojskie rancho, co? Bo następnych trzydziestu dni na koniach nie przeżyję. Tyłek do dziś mnie boli od tamtego czasu.

Wujek Wally wciąż stał w nogach łóżkach. Od wejścia nie ruszył się na krok.

– Tym razem nie będzie żadnych koni. To zupełnie innego typu ośrodek.

– Naprawdę? Bo ja słyszałem, że wszystkie są takie same. Ludzie bez przerwy gadają o swoich odwykach i nawet porównują notatki. Fajny sposób na podrywanie lasek w barach.

Mówił z mocno zaciśniętymi powiekami, jakby głowę rozsadzał mu ból.

– Nie, ten jest inny.

– Znaczy jaki?

– Obowiązuje w nim ostrzejszy rygor, a ty dłużej w nim posiedzisz.

– Rany. Jak długo?

– Tyle, ile będzie trzeba.

– A nie mógłbym od razu przyrzec, że przestanę pić, i dać sobie spokój?

– Nie.

– I domyślam się, że skoro wujek się tu pofatygował jako wielki wódz naszego żałosnego plemienia, to mój wyjazd tam nie jest do końca dobrowolny, czy tak?

– Tak.

– I że jeśli powiem: „Wynoście się do wszystkich diabłów, bo zadzwonię na policję i zgłoszę, że we trzech się do mnie włamaliście” i że za żadne skarby nigdzie z wami nie pojadę… jeśli zrobię to wszystko, to od razu mi przypomnisz o moim udziale w funduszu powierniczym, tak?

– Tak.

Fala mdłości opadła Baxtera nagle i niespodziewanie. Zerwał się z łóżka i zrzucając po drodze marynarkę, pognał do łazienki.

Odgłosy wymiotów były donośne, długie i okraszone przekleństwami. W końcu obmył twarz, przyjrzał się w lustrze swym podpuchniętym oczom i przyznał w duchu, że parę dni w trzeźwości może mu się przydać. Nie wyobrażał sobie jednak, by miało to trwać przez resztę jego życia.

Rodzinny fundusz powierniczy został ustanowiony przez prapradziadka, który nie miał pojęcia, w co się pakuje. W czasach, kiedy nie było prywatnych odrzutowców, luksusowych jachtów, kokainy i tysiąca innych sposobów na przepuszczanie fortun, oszczędzanie dla przyszłych pokoleń było przejawem przezorności. Ale dziadek Baxtera dostrzegł pierwsze niepokojące oznaki, zatrudnił prawników i zmienił warunki funduszu w taki sposób, że rada powiernicza miała w pewnym stopniu moc decyzyjną. Pewna kwota co miesiąc trafiała na konto Baxtera, zapewniając mu wygodne życie bez pracy. Ale kurek z prawdziwymi pieniędzmi można było zakręcić, a żelazną dłoń trzymał na nim wujek Wally.

Jeśli wujek Wally mówił, że masz iść na odwyk, to się z nim nie dyskutowało.

Baxter stanął w drzwiach łazienki, oparł się o framugę i potoczył wzrokiem po trzech

intruzach. Żadnemu nie drgnęła nawet powieka.

– Jesteście tu po to, chłopcy, żeby mi połamać kciuki, gdybym się zaczął stawiać? – zwrócił się do stojącego bliżej pielęgniarza.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

– Ruszajmy, Baxter – rzucił Walter.

– Mam się spakować?

– Nie.

– Lecimy twoim odrzutowcem?

– Tak.

– Ostatnio, kiedy nim leciałem, nieźle się skułem.

– Ludzie z ośrodka powiedzieli, że po drodze możesz pić, ile zechcesz. Bar jest dobrze zaopatrzony.

– Jak długo będziemy lecieć?

– Dziewięćdziesiąt minut.

– No to nie mam za dużo czasu.

– Nie wątpię, że sobie poradzisz.

Baxter pomachał rękami i rozejrzał się po sypialni.

– A co z moim mieszkaniem? Rachunki, sprzątaczka, poczta?

– Wszystkim się zajmę. Ruszajmy.

Umył zęby, przyczesał włosy, zmienił koszulę i poszedł za wujkiem Wallym i dwoma mężczyznami do czarnej furgonetki. Przez chwilę

jechali w milczeniu, potem jednak ciszę zakłóciły dochodzące z tylnego siedzenia odgłosy szlochania Baxtera.

Rozdział 13

Kurs przygotowawczy do egzaminu adwokackiego zorganizowano na Uniwersytecie Fordham przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy i ogromne audytorium wypełniło się niemal w całości świeżo upieczonymi absolwentami wydziałów prawa. Codziennie od dziewiątej trzydzieści do trzynastej trzydzieści profesorowie z różnych pobliskich uczelni rozwodzili się nad zawiłościami prawa konstytucyjnego, karnego i majątkowego, postępowania dowodowego, zawierania umów i wielu innych dziedzin. Jako że niemal wszyscy słuchacze byli tegorocznymi absolwentami prawa, treść wykładów była znajoma i łatwo przyswajalna, przerażała natomiast objętość materiału do opanowania. Trzy lata intensywnych studiów miały być skomasowane w koszmar jednego egzaminu, trwającego szesnaście godzin rozłożonych na dwa dni. Oblewało średnio trzydzieści procent przystępujących do niego po raz pierwszy,

w związku z czym młodzi kandydaci na adwokatów bez zmrużenia oka wysupływali po trzy tysiące dolarów opłaty za kurs. Za Kyle'a i innych swoich kandydatów firma Scully & Pershing brała ten koszt na siebie.

Od wejścia do audytorium w Fordham Kyle czuł panujące tam napięcie, które do końca kursu nie opadło. Od trzeciego dnia dołączył do grona kolegów z Yale i utworzonej przez nich grupy studyjnej, która spotykała się każdego dnia po zajęciach i ślęczała nad książkami nierzadko do późnych godzin nocnych. Przez trzy lata nauki na wydziale drżeli na myśl o chwili, gdy przyjdzie im wrócić do zawiłości federalnego prawa podatkowego lub nudy kodeksu handlowego, i dzień ten właśnie nastał. Przygotowania do egzaminu adwokackiego wysysały z nich siły.

Scully & Pershing, jak większość tego typu firm, wybaczało niepowodzenie przy pierwszym podejściu do egzaminu, ale już nie przy drugim. Dwukrotne niezdanie egzaminu oznaczało rozstanie się z firmą. Kilka bardziej wymagających firm stosowało nawet kryterium jednej wpadki. Była też garstka firm patrzących bardziej przez palce; te były skłonne wybaczyć dwie wpadki, jeśli kandydat pod innymi względami wydawał się obiecujący. Niezależnie

od podejścia przyszłego pracodawcy wszyscy kandydaci drżeli ze strachu i często miewali trudności z zaśnięciem w nocy.

By przełamać monotonię kucia i przewietrzyć sobie głowę, Kyle zaczął się wybierać na długie spacery. Wędrówki bywały pouczające, a chwilami wręcz fascynujące. Poznawał nazwy ulic i stacji metra, trasy autobusowe i reguły poruszania się po mieście. Dowiadywał się, które kafejki pozostają otwarte przez całą noc i w których piekarniach można o piątej rano kupić ciepłe bagietki. Zlokalizował wspaniałe antykwariaty i odświeżył w sobie zapał do powieści szpiegowskich.

Po trzech tygodniach koczowania u dwóch Charlesów znalazł wreszcie odpowiednie mieszkanie. Któregoś poranka siedział o świcie na wysokim stołku przy oknie kafejki przy Siódmej Alei w Chelsea, sącząc duże espresso i czytając „Timesa”, gdy drzwi domu po drugiej stronie ulicy otworzyły się i dwóch mężczyzna zaczęło walczyć z przeciśnięciem przez nie kanapy. Mężczyźni z całą pewnością nie byli fachowcami od przeprowadzek i widać było, z jakim trudem zmagają się z opornym meblem. W końcu ze złością wrzucili go na pakę zaparkowanej pod domem furgonetki i wrócili

do środka. Po chwili pojawili się znów, tym razem z wielkim skórzanym fotelem, który potraktowali równie bezceremonialnie. Mężczyznom wyraźnie się śpieszyło, a ich wyprowadzka nie wyglądała na zbyt radosną. Drzwi sąsiadowały ze sklepem ze zdrową żywnością, nad którym dwa piętra wyżej widniało w oknie ogłoszenie o wolnym mieszkaniu na wynajem. Kyle przeszedł na drugą stronę ulicy, zaczepił jednego z mężczyzn i poszedł za nim na górę, by się rozejrzeć. Na drugim piętrze mieściły się cztery mieszkania. Zwalniane składało się z trzech niedużych pokoi i kuchni, a od Steve'a jakiegoś tam dowiedział się, że ma on ważną umowę najmu, ale musi pilnie wyjechać z miasta. Szybko uzgodnili podnajem mieszkania na osiem miesięcy za dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie i uścisnęli sobie ręce. Tego samego dnia po południu spotkali się w mieszkaniu na podpisanie umowy i przekazanie kluczy.

Kyle podziękował dwóm Charlesom za gościnę, zapakował swój skromny dobytek do jeepa i dwadzieścia minut później zaparkował przy rogu Siódmej i Zachodniej Dwudziestej Szóstej. Pierwszymi zakupami na pchlim targu były mocno wysłużone łóżko i stolik nocny,

drugim – pięćdziesięciocalowy płaski telewizor. Poza tym nie śpieszyło mu się z urządzaniem lub dekorowaniem czegokolwiek. Wątpił, by pomieszkał w tym lokalu dłużej niż osiem miesięcy, nie wyobrażał też sobie przyjmowania w nim gości. Mieszkanie było dobre na początek, potem znajdzie sobie coś lepszego.

Przed wyruszeniem do Wirginii Zachodniej starannie pozastawiał pułapki. Uciął kilka dziesięciocentymetrowych kawałków brązowej nici i za pomocą odrobiny wazeliny przykleił je do dolnej krawędzi drzwi do trzech pokoi. Przyglądając się nitkom, z trudem potrafił dostrzec je na tle brązowych słojów dębowej okładziny, natomiast każde otwarcie drzwi musiało spowodować oderwanie nitek i zasygnalizować nieproszoną wizytę. Pod jedną ze ścian salonu ułożył stertę podręczników, notatników i teczek z papierami, z którymi nie chciał się rozstawać. Z pozoru sterta była przypadkową kupą niepotrzebnych szpargałów, Kyle ułożył ją jednak w ściśle określonej kolejności i dodatkowo sfotografował aparatem cyfrowym. Ktoś przeglądający stertę i przekładający jej zawartość niemal na pewno nie dbałby o kolejność, ale Kyle by o tym wiedział. Powiadomił też najbliższą sąsiadkę,

wiekową Tajkę, że wyjeżdża na cztery dni i w tym czasie nie spodziewa się żadnych gości, więc gdyby usłyszała jakieś hałasy, powinna zawiadomić policję. Kobieta pokiwała głową, nie miał jednak pewności, czy cokolwiek z tego zrozumiała.

Jego zabezpieczenia były prymitywne, ale jeśli wierzyć szpiegowskim książkom, proste środki często okazują się skuteczne.

New River płynie przez góry Allegheny w południowej części Wirginii Zachodniej. Miejscami nurt jest bardzo szybki, miejscami dużo wolniejszy, ale sceneria na całej długości przepiękna. Dzięki wielu bystrzom klasy IV rzeka cieszy się dużą popularnością wśród ambitnych kajakarzy, natomiast ciągnące się kilometrami odcinki spokojnego nurtu przyciągają co roku tysiące miłośników spływów na tratwach. Z uwagi na rzesze amatorów wzdłuż rzeki funkcjonuje wiele wypożyczalni sprzętu do pływania. Kyle wyszukał jedną z nich w pobliżu miasteczka Beckley.

On, Joey i czterej koledzy z bractwa Beta spotkali się w pobliskim motelu i spędzili w nim pierwszą noc. W ramach obchodów święta

Czwartego Lipca wypili dwa kartony piwa i następnego dnia obudzili się skacowani. Kyle zadowolił się dietetycznym napojem gazowanym i po obudzeniu zaczął w myślach powtarzać paragrafy prawa upadłościowego. Wystarczył mu rzut oka na skacowanych kolegów, by docenić zalety abstynencji.

Przydzielonym przewodnikiem był miejscowy prostak imieniem Clem, którego życie upływało na wodzie i który wyłożył im kilka zasad obowiązujących na siedmiometrowej tratwie. Kaski i kamizelki ratunkowe były obowiązkowe. Palenie surowo wzbronione. Żadnego picia „na pokładzie" w trakcie spływu. Po zacumowaniu do brzegu na lunch lub nocleg mogli pić, ile dusza zapragnie. Clem doliczył się w ich bagażu dziesięciu kartonów piwa i zdał sobie sprawę, co go czeka. Pierwszego dnia rano nic specjalnego się nie działo. Słońce przypiekało, a załoga była osowiała, by nie powiedzieć padnięta, ale po południu zaczęło się już skakanie do wody i wzajemne ochlapywanie. Około piątej wszyscy poczuli nieznośne pragnienie i Clem wyszukał piaszczystą łachę na pierwszy biwak. Po wypiciu dwóch piw na głowę (Clem też dał się namówić, ale tylko na jedno) rozłożyli obozowisko z czterema namiotami i grillem, na którym

przewodnik upiekł steki T-bone. Po kolacji całe towarzystwo wybrało się na zwiedzanie terenu.

Kyle i Joey ruszyli we dwóch i po przejściu około kilometra w dół rzeki i upewnieniu się, że w pobliżu nie ma nikogo, usiedli na zwalonym pniu i zanurzyli stopy w stojącej wodzie.

– No to zaczynaj – rzucił Joey, nie bawiąc się we wstępy.

Od wielu tygodni, może nawet miesięcy, Kyle układał sobie w głowie przebieg tej rozmowy. Było mu trudno pogodzić się z myślą, że będzie musiał zaburzyć spokojną egzystencję przyjaciela, doszedł jednak do wniosku, że nie może niczego przed nim ukrywać i musi mu opowiedzieć wszystko ze szczegółami. Starał się uspokoić sumienie, wmawiając sobie, że na miejscu Joeya z pewnością chciałby znać prawdę. Gdyby to Joey jako pierwszy zobaczył nagranie i uświadomił sobie płynące z niego zagrożenie, on – Kyle – chciałby o tym wiedzieć. Ale tak naprawdę głównym powodem było szukanie dla siebie pomocy, a to już zakrawało na egoizm. Miał w głowie wstępny plan działania i zdawał sobie sprawę, że sam sobie z nim nie poradzi, zwłaszcza z Benniem śledzącym każdy jego krok. Plan mógł równie dobrze okazać się niewypałem, jak i prowadzić do niebezpiecznych sytuacji.

W dodatku nie było wiadomo, czy Joey z miejsca go nie odrzuci. Pierwszy krok dotyczył Elaine Keenan.

Joey w milczeniu wysłuchał opowieści o spotkaniu z człowiekiem znanym jako Bennie. Informacja o istnieniu nagrania wyraźnie go zdumiała, wiadomość o możliwości szantażu nim wstrząsnęła. Był przerażony, że jakaś dawno zapomniana dziewczyna może go oskarżyć o gwałt i przedstawić na to twardy dowód.

Kyle wyjawił mu wszystko poza szczegółami sporu sądowego. Nie zdał jeszcze egzaminu i nie uzyskał licencji adwokackiej, ale miał podpisaną umowę z firmą Scully & Pershing i czuł się zobowiązany do zachowania tajemnicy służbowej. W świetle poczynań, do jakich będą go zmuszać, był to oczywiście idiotyzm, ale na tę chwilę jego kariera prawnicza nie została jeszcze skalana i chciał postępować etycznie.

W pierwszym odruchu Joey próbował bez przekonania zaprzeczyć, że doszło do seksu z Elaine, ale Kyle machnął tylko ręką.

– Jesteś na tym nagraniu – powiedział możliwie najłagodniejszym tonem. – Uprawiasz seks z osobą, która jest na granicy świadomości i chwilami tę granicę przekracza. I robisz to w naszym mieszkaniu. Baxter przelatuje ją

pierwszy, potem ty. A widziałem to na dwunastocalowym ekranie laptopa. Jeśli to nagranie kiedykolwiek trafi do sądu, pokażą je na wielkim ekranie. Puszczą je jak w kinie, z podrasowanym dźwiękiem i obrazem, tak żeby nikt, a zwłaszcza sędziowie przysięgli, nie miał cienia wątpliwości, że to ty. Przykro mi, Joey, ale jesteś na tym nagraniu.

– Całkiem nagi?

– Bez kawałka ubrania. Pamiętasz to?

– To było pięć lat temu, Kyle. Starałem się jak mogłem, żeby o tym zapomnieć.

– Ale pamiętasz?

– No pewnie – mruknął niechętnie Joey. – Tylko że nie było żadnego gwałtu. Ten seks to był jej pomysł.

– Z nagrania nie bardzo to wynika.

– No cóż, na nagraniu brakuje wielu istotnych szczegółów. Po pierwsze, kiedy zjawili się gliniarze, wszyscy dali nogę. Baxter i ja wybiegliśmy na korytarz i schowaliśmy się obok w mieszkaniu Thela, gdzie też trwała impreza, tylko mniejsza i cichsza. Była tam Elaine i jak zwykle świetnie się bawiła. Zostaliśmy tam chwilę, czekając, aż gliniarze sobie pójdą, a potem Elaine powiedziała, że chciałaby stamtąd wyjść i przenieść się do nas na „sesyjkę”,

jak to lubiła nazywać. Z Baxterem i ze mną. Taka już była, Kyle, zawsze chętna. Najłatwiejsza dupa w Duquesne. Wszyscy to wiedzieli. Była fajna i bardzo łatwa.

– Dobrze ją pamiętam.

– W życiu nie spotkałem tak napalonej, a jednocześnie tak agresywnej dziewczyny. Więc zatkało nas, kiedy zaczęła coś pieprzyć o gwałcie.

– Dlatego policja dała w końcu spokój.

– No właśnie! I jest jeszcze coś, drobiazg, którego też nie ma na nagraniu. Poprzedniego wieczoru przed imprezą ty, Alan i jeszcze paru chłopaków poszliście na mecz Piratów, zgadza się?

– Tak.

– Elaine przyszła do naszego mieszkania, w czym nie było nic nadzwyczajnego. I Baxter, ja i ona urządziliśmy sobie trójkącik. Dobę później ci sami ludzie, to samo mieszkanie, wszystko tak samo, ona się spija do nieprzytomności, a potem się budzi i stwierdza, że została zgwałcona.

– Tego nie pamiętam.

– Bo nie było o czym mówić, póki nie zaczęła pieprzyć o gwałcie. Omówiliśmy to z Baxterem i postanowiliśmy siedzieć cicho, bo mogła nas jeszcze oskarżyć o to, że została zgwałcona dwa razy. Więc siedzieliśmy cicho. Ale jak policja

zaczęła nas cisnąć, to w końcu im powiedzieliśmy. I wtedy postanowili machnąć na wszystko ręką i wycofali się. Koniec sprawy, gwałtu nie było.

Mały żółwik przestał płynąć, zatrzymał się przy belce i zdawało się, że się im przygląda. Obaj przyglądali mu się i na dłuższą chwilę zapanowało milczenie.

– Baxter i Alan wiedzą? – spytał w końcu Joey.

– Nie, jeszcze nie. Powiedzenie tobie było wystarczająco trudne.

– Nie musiałeś.

– Przepraszam, ale potrzebuję przyjaciela.

– Do czego?

– Sam nie wiem. Na razie potrzebny mi ktoś do pogadania.

– Czego oni od ciebie chcą?

– Plan jest bardzo prosty. Chcą ze mnie zrobić szpiega w mojej firmie, żebym im dostarczał różne sekrety, które stronie przeciwnej pomogą wygrać wielki proces sądowy.

– Rzeczywiście proste. A co będzie, jak cię złapią?

– Odbiorą mi uprawnienia adwokackie, postawią w stan oskarżenia i skażą na pięć lat w więzieniu. Stanowym, nie federalnym.

– Tylko tyle?

– Zbankrutuję, zostanę upokorzony. Lista jest długa.

– Potrzebujesz czegoś więcej niż przyjaciela.

Żółwik wygramolił się na piaszczysty brzeg i skrył wśród korzeni powalonego drzewa.

– Chyba powinniśmy wracać – powiedział Kyle.

– Musimy jeszcze porozmawiać. Muszę to wszystko przemyśleć.

– Potem znów się wymkniemy.

Wrócili brzegiem rzeki do obozowiska. Słońce schowało się już za górami i szybko zapadał mrok. Clem przegarnął żar na ognisku i dorzucił kilka szczap drewna. Załoga tratwy podeszła do ognia, otwarto kolejne piwa i zaczęły się pogaduszki. Kyle spytał, czy ktoś słyszał coś o Baxterze. Plotka głosiła, że rodzina zamknęła go w pilnie strzeżonym ośrodku rehabilitacyjnym, ale nikt nie wiedział tego na pewno. W każdym razie od trzech tygodni do nikogo się nie odezwał. Rozmowa o Baxterze przeciągnęła się zdecydowanie za długo.

Joey nie brał w niej udziału; siedział wyraźnie osowiały.

– Kłopoty z dziewczynami? – spytał go w pewnej chwili Clem.

– Nie, tylko spać mi się chce.

Około wpół do dziesiątej wszystkich już ogarnęła senność. Piwo, słońce i czerwone mięso zmogły ich i gdy Clem skończył opowiadać trzeci przydługi kawał z mizerną puentą, byli gotowi wślizgnąć się do śpiworów. Kyle i Joey dzielili jeden namiot i gdy zabrali się do pompowania dość cienkich gumowych materacy, z drugiego końca obozowiska dobiegł ich donośny głos Clema:

– Tylko sprawdźcie, czy nie ma u was węży!

Parsknął przy tym śmiechem, wszyscy uznali to więc za kolejne silenie się na dowcip. Dziesięć minut później rozległo się jego głośne chrapanie. Szmer płynącej wody wszystkich szybko uśpił.

O trzeciej dwadzieścia nad ranem Kyle spojrzał na zegarek i odczytał godzinę. Po trzech tygodniach intensywnego wkuwania do egzaminu miewał trudności ze snem. To, że spał praktycznie na gołej ziemi, też mu w niczym nie pomagało.

– Nie śpisz? – szepnął Joey.

– Nie. Widzę, że ty też nie.

– Nie mogę spać. Chodźmy pogadać.

Po cichu rozsunęli poły namiotu i wymknęli się poza teren obozowiska. Kyle szedł pierwszy z latarką w ręce, świecąc pod nogi w obawie przed wężami. Prowadzącą pod górę ścieżką

dotarli do kamienistego traktu, rozejrzeli się na boki i wybrali miejsce pod ogromnym głazem. Kyle zgasił latarkę i chwilę odczekali, aż ich wzrok przyzwyczai się do ciemności.

– No to jeszcze raz – odezwał się Joey. – Opowiedz mi dokładnie, co jest na tym filmiku.

Nagranie wryło się Kyle'owi tak głęboko w pamięć, że bez trudu zrelacjonował jego przebieg, łącznie z długością poszczególnych scen, umiejscowieniem kamery i jej polem widzenia, wszystkimi osobami, wkroczeniem policji i pojawieniem się Elaine Keenan. Joey słuchał w milczeniu.

– No dobra, Kyle – rzucił w końcu. – Żyjesz z tym już od lutego. Miałeś kupę czasu, żeby to sobie przemyśleć. Ja na razie mam kompletny miszmasz w głowie. Więc powiedz mi, co powinniśmy zrobić.

– Podstawowa decyzja już zapadła. Zostałem oficjalnie zatrudniony w Scully and Pershing i w którymś momencie będę musiał przystąpić do działania. Ale potrzebne mi są dwie informacje. Pierwsza dotyczy Elaine. Wiem, gdzie teraz jest, ale chciałbym wiedzieć o niej coś więcej. Czy jest skłonna znów babrać się w tej sprawie, czy ma to już za sobą? Żyje teraźniejszością czy przeszłością? Bennie twierdzi, że wynajęła

adwokatkę i chce się domagać sprawiedliwości. Może tak jest, może nie. Chciałbym to wiedzieć.

– Po co?

– Bo Bennie jest zawodowym kłamcą. Jeśli ona wciąż to przeżywa lub marzy o wyduszeniu z nas, a zwłaszcza z Baxtera, trochę kasy, to chciałbym o tym wiedzieć. To może mieć istotny wpływ na moje postępowanie w firmie.

– Co się z nią teraz dzieje?

– Mieszka w Scranton, ale nie wiem nic ponadto. Za jakieś dwa tysiące dolców możemy wynająć prywatnego detektywa, który ją dla nas namierzy. Pokryję koszt, ale nie mogę sam się tym zająć, bo ci dranie bez przerwy mnie obserwują i podsłuchują.

– I chcesz, żebym ja to zrobił?

– Tak. Ale musisz być bardzo ostrożny. Żadnych telefonów ani maili. Niedaleko od twojego biura w Pittsburghu jest biuro prywatnego detektywa, który cieszy się dobrą opinią. Dam ci forsę, ty mu ją przekażesz, facet powęszy i przedstawi nam raport. Nikt się o tym nie dowie.

– I co dalej?

– Chcę wiedzieć, kim jest Bennie i dla kogo pracuje.

– Powodzenia.

– Poruszam się w ciemnościach. Może pracować dla konkurencji, dla firmy prawniczej szykującej wielki proces sądowy albo jest związany z jakąś siatką wywiadowczą, krajową lub zagraniczną. Jeśli już muszę szpiegować, to chciałbym przynajmniej wiedzieć dla kogo.

– To zbyt niebezpieczne.

– To bardzo niebezpieczne, ale wykonalne.

– W jaki sposób?

– Tak daleko jeszcze nie doszedłem.

– Super! I domyślam się, że ja mam uczestniczyć w tym planie, który jeszcze nie powstał.

– Potrzebuję pomocy, Joey. Poza tobą nie mam nikogo innego.

– Mam lepszy pomysł. Po prostu zgłoś się do FBI i wszystko im opowiedz. Powiadom ich, że ten sukinsyn próbuje zmusić cię szantażem do wykradania tajemnic w firmie twojego pracodawcy.

– Och, już o tym myślałem, wierz mi. Spędziłem wiele godzin na analizowaniu wszystkich za i przeciw takiego rozwiązania, i to nie jest dobry pomysł. Nie mam cienia wątpliwości, że Bennie jest gotów wykorzystać to nagranie. Wyśle kopię do pittsburskiej policji, drugą do Elaine, trzecią do jej adwokatki

z wyraźnym instruktażem, co ma zrobić, by wyrządzić jak najwięcej szkód mnie, tobie, Alanowi, a zwłaszcza Baxterowi. Wrzuci je do sieci. Ten filmik zaważy na życiu wielu z nas. Chcesz, żeby Blair się o tym dowiedziała?

– Nie.

– Facet nie zna litości, Joey. To zawodowiec, szpieg korporacyjny o nieograniczonych środkach finansowych i zasobach ludzkich, które pozwalają realizować wszystko, co sobie zaplanuje. Mógłby się przyglądać, jak płoniemy w ogniu tej sprawy, i śmiać się do rozpuku, zapewne siedząc gdzieś, gdzie FBI nie mogłoby do niego dotrzeć.

– Prawdziwy udzielny książę. Chyba lepiej z nim nie zaczynaj, Kyle.

– Nie planuję żadnych głupot. Joey, posłuchaj, jest szansa, że jakoś z tego wybrnę. Przez parę lat będę się babrał w tym gównie, ale w pewnej chwili moja przydatność się skończy i Bennie się zmyje. Będę miał na karku cały katalog wykroczeń etycznych i złamię zbyt wiele przepisów, by je teraz wymieniać, ale nie zostanę złapany.

– Brzmi okropnie.

Istotnie tak było. Słuchając własnych słów, Kyle nie mógł przestać myśleć o tym, w jakiej

pułapce się znalazł i jak strasznie zapowiada się jego przyszłość.

Gadali jeszcze dwie godziny, niebo zaczynało już jaśnieć, ale żaden nawet nie myślał o powrocie do namiotu. Na grzbiecie wzniesienia było chłodniej.

Dawny Joey bez namysłu rzuciłby się w wir walki, ale jego nowsza wersja zachowywała dużo większą ostrożność. Musiał pamiętać o ślubie i wspólnym życiu z Blair. Zdążyli już razem kupić mieszkanie i Joey bez cienia zażenowania opowiadał, jaką radość sprawia mu jego urządzanie. Joey Bernardo urządzający mieszkanie?

Śniadanie składało się z jajecznicy z bekonem, cebulą i pikantnym sosem. Clem osobiście zajął się smażeniem nad ogniskiem, podczas gdy załoga zwijała obozowisko i ładowała klamoty na tratwę. O ósmej byli już na wodzie i beztrosko spływali z nurtem New River.

Po miesiącu spędzonym w wielkim mieście Kyle rozkoszował się świeżym powietrzem i widokami. Z zazdrością myślał o Clemie, starym mieszkańcu gór, który zarabiał grosze i jeszcze mniej potrzebował. Od dwudziestu lat pływał po „tych rzekach”, ciesząc się każdą minutą spędzaną na wodzie. Jakże cudownie

nieskomplikowane życie. Kyle zamieniłby się z nim bez namysłu.

Na samą myśl o powrocie do Nowego Jorku robiło mu się niedobrze. Był szósty lipca. Do egzaminu adwokackiego zostały trzy tygodnie. Do podjęcia pracy w Scully & Pershing – dwa miesiące.

Rozdział 14

Punktualnie o ósmej rano we wtorek drugiego września sto troje elegancko ubranych i mocno stremowanych adeptów prawa zebrało się na półpiętrze czterdziestego trzeciego piętra na powitalną kawę i szklaneczkę soku. Wszyscy wpisali się na listę obecności, otrzymali plakietki z nazwiskami i zaczęli się sobie przedstawiać, gawędzić i szukać wzrokiem znajomych twarzy. O ósmej piętnaście otwarto drzwi wielkiej sali konferencyjnej i każdemu wchodzącemu wręczono dziesięciocentymetrowy plik w okładce z wytłoczonym gotyckim logo firmy Scully & Pershing. Na plik składały się typowe materiały informacyjne: historia firmy, firmowa książka adresowa, prospekty omawiające politykę firmy, formularze wniosków o ubezpieczenie zdrowotne i tak dalej, i tak dalej. Zszywka zatytułowana „Różne” zawierała dane statystyczne ich grupy: siedemdziesięciu jeden mężczyzn, trzydzieści dwie kobiety, z czego

siedemdziesięcioro pięcioro białych, trzynaścioro Afroamerykanów, siedmioro Latynosów, pięcioro Azjatów i troje innych; pięćdziesięcioro ośmioro protestantów, dwadzieścioro dwoje katolików, dziewięcioro żydów, dwóch muzułmanów, dwanaścioro bezwyznaniowców. Przy każdym nazwisku zamieszczono maleńką czarno-białą fotografię i kilkuzdaniową notkę osobową. Przeważali absolwenci uczelni Ligi Bluszczowej, ale reprezentowane też były inne czołowe wydziały prawa: Uniwersytetu Nowojorskiego, Georgetown, Duke'a, Stanfordu, uniwersytetów stanowych Michigan, Teksasu, Chicago, Karoliny Północnej i Wirginii. Nie było nikogo z uczelni drugorzędnych.

Kyle usiadł przy absolwentach Yale i zaczął się bawić liczbami. W grupie było czternaścioro absolwentów Harvardu i choć w tym momencie nie dawało się ich odróżnić od innych, wiadomo było, że wkrótce wszyscy będą potrafili ich rozpoznać. Pięcioro z Yale, nikogo z Princeton, jako że nigdy nie powstał tam wydział prawa, dziewięcioro z Columbii.

Przy stu trojgu adeptach z początkową pensją dwustu tysięcy dolarów rocznie na sali siedział narybek prawniczy o wartości ponad dwudziestu milionów dolarów. Kupa forsy, tyle że w ciągu

następnych dwunastu miesięcy każdy z nich miał obowiązek zafakturować co najmniej dwa tysiące godzin pracy po trzysta, czterysta dolarów za godzinę. Liczba naliczonych godzin bywała różna, ale można było spokojnie zakładać, że grupa świeżo upieczonych adwokatów wygeneruje dla firmy roczny przychód rzędu siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów. Takich sum w materiałach informacyjnych nie było, ale rachunek był prosty.

Brak też było innych liczb. Z grupy stu trzech nowych adeptów po drugim roku pracy wykruszy się piętnaście procent, a raptem dziesięć procent przetrwa i po siedmiu lub ośmiu latach pracy dochrapie się statusu wspólnika. Odsiew był brutalny, ale firmy to nie bolało. Na rynku pracy występowała ogromna podaż nowej siły roboczej, absolwentów Harvardu i Yale nie wyłączając.

O wpół do dziewiątej na salę wkroczyła grupa starszych mężczyzn, którzy zajęli miejsca na niewielkim podium. Jeden z nich, wspólnik zarządzający Howard Meezer, zrobił krok do przodu i wygłosił kwiecistą mowę powitalną, zapewne powtarzaną od wielu lat i wykutą na pamięć. Poinformował zebranych, jak skrupulatnie zostali wyselekcjonowani, po czym

następne kilka minut poświęcił na zachwyty nad firmą. A potem pokrótce przedstawił program reszty tygodnia. Najbliższe dwa dni adepci mieli spędzić na tej sali, wysłuchując referatów o różnych aspektach czekającej ich kariery i pracy w dobrej starej firmie Scully & Pershing. Na środę przewidziano całodniowe szkolenie z technik komputerowych, w czwartek grupa zostanie podzielona na mniejsze zespoły, które rozpoczną szkolenie w wybranych dziedzinach prawa. Szybkimi krokami wkraczała nuda.

Następny mówca zreferował system wynagrodzeń i dodatkowych beneficjów, po nim zabrał głos naczelny archiwista firmy, który przez bitą godzinę mędził o dokumentacji prawniczej. Psycholog mówił o wyzwaniach pracy w warunkach stresu i dał słuchaczom grzecznie do zrozumienia, że byłoby ze wszech miar pożądane przesunięcie na później planów matrymonialnych. Tych, którym już się pośpieszyło i byli w związkach małżeńskich, poinformował, że w dziesięciu największych firmach prawniczych Nowego Jorku odsetek rozwodów wśród prawników w wieku poniżej trzydziestu lat wynosi siedemdziesiąt dwa procent. Monotonię prezentacji przerwało pojawienie się grupy technicznej, która rozdała

wszystkim lśniące nowością laptopy i przeprowadziła długie szkolenie z ich korzystania. Kolejny doradca techniczny rozdał budzące respekt FirmFony – smartfony nieróżniące się zbytnio od modeli dostępnych na rynku, ale specjalnie zaprojektowane z myślą o intensywnej eksploatacji przez prawników Scully & Pershing. Aparaty były wytworem firmy specjalizującej się w projektowaniu i produkcji różnego rodzaju gadżetów elektronicznych, którą S&P dekadę wcześniej z powodzeniem wprowadziło na giełdę. Telefony dostarczały podstawowe dane biograficzne nie tylko wszystkich prawników z trzydziestu działów firmy – i zapewniały z nimi bezpośrednią łączność – ale i całego personelu pomocniczego łącznie z sekretarkami, czyli prawie pięciu tysięcy osób w samym tylko Nowym Jorku. Baza danych zawierała szczegółowe informacje o wszystkich klientach firmy, podręczną bibliotekę najczęściej wykorzystywanych dokumentów, ostatnie werdykty stanowych i federalnych sądów apelacyjnych oraz listę wszystkich sędziów i urzędników sądowych z terenu Nowego Jorku i New Jersey. Aparaty zapewniały szybki dostęp do internetu i były wyposażone w oszałamiający zestaw dzwonków

i sygnałów alarmowych. Były zarówno cenne, jak i bezcenne i jeśli komuś zdarzało się je zgubić lub w inny sposób utracić, delikwent musiał się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Należało mieć je przy sobie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Innymi słowy, sprytny mały FirmFon przejmował od teraz kontrolę nad ich życiem. Legendy wielkich firm prawniczych były pełne przerażających opowieści o niewłaściwym korzystaniu ze służbowych telefonów komórkowych i maili.

Wśród słuchaczy odezwały się sarkastyczne uwagi i lekkie pomruki niezadowolenia, ale niezbyt głośne. Żaden z żartownisiów nie zamierzał się wychylać.

Adeptów zaproszono do holu na szybki lunch na stojąco, po czym wrócili na salę. Popołudnie zaczynało się dłużyć, ale zainteresowanie słuchaczy utrzymywało się na wysokim poziomie. To nie były już nudne uniwersyteckie wykłady. Tu się mówiło o konkretach. Sesja informacyjna dobiegła końca o osiemnastej i wśród opuszczających salę słuchaczy rozlegały się nawoływania umawiających się na skok do pobliskiego baru.

W środę poddano Kyle’a pierwszemu testowi. Z jedenastoma innymi osobami został przydzielony do ćwiczebnej grupy procesowej i zaprowadzony do salki konferencyjnej na trzydziestym piętrze, gdzie powitał ich Wilson Rush, czołowy adwokat procesowy firmy, który z jej ramienia prowadził sprawę Trylon Aeronautics w sporze sądowym z Bartin Dynamics, choć nikt tego głośno nie powiedział. Kyle przeczytał o mecenasie Rushu tak dużo, że czuł się niemal tak, jakby go znał osobiście. Słynny prawnik opowiedział kilka anegdot ze swych głośnych potyczek sądowych i pośpiesznie opuścił salę, zapewne by postawić przed sądem następną wielką korporację. Rozdano kolejne opasłe segregatory z materiałami i zaprezentowano następny referat, tym razem o technice przygotowywania pozwów i odpowiadania na nie, składania wniosków procesowych i podejmowania innych czynności, które mają na celu przyśpieszenie sprawy lub pogrążenie jej w odmętach prawniczych kruczków.

Na tym etapie ujawnił się ich pierwszy gorliwiec. W każdej grupie jest co najmniej jeden taki, i to bez względu na to, czy chodzi o pierwszoroczniaków na wydziale prawa, czy

grupy młodych finansistów na Wall Street. Gorliwiec siada w pierwszym rzędzie, zadaje dociekliwe pytania, podlizuje się każdemu prelegentowi, analizuje sprawę pod wieloma aspektami, jest gotów poderżnąć gardło za lepsze stopnie i zadawać ciosy w plecy, by trafić do gazetki wydziałowej, chodzi na rozmowy kwalifikacyjne tylko w najsłynniejszych firmach, choćby się cieszyły jak najgorszą opinią, i podejmuje pracę z zamiarem dotarcia do statusu wspólnika przed kimkolwiek innym z jego grupy. Gorliwcy idą jak burza i zwykle rzeczywiście zostają wspólnikami.

Ten nazywał się Jeff Tabor i bezzwłocznie uświadomił reszcie adeptów, kim jest, bo już w pierwszym pytaniu nie omieszkał zauważyć, że „nas na Harvardzie uczono, że nie należy ujawniać wszystkich faktów od razu we wstępnym pozwie".

Prowadzący wykład prawnik z pięcioletnim stażem zaripostował: „Tu nie Kansas, kolego. Działamy po naszemu albo wcale" i wszyscy z wyjątkiem gorliwca się roześmiali.

W środę o dwudziestej pierwszej dwunastu nowo mianowanych prawników procesowych umówiło się w trzygwiazdkowej knajpce w śródmieściu na kolację z Dougiem

Peckhamem, wspólnikiem w S&P, który podczas ubiegłorocznej letniej praktyki był opiekunem Kyle'a. Zebrali się przy barze, zamówili po drinku i zaczęło się czekanie. O dwudziestej pierwszej piętnaście ktoś jako pierwszy bąknął o niepunktualności ich gospodarza. Wszyscy mieli przy sobie służbowe FirmFony, a ściślej mówiąc, każdy z nich dysponował dwoma telefonami. Stara komórka Kyle'a tkwiła w jego prawej kieszeni spodni, FirmFon był w lewej. O dwudziestej pierwszej trzydzieści zaczęli się naradzać, czy nie powinni zadzwonić do pana Peckhama, uznali jednak, że lepiej nie. Dziesięć minut później Peckham zadzwonił na numer Kyle'a z krótkimi przeprosinami. Był na rozprawie, która się przeciągnęła, i musiał jeszcze wrócić do biura, by coś pilnie załatwić. Mieli usiąść do kolacji bez niego i nie martwić się o rachunek.

Świadomość, że ktoś o statusie wspólnika w firmie musi o dziesiątej wieczór siedzieć w biurze i pracować, nieco zwarzyła nastroje, odebrała apetyt młodym prawnikom i narzuciła tematykę rozmów przy stole. Racząc się suto winem, zaczęli się przerzucać opowieściami o znanych im przypadkach wykorzystywania prawników przez firmy. Konkurs wygrał

gorliwiec Tabor, który po paru kieliszkach okazał się mniejszym gnojkiem niż w ciągu dnia. Podczas ubiegłorocznej rundy zapoznawczej po firmach natknął się na kolegę z college'u. Kolega drugi rok pracował w jednej z wielkich firm prawniczych i był jedną kupą nieszczęścia. Przydzielono mu maciupki pokoik do pracy i gdy Tabor do niego zajrzał, kolega spróbował szybko wcisnąć pod biurko leżący na podłodze śpiwór. Jak zwykle ciekawski Tabor zapytał: „A po co ci to?", ale zanim tamten zdążył odpowiedzieć, on już wszystko wiedział. Kolega z zawstydzeniem przyznał, że czasami musi jednak oderwać się od nocnej pracy i parę godzin przespać. Tabor nie popuścił i wydusił z niego prawdę. Firma była wrednym pracodawcą, a większość młodych adeptów umieszczono na jednym piętrze, które przezywano kempingiem.

Dziewiętnastego dnia kuracji odwykowej Baxtera w ośrodku Washoe do niewielkiej salki konferencyjnej wszedł Walter Tate, przywitał się z bratankiem i podał rękę doktorowi Boone'owi, głównemu terapeucie Baxtera. Panowie kilkakrotnie rozmawiali przez telefon, ale wcześniej się nie spotkali.

Baxter wyglądał zdrowo, był opalony i w stosunkowo dobrym nastroju. Miał za sobą dziewięćdziesiąt dni bez grama alkoholu i narkotyków, co stanowiło najdłuższy okres wstrzemięźliwości od co najmniej dziesięciu lat. Pod naporem wujka Wally'ego niechętnie podpisał zgodę, która dawała klinice prawo trzymania go pod kluczem do sześciu miesięcy, był już jednak gotów opuścić mury ośrodka. Wujek Wally nie był tego taki pewien.

Kluczową postacią spotkania był doktor Boone, który dość rozwlekle przedstawił raport o postępach kuracjusza. Po wstępnym „wysuszeniu" poddano go początkowym etapom terapii, które zaliczył śpiewająco. Zdawał sobie sprawę ze swojego problemu. W dwudziestym trzecim dniu kuracji przyznał, że jest alkoholikiem i nadużywa narkotyków, nadal jednak nie chciał się przyznać do fizycznego uzależnienia od kokainy, która stanowiła jego ulubioną używkę. Od pierwszej chwili pobytu w ośrodku okazywał chęć do współpracy z terapeutami, a nawet udzielał pomocy innym pacjentom. Codziennie z zapałem ćwiczył i bezwzględnie przestrzegał zalecanej diety, z której wykluczono kawę, herbatę i cukier. Krótko mówiąc, był wzorem pacjenta, a jego

dotychczasową rehabilitację można było uznać za w pełni udaną.

– Czy to znaczy, że można go już wypuścić? – spytał wujek Wally.

Doktor Boone, milcząc, przeniósł wzrok na Baxtera.

– A ty jak sądzisz? – zapytał.

– Oczywiście. Czuję się świetnie. Życie na trzeźwo bardzo mi pasuje.

– Już to słyszałem, Baxter – rzekł Walter. – Jak długo wytrzymałeś ostatnim razem? Dwa tygodnie?

– Większości nałogowców nie starcza jedna sesja rehabilitacyjna – wtrącił doktor Boone.

– Wtedy było inaczej – zapewnił ich Baxter. – Tamta sesja trwała tylko trzydzieści dni i wychodząc, od razu wiedziałem, że wrócę do picia.

– W Los Angeles nie da się nie pić – zauważył Walter.

– Mogę nie pić, niezależnie od tego, gdzie jestem.

– Wątpię.

– Wątpisz we mnie?

– Tak. Wątpię w ciebie. Masz mi wiele do udowodnienia, synu.

Obaj zaczerpnęli powietrza i spojrzeli wyczekująco na doktora Boone'a. Nadszedł moment decyzji, ogłoszenia wyroku, wypowiedzenia ostatniego słowa w sprawie pobytu w tym koszmarnie drogim ośrodku.

– Liczę na pańską szczerą opinię – powiedział Walter.

Doktor Boone skinął głową i nie odrywając wzroku od Baxtera, zaczął mówić:

– Jeszcze nie jesteś gotów. Nie jesteś gotów, bo nie ma w tobie złości, Baxter. Musisz osiągnąć stan, w którym będziesz wściekły na dawnego siebie, na swoje dawne życie, na dawne nałogi. Musisz zacząć nienawidzić tego, jaki byłeś. Dopiero gdy ogarnie cię ten rodzaj złości i nienawiści, poczujesz w sobie determinację, która pozwoli ci do tego nie wrócić. Widzę to po twoich oczach. Sam w to nie wierzysz. Wrócisz do Los Angeles i do starych nawyków, zaczną się imprezy towarzyskie i zaczniesz pić. Będziesz sobie wmawiał, że jeden drink nic nie znaczy. Że bez problemu nad tym zapanujesz. Tak było poprzednio. Zaczniesz od dwóch piw, potem wypijesz trzy lub cztery, a potem już pójdzie. Najpierw tylko alkohol, ale szybko pojawi się też koka. Jeśli będziesz miał szczęście, wrócisz tutaj,

a my znów ci pomożemy. Ale jeśli nie, to się zabijesz.

– Nie wierzę – powiedział Baxter.

– Rozmawiałem z kolegami. Wszyscy jesteśmy zgodni. Jeżeli teraz stąd wyjdziesz, jest duża szansa na to, że znów ruszysz w tango.

– Mowy nie ma.

– Więc jak długo jeszcze? – spytał Walter.

– To zależy od Baxtera. Przełom jeszcze nie nastąpił, bo nie ma w nim złości na dawnego siebie. – Doktor Boone spojrzał pacjentowi prosto w oczy. – W tobie wciąż jeszcze pokutuje mrzonka o wielkim sukcesie w Hollywood. Chcesz być sławny, być gwiazdą, mieć mnóstwo dziewczyn, uczestniczyć w tysiącach imprez, pojawiać się na okładkach pism, grać w głośnych filmach. Póki się tego nie wyzbędziesz, nie uda ci się uwolnić od nałogów.

– Znajdę ci jakąś prawdziwą pracę – powiedział Walter.

– Nie chcę prawdziwej pracy.

– Sam pan widzi – parsknął Boone. – Siedzisz tu i robisz wszystko, żeby nas przekonać, że możesz wrócić do Los Angeles i punktu, w którym ci przerwano. Nie jesteś pierwszą ofiarą Hollywood, jaka tu do mnie trafiła, Baxter. Miałem już z paroma do czynienia. Jeśli teraz

wrócisz, w przeciągu tygodnia znowu będziesz balował.

– A gdyby pojechał stąd gdzieś indziej? – spytał Walter.

– Po zakończeniu kuracji z całą pewnością zalecimy zmianę miejsca zamieszkania, z dala od dawnego towarzystwa. Oczywiście alkoholu nigdzie nie brakuje, ale przede wszystkim chodzi o zmianę trybu życia.

– Na przykład do Pittsburgha? – rzucił Walter.

– Och, do diabła, tylko nie to! – prychnął Baxter. – Moja cała rodzinka mieszka w Pittsburghu i spójrzcie na nią. To już wolę zdechnąć w rynsztoku.

– Zostawmy go tu jeszcze na trzydzieści dni – powiedział doktor Boone. – Potem dokonamy kolejnej oceny.

Przy cenie półtora tysiąca dolarów za dzień pobytu Walter nie był taki skory.

– I co będziecie z nim robić przez te trzydzieści dni? – spytał.

– Podejmiemy jeszcze intensywniejszą terapię. Im dłużej Baxter tu zostanie, tym większą będzie miał szansę po powrocie na rynek.

– Powrót na rynek! Kocham to określenie – burknął Baxter. – Nie wierzę, że mi coś takiego

robicie.

– Zaufaj mi, Baxter. Spędziliśmy z sobą dziesiątki godzin i wiemy, że nie jesteś jeszcze gotów.

– Jestem bardzo gotów. Nawet nie wie pan, jak bardzo.

– Zaufaj mi.

– No dobrze, spotkajmy się zatem ponownie za trzydzieści dni – zdecydował Walter.

Rozdział 15

Sesja informacyjna wlokła się przez cały czwartek i stała się tak nudna jak większość akt procesowych, które wkrótce miały trafić w ich ręce. W piątek przeszli wreszcie do kwestii celowo pomijanych dotąd milczeniem: przydziału służbowego i miejsc pracy. Wiadomo było z góry, że przydzielą im ciasne klitki, skromnie urządzone i powtykane po kątach, pytanie sprowadzało się więc tylko do tego, kto z nich trafi gorzej.

Wydział procesowy zajmował piętra od trzydziestego pierwszego do trzydziestego trzeciego i gdzieś tam, z dala od okien, mieściły się boksy z nowymi nazwiskami na małych tabliczkach przyczepionych do przepierzeń. Kyle'a zaprowadzono do boksu na trzydziestym drugim piętrze. Pomieszczenie było podzielone brezentowymi parawanami na cztery równe ćwiartki, dzięki czemu mógł siedzieć przy swoim biurku, rozmawiać cicho przez telefon

i korzystać z laptopa z zachowaniem jakiej takiej intymności. Był też schowany przed wzrokiem pozostałych, wystarczyło jednak, by siedzący po prawej Tabor lub siedząca po lewej doktor Dale Armstrong odsunęli się od biurek nie więcej niż pół metra, a wszyscy troje mogli na siebie popatrzeć.

Na biurku było miejsce na laptop, notatnik, telefon stacjonarny i na niewiele więcej, jedynym zaś meblem był niewielki regał z kilkoma półkami. Kyle odnotował w myślach, że w jego klitce nie ma nawet miejsca na rozłożenie śpiwora. Był dopiero piątek po południu, a on już zaczynał czuć zmęczenie firmą.

Doktor Dale była matematyczką, która przed rozpoczęciem studiów prawniczych wykładała matematykę w college'u. Miała trzydzieści lat, była niezamężna, atrakcyjna, prawie się nie uśmiechała i zachowywała na tyle chłodno, że wszyscy omijali ją z daleka. Tabor po prawej był poznanym wcześniej gorliwcem z Harvardu, czwartym lokatorem ich boksu był Tim Reynolds, absolwent Penn, który od środy uporczywie zerkał na doktor Dale, ta jednak nie okazywała cienia zainteresowania. W powodzi uwag i pouczeń o polityce firmy i tym, co należy, a czego nie należy robić, jaką ich zalewano przez

cały ubiegły tydzień, jednym z najmocniej podkreślanych był kategoryczny zakaz romansów biurowych. Jeśli dochodziło do prawdziwego zakochania, jedna lub obie osoby musiały odejść. W przypadku przelotnego romansu winnym groziła kara, choć kodeks postępowania nie określał wyraźnie jej wymiaru. Według krążących plotek, rok wcześniej nieżonatego prawnika wyrzucono z pracy, zamężną kobietę zaś, którą udało mu się usidlić, przeniesiono do filii w Hongkongu.

Całej czwórce przydzielono jedną sekretarkę. Miała na imię Sandra i spędziła w firmie osiemnaście długich i pełnych stresu lat. W pewnym momencie awansowała nawet do grona najważniejszych, stając się główną sekretarką jednego ze starszych wspólników, jednak zadanie ją przerosło i od tej chwili zaczął się jej powolny zjazd w hierarchii biurowej aż do poziomu nowo zatrudnionych adeptów, gdzie jej głównym zadaniem było prowadzenie za rączkę smarkaczy, którzy jeszcze parę miesięcy wcześniej byli studentami.

Pierwszy tydzień pracy dobiegł końca. Kyle nie zafakturował ani jednej godziny, ale od poniedziałku miało się to zmienić. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do hotelu Mercer

w SoHo. Ulice były zakorkowane, otworzył więc aktówkę i wyjął dostarczoną przez FedEx firmową kopertę domu maklerskiego w Pittsburghu. Odręcznie napisana notka od Joeya brzmiała: „W załączeniu sprawozdanie. Nie bardzo je rozumiem. Odezwij się”.

Kyle uznał za niemożliwe, by Bennie mógł monitorować lawinę poczty przychodzącej i wychodzącej ze Scully & Pershing. Tysiąc pięciuset prawników produkowało ogromną masę korespondencji, bo tego od nich oczekiwano, a biuro rozdziału poczty było większe od urzędu pocztowego w sporym mieście. Wraz z Joeyem uznali więc, że najbezpieczniej będzie korzystać ze zwykłej poczty z doręczeniem następnego dnia.

Sprawozdanie sporządzone przez prywatną firmę detektywistyczną z Pittsburgha liczyło osiem stron, kosztowało dwa tysiące dolarów i dotyczyło Elaine Keenan, lat dwadzieścia trzy, aktualnie zamieszkałej w Scranton w Pensylwanii, gdzie dzieliła mieszkanie z inną kobietą. Pierwsze dwie strony sprawozdania poświęcono na opis stosunków rodzinnych oraz historię wykształcenia i zatrudnienia. Elaine w Duquesne spędziła tylko rok, a rzut oka na jej datę urodzenia pozwalał stwierdzić, że w chwili

tamtego incydentu nie miała jeszcze skończonych osiemnastu lat. Po Duquesne przewinęła się jeszcze przez kilka szkół w okolicach Erie i Scranton, ale żadnej nie ukończyła. Z początkiem ubiegłorocznego semestru wiosennego została wolną słuchaczką w college'u w Scranton. Była zarejestrowaną zwolenniczką Partii Demokratycznej i na tylnym zderzaku jej nissana z roku 2004 widniały dwie nalepki kampanijne. Według dostępnych danych Keenan nie posiadała żadnej nieruchomości, broni ani udziałów w zagranicznych bankach. Miała na koncie dwa niewielkie zatargi z prawem. Oba dotyczyły spożywania alkoholu przed osiągnięciem pełnoletności i oba szybko trafiły do sądu, który za drugim razem skazał ją na odwyk. Przed sądem reprezentowała ją miejscowa mecenas Michelin Chiz, znana jako Mike. Było to o tyle ważne, że Elaine pracowała w niepełnym wymiarze czasowym w kancelarii prawniczej Michelin Chiz i Wspólnicy. Mike Chiz miała opinię wyjątkowo zawziętej w sprawach rozwodowych, zawsze reprezentowała żony i była gotowa kastrować niewiernych mężów.

W pełnym wymiarze Elaine była zatrudniona w Urzędzie Miasta Scranton na stanowisku zastępcy kierownika wydziału parków i terenów

rekreacyjnych, z roczną pensją dwudziestu czterech tysięcy dolarów. W urzędzie pracowała od blisko dwóch lat, wcześniej podejmowała się różnych prac dorywczych.

Jej sytuacja życiowa była niejasna. Mieszkanie dzieliła z dwudziestoośmioletnią pracownicą szpitala, która też uczęszczała na zajęcia w miejscowym college'u, była niezamężna i nienotowana. Inwigilacja Elaine trwała z przerwami trzydzieści sześć godzin. Pierwszego dnia po pracy umówiła się ze współlokatorką w barze będącym ulubionym miejscem spotkań społeczności alternatywnej. Spotkały się na parkingu, wzięły za ręce i weszły do baru. W środku dosiadły się do trzech kobiet siedzących przy stoliku. Elaine wypiła dietetyczny napój gazowany i nic więcej. Paliła cienkie brązowe cygaretki. Kobiety zachowywały się wobec siebie bardzo serdecznie i oczywiste stawało się coraz bardziej oczywiste.

W Scranton działało schronisko dla kobiet pod nazwą Oaza, reklamujące się jako azyl i ośrodek pomocy dla ofiar przemocy domowej i seksualnej. Instytucja działała na zasadach non profit, była prywatnie finansowana i prowadzona przez wolontariuszki, z których

wiele twierdziło, że wcześniej trafiły tu w roli ofiar.

W miesięcznym biuletynie Oazy Elaine Keenan znalazła się na liście konsultantek. Pracownica firmy detektywistycznej zadzwoniła z automatu w śródmieściu Scranton na numer domowy Elaine, podała się za ofiarę gwałtu i powiedziała, że musi z kimś porozmawiać. Że z różnych powodów boi się przyjść do ośrodka i że ktoś z Oazy poradził jej, by zadzwoniła do Elaine. Rozmawiały przez blisko pół godziny i w trakcie rozmowy Elaine przyznała, że ona też kiedyś padła ofiarą gwałtu i że gwałciciele (było ich kilku) nie zostali w żaden sposób ukarani. Chętnie zgodziła się pomóc i kobiety umówiły się na spotkanie następnego dnia w biurze Oazy. Cała ich rozmowa telefoniczna została nagrana i oczywiście do żadnego spotkania nie doszło.

– Wciąż czuje się ofiarą – mruknął do siebie Kyle, siedząc na tylnej kanapie taksówki.

Tej nocy, kiedy doszło między nimi do seksu, jakiś miesiąc przed rzekomym gwałtem, Kyle spał jak zabity we własnym łóżku, gdy naga Elaine wsunęła mu się pod kołdrę i szybko dopięła swego.

Taksówka dotarła do Mercer. Kyle schował kopertę z raportem do aktówki, zapłacił

kierowcy i wszedł do hotelu. Bennie czekał w pokoju na trzecim piętrze i sprawiał takie wrażenie, jakby siedział tu od wielu godzin.

– No i jak pierwszy tydzień? – zapytał, nie tracąc czasu na powitalne uprzejmości.

– Doskonale. Mnóstwo informacji. Przydzielili mnie do procesowego – powiedział Kyle takim tonem, jakby stanowiło to jego osobisty sukces. Już mu się udało.

– Dobra wiadomość. Bardzo dobra. Zetknąłeś się już ze sprawą Trylona?

– Nie. Nie mieliśmy jeszcze do czynienia z żadnymi prawdziwymi sprawami. Zaczynamy pracę w poniedziałek. Ten tydzień służył tylko do rozgrzewki.

– Oczywiście. Dali ci laptop?

– Tak.

– Jaki?

– Nie wątpię, że już wiesz.

– Świat techniki zmienia się co sześć miesięcy. Chciałbym go zobaczyć.

– Nie wziąłem go z sobą.

– Weź następnym razem.

– Pomyślę.

– A telefon? BlackBerry?

– Coś w tym rodzaju.

– Chciałbym go obejrzeć.

– Nie mam go.

– Przecież firma wymaga, żeby się z nim nie rozstawać. Nie jest tak?

– Tak.

– To czemu go nie masz?

– Z tego samego powodu, z którego nie mam laptopa. Bo ty chcesz je zobaczyć, a ja ci ich nie pokażę, dopóki nie będę gotów. W tej chwili nie mają dla ciebie żadnej wartości i chcesz je obejrzeć tylko po to, żeby mieć na mnie haka, prawda? Bo jak tylko coś ci pokażę, złamię prawo i zasady etyczne, i już mnie masz. Nie jestem głupi, Bennie. Bez pośpiechu.

– Dogadaliśmy się wiele miesięcy temu, Kyle. Zapomniałeś? Już się zgodziłeś łamać prawo i zasady etyczne i robić wszystko, co ci każę. Masz zdobyć dla mnie informacje i mi je przekazać. Ale jeśli będę potrzebował czegoś więcej, twoim obowiązkiem będzie to dla mnie zdobyć. W tej chwili potrzebuję twojego telefonu i laptopa.

– Nie. Jeszcze nie.

Bennie podszedł do okna i po dłuższej chwili milczenia, rzucił przez ramię:

– Baxter Tate jest na odwyku, wiedziałeś o tym?

– Tak, wiem.

– Już jakiś czas.

– Podobno. Może go wyleczą i zacznie normalnie żyć.

Odszedł od okna i zbliżył się do Kyle’a na długość wyciągniętej ręki.

– Chyba muszę ci przypomnieć, kto tu rządzi – powiedział. – Jeśli nie będziesz wykonywał moich poleceń, będę musiał dać ci nauczkę. Już zastanawiam się poważnie nad upublicznieniem pierwszej połowy nagrania. Nad wrzuceniem jej do internetu i zawiadomieniem każdego, kogo to może dotyczyć. Nad zabawieniem się.

– Paru zalanych smarkaczy z college’u, nic więcej. – Kyle wzruszył ramionami.

– To prawda, nic wielkiego. Ale naprawdę chcesz, żeby cały świat to obejrzał? A co pomyślą twoi nowi koledzy w Scully and Pershing?

– Pomyślą, że też kiedyś byłem głupim zalanym smarkaczem z college’u. Jak wielu w czasach młodości.

– Zobaczymy. – Bennie wyciągnął z przegródki walizeczki na dokumenty cienką teczkę i wyjął z niej kartkę z wizerunkiem twarzy. – Znasz tego kolesia? – spytał, podając Kyle’owi.

Ten przyjrzał się twarzy i pokręcił głową. Nie. Biały mężczyzna około trzydziestki, w krawacie

i marynarce.

– Nazywa się Gavin Meade i od czterech lat pracuje w dziale procesowym Scully and Pershing. Jeden z około trzydziestu, którzy zajmują się sprawą Trylon kontra Bartin. Pewnie zetknęlibyście się za parę tygodni, gdyby nie to, że Meade'a właśnie wyrzucają.

Kyle przyjrzał się przystojnej twarzy Gavina Meade'a. Ciekawe, co narozrabiał?

– Wygląda na to, że też ma drobne problemy z przeszłością. – Bennie napawał się rolą kata. – Też lubił tarmosić dziewczyny. Choć w jego przypadku do gwałtu nie doszło.

– Nikogo nie zgwałciłem, i dobrze o tym wiesz.

– Może nie.

– Masz jakieś nowe nagranie, Bennie? Znów grzebałeś w rynsztokach w poszukiwaniu nowej ofiary?

– Nie, nagrania nie mam. Za to mam kilka oświadczeń złożonych pod przysięgą. Mecenas Meade nie gwałci kobiet. On je tylko katuje. W college'u, dziesięć lat temu, miał dziewczynę, która wciąż chodziła posiniaczona. Któregoś wieczoru zawiózł ją do szpitala, lekarze wezwali policję i wszystko się wydało. Meade'a aresztowano, oskarżono i groził mu sąd. Do rozprawy nie doszło, bo strony się dogadały.

Z rąk do rąk przeszła pewna suma pieniędzy, dziewczyna wycofała skargę i sprawa się rozmyła. Meade'a zwolniono, tyle że był już notowany. Nie byłoby problemu, gdyby nie fakt, że to zataił. Skłamał w papierach złożonych na wydział prawa na stanowym w Michigan. Podczas wstępnej weryfikacji w Scully and Pershing też się nie przyznał. Rezultat: natychmiastowe zwolnienie z pracy.

– Zazdroszczę ci, Benny. Wiem, ile takie historyjki dla ciebie znaczą. Pewno, ruszaj i go zniszcz. Powodzenia!

– Wszyscy mają jakieś sekrety, Kyle. Potrafię zniszczyć każdego.

– Jasne, to twoja specjalność – burknął Kyle, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

W sobotę w południe trzy wynajęte autobusy wyruszyły spod biurowca Scully & Pershing i opuściły miasto. Siedziało w nich sto troje nowo przyjętych prawników, w każdym był obficie zaopatrzony bar i mnóstwo przekąsek, a pasażerowie nie wahali się, by w pełni z tego korzystać. Po trzech godzinach jazdy dotarli do klubu żeglarskiego w Hamptons. Pierwsza impreza odbyła się pod namiotem w pobliżu

plaży Montauk, kolację podano pod innym namiotem na terenach hotelowych, końcową balangę urządzono w rezydencji jednego ze spadkobierców Scully'ego. Przy basenie grał zespół reggae.

„Wycieczka" miała na celu przełamanie lodów i utwierdzenie adeptów w przekonaniu, że spotkało ich nie lada szczęście, skoro mogli dołączyć do zespołu. W imprezach uczestniczyło wielu wspólników firmy, którzy pili i upijali się na równi z młodymi. Zabawa przeciągnęła się późno w noc i poranek nie należał do najprzyjemniejszych. Po wczesnym brunchu i litrach wypitej kawy młodzi zebrali się w niedużej sali balowej, by wysłuchać opowieści firmowych mędrców o odniesionych przez nich sukcesach zawodowych. Kilku emerytowanych, należących do firmowych legend wspólników podzieliło się wspomnieniami z pola walki, przytoczyło zabawne anegdoty i udzieliło rad. Potem otwarto dyskusję i każdy mógł zadawać dowolne pytania.

Po odejściu starców miejsce na podium zajął bardzo zróżnicowany panel ekspertów. Czarnoskóry mężczyzna, biała kobieta, Latynos i Koreańczyk – sami wspólnicy – zaczęli się rozwodzić nad obowiązującą w firmie tolerancją,

równymi prawami dla wszystkich i podobnymi rzeczami.

Późnym popołudniem na prywatnej plaży zjedli podwieczorek złożony z krewetek i ostryg, po czym wsiedli do autobusów i wrócili na Manhattan. Dotarli na miejsce już po zmroku i wykończeni rozjechali się do domów na krótki nocny odpoczynek.

Określenie „wykończeni” miało wkrótce nabrać dla nich zupełnie nowego znaczenia.

Rozdział 16

Nadzieja na zajęcie się czymś ciekawym i pożytecznym prysła w poniedziałek rano o ósmej trzydzieści, gdy całą dwunastkę adeptów działu procesowego wrzucono w otchłań archiwum. Już na pierwszym roku studiów Kyle słuchał przerażających opowieści o tym, jak młodych, pełnych zapału prawników zsyła się do ponurych podziemnych lochów, przykuwa łańcuchami do biurek i zmusza do ślęczenia nad stosami zapisanych maczkiem dokumentów. I choć wiedział, że pierwszy rok nie obejdzie się bez znaczącego udziału tego przekleństwa, tak naprawdę nie był na to przygotowany. Jemu i Dale, która z każdym dniem wyglądała coraz atrakcyjniej, ale nadal była pozbawioną życia kukłą, przydzielono sprawę klienta, który stał się ofiarą nagonki prasy gospodarczej.

Prowadząca tę sprawę starsza prawniczka imieniem Karleen wezwała ich do siebie i wprowadziła w temat. Przez kilka następnych

dni mieli się zapoznawać z dokumentacją sprawy, naliczając co najmniej osiem godzin pracy dziennie po trzysta dolarów za godzinę, bo tyle miała wynosić ich stawka godzinowa do chwili ogłoszenia wyników egzaminu adwokackiego. Jeśli zdadzą, ich stawka podskoczy do czterystu dolarów za godzinę.

Nikt nawet nie wspominał, co się stanie, jeśli się okaże, że oblali. W ubiegłym roku dziewięćdziesiąt dwa procent adeptów Scully & Pershing pomyślnie zdało egzamin adwokacki i liczono, że w tym roku wynik będzie stuprocentowy.

Osiem godzin stanowiło minimum, przynajmniej na razie, co po doliczeniu przerw na kawę i lunch oznaczało mniej więcej dziesięciogodzinny dzień pracy. Należało ją zacząć nie później niż o ósmej i nikomu nie przychodziło do głowy, by wyjść przed dziewiętnastą.

Jeśli was to interesuje, oświadczyła Karleen, za ubiegły rok naliczyłam dwa tysiące czterysta godzin. Pracowała w firmie od pięciu lat i zachowywała się tak, jakby zamierzała w niej pozostać do końca życia. Tak wygląda przyszła wspólniczka, pomyślał Kyle, rozglądając się po elegancko urządzonym gabinecie i odnotowując

wiszący na ścianie dyplom wydziału prawa Columbii. Wisiała też fotografia młodszej Karleen na koniu; nie było zdjęć ani męża, ani dzieci.

Wyjaśniła, że jeden ze wspólników może potrzebować Kyle'a i Dale w pewnej sprawie, więc mają być przygotowani. Dodała, że zdaje sobie sprawę, że ślęczenie w archiwum nie należy do pasjonujących zajęć, ale jest siatką bezpieczeństwa dla wszystkich nowych prawników.

– Zawsze da się znaleźć coś, za co można wystawić fakturę – wyjaśniła. – Osiem godzin to minimum, maksimum nie istnieje.

Fantastycznie, pomyślał Kyle. Gdyby z jakiegoś powodu dziesięć godzin dziennie było za mało, można zawsze wpaść do archiwum i nabić kilka dodatkowych godzin.

Sprawa dotyczyła firmy o dość absurdalnej nazwie Placid Mortgage[6]. Absurdalnej w ocenie Kyle'a, który jednak nie powiedział tego głośno, słuchając, jak Karleen z zapałem przedstawia najistotniejsze szczegóły. Począwszy od roku 2001, kiedy to na rynek trafiła fala nowych przepisów administracyjnych znacznie poluzowujących dotychczasowe obostrzenia, Placid i inne firmy oferujące kredyty hipoteczne przystąpiły do agresywnego wabienia nowych

kredytobiorców. Prowadząc intensywne akcje reklamowe, zwłaszcza w internecie, przekonywały miliony Amerykanów z klasy niższej i średniej, że stać ich na kupno domów, które tak naprawdę były całkowicie poza ich zasięgiem. Przynętą były stare jak świat raty hipoteczne ze zmiennym oprocentowaniem, które w ofercie oszustów w rodzaju Placid osiągnęły nigdy nienotowaną wcześniej dostępność. Placid przyciągało naiwnych atrakcyjnymi wyliczeniami na papierze, pobierało sowite opłaty wstępne i sprzedawało cały szajs na rynku wtórnym. Gdy przegrzany rynek nieruchomości w końcu się załamał, ceny domów gwałtownie spadły i zaczęło się przejmowanie przez banki, Placid już w ogóle w tym nie uczestniczyło.

Karleen używała znacznie łagodniejszego języka, ale Kyle już wiedział, że jego firma reprezentuje Placid. Przeczytał kilkanaście artykułów o głębokim kryzysie na rynku nieruchomości i natknął się w nich na firmę Scully & Pershing, która zawsze występowała w obronie Placid.

Obecnie prawnicy firmy starali się jakoś wybrnąć z tego galimatiasu. Na Placid runęła lawina pozwów, z których najgorszy był pozew

zbiorowy w imieniu trzydziestu pięciu tysięcy dawnych kredytobiorców, złożony rok wcześniej w Nowym Jorku.

Karleen zaprowadziła ich do długiego bunkra bez okien, z betonową podłogą i marnym oświetleniem, w którym stały sterty białych kartonowych pudeł z napisem Placid Mortgage. To była ta góra pozwów, o której Kyle tak wiele słyszał. W pudłach, wyjaśniła Karleen, mieściły się akta wszystkich trzydziestu pięciu tysięcy powodów. Każdą teczkę z aktami należało przejrzeć.

– Nie jesteście jedyni – pocieszyła ich Karleen sztucznie pogodnym tonem, widząc, że Kyle i Dale są gotowi od razu się poddać. – Sprawą zajmują się też inni prawnicy, a nawet część personelu pomocniczego. – Otworzyła karton, wyjęła teczkę ponaddwucentymetrowej grubości i szybko objaśniła cel ich poszukiwań: – Pewnego dnia w sądzie nasi prawnicy procesowi będą dzięki temu mogli zapewnić sędziego, że przeanalizowali wszystkie dokumenty w tej sprawie.

Kyle pomyślał, że dzięki temu firma będzie też mogła wyciągnąć furę kasy od Placid za całkiem zbyteczną pracę, co zapewne było równie ważne. Zdał sobie sprawę, że za chwilę włączy licznik

i zacznie naliczać opłaty w wysokości trzystu dolarów za godzinę swej pracy, i poczuł lekki zawrót głowy. Jego osobista wartość nie ocierała się o takie kwoty. Nawet nie był jeszcze adwokatem.

Karleen zostawiła ich i wyszła z archiwum, stukając głośno obcasami po betonowej podłodze. Kyle obrzucił wzrokiem stertę pudeł i popatrzył na Dale, która wyglądała na równie oszołomioną.

– To chyba żarty – mruknął.

Dale chyba jednak chciała coś sobie udowodnić, bo bez słowa sięgnęła po jedno z pudeł, postawiła na stole i wyjęła kilka teczek z dokumentami. Kyle przeniósł się na sam koniec stołu i też wziął do ręki kilka teczek.

Otworzył pierwszą z brzegu i spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma pięćdziesiąt. Wiedział, że prawnicy S&P stosują do fakturowania system dziesiętny, a dziesiąta część godziny to sześć minut, dwie dziesiąte to dwanaście i tak dalej. Czy powinien przestawić zegarek o dwie minuty na siódmą czterdzieści osiem, by móc naliczyć dwie dziesiąte do godziny ósmej? Czy raczej rozprostować ramiona, łyknąć kawy, rozsiąść się wygodnie i odczekawszy do siódmej pięćdziesiąt cztery, zacząć naliczać swoje

pierwsze minuty. Decyzja była dziecinnie prosta. Znajdował się na Wall Street, a tu trzeba działać agresywnie. Jeśli tego nie zrobisz, zrobi to za ciebie ktoś inny i już go nie dogonisz.

Przeczytanie wszystkiego z teczki zajęło mu godzinę. Ściśle mówiąc, godzinę i dwie dziesiąte i Kyle nagle poczuł, że nie ma żadnych oporów przed obciążeniem Placid kwotą trzystu sześćdziesięciu dolarów za swoją pracę. Nie tak dawno, powiedzmy dziewięćdziesiąt minut temu, nie mógł wprost uwierzyć, że jego czas jest wart trzysta dolarów za godzinę. Przecież nie zaliczył jeszcze egzaminu adwokackiego. A jednak coś w nim się przestawiło. Placid było mu winne te pieniądze za swoje drańskie postępowanie, które zaprowadziło ich do sądu, a ktoś musiał przez to grzebać w ich bagnie. W ramach zemsty będzie ich bez skrupułów obciążał. Na drugim końcu stołu Dale ślęczała nad papierami, nie unosząc nawet głowy.

Podczas czytania trzeciej teczki Kyle w pewnej chwili przerwał i zamyślił się. Nie odliczając czasu, zaczął dumać, gdzie mogą trzymać akta sprawy Trylon kontra Bartin? Gdzie chowają ściśle tajną dokumentację i jak ją chronią? Czy trzymają ją w czymś w rodzaju sejfu? Bo tu nie było żadnych zabezpieczeń, ale

komu by się chciało wydawać pieniądze na zabezpieczanie góry oszukańczych kredytów hipotecznych. Jeśli Placid miało pralnię brudów, na pewno nie mieściła się tam, gdzie Kyle mógłby się na nią natknąć.

Zaczął dumać o swoim życiu. Bo oto już w trzeciej godzinie swej kariery zawodowej zaczynał mieć wątpliwości, czy z jego głową jest wszystko w porządku. No bo kto normalny może tak siedzieć, czytać po kilka godzin dziennie bezsensowne szpargały i nie zwariować? Czy tak wyobrażał sobie życie młodego prawnika w pierwszych miesiącach pracy? Czy w innej firmie wyglądałoby to lepiej?

Dale wyszła i po dziesięciu minutach wróciła. Pewnie wyskoczyła do toalety. Był gotów się założyć, że nie odliczyła tego czasu.

Lunch zjedli w firmowej kafeterii na czterdziestym drugim piętrze. Dużo mówiono o wysokiej jakości serwowanego tu jedzenia. Zatrudniano znanych szefów kuchni, używano najświeższych produktów, oferowano wyszukany zestaw lekkich dań i tak dalej, i tak dalej. Pracownicy mieli prawo wyjść z gmachu i pójść do restauracji na mieście, ale tylko paru adeptów odważyło się to robić. Obowiązujące w firmie zasady postępowania były ściśle

sformułowane i powszechnie dostępne, było też jednak wiele zasad niepisanych. Jedna z nich mówiła, że młodzi prawnicy jedzą na miejscu, chyba że kosztem lunchu na mieście można obciążyć konkretnego klienta. Zresztą wielu wspólników firmy też korzystało z kafeterii. Dla nich ważne było to, że mogą się pokazać w towarzystwie podwładnych, raz jeszcze pochwalić standard tutejszej kuchni i – co najważniejsze – pokazać innym, że da się zjeść w ciągu pół godziny. Kafeterię wykończono w stylu art déco i zrobiono to z gustem, jednak i tak kojarzyła się z więzienną stołówką.

Na każdej ścianie wisiał zegar i jedzący mieli wrażenie, że słyszą ich tykanie.

Kyle i Dale dosiedli się do Tima Reynoldsa przy stoliku pod oknem, przez które roztaczał się wspaniały widok na sąsiednie biurowce. Tim sprawiał wrażenie z lekka ogłuszonego. Miał szkliste oczy, puste spojrzenie i mówił ściszonym głosem. Wymienili się wrażeniami z pracy w archiwum i zaczęli żartować o rezygnacji z zawodu prawnika. Jedzenie rzeczywiście było smaczne, ale przerwa na lunch nie służyła jedzeniu. Służyła oderwaniu się od pracy.

Niestety, przerwa szybko dobiegła końca, uzgodnili więc, że po pracy wyskoczą na drinka,

co u Dale stanowiło pierwszą oznakę życia, po czym rozeszli się do swoich bunkrów. Po dwóch godzinach Kyle zaczynał mieć zwidy i uciekać myślami do cudownych czasów w Yale, gdzie miał własne biuro, redagował prestiżowe pismo prawnicze i kierował pracą kilkudziesięciu błyskotliwych studentów. Długie godziny pracy dawały konkretny efekt – liczący się periodyk prawniczy, który ukazywał się osiem razy w roku i był chętnie czytany przez adwokatów, sędziów i wykładowców. Kyle był redaktorem naczelnym i jego nazwisko widniało na winiecie jako pierwsze. Niewielu studentów dostępowało tak zaszczytnego tytułu. Przez rok był tym najważniejszym.

Jak to się stało, że upadł tak nisko i tak szybko?

To tylko obóz rekrucki, powtarzał sobie. Podstawowe szkolenie.

Ale cóż za strata czasu! Firma Placid, jej udziałowcy, wierzyciele i zapewne także amerykańscy podatnicy będą musieli się złożyć na koszty prawnicze, a ich cząstka wyniknie z podejmowanych wbrew woli wysiłków niejakiego Kyle’a McAvoya, który po przejrzeniu dziewięciu spośród trzydziestu pięciu tysięcy teczek z aktami był już pewien, że klienta

należałoby wsadzić za kratki. Dyrektora naczelnego, kierowników działów, cały zarząd, wszystkich bez wyjątku. Nie da się uwięzić firmy, ale można to zrobić z każdym, kto kiedykolwiek był zatrudniony w Placid Mortgage.

Co by teraz pomyślał John McAvoy, widząc syna? Kyle aż parsknął śmiechem na samą myśl. Ojcowski opieprz byłby cięty i bolesny, a on przyjąłby go potulnie, nie próbując się odgryzać. W tej chwili ojciec albo siedzi w swojej kancelarii i omawia z klientem jego sprawę, albo występuje przed sądem i handryczy się z innym prawnikiem. Tak czy siak, ma do czynienia z prawdziwymi ludźmi, a o jego życiu da się powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest monotonne.

Dale siedziała piętnaście metrów dalej, zwrócona do niego plecami. Na ile był w stanie ocenić, miała kształtne plecy, szczupłe i ładnie wyrzeźbione. W tej chwili poza plecami nie widział nic więcej, ale miał już okazję przyjrzeć się innym częściom jej ciała – szczupłym nogom, wąskiej talii i dość płaskiej klatce piersiowej, ale w końcu nie da się mieć wszystkiego. Zastanowił się, co by się stało, gdyby: (1) powoli, przez kilka najbliższych dni i tygodni ją podrywał, (2) odniósł sukces i (3) dopilnował, by dać się

przyłapać? Wyrzucono by go z hukiem z pracy, co wydawało mu się całkiem niezłym rozwiązaniem. Ciekawe, co powiedziałby na to Bennie? Na karne wyrzucenie ze S&P? Każdy młody mężczyzna ma prawo uganiać się za spódniczkami i jeśli go na tym przyłapują, nic strasznego się nie dzieje. Przynajmniej wylewają go za coś wartego zachodu.

Bennie utraciłby swojego szpiega, bo szpieg wyleciałby z pracy, a on nie utraciłby uprawnień adwokackich.

Ciekawe…

Oczywiście przy jego szczęściu pojawiłoby się nowe nagranie, tym razem z udziałem Kyle'a i Dale, które trafiłoby do brudnych łap Benniego i nie wiadomo, co by się działo dalej.

Kyle dumał o tym wszystkim w czasie liczonym po trzysta dolarów za godzinę, nie myśląc nawet o zatrzymaniu zegara. Chciał, żeby Placid jak najboleśniej dostało po dupie.

Dowiedział się, że Dale zrobiła doktorat z matematyki w wieku dwudziestu pięciu lat, i to w dodatku na MIT[7], oraz że kilka lat uczyła, nim doszła do wniosku, że praca nauczyciela akademickiego ją nudzi. Skończyła prawo na Cornellu. Nie było jasne, co jej strzeliło do głowy, żeby salę wykładową zamienić na salę sądową,

w każdym razie nie dla Kyle’a. Z perspektywy obecnego zajęcia sala pełna studentów zmagających się z geometrią jawiła się niczym marzenie. Dale miała trzydzieści lat, nigdy nie wyszła za mąż i Kyle dopiero przymierzał się do rozgryzienia jej skomplikowanej i wycofanej osobowości.

Wstał od stołu, żeby rozprostować nogi i pozwolić, by krew lepiej zasiliła jego zlasowany umysł.

– Masz ochotę na kawę? – zwrócił się do Dale.

– Nie, dzięki – odparła i nawet lekko się uśmiechnęła.

Dwie filiżanki mocnej kawy niewiele pomogły i pod koniec dnia Kyle zaczął poważnie się obawiać, czy jego mózg nie ulegnie trwałemu uszkodzeniu. Na wszelki wypadek oboje z Dale postanowili posiedzieć do dziewiętnastej i dopiero wtedy wyjść z archiwum. Opuścili je razem i zjechali windą, nie zamieniając ani słowa i nie mogąc opędzić się tej samej myśli: wychodząc z biura tak wcześnie, gwałcili kolejną z niepisanych zasad. Ale oboje jakoś się z niej otrząsnęli i dotarli do irlandzkiego pubu kilka przecznic dalej, gdzie Tim Reynolds zajął cały boks i właśnie kończył pierwsze duże piwo. Towarzyszył mu Everett, absolwent prawa na

Uniwersytecie Nowego Jorku, którego przydzielono do grupy uczącej się prawa obrotu nieruchomościami komercyjnymi. Wszyscy czworo rozsiedli się w boksie, wyciągnęli swoje FirmFony i położyli je pod ręką niczym nabitą broń.

Dale zamówiła martini, Kyle poprosił o wodę sodową.

– Ty w ogóle nie pijesz? – zapytał Tim, gdy kelnerka odeszła.

– Nie, musiałem przestać w college'u.

Była to standardowa odpowiedź Kyle'a, który znał na pamięć wszystkie dodatkowe pytania, jakie sprowokuje.

– Musiałeś przestać?

– Mhm. Piłem za dużo, więc przestałem.

– Odwyk, AA, te rzeczy? – spytał Everett.

– Nie. Skonsultowałem się ze specjalistą, a on mnie przekonał, że picie może się źle dla mnie skończyć. Rzuciłem i więcej nawet nie spojrzałem w tę stronę.

– Godne podziwu – powiedział Tim, dopijając zawartość swojej szklanki.

– Ja właściwie też nie piję – wtrąciła Dale. – Ale po takim dniu jak dziś mam ochotę się urżnąć. – W ustach kogoś całkowicie

pozbawionego poczucia humoru zabrzmiało to dość komicznie.

Chwilę się pośmiali i zaczęli wymieniać wrażeniami z pierwszego dnia pracy. Tim naliczył osiem i sześć dziesiątych godziny za przekopywanie się przez stare nowojorskie prawo, które kiedyś uchwalono, by zapobiec pozwom zbiorowym; Everett nabił dziewięć godzin na studiowaniu umów najmu, ale obu przebili Kyle i Dale swą opowieścią o bunkrze i trzydziestu pięciu tysiącach teczek z aktami.

Kelnerka przyniosła zamówione drinki i wszyscy wznieśli toast za Placid Mortgage i czterysta tysięcy przewłaszczeń nieruchomości, do jakich doprowadzili swą działalnością. Potem wypili zdrowie Tabora, który postanowił zostać w pracy do północy, oraz firmy Scully & Pershing z jej wspaniałymi pensjami dla początkujących prawników. W połowie kieliszka martini gin uderzył Dale do głowy, bo nagle zaczęła chichotać. Gdy zamówiła drugi, Kyle wstał, pożegnał się i ruszył pieszo do domu.

We wtorek Kyle skończył pracę w bunkrze o siedemnastej trzydzieści i zaczął obmyślać treść pisma z wypowiedzeniem pracy. Z radością

oświadczy Benniemu, że może iść do diabła, i z radością stawi czoło Elaine i jej oskarżeniu o gwałt w sądzie w Pittsburghu. Wszystko będzie lepsze od tego co teraz.

Przetrwał dzień, powtarzając w duchu niczym mantrę: Za to mi płacą dwieście tysięcy rocznie.

O wpół do szóstej jednak było mu już obojętne, ile mu płacą. Jego FirmFon brzęknął, sygnalizując nadejście maila. Od Douga Peckhama, który pisał: „Kyle, potrzebna mi twoja pomoc. U mnie w biurze. Zaraz, jeśli możesz”.

Zapomniał o liście z wypowiedzeniem, zerwał się na nogi i pędem ruszył do drzwi.

– Lecę do Douga Peckhama, wspólnika w dziale procesowym – powiedział, mijając pochyloną nad stołem Dale. – Ma dla mnie jakieś zadanie.

Jeśli zabrzmiało to nieco bezlitośnie, trudno. Jeśli wyglądało na przechwałkę, było mu to obojętne. Dale wyglądała na zaskoczoną i dotkniętą jego słowami, ale i tak zostawił ją samą w bunkrze Placid. Zbiegł schodami dwa piętra i zdyszany wpadł przez otwarte drzwi do gabinetu Peckhama, który rozmawiał przez telefon, stojąc i kręcąc się niespokojnie. Ręką wskazał mu pokryty elegancką skórą fotel obok biurka, zakończył rozmowę parsknięciem:

„Kretyn z ciebie, Slade, prawdziwy kretyn!”, przeniósł wzrok na Kyle’a i zmusił się do uśmiechu.

– Jak leci? – rzucił.

– Siedzę w archiwum. – To wystarczało za cały komentarz.

– Współczuję, ale wszyscy musieliśmy przez to przejść. Słuchaj, przydałaby mi się twoja pomoc. Jesteś gotów? – Peckham z impetem opadł na swój fotel i zaczął się na nim kołysać, nie spuszczając wzroku z Kyle’a.

– Jestem gotów na wszystko. Buty też mogę panu wyczyścić.

– Są czyste. W południowym rejonie Nowego Jorku mamy sprawę, bardzo poważną. Bronimy Barxa przed pozwem zbiorowym złożonym w imieniu grupy ludzi, którzy stosowali ich lek na robaczycę i mimo to wykitowali. Wielka, paskudna, skomplikowana sprawa, która toczy się w kilku stanach. W czwartek rano stajemy przed sędzią Caffertym. Znasz go?

Jestem tu dopiero dwa dni i nie znam nikogo, miał ochotę parsknąć Kyle.

– Nie.

– Kofeina Cafferty. Cierpi na jakieś zaburzenia bilansu chemicznego organizmu, przez co w ogóle nie śpi, tylko całymi dniami i nocami

pracuje, a gdy jego lekarstwo przestaje działać, wzywa do siebie prawników i wrzeszczy na nich, że sprawy posuwają się za wolno. Po zażyciu lekarstwa też wrzeszczy, ale już tak nie przeklina. Nazywają go odrzutowcem, bo rzeczywiście w prowadzonych przez niego sprawach wszystko pędzi do przodu. Dobry sędzia, ale strasznie upierdliwy. Ta sprawa wlecze się już długo i Cafferty grozi, że odda ją komuś innemu.

Kyle notował najszybciej, jak potrafił.

– Co to jest ta robaczyca? – wtrącił przy pierwszej okazji.

– W rzeczywistości chodzi o lek, który wżera się w ścianki naczyń krwionośnych, w tym także w lewą i prawą komorę serca. Z medycznego punktu widzenia to skomplikowane, ale o to niech cię głowa nie boli. Tym aspektem zajmuje się dwóch wspólników z wiedzą medyczną. W sumie przy sprawie pracuje czterech wspólników i dziesięciu prawników. Ja kieruję całością. – Ostatnie zdanie Peckham wypowiedział niemal z dumą. A potem zerwał się z fotela i podszedł do okna, by spojrzeć na miasto. Zbyt obszerna, biała wykrochmalona koszula sprytnie maskowała jego brzuchatą sylwetkę.

Komentarze Benniego na jego temat były jak zwykle zwięzłe i konkretne. Pierwsze małżeństwo Peckhama rozpadło się trzynaście miesięcy po podjęciu pracy w Scully & Pershing, gdzie trafił z dyplomem Yale. Jego obecna żona była wspólniczką w firmie prawniczej kilka ulic dalej i też pracowała do późna w nocy. Mieli dwoje małych dzieci, ich mieszkanie na Upper West Side wyceniano na trzy i pół miliona dolarów, posiadali też nieodzowny dom letniskowy w Hamptons. Zarobki Douga za ubiegły rok wyniosły milion trzysta tysięcy dolarów, jego żony – milion dwieście. W środowisku cieszył się opinią wybitnego prawnika procesowego, którego specjalnością była obrona wielkich firm farmaceutycznych, choć osobiście rzadko stawał przed sądem. Sześć lat wcześniej przegrał dużą sprawę o tabletkę przeciwbólową, którą ława przysięgłych uznała za źródło skłonności samobójczych u pacjentów. S&P opłaciła mu wtedy dwutygodniową terapię w sanatorium we Włoszech.

– Cafferty chce się pozbyć tej sprawy – powiedział, wyginając obolałe plecy. – My oczywiście się sprzeciwimy, ale szczerze mówiąc, wolelibyśmy ją mieć pod inną jurysdykcją. Są cztery możliwości: Okręg Duval na Florydzie,

miasto Memphis, wiejski okręg w Nebrasce o nazwie Fillmore i Des Plaines w Illinois. Twoja misja, jeśli się zgodzisz, polegałaby na dokładniejszym prześwietleniu tych czterech jurysdykcji. – Ponownie opadł na fotel i zaczął się kołysać. – Muszę wiedzieć, jak się zachowują tamtejsi przysięgli. Jakie zapadają wyroki? Jak tam traktują wielkie korporacje? Istnieje kilka wyspecjalizowanych agencji, które monitorują dobór przysięgłych i od których można kupić ich wiedzę. Jesteśmy stałymi klientami wszystkich, tylko że informacje nie zawsze są dokładne. Mnóstwo liczb, ale niewiele przydatnych danych. Trzeba się przez to przekopywać. Należałoby się skontaktować z prawnikami w tych czterech lokalizacjach i trochę pogrzebać. Chcesz się tym zająć, Kyle?

Jakby rzeczywiście miał coś do gadania.

– Jasne. Brzmi świetnie.

– Tak bym tego nie nazwał. Potrzebuję tych informacji na czwartek, siódma trzydzieści rano. Zaliczyłeś już całonocną pracę?

– Nie. Jestem tu dopiero od…

– Jasne, jasne. To zabieraj się do roboty. Oczekuję suchej służbowej notatki, bez żadnego wodolejstwa. Widzimy się w czwartek o wpół do ósmej rano. Będzie jeszcze paru prawników.

Dostaniesz dziesięć minut na prezentację wniosków. Coś jeszcze?

– W tej chwili nie.

– Siedzę tu dziś do dziesiątej. Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

– Dziękuję. I dzięki za wyciągnięcie mnie z archiwum.

– Bo to marnotrawstwo.

Telefon na biurku Peckhama zaczął dzwonić, Kyle wyszedł i ruszył do swojego boksu. Zabrał laptop i pojechał na trzydzieste ósme piętro do głównej firmowej biblioteki. Poza nią w S&P funkcjonowały co najmniej cztery mniejsze, ale jeszcze do nich nie dotarł.

Nie pamiętał, by perspektywa ślęczenia w bibliotece kiedykolwiek wzbudziła w nim taki entuzjazm. Miał do czynienia z prawdziwą sprawą sądową, goniącymi terminami, wściekłym sędzią i podejmowaniem strategicznych decyzji. Sporządzona przez niego notatka służbowa będzie czytana przez prawników z pierwszej linii frontu, którzy będą na niej polegać przy podejmowaniu decyzji.

Kyle'owi zrobiło się niemal żal biedaków tkwiących w archiwum, choć wiedział, że sam tam wkrótce powróci. Zapomniał o kolacji i dopiero około dziesiątej przegryzł kanapkę

z automatu, analizując zasady doboru przysięgłych. Z braku śpiwora wyszedł z biblioteki o północy (na sali zostało jeszcze około dwudziestu osób) i wrócił taksówką do domu. Przespał cztery godziny i w dwadzieścia dwie minuty pokonał pieszo trzydziestominutową trasę na Broad Street. Nie chciał zacząć tyć. Firmowa sala gimnastyczna na trzydziestym dziewiątym piętrze zakrawała na żart, bo była wiecznie pusta. Korzystało z niej kilka sekretarek w porze lunchu, ale prawnicy omijali ją z daleka.

Jego licznik zaczął bić punktualnie o piątej rano. O dziewiątej zaczął obdzwaniać prawników sądowych w okręgu Duval na Florydzie, w samym Jacksonville i w okolicy. Przygotował długą listę spraw rozpatrywanych w tamtejszym sądzie i chciał porozmawiać ze wszystkimi, z którymi uda mu się skontaktować telefonicznie.

W miarę dzwonienia jego lista coraz bardziej się rozrastała. Dotarł do prawników z Florydy, Memphis i zachodniego Tennessee, z Lincoln i Omaha, oraz do kilkunastu z rejonu Chicago. Natykał się na kolejne sprawy i dzwonił do kolejnych prawników. Prześledził wszystkie

procesy Barxa w ciągu minionych dwudziestu lat i porównał werdykty.

Doug Peckham nie zadzwonił, nie przyszedł też żaden mail na FirmFon, który Kyle cały czas miał pod ręką obok notatnika. Czuł dumę, że obdarzono go takim zaufaniem i tak bardzo popuszczono mu cugli. Dale spytała go w mailu, co z lunchem, i umówili się w kafeterii o pierwszej, żeby szybko coś przekąsić. Nadal była uwięziona w bunkrze Placid, ale na szczęście przysłano jej do pomocy trzech innych młodziaków. Wszyscy trzej wyznali jej, że poważnie rozważają złożenie wymówienia. Wyglądała na szczerze uradowaną, że ktoś z jej grona dostał prawdziwe zadanie prawnicze.

– Tylko zostaw dla mnie parę teczek Placid – powiedział Kyle, gdy ruszyli do wyjścia. – Jutro tam do ciebie dołączę.

W środę wyszedł z biblioteki o północy, wpisując na konto Barxa osiemnaście godzin pracy, w tym sześć za dzień poprzedni i dodatkowe dwie o świcie w czwartek, których potrzebował na wygładzenie tekstu piętnastostronicowej notatki i przećwiczenie dziesięciominutowej prezentacji dla Peckhama i reszty prawników. Punktualnie o siódmej

trzydzieści stanął pod drzwiami jego gabinetu, jednak drzwi okazały się zamknięte.

– Byłem umówiony na siódmą trzydzieści – poinformował grzecznie sekretarkę.

– Zawiadomię go – odparła, nawet nie patrząc w stronę telefonu.

Minęło pięć minut i Kyle zaczął walczyć z nerwami, by zachować spokój. W żołądku czuł twardą gulę, pod kołnierzykiem koszuli zrobiło się mokro od potu. Dlaczego tak się tym przejmuję? – powtarzał sobie w duchu. Przecież to tylko krótka prezentacja dla swoich. Gramy w jednej drużynie, nie? Minęło dziesięć minut, piętnaście. Z gabinetu Peckhama dochodziły jakieś głosy. W końcu ktoś otworzył drzwi i Kyle wszedł do środka.

Peckham spojrzał na niego z nieukrywanym zaskoczeniem.

– Ach, tak, Kyle, zapomniałem – rzucił, pstrykając palcami i marszcząc czoło. – Powinienem był cię zawiadomić. Posiedzenie sądu zostało przełożone, pętla zdjęta z szyi. Ale zachowaj tę notatkę, może się jeszcze przydać.

Kyle otworzył usta i rozejrzał się po gabinecie. Przy zawalonym papierami stoliku siedziało dwóch prawników, dwóch innych zajmowało

miejsca przy biurku. Wszyscy czterej wyglądali na nieco rozbawionych.

Lewy termin ostateczny.

Kyle oczywiście słyszał o tej sztuczce. Nieszczęsnego prawnika przepuszcza się przez wyżymaczkę, by wydusić z niego bezużyteczną notatkę służbową lub analizę w zmyślonym gardłowym terminie, po czym nawet się do niej nie zagląda. I tylko klient zostaje obciążony odpowiednim rachunkiem, i bez słowa płaci. Efekt pracy jest żaden, ale firma na tym zarabia.

Kyle słyszał o lewym terminie ostatecznym, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że właśnie jemu się to przytrafiło.

– Mm, jasne, nie ma problemu – wymamrotał, zawracając ku drzwiom.

– Dzięki – mruknął Peckham, przekładając stronicę jakiegoś dokumentu. – Zobaczymy się później.

– Jasne.

Kyle był już przy drzwiach, gdy Peckham nagle uniósł głowę.

– Kyle, a tak przy okazji, gdzie by było najlepsze miejsce na proces Barxa?

– Nebraska, okręg Fillmore – odrzekł bez wahania Kyle.

Dwaj goście Peckhama głośno się roześmiali, dwaj pozostali też wyglądali na rozbawionych.

– Nebraska? – odezwał się jeden z nich. – Nikt nie robi procesów w Nebrasce.

– Dzięki, Kyle – rzekł Peckham. – Dobrze się sprawiłeś. – Powiedział to wyraźnie protekcjonalnym tonem, a w jego głosie dało się też dosłyszeć: „I już wynoś się stąd”.

Praca za dwieście tysięcy dolarów rocznie plus dodatki musi nieść z sobą drobne upokorzenia. Płacą ci za to, powtarzał w myślach Kyle, wolno idąc schodami na górę. Nie przejmuj się. Bądź twardy. Zdarza się każdemu.

Po powrocie do bunkra nawet się uśmiechnął, a gdy Dale spytała: „Jak poszło?”, odrzekł: „Trudno wyczuć”. W głębi pomieszczenia dwaj nowi grzebali w aktach hipotecznych. Kyle kiwnął im głową, usiadł obok Dale i położył na stole długopis, notatnik i FirmFon. Otworzył pudło, wyjął teczkę z aktami i zanurzył się w świecie Placid Mortgage. To było znajome terytorium i poczuł się dziwnie bezpiecznie. Tu go nikt nie skrzywdzi i nie upokorzy. Kariera recenzenta spraw byłaby niewątpliwie śmiertelnie nudna, ale dużo mniej niebezpieczna od pracy prawnika procesowego.

Rozdział 17

W piątek Kyle wyszedł z biura w poczuciu, że jego pierwszy tydzień pracy był sukcesem, choć mocno stresującym. Zafakturował trzydzieści godzin na rachunek Placid i dwadzieścia sześć Barx Biomed i choć te kosztowne godziny praktycznie nie będą miały dla nich żadnego znaczenia, nie był to już jego ból głowy. Był tu tylko w jednym celu: jak najwięcej fakturować. Jeśli uda mu się utrzymać to tempo i zafakturuje przynajmniej pięćdziesiąt godzin tygodniowo, da mu to dwa tysiące pięćset godzin rocznie – jak na nowicjusza doskonały wynik, który z całą pewnością zwróci uwagę przełożonych.

W tym samym pierwszym tygodniu Tabor Gorliwiec uciułał pięćdziesiąt godzin, Dale czterdzieści cztery, Tim Reynolds czterdzieści trzy.

Zdumiewające, jak już po pięciu dniach pracy dali się wszyscy opanować zegarowi.

Wszedł do mieszkania, przebrał się w dżinsy, upchnął w kieszeniach oba telefony i wyruszył na stadion. Metsi grali u siebie z Piratami, którym groził kolejny sezon porażek. Na siedemnaście meczów przed końcem rozgrywek Metsi zajmowali pierwsze miejsce w tabeli, wyprzedzali Phillies dwoma zwycięstwami i mieli w zanadrzu kolejne.

Kyle kupił za gotówkę dwa bilety u agenta poleconego przez jednego z pracowników firmy. W drodze na stadion Shea bez trudu wypatrzył pilnującego go szpicla.

Miał miejsce piętnaście rzędów za trzecią bazą. Wieczór był bardzo ciepły, Metsi weszli na boisko pierwsi, trybuny były pełne. Wyliczył perfekcyjnie czas i usiadł dokładnie w chwili pierwszego rzutu w stronę pierwszej bazy. Na prawo od niego siedział chłopak, który trzymał rękawicę baseballową i lizał loda. Po lewej miał zagorzałego kibica Metsów w klubowej czapeczce i koszulce, niebiesko-pomarańczowych opaskach na nadgarstkach i nawet fikuśnych okularach Metsów. Pod tym strojem krył się Joey Bernardo, który od dziecka mieszkał w Pittsburghu i nienawidził Metsów niemal równie gorąco jak Phillies.

– Nie daj poznać, że się znamy – mruknął Kyle, nie odrywając wzroku od boiska.

– Spoko. Akurat teraz cię nienawidzę. A Metsów nienawidzę prawie tak samo jak ciebie.

– Dzięki. Fajne okulary.

– Mogę je zdjąć? Ni cholery przez nie nie widzę.

– Nie.

Rozmawiali półgębkiem tylko na tyle głośno, by się wzajemnie słyszeć. Tłum na trybunach głośno reagował na każde zagranie i było mało prawdopodobne, by ktoś mógł ich podsłuchiwać.

Joey pociągnął łyk piwa.

– Naprawdę cię śledzą? – spytał.

– O, tak. Codziennie i na każdym kroku.

– Wiedzą, że ty wiesz?

– Nie sądzę.

– Ale po co to robią?

– Elementarz szpiegowski.

– No jasne.

– Informacja to klucz do wszystkiego. Im więcej mnie podglądają i podsłuchują, tym więcej o mnie wiedzą. Jeśli będą wiedzieć, co jem, piję, noszę i oglądam, czego słucham, z kim rozmawiam i się spotykam, gdzie robię zakupy i jak odpoczywam, to być może któregoś dnia

będą mogli to wykorzystać do swoich celów. Dla nas brzmi to strasznie upierdliwie, ale nie dla tych ludzi.

Joey pociągnął kolejny łyk piwa i zamyślił się.

Piłka odbiła się od ściany lewej strony boiska, dając szansę na rozpoczęcie biegu, i publiczność zerwała się z miejsc. Kyle i Joey posłusznie zrobili to samo. Po chwili emocje tłumu opadły i Kyle podjął temat:

– Na przykład znalazłem taki fajny mały sklepik w śródmieściu, gdzie sprzedają różne szpiegowskie gadżety. Maleńkie kamery, ukryte mikrofony, podsłuchy telefoniczne, a także wysokiej klasy akcesoria z wojskowego demobilu. Prowadzi go dwóch kolesi, którzy twierdzą, że byli agentami CIA, tyle że prawdziwi byli agenci CIA nigdy się tym nie chwalą. Znalazłem ten sklep w internecie na komputerze biurowym, nie domowym, i byłem w nim już dwa razy, po tym jak zgubiłem obstawę. Może kiedyś będę czegoś z niego potrzebował, ale gdyby tamci się kapnęli, że się nim interesuję, pewnie bardzo by się podniecili.

– Wszystko to brzmi strasznie dziwnie.

Siedząca przed Joeyem kobieta odwróciła głowę i obrzuciła ich spojrzeniem. Zamilkli i nie odezwali się już do końca tej rundy meczu.

– A co myślisz o sprawozdaniu w sprawie Elaine? – szepnął w końcu Joey.

– Brzmi niepokojąco.

– To co robimy dalej?

– Myślę, że powinieneś się z nią spotkać.

– Mowy nie ma.

– Przypadkowo. Po prostu na nią wpadnij i zobaczysz, jak zareaguje.

– No, jasne! Mam jechać do Scranton, gdzie nie byłem od dziesięciu lat, odszukać ją, rozpoznać i założyć, że ona też mnie rozpozna, i co dalej? Uciąć sobie miłą pogawędkę o ostatnim razie, kiedy się pieprzyliśmy? Pośmiać się ze wspomnień? Kurde, Kyle, przecież ona oskarżyła mnie o gwałt.

– Ciii – syknął Kyle. Słowo „gwałt” jakby zawisło w powietrzu, ale nikt nie zareagował.

– Przepraszam – szepnął Joey, po czym obaj przez dłuższą chwilę obserwowali grę na boisku.

Na pierwszej bazie wybuchła kłótnia o zbicie i każdy z pięćdziesięciu tysięcy kibiców postanowił wyrazić swoje zdanie. Przekrzykując ryk tłumu, Kyle powiedział:

– Byłoby ciekawe zobaczyć, jak zareaguje. Czy w ogóle chciałaby z tobą rozmawiać? Czy jest rozgoryczona, wściekła, kipi chęcią zemsty? Mógłbyś ją podpuścić i powiedzieć, że tamto

wciąż ci leży na sumieniu i chcesz z nią o tym pogadać. Ciekawe, czy zgodziłaby się spotkać na poważną rozmowę. Nie musisz się do niczego przyznawać, chcesz się tylko wywiedzieć, co ona o tym myśli. A nuż uda się to wszystko zakończyć. Co ci szkodzi?

– A jeśli ona pierwsza mnie pozna, wyciągnie spluwę i trach?

– To zaopiekuję się Blair. – Kyle powiedział to z uśmiechem, choć myśl o spędzeniu choćby krótkiego czasu z dziewczyną Joeya nie budziła w nim entuzjazmu.

– Dzięki. Jest w ciąży, wiesz? Dzięki, że pytasz.

– Dlaczego jest w ciąży?

– Bo tak chciała biologia. Oboje byliśmy zaskoczeni.

– Gratulacje, tatuśku.

– Małżeństwo to jedno, ale co do ojcostwa… wcale nie jestem taki pewny.

– Zdawało mi się, że jej kariera zawodowa jest w pełnym rozkwicie.

– Mnie też. Zapewniała, że łyka tabletki, ale sam już nie wiem.

Nie był to temat, nad którym Kyle miał ochotę się rozwodzić. Im dłużej rozmawiali, tym łatwiej im szło, a nie było to wskazane.

– Idę do kibla – oznajmił.

– Przynieś mi piwo.

– Nie. Przecież się nie znamy, nie pamiętasz?

– Nie wygłupiaj się, Kyle. Myślisz, że ktoś tu na ciebie patrzy?

– Przez lornetki. Co najmniej dwóch. Przyszli za mną, prawdopodobnie kupili bilety u konika pod bramą i teraz mnie obserwują.

– Ale dlaczego?

– To się nazywa inwigilacja, Joey. Jestem ich cennym dobrem, ale mi nie ufają. Powinieneś przeczytać parę powieści szpiegowskich.

– Stąd się bierze twój problem. Za dużo kombinujesz.

Kyle wykorzystał przerwę między rundami. Poszedł do toalety, w bufecie kupił dietetyczny napój gazowany i paczkę orzeszków. Po powrocie wdał się w rozmowę z chłopcem po prawej, zagorzałym kibicem Metsów, który znał na pamięć nazwiska wszystkich graczy i ich wyniki. Ojciec chłopca pracował w reklamie i Kyle okazał wielkie zainteresowanie jego pracą. Rozgniatał łupiny i rozrzucał je na ziemi, przez dłuższy czas zupełnie ignorując Joeya.

Na wpół oślepiony przez ogromne okulary Metsów Joey cierpiał w milczeniu. Po czterech rundach Piraci byli cztery biegi za Metsami i najchętniej już by się stąd zmył, ale Kyle

w końcu odwrócił głowę i przypatrując się tablicy wyników, wycedził przez zęby:

– Jakieś wieści o Baxterze?

– Nic. Chyba go zamknęli w jakiejś jaskini.

– Znam to uczucie. Cały tydzień przesiedziałem w pieczarze.

– Nie chcę o tym słuchać. Za te pieniądze, jakie ci płacą, nie masz prawa narzekać.

– Dobra, dobra. Oni wiedzą, że jest na odwyku, i prawdopodobnie wiedzą gdzie – powiedział Kyle, przyglądając się, jak zawodnicy przechwytują długi rzut na polu ostrzegawczym.

– Oni?

– Te sukinsyny. Ich szef powiedział mi w zeszłym tygodniu, że Baxter jest na odwyku.

– Jak często się z nim spotykasz?

– Zbyt często.

– Przekazałeś mu już jakieś tajemnice?

– Nie. Na razie jestem czysty.

Joey pociągnął łyk piwa, wolno przełknął i zasłaniając twarz plastikową szklanką, powiedział:

– Jeśli tak się interesują Baxterem, czy to znaczy, że mną też?

– Możliwe. W każdym razie bądź ostrożny. Nie popadaj w rutynę, uważaj, co piszesz.

– No, pięknie!

– Moje mieszkanie jest naszpikowane mikrofonami i kamerami. Wchodzą i wychodzą, kiedy im się podoba. Nie mam alarmu i nie chcę mieć, ale wiem, kiedy składają mi wizytę. Wszystko, co robię w domu, jest przez nich podglądane i rejestrowane. Tylko nie wiedzą, że ja o tym wiem, i nie robię niczego, co mogłoby mnie kompromitować.

– Czyli przechytrzasz zawodowców?

– Tak sądzę.

Na chwilę zamilkli, przyglądając się kolejnej zmianie na pozycji miotacza Piratów.

– Do czego to wszystko prowadzi, Kyle?

– Nie wiem. Na razie robię małe bezpieczne kroczki. Następnym ruchem będzie kontakt z dziewczyną i ustalenie, jak źle sprawy stoją.

– Myślę, że bardzo źle.

– Przekonajmy się.

Kyle sięgnął do wibrującej kieszeni i wydobył FirmFon. Pociągnął palcem po ekranie, odnalazł wiadomość i zaklął w duchu.

– Co jest? – spytał Joey, starając się nie patrzeć na telefon.

– Jeden ze wspólników. Ma jakąś sprawę i chce mnie widzieć w biurze jutro o siódmej rano.

– Jutro jest sobota, Kyle.

– Czyli kolejny dzień pracy.

– Czy ci ludzie powariowali?

– Nie, są tylko strasznie chciwi.

W trakcie siódmej rundy Kyle wstał i ruszył do wyjścia. Joey został do końca ósmej i wyszedł, by nie być świadkiem dziewięćdziesiątej porażki swoich ukochanych Piratów.

W soboty i niedziele dopuszczalne były dżinsy, jednak samo to, że obowiązywał jakiś wymóg – choćby najbardziej złagodzony – weekendowego ubioru, świadczyło o zwyczajach panujących w firmach prawniczych na Wall Street.

Bo po co w ogóle się tym zajmować?

Kyle przyszedł w dżinsach, podobnie jak Dale, która w obcisłych lewisach wyglądała rewelacyjnie. Tim Reynolds włożył nakrochmalone spodnie khaki. Wszyscy troje z lekkim niedowierzaniem rozglądali się po niewielkiej salce konferencyjnej na trzydziestym trzecim piętrze. Była siódma rano, druga sobota ich kiełkujących karier prawniczych. Dołączyli do grupki starszych prawników, czterech mężczyzn, których Kyle nie miał przyjemności poznać lub choćby zauważyć podczas dwóch

tygodni spędzonych w firmie. Wszyscy się sobie szybko przedstawili, bo zapewne tak należało.

Wspólnika, który zwołał to zebranie, nie było. Nazywał się Tobias Roland – za plecami Toby – i ze wszystkich plotek, jakie zdążyły dotrzeć do uszu Kyle'a, najbardziej zjadliwe dotyczyły właśnie jego. Opowieści o Tobym było wiele, ale tylko nieliczne ukazywały go w miarę pozytywnym świetle. Pochodzący z biednej rodziny i szemranego środowiska chłopak z ogromnymi pretensjami do całego świata, posiadacz licencjatu Yale i dyplomu Columbii, błyskotliwy i pozbawiony skrupułów intrygant, który osiągnął status wspólnika po zaledwie pięciu latach pracy w firmie głównie dzięki temu, że harował ciężej od innych pracoholików i nigdy nie odpuszczał. Relaksem Toby'ego były dziesięciominutowe figle z sekretarką na kanapie w jego gabinecie. Większość sekretarek panicznie się go bała – za bardzo, żeby się poskarżyć lub wystąpić na drogę sądową. Niektórym wydawał się zresztą na tyle seksowny, że zbytnio nie protestowały. Uwielbiał się wyżywać na młodszych kolegach, mieszając ich z błotem w obecności osób trzecich i opieprzając ich najbardziej rynsztokowym językiem za choćby najmniejsze przewinienie. Nie lubili go też

wspólnicy, bo był zawsze od nich mądrzejszy i lepiej przygotowany. Miał czterdzieści cztery lata i był najwydajniejszym, czyli najwięcej fakturującym prawnikiem procesowym w firmie, któremu od ośmiu lat nie zdarzyło się przegrać procesu przed ławą przysięgłych. Był niezwykle wysoko ceniony przez adwokatów z innych firm prawniczych. Rok wcześniej Kyle wyciął artykuł z „Fortune", w którym autor zachwycał się skutecznością „najsłynniejszego prawnika procesowego" z firmy Scully & Pershing.

Gdy Toby kiwał na kogoś palcem, biegło się bez zastanowienia, choć z duszą na ramieniu.

Zamiast niego na sobotnim spotkaniu zjawił się starszy prawnik nazwiskiem Bronson, który, jak wyjaśnił bez entuzjazmu w głosie, przyszedł w zastępstwie mecenasa Rolanda zajętego rozpracowaniem innych aspektów aktualnie prowadzonej sprawy. Mecenas obiecał jednak, że postara się do nich wpaść, i to wystarczyło, by wszyscy maksymalnie się spięli.

Klientem była duża firma z branży naftowej, której groził pozew ze strony holenderskiego potentata w sprawie spornych złóż ropy naftowej w Zatoce Meksykańskiej. Spodziewano się, że pozew trafi do sądu w Nowym Orleanie, ale Toby zdecydował się złożyć pozew wyprzedzający

w Nowym Jorku. Pozew miał być złożony z samego rana w poniedziałek i był to odważny ruch stanowiący zasadzkę, w którą Toby mógł sam wpaść. Kolejny ryzykowny manewr, z jakich słynął.

Po kilku minutach słuchania o pozwie opisywanym z takim namaszczeniem, jakby rzecz dotyczyła inwazji aliantów w Normandii, Kyle pojął, że całą sobotę i niedzielę diabli wzięli, bo będzie je musiał spędzić w bibliotece. Zerknął na wyświetlacz swojego FirmFona, sprawdził listę maili i coś przykuło jego uwagę. O siódmej trzydzieści w sobotę firma rozesłała maila, w którym informowała wszystkich użytkowników FirmFonów o zwolnieniu Gavina Meade'a, prawnika zatrudnionego od czterech lat w dziale procesowym. Brak było jakichkolwiek wyjaśnień, jakichkolwiek szczegółów. Ot, ciche dyskretne rozstanie.

Wszyscy mają jakieś sekrety, powiedział Bennie. Jak ten drań to zrobił? Anonimowa przesyłka do działu personalnego, a w niej zaprzysiężone zeznania, akta policyjne, tego typu rzeczy? Biedny Meade. Od jego wpadki minęło już dziesięć lat i zdążył dojść do czterystu tysięcy rocznie, po czym nagle dostaje zaproszenie na rozmowę za zamkniętymi drzwiami.

Bronson coś tam mędził o tym, że jest jak piasta koła, z której wychodzą szprychy w dół do siedmiu podlegających mu prawników i kilka w górę do pana Rolanda i reszty wspólników w dziale procesowym, on zaś jest elementem pośrednim pomiędzy starymi wyjadaczami a niedoświadczonymi żółtodziobami. I dlatego to on będzie organizował im pracę, nadzorował zbieranie danych i kontaktował się ze wspólnikami. Wszystko będzie przechodzić przez niego.

Czas ma w tej sprawie kluczowe znaczenie, podkreślił. Jeśli wycieknie choćby jedno słowo o ich planach, Holendrzy i ich prawnicy mogą narobić strasznego galimatiasu. Na szali leży zaopatrzenie kraju w ropę naftową, może wręcz los całej zachodniej cywilizacji.

Wszyscy ruszyli hurmem do biblioteki.

Rozdział 18

Po kilku rozmowach telefonicznych przebiegających w coraz bardziej nerwowej atmosferze doktor Boone i wujek Wally porozumieli się, choć warunkowo. Baxter mógł wyjść z zakładu wcześniej, jednak przed powrotem do „prawdziwego” świata miał spędzić trzy doby w ośrodku otwartym w Reno. Po stu pięciu dniach od przywiezienia z zawartością alkoholu we krwi na poziomie dwóch i ośmiu dziesiątych promila i wyraźnymi śladami kokainy w organizmie Baxter ostatecznie porzucił bezpieczny azyl ośrodka w Washoe. Był już zupełnie czysty, ważył pięć kilo mniej i uwolnił się nie tylko od alkoholu i narkotyków, ale przestał też palić. Był w świetnej kondycji fizycznej, opalony i trzeźwo myślący. Szczerze wierzył, że pokonał swoje demony i że od teraz będzie wiódł normalne, trzeźwe życie. Na nową drogę został uzbrojony w zalecenia doktora Boone’a i innych terapeutów. Wyznał swoje winy

i poddał się sile wyższej, czymkolwiek lub kimkolwiek ona była. Mając dwadzieścia pięć lat, zaczynał życie od nowa i był z tego dumny, ale i pełen obaw, może wręcz wystraszony. Wraz z mijającymi za oknem kilometrami czuł się coraz mniej pewnie, jego wiara w siebie gwałtownie malała.

W tak wielu sprawach tyle razy zawiódł, że zakrawało to niemal na rodzinną tradycję. Czy niepowodzenie było wpisane w jego DNA?

Z ośrodka Washoe w Górach Słowiczych do Reno wiózł go pielęgniarz, z którym w ciągu dwugodzinnej podróży niemal się do siebie nie odzywali. Przed miastem minęli ustawioną przy drodze reklamę importowanego piwa w zielonej oszronionej butelce trzymanej przez uśmiechniętą zalotnie młodą kobietę, która potrafiłaby namówić każdego mężczyznę do wszystkiego. Na jej widok Baxtera ogarnął jeszcze większy strach, paraliżując go i wyciskając na czoło krople potu. W tym momencie wolałby zawrócić i schronić się w ośrodku wolnym od alkoholu i innych pokus. Ale zawziął się i nic nie powiedział.

Wioska Nadziei mieściła się w podupadłej części Reno, w sąsiedztwie porzuconych budynków, spelunowatych kasyn i takich samych

barów. Prowadził ją brat Manny, pastor, założyciel i szef całego ośrodka. Czekał przed wejściem do kościoła i gdy Baxter wysiadł na rozpalony słońcem chodnik, podbiegł i energicznie potrząsnął mu rękę.

– Pan Tate. Mogę ci mówić Baxter?

Pytanie od razu sugerowało odpowiedź. Był Baxterem, nie panem Tate.

– Jasne – powiedział i aż się skurczył pod naporem tego powitania.

– Jestem brat Manny. – Pastor położył ciężką lewą rękę na ramieniu Baxtera, jakby dopełniając tym ceremonii powitania. – Witam w Wiosce Nadziei.

Miał około pięćdziesiątki, latynoskie rysy, ciemną karnację i siwe włosy gładko ściągnięte do tyłu i zaplecione w sięgający pasa warkocz. Patrzył na Baxtera przyjaźnie, ukazując w szerokim uśmiechu pełne uzębienie i dwie blizny na twarzy: jedną mniejszą obok lewego nozdrza, drugą większą przez całą długość prawego policzka. Twarz zdobiła mu siwa kozia bródką, najwyraźniej od lat pielęgnowana.

– Następny uciekinier z ośrodka Washoe – powiedział głębokim, melodyjnym głosem. – A jak się miewa kochany doktor Boone?

– W porządku – odparł Baxter. Czubek nosa brata Manny’ego znajdował się nie więcej niż dziesięć centymetrów od jego nosa, ale najwyraźniej fizyczna bliskość w niczym pastorowi nie przeszkadzała. Baxter czuł się jednak niezręcznie. – Przesyła pozdrowienia.

– To przyzwoity człowiek. Chodź, oprowadzę cię. Rozumiem, że zostajesz u nas tylko trzy doby.

– Zgadza się.

Ruszyli wolnym krokiem, z ręką brata Manny’ego wspartą na ramieniu Baxtera. Pastor był masywnie zbudowanym mężczyzną, miał potężną klatkę piersiową i szerokie bary, był w płóciennych spodniach, białej lnianej koszuli z rozpiętymi pod szyją dwoma guzikami i sandałach włożonych na bose stopy. Jego długi warkocz tańczył po plecach przy każdym ruchu głowy.

Kościół należał niegdyś do zamożnej białej kongregacji, która przeniosła się na obrzeża miasta. Baxter rozglądał się, słuchając opowieści gospodarza. Manny Lucera odnalazł Pana podczas swej drugiej odsiadki za napad z bronią w ręku, z którego łupy miały mu umożliwić zakup narkotyków na własny użytek. Po wyjściu z więzienia pozwolił Duchowi Świętemu zaprowadzić się do Reno, gdzie przystąpił do

duchowej posługi. Od tamtej pory minęło siedemnaście lat i Manny wiedział, jak dużo zawdzięcza Panu, który mu pobłogosławił. Jego kościół rozrósł się i obecnie mieścił w podziemiach przytułek dla bezdomnych, kuchnię wydającą darmowe zupy każdemu, kto się zjawił, świetlicę dla biednych dzieci z okolicy oraz azyl dla maltretowanych kobiet i dzieci. Manny planował też otwarcie sierocińca. Stare przykościelne zabudowania wykupiono i wyremontowano. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi – pracowników, wolontariuszy, bezdomnych – którzy na widok brata Manny'ego niemal zginali się wpół w pełnym uszanowania ukłonie.

Baxter i pastor przysiedli przy ocienionym stole piknikowym i otworzyli puszki lemoniady.

– Czym się trułeś? – spytał Manny.

– Koką i alkoholem, ale niczym nie gardziłem – przyznał Baxter. Po piętnastu tygodniach obnażania duszy przed ludźmi, którzy wszystko o nim wiedzieli, nie wahał się mówić prawdy.

– Jak długo?

– Zacząłem jako czternastolatek, potem nabrałem jeszcze pary. Teraz mam dwadzieścia pięć, więc jedenaście lat.

– Skąd pochodzisz?

– Rodzinnie z Pittsburgha.

– Pochodzenie?

– Uprzywilejowane.

Brat Manny sypał pytaniami i przełykał odpowiedzi z taką swobodą, że po piętnastu minutach Baxter czuł, że mógłby z nim gadać godzinami i wszystko mu opowiedzieć.

– To twój pierwszy odwyk?

– Drugi.

– Przez dwadzieścia lat ćpałem wszystkie narkotyki, jakie znasz, i wiele takich, o których nawet nie słyszałeś. Kupowałem, sprzedawałem, szmuglowałem i produkowałem prochy. Cztery razy pocięli mnie nożem, trzy razy postrzelili, dwa razy siedziałem, wszystko przez narkotyki. Przez narkotyki i alkohol straciłem też pierwszą żonę i dwoje dzieci. Przez nie nie zdobyłem żadnego wykształcenia. Zmarnowałem osiem lat życia na odsiadkę w więzieniu. Niemal straciłem życie. Wiem wszystko o narkomanii, bo sam przez to przeszedłem. Jestem dyplomowanym terapeutą od uzależnień alkoholowych i narkotycznych i na co dzień pracuję z narkomanami. Jesteś narkomanem?

– Tak.

– Bądź błogosławiony, bracie. Znacie się z Chrystusem?

– Chyba tak. Matka prowadziła mnie do kościoła w każde Boże Narodzenie.

Brat Manny uśmiechnął się i zsunął swój potężny zad ze stołu.

– Chodź, pokażę ci twój pokój. Nie jest to Ritz, ale może być.

Przytułek dla bezdomnych zajmował wielkie pomieszczenie w podziemiach i był przedzielony prowizoryczną ścianką na część dla kobiet i dla mężczyzn. W obu stały równe rzędy prycz z wojskowego demobilu.

– Większość tych ludzi za dnia pracuje. Nie są włóczęgami – wyjaśnił brat Manny. – Zaczną się schodzić około szóstej. A tu jest twój pokój.

W pobliżu kabin prysznicowych znajdowały się dwa pokoiki z nieco wygodniejszymi łóżkami i przenośnymi wentylatorami. Brat Manny otworzył drzwi jednego z nich.

– Możesz zająć ten – powiedział. – Jest przeznaczony dla szefa sali. By zasługiwać na własny pokój, trzeba pracować, więc będziesz pomagał przy przygotowaniu posiłków, a potem, gdy już wszyscy będą na miejscu, będziesz pilnował porządku i bezpieczeństwa. – Mówił to wszystko tak pewnym siebie tonem, że jakakolwiek próba sprzeciwu gasła w zarodku i była nie do pomyślenia.

W głowie Baxtera wirował cały świat. Zaczął dzień w cieplarnianych warunkach czterogwiazdkowej kliniki rehabilitacyjnej, z której chciał jak najszybciej się wyrwać. Kończył go w dusznym podziemiu starego kościoła, stanowiącym schronienie dla pięćdziesięciu dwóch najżałośniejszych biedaków, z którymi miał przez następne trzy doby mieszkać pod jednym dachem, szykować im posiłki i pilnować ich zachowania.

Baxter Tate z pittsburskiej dynastii Tate'ów, błękitnokrwistych bankierów mieszkających w przekazywanych z pokolenia na pokolenie rezydencjach, zarozumiałych i aroganckich osobników, którzy żenili się z członkiniami podobnych klanów i płodzili potomstwo o jeszcze płytszych zasobach genetycznych.

Jak to się stało, że w tak młodym wieku znalazł się w tym miejscu?

Formalnie rzecz biorąc, miał prawo w każdej chwili stąd wyjść. Otworzyć drzwi, złapać taksówkę i nawet się nie obejrzeć. Nie było żadnego nakazu sądowego, który by ograniczał jego swobodę. Wujek Wally pewnie byłby niezadowolony, ale na tym kończyły się zmartwienia Baxtera.

– Dobrze się czujesz? – spytał brat Manny.

– Nie. – Jak dobrze jest móc mówić szczerze.
– Zdrzemnij się. Coś blado wyglądasz.

Duchota nie pozwoliła mu usnąć. Po godzinie wymknął się ze schroniska i zaczął błądzić ulicami Reno. Zjadł późny lunch w ulicznej knajpce, pierwszego od miesięcy hamburgera z frytkami. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by wynająć pokój w hotelu na jedną czy dwie doby, i ta myśl całkiem nim zawładnęła. Mijał liczne kasyna. Hazard nigdy go nie pociągał, ale w każdym kasynie jest bar, nie? Oczywiście bar to miejsce zakazane, ale Baxter nie był w stanie znieść myśli o powrocie do Wioski Nadziei, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Przy stole do blackjacka wyjął pięć dwudziestodolarówek, dostał garść sztonów i przez parę minut grał po pięciodolarowej stawce. Do stołu podeszła starzejąca się kelnerka i spytała, czego się napije.

– Butelkę wody – powiedział bez wahania.

Poza nim jedynym graczem przy stole był kowboj w czarnym kapeluszu i pełnym kowbojskim rynsztunku. Stojąca przed nim otwarta butelka piwa wyglądała tak niewinnie. I tak nęcąco.

Gdy wszystkie sztony Baxtera wróciły do krupiera, wstał od stołu i zaczął przechadzać się po kasynie. Speluna była okropna; jej klienci – nieliczni – byli ludźmi, których tu w ogóle nie powinno być. Przyszli przegrać pieniądze, na przegranie których nie było ich stać. Podszedł do baru, gdzie na wielkich ekranach puszczano stare mecze futbolowe. Na tablicach przy pustym barze widniały notowania zakładów na najbliższy weekend. Baxter usiadł na stołku i zamówił wodę.

Ciekawe, co by powiedział doktor Boone. Niecałe sześć godzin od „powrotu na rynek" jego pacjent był już w barze. Spokojnie, panie doktorze. To tylko woda. Jeśli potrafię się oprzeć tu, w punkcie zero, następna próba będzie już łatwiejsza. Sącząc wodę, prześlizgnął się wzrokiem po rzędzie butelek z alkoholem. Po co aż tyle różnych kształtów i wielkości? I tyle różnych gatunków? Jeden cały rząd był wypełniony butelkami z wódkami smakowymi. Cudownymi trunkami, które w dawnych czasach żłopał wiadrami.

Dzięki Bogu te czasy należały już do przeszłości.

Gdzieś w głębi sali zawyła syrena i rozdzwoniły się dzwonki. Szczęśliwy gracz trafił

na automacie główną wygraną i towarzyszący temu zgiełk miał uświadomić wszystkim, jak łatwo się wygrywa. Barman napełnił szklankę piwem z beczki i energicznym ruchem postawił przez Baxterem.

– Na koszt firmy – oznajmił. – Za super jackpot.

Z tej okazji bezpłatne drinki dla wszystkich przy barze, czyli dla Baxtera, który miał już na końcu języka: „Hej, kolego, zabierz to. Ja już nie piję”, ale barman zdążył odejść. A poza tym zabrzmiałoby to śmiesznie. Jak wielu abstynentów trafia się w barze kasyna o trzeciej po południu?

Szklanka była oszroniona, piwo lodowato zimne. Miało nieco ciemniejszą barwę i Baxter spojrzał na tabliczkę na kurku. Nevada Pale Ale. Nigdy takiego nie pił. Zaschło mu w ustach, łyknął więc wody. Przez sto pięć dni doktor Boone i inni terapeuci w ośrodku Washoe kładli mu do głowy, że wystarczy jeden drink, by powrócić do nałogów. Przyglądał się pacjentom – gościom, jak ich tam nazywano – poddawanym kolejnemu odtruwaniu i słuchał ich opowieści o kolejnych porażkach. Nie daj się zwieść, powtarzali wszyscy. Po jednym drinku już nad

sobą nie zapanujesz. Konieczna jest całkowita abstynencja.

No, może.

Szron na szklance zamieniał się w kropelki wody, które spływały po ściankach i wsiąkały w podłożoną serwetkę.

Baxter miał dwadzieścia pięć lat i nie potrafił uwierzyć – nawet w chwilach największych uniesień w Washoe – że miałby przeżyć resztę życia bez kropli alkoholu. Gdzieś w głębi duszy wierzył, że znajdzie w sobie wystarczającą siłę woli, która pozwoli mu wypić drinka lub nawet dwa i przestać, nim sprawy wymkną się spod kontroli. A skoro tak, to czemu nie spróbować od razu? Ostatnim razem torturował się przez czternaście dni, aż ostatecznie uległ. Przez dwa tygodnie okłamywał sam siebie, a jeszcze bardziej znajomych, że życie w trzeźwości bardzo mu pasuje. Mówiąc to, jednocześnie marzył o drinku. Więc po co znów się skazywać na taką mękę?

Piwo w szklance robiło się coraz cieplejsze.

Słyszał w głowie nauki swoich terapeutów. Miał w pamięci łzy i wyznania innych gości kliniki. Słuchał własnego głosu, którym wygłaszał święte zaklęcie trzeźwości: „Jestem alkoholikiem,

słabym i bezwolnym, który potrzebuje wsparcia istoty wyższej”.

I ci nieszczęśnicy w ośrodku Washoe rzeczywiście byli słabi i bezwolni. Ale nie on. On poradzi sobie nawet z kilkoma drinkami, bo jest od nich silniejszy. Wytłumaczył sobie, że w żadnym razie nie podda się urokowi – czy może koszmarowi – kokainy. Ani nie weźmie do ust żadnego mocnego alkoholu. Od czasu do czasu tylko piwo. Może poświęci też więcej uwagi winu.

Żaden problem.

Mimo to jakoś nie mógł się przemóc, by sięgnąć po szklankę. Była nie dalej niż pół metra od niego, w zasięgu ręki. Stała przed nim jak grzechotnik sprężony do śmiertelnego ataku, by zaraz zamienić się w wymarzony, powodujący przyjemny szum w głowie nektar. Raz tak, raz tak; raz tak, raz tak. Zło przeciwko dobru.

„Musisz zmienić towarzystwo – powtarzał doktor Boone. – I nie wolno ci wracać do dawnych miejsc. Znajdź sobie nowe miejsca, nowych ludzi, nowe wyzwania, nowy pomysł na życie”.

No i co pan na to, doktorze? Właśnie siedział w zupełnie nowym, zapyziałym kasynie w Reno, którego nazwy nawet nie pamiętał. Ha-ha.

Miał obie ręce wolne i w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że jego prawa dłoń lekko drży. Oddech stawał się świszczący i ciężki.

– Wszystko w porządku, kolego? – spytał barman, przechodząc obok.

Tak… nie… Baxter kiwnął głową, ale nie mógł wydusić słowa. Siedział ze wzrokiem utkwionym w szklance z piwem. Gdzie on jest? Co on tu robi? Sześć godzin po wyjeździe z kliniki siedzi w barze, zmagając się z sobą, czy wypić drinka. Właściwie już przegrał. Wystarczy samo to, gdzie jest.

Wyciągnął lewą rękę, ujął szklankę i wolno przysunął ku sobie. Przestał ciągnąć, gdy szklanka znalazła się piętnaście centymetrów od niego. Z tej odległości czuł już zapach jęczmienia i chmielu. Szklanka wciąż była zimna, w każdym razie wystarczająco.

Wojna dobra ze złem zamieniła się teraz w wojnę między „uciekać” a „zostać”. Niemal udało mu się oderwać się od baru, żeby puścić się biegiem między rzędami automatów do wyjścia. Niemal. Nieoczekiwanie w podjęciu decyzji dopomógł mu Keefe. Keefe był jego najlepszym kumplem w Washoe. Wywodził się z bogatej rodziny, która płaciła za jego trzeci pobyt w klinice. Pierwsze dwa nic nie dały, bo Keefe

wytłumaczył sobie, że jedna działka mu nie zaszkodzi.

Jeśli wypiję to piwo i sprawy przybiorą zły obrót, zawsze mogę wrócić do Washoe, a po dwóch porażkach będę wiedział na pewno, że konieczna jest całkowita abstynencja. Jak w przypadku Keefe'a. Ale w tej chwili naprawdę potrzebuję tego piwa.

Ujął szklankę w obie dłonie, zbliżył do twarzy i wciągnął w nozdrza zapach. Uśmiechnął się, gdy zimne szkło dotknęło warg. Pierwszy łyk nevada pale ale smakował jak najlepszy niebiański nektar. Baxter przymknął oczy i z wyrazem błogości na twarzy zaczął się delektować jego smakiem.

– A więc tu jesteś, Baxter! – wykrzyknął ktoś za jego prawym ramieniem.

Omal się nie zakrztusił i omal nie upuścił szklanki. Odwrócił głowę i ujrzał zbliżającego się brata Manny'ego, który szedł zamaszystym krokiem i nie wyglądał na uszczęśliwionego. – Co ty tu robisz? – burknął, kładąc ciężką łapę na jego ramieniu z taką miną, jakby mu chciał przywalić.

Baxter sam nie bardzo wiedział. Pił piwo, czego z całą pewnością nie powinien robić, ale był tak przerażony, że nie potrafił wydusić słowa.

Brat Manny łagodnym ruchem odebrał mu szklankę i przesunął po blacie.

– Zabierz to – rzucił w stronę barmana, po czym usiadł na stołku obok i nachylił się tak nisko, że jego nos znów znalazł się dziesięć centymetrów od twarzy Baxtera. – Posłuchaj mnie, synu – rzekł cicho. – Nie mogę cię zmusić, żebyś teraz stąd wyszedł. To twoja decyzja. Ale jeśli chcesz, żebym ci pomógł, to mi powiedz. Wtedy cię stąd zabiorę, zawiozę z powrotem do mojego kościoła, zrobię ci kawę i pogadamy.

Baxter opuścił ramiona, podbródek mu opadł. Smak piwa wciąż jeszcze atakował jego kubki smakowe.

– To może być najważniejsza decyzja w twoim życiu – mówił dalej brat Manny. – Właśnie teraz, w tej chwili. Zostać czy wyjść. Jeśli zostaniesz, przed upływem pięciu lat nie będzie cię już wśród żywych. Jeśli chcesz wyjść, powiedz słowo i wyjdziemy stąd razem.

– Jestem taki słaby… – Baxter przymknął oczy.

– Tak, ale ja nie. Więc pozwól mi się stąd wyprowadzić.

– Proszę.

Brat Manny niemal uniósł go ze stołka, otoczył masywnym ramieniem i poprowadził wolnym krokiem wzdłuż rzędu automatów

i pustych stołów z ruletką. Już niemal dotarli do wyjścia, gdy brat Manny się zorientował, że Baxter płacze. I że uśmiecha się przez łzy. Narkoman musi sięgnąć dna, zanim zacznie piąć się w górę.

Biuro pastora mieściło się w dużym zagraconym pomieszczeniu obok schroniska. Sekretarka, żona brata Manny'ego, postawiła przed nimi dzbanek mocnej kawy i dwa różne kubki. Baxter zapadł się w starą skórzaną kanapę i zaczął łapczywie siorbać, jakby chciał wypłukać z ust smak piwa. Łzy już mu nie płynęły.

Brat Manny usiadł obok na drewnianym bujaku i zaczął mówić, kołysząc się lekko w przód i w tył.

– Siedziałem w więzieniu w Kalifornii. Po raz drugi. Należałem do bandy, która robiła gorsze rzeczy wewnątrz niż na zewnątrz murów. Któregoś dnia nie zachowałem ostrożności, wykroczyłem poza własny teren i dopadła mnie konkurencyjna banda. Odzyskałem przytomność w więziennym szpitalu. Miałem połamane kości, pocięte ciało i takie różne… Pękniętą czaszkę. Potwornie bolało. Pamiętam, jak myślałem, że wolałbym umrzeć. Miałem dość życia i dość tego

żałosnego typa, jakim wtedy byłem. Wiedziałem, że jeśli przeżyję i w końcu mnie wypuszczą, wrócę na te same ulice i do tego samego życia. W środowisku, w którym dorastałem, albo szło się do więzienia, albo młodo umierało. Brzmi to nieco inaczej niż twój przypadek, prawda?

Baxter wzruszył ramionami.

– Pod wieloma względami się różni, pod wieloma nie – ciągnął brat Manny. – Żyłem wyłącznie dla siebie, tak jak ty. Uwielbiałem robić złe rzeczy, też podobnie jak ty. Uganianie się za przyjemnościami, egoizm, zadzieranie nosa, z tego składało się moje życie. I myślę, że twoje też.

– O, tak.

– A to wszystko grzechy, które prowadzą do jednego: nędzy, bólu, upodlenia, ruiny i w końcu śmierci. Ty kroczyłeś tą drogą, synu, i teraz znów ci śpieszno na nią wrócić.

Baxter lekko pokiwał głową.

– I co się stało? – spytał.

– Udało mi się i przeżyłem. Niedługo potem poznałem w więzieniu zawodowego kryminalistę, bez szans na wcześniejsze ułaskawienie. To był najmilszy, najbardziej uczynny, najpogodniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Nie miał żadnych zmartwień,

każdy dzień był dla niego tak samo piękny, a życie cudowne, chociaż miał za sobą piętnaście lat w więzieniu o zaostrzonym rygorze. W kaplicy więziennej usłyszał nauki Chrystusa i w nie uwierzył. Powiedział, że się za mnie modli, tak jak modlił się za wielu złoczyńców w więzieniu. Któregoś wieczoru zaprosił mnie na kontemplację Biblii. Słuchałem opowieści więźniów, którzy wychwalali Boga za jego miłosierdzie, miłość, moc i obietnicę wiecznego zbawienia. Wyobraź sobie grupę zatwardziałych kryminalistów, którzy siedzą w więzieniu i śpiewają hymny ku chwale Pana. To bardzo mocny obraz i do mnie to przemówiło. Potrzebne mi było boskie miłosierdzie, bo miałem na sumieniu wiele grzechów. Potrzebny mi był pokój, bo całe życie toczyłem wojnę. Potrzebna mi była miłość, bo dotąd wszystkich nienawidziłem. Potrzebna mi była moc, bo w głębi duszy wiedziałem, jaki jestem słaby. Potrzebne mi było szczęście, bo od dawna byłem nieszczęśliwy. Więc modliliśmy się razem, ja i ci złoczyńcy zachowujący się jak niewinne jagniątka. Wyznałem Bogu, że jestem grzesznikiem i pragnę zbawienia przez Jezusa Chrystusa. I w jednej chwili, Baxter, moje życie uległo zmianie, a zmiana była tak

wszechogarniająca, że do dziś nie mogę w to uwierzyć. Duch Święty spłynął na mą duszę i w tym momencie stary Manny Lucera umarł, a urodził się ktoś zupełnie nowy, ktoś, komu wybaczono przeszłość i zapewniono przyszłość.

– A co z prochami?

– Zapomniałem o nich. Moc Ducha Świętego jest o wiele potężniejsza od ludzkich żądz. Byłem tego świadkiem tysiące razy w przypadku narkomanów, którzy robili wszystko, żeby się wyzwolić. Poddawali się leczeniu w klinikach odwykowych, brali udział w państwowych programach walki z narkomanią, przechodzili leczenie psychiatryczne, łykali jakieś mikstury, które miały im zastępować narkotyki. Jak człowiek jest nałogowcem, to jest bezbronny wobec alkoholu i prochów. Pomoc musi przyjść z zewnątrz. Mnie mocą obdarzył Duch Święty.

– Nie czuję się zbyt mocny.

– Bo nie jesteś. Spójrz na siebie. W ciągu paru godzin od wyjścia z Washoe znalazłeś się w jakimś podłym kasynie. To może być rekord, Baxter.

– Wcale nie zamierzałem iść do baru.

– Oczywiście, że nie. Ale poszedłeś.

– Dlaczego? – spytał Baxter cichym, niemal błagalnym tonem.

– Bo nigdy sobie nie odmawiałeś.

Po policzku Baxtera spłynęła łza.

– Nie chcę wracać do Los Angeles – powiedział, ocierając policzek wierzchem dłoni.

– Nie wolno ci, synu.

– Możesz mi pomóc? Bo czuję się bardzo niepewnie. Znaczy… tak naprawdę to jestem przerażony.

– Pomódlmy się razem, Baxter.

– Spróbuję.

Rozdział 19

Sześć miesięcy po upublicznieniu zatargu między Trylon a Bartin, co nastąpiło w wyniku złożenia oficjalnego pozwu, pole bitwy zostało wyznaczone i oddziały obu stron się okopały. Złożono wiele wniosków, mających służyć zapewnieniu dogodniejszych pozycji wyjściowych, ale jak dotąd żadna ze stron nie osiągnęła przewagi. Spór dotyczył terminów, harmonogramów, zobowiązań każdej ze stron, nowych technologii oraz prawa i terminu wglądu do poszczególnych dokumentów.

Po obu stronach pracowały liczne zastępy prawników i sprawy posuwały się z wolna do przodu. O terminie rozprawy nie było jeszcze mowy, ale było na to o wiele za wcześnie. Przy miesięcznych fakturach dla Trylona rzędu pięciu i pół miliona dolarów nie było co się śpieszyć z zakończeniem sprawy.

Po drugiej stronie barykady Bartin Dynamics ponosił zbliżone koszty, naliczane przez

wojowniczych prawników z firmy Agee, Poe & Epps za ich pełną poświęcenia i fantazji obronę. APE wyznaczyło do sprawy czterdziestu prawników, ale tak jak S&P miało tak długą ławkę rezerwowych, że w każdej chwili mogło rzucić do boju kolejne oddziały.

Najgorętszy punkt sporu nie był zaskoczeniem dla prawników żadnej ze stron. Kiedy wymuszony mariaż Trylona z Bartinem zaczął trzeszczeć, a ich poronione joint venture rozpadło się, doszło do karczemnej awantury o prawa do dokumentacji. W trakcie prac projektowych nad hiperdźwiękowym bombowcem B-10 powstały setki tysięcy, może wręcz miliony, dokumentów. Naukowcy zatrudnieni przez Trylona zagarnęli wtedy wszystko, co się dało, podobnie postąpili projektanci Bartina. Oprogramowanie wyrywano sobie z rąk, w wyniku czego część uległa zniszczeniu. Urządzenia w gestii jednej firmy nagle trafiały do drugiej. Tysiące zabezpieczonych teczek z dokumentacją wyparowały. Gromadzono i ukrywano kartony z wydrukami. Zamieszaniu towarzyszyły wzajemne oskarżenia o kłamstwa, szpiegowanie i pospolitą kradzież. Gdy w końcu kurz bitewny

opadł, żadna ze stron nie wiedziała dokładnie, co ma ten drugi.

W związku z supertajnym charakterem prac badawczych Pentagon z przerażeniem przyglądał się nieodpowiedzialnemu postępowaniu obu firm. Wspólnie z innymi agencjami wywiadowczymi wojskowi próbowali wpłynąć na Trylona i Bartina, by zechcieli prać swoje brudy za zamkniętymi drzwiami, ale nadaremno. Ostatnie słowo w tej sprawie należało już teraz do prawników i sądów.

Przed mecenasem Wilsonem Rushem i jego drużyną ze Scully & Pershing stanęło gigantyczne zadanie zebrania, skatalogowania, skopiowania i zabezpieczenia wszystkich dokumentów znajdujących się w posiadaniu Trylona. W Wilmington w Karolinie Północnej wynajęto budynek magazynowy niecałe dwa kilometry od centrum testowego Trylona, w którym prowadzono większość prac badawczych nad B-10. Po podpisaniu umowy najmu przeprowadzono gruntowny remont, łącznie z wyposażeniem budynku w nowoczesne systemy ochrony przeciwpożarowej, przeciwhuraganowej i przeciwpowodziowej. Wszystkie okna zamurowano piętnastocentymetrowymi bloczkami

gazobetonu. Wyspecjalizowana firma z Waszyngtonu wyposażyła obiekt w dwadzieścia kamer monitorujących. Cztery wielkie bramy zabezpieczono alarmami na podczerwień i wykrywaczami metalu. Magazynu pilnowały patrole uzbrojonych ochroniarzy, na długo zanim pojawiły się w nim pierwsze skrzynie z dokumentami.

Przywieziono je w końcu w nieoznakowanych naczepach kontenerowych, których pilnowały kolejne zastępy uzbrojonych ochroniarzy. W ciągu dwóch tygodni września przybyło kilkanaście takich transportów. Magazyn, potocznie nazywany Fortem Rush, coraz bardziej wypełniał się tonami papierzysk w ustawianych w równych stertach kartonowych pudłach, które czekały na uporządkowanie według klucza znanego tylko prawnikom z Nowego Jorku.

Stroną umowy najmu magazynu była firma Scully & Pershing, a wszystkie dokumenty – zlecenia na remont i ochronę obiektu oraz transport dokumentacji – podpisywał w jej imieniu Wilson Rush. Z chwilą dostarczenia kartonów do magazynu nadawano im natychmiast status DA – dokumentacji adwokackiej – dzięki czemu ich zawartość

podlegała odmiennym zasadom udostępniania stronie przeciwnej.

Mecenas Rush wybrał dziesięciu najbystrzejszych i najbardziej zaufanych prawników z działu procesowego i oddelegował ich do Wilmington do pracy w Forcie Rush, ponurym przepastnym hangarze bez oświetlenia dziennego, z połyskliwą betonową posadzką i charakterystyczną dla hal przemysłowych wonią, która podrażniała błony śluzowe nosa. Na środku wznosiła się wielka sterta kartonowych pudeł, po bokach ciągnęły się rzędy pustych stołów, za nimi ustawiono baterię ogromnych kopiarek, z których wychodziła plątanina kabli. Kolorowe kopiarki należały oczywiście do najnowszej generacji tego typu sprzętu i posiadały funkcje błyskawicznego skanowania i składania, a nawet zszywania dokumentów.

Z dala od nowojorskiej centrali prawnikom wolno było nosić dżinsy i adidasy, obiecano im też specjalne premie i inne zachęty, nic jednak nie mogło zrekompensować koszmaru kopiowania i skanowania milionów dokumentów. I to jeszcze w Wilmington! Większość miała żony i dzieci, które zostały w domach, choć z wybranej dziesiątki czterech zdążyło już zaliczyć bolesne rozwody. Było

niemal pewne, że zsyłka do Fortu Rush może doprowadzić do kolejnych kryzysów małżeńskich.

Swą mozolną pracę rozpoczęli pod osobistym nadzorem mecenasa Rusha. Każdy dokument podlegał błyskawicznemu skopiowaniu w dwóch egzemplarzach i równie błyskawicznemu zeskanowaniu do wirtualnej biblioteki firmy. Po zakończeniu całej operacji zabezpieczona specjalnym hasłem biblioteka miała umożliwiać dotarcie w ciągu sekund do dowolnego dokumentu. Oprogramowanie biblioteki zaprojektowali firmowi maniacy komputerowi, którzy zapewnili Rusha, że zabezpieczenie dostępu do jej zasobów będzie nie do złamania.

By podkreślić znaczenie pozornie bezmyślnego przekładania dokumentów, Rush towarzyszył swym prawnikom przez całe trzy dni, własnoręcznie rozpakowując pudła, sortując ich zawartość, skanując, kopiując i ponownie pakując dokumenty. Po jego odjeździe na miejscu zostało dwóch innych wspólników z działu procesowego, którzy przyjęli na siebie obowiązek kierowania ruchem. Zwykle tego typu prozaiczne zadania zlecano zewnętrznym kopiarniom, powierzając nadzór nad wykonaniem zadania personelowi pomocniczemu firmy, w tym jednak

przypadku uznano to za zbyt ryzykowne. Dokumenty nie mogły opuszczać rąk prawników, którzy doceniali ich wagę. Obsługujący kopiarki prawnicy zarabiali w granicach czterystu tysięcy dolarów rocznie i większość mogła się pochwalić przynajmniej jednym dyplomem z uczelni należącej do Ligi Bluszczowej. W żadnym momencie studiów nie przyszło im nawet do głowy, że będą musieli obsługiwać kopiarki, ale po czterech czy pięciu latach pracy w S&P byli już uodpornieni.

Rotacja personelu zaczęła się po tygodniu. Osiem dni w magazynie, cztery dni w Nowym Jorku i powrót do Wilmington. Ułożono harmonogram i w rezultacie w pracę w hangarze zaangażowanych było w sumie piętnastu prawników. Wszystkim zabroniono jakichkolwiek rozmów o Forcie Rush z kolegami pozostającymi w Nowym Jorku. Naczelnym wymogiem było zachowanie bezpieczeństwa i tajności całej operacji.

Pierwszy etap trwał sześć tygodni i w tym czasie skopiowano, skatalogowano i wprowadzono do biblioteki dwa miliony dwieście tysięcy dokumentów. Po zakończeniu pracy prawników wypuszczono z Fortu Rush

i przerzucono do Nowego Jorku wyczarterowanym odrzutowcem.

Bennie wiedział już, gdzie mieści się magazyn i jakie środki bezpieczeństwa w nim zastosowano, ale jego zainteresowanie tym miało charakter tylko teoretyczny. Naprawdę zależało mu na dostępie do wirtualnej biblioteki, a to mógł mu zapewnić tylko jego szpieg.

Rozdział 20

Za kolejny tysiąc dolarów firma detektywistyczna z Pittsburgha przedłużyła inwigilację Elaine Keenan i ustaliła jej codzienne zwyczaje. Elaine zwykle jadała lunch w gronie koleżanek w barze kanapkowym, nieopodal kompleksu parkowo-rozrywkowego, w którym pracowała.

„Przypadkowe” spotkanie musiało mieć cechy prawdopodobieństwa i Joeyowi nie udało się przekonać Kyle’a, by doszło do niego w barze lesbijskim, gdzie często bywała ze swoją współlokatorką. Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzył, by jakiekolwiek jego spotkanie z Elaine mogło wyglądać prawdopodobnie. Nie licząc przypadkowego seksu sprzed ponad pięciu lat, właściwie jej nie znał. Była jedną z groupies kręcących się przy bractwie Beta, a on starał się je wszystkie zapomnieć.

Firma detektywistyczna dostarczyła trzy barwne fotografie, w które Joey godzinami się

wpatrywał, nie mogąc uwierzyć, że w ogóle widział tę kobietę na oczy. W przeciwieństwie do Kyle'a, który przez chwilę im się przyglądał, po czym oświadczył, że doskonale ją sobie przypomina.

Miała teraz dwadzieścia trzy lata, ciemne włosy ufarbowała na ciemnorude i bardzo krótko obcięła. Na twarzy nie było śladu makijażu, a jedyną ozdobą były tatuaże na obu przedramionach. Jeśli zależało jej na atrakcyjnym wyglądzie, to nie dawała tego odczuć. Gdzieś pod tą maską kryła się być może niebrzydka dziewczyna, ale najwyraźniej w ogóle jej nie zależało na tym, by wyglądać seksownie.

Joey głośno przełknął ślinę, raz jeszcze przeklął w duchu Kyle'a i wszedł do baru kanapkowego. Stanął za nią w kolejce przy kontuarze i gdy kolejka posunęła się do przodu, niby przypadkiem ją potrącił.

– Przepraszam – rzucił ze sztucznym uśmiechem.

Zareagowała milczącym uśmiechem.

– Ojej, chyba uczyłaś się kiedyś w Duquesne, nie?

Jej dwie koleżanki odwróciły głowy, ale nie okazały zbytniego zainteresowania.

– Krótko – odparła, przyglądając mu się uważnie, jakby szukała w pamięci.

Pstryknął palcami na znak, że stara się sobie przypomnieć.

– Elaine? Zgadza się? Niestety, nie pamiętam nazwiska.

– Zgadza się. A ty, kim jesteś?

– Joey Bernardo. Byłem w bractwie Beta.

Po jej twarzy przemknął skurcz i Elaine opuściła wzrok. Przez moment stała jak skamieniała, jakby nie mogła wydusić z siebie słowa, a jednocześnie była na granicy wybuchu. Gdy kolejka się przesunęła, ona w milczeniu odwróciła się plecami do mężczyzny, który kiedyś ją zgwałcił i nie tylko nie poniósł za to żadnej kary, ale został całkowicie oczyszczony. Joey przyglądał jej się kątem oka. Poczuł się zbity z tropu, i to z paru powodów. Po pierwsze, wyraźnie się go wystraszyła. Skoro jednak uważała siebie za ofiarę, a jego za gwałciciela, można to było zrozumieć. Po drugie, czuł się nieswojo w obecności kobiety, z którą kiedyś uprawiał seks, choćby to było zupełnie przypadkowe i z dzisiejszego punktu widzenia nieistotne.

Zwróciła ku niemu twarz.

– Co ty tu robisz? – syknęła.

– Wpadłem na lunch, jak ty.

– Mógłbyś stąd wyjść? – Powiedziała to niemal szeptem, ale i tak jedna z koleżanek odwróciła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

– Nie. Chcę sobie kupić kanapkę.

Oboje złożyli zamówienia i przesunęli się do miejsca, gdzie je odbierano. Potem Elaine odeszła do stolika w kącie, dosiadła się do koleżanek i nerwowo zabrała do jedzenia, Joey natomiast usiadł samotnie przy małym stoliku obok wejścia. Liścik miał już wcześniej napisany. „Elaine: chciałbym z Tobą porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Proszę, zadzwoń na moją komórkę: 412-866-0940. Wyjeżdżam ze Scranton jutro rano o 9.00. Joey Bernardo”. Odniósł tacę, podszedł do jej stolika, bez słowa położył przed nią liścik i wyszedł.

Zadzwoniła dwie godziny później.

Umówili się punktualnie o piątej w tym samym barze kanapkowym. Siedziała przy tym samym stoliku, tyle że tym razem zamiast koleżanek towarzyszyła jej adwokatka. Była atrakcyjną kobietą w średnim wieku, cała w czerni. W tym kolorze był jej kostium ze spodniami, gruby naszyjnik, kozaki, cienie pod oczami i co gorsza, nastrój. Sądząc po minie, była gotowa rzucić się Joeyowi do gardła. Z wręczonej

wizytówki wynikało, że siedzi przed nim Michelin „Mike” Chiz, adwokat.

Zaczęła bardzo oficjalnie.

– Pierwsze pytanie, panie Bernardo, brzmi: co pan tu robi?

– A ile ich pani ma? – odciął się Joey jak stary sądowy wyjadacz. Jego zaprzyjaźniony kandydat na adwokata i potencjalny współoskarżony, niejaki Kyle McAvoy, zapewnił go, że przypadkowe spotkanie z Elaine Keenan niczym mu nie grozi. Gdyby zamierzała wystąpić na drogę sądową, już by to dawno zrobiła. Od zdarzenia minęło pięć i pół roku.

– A zatem, panie Bernardo… Mogę zwracać się do pana Joey?

Były nikłe szanse na to, by pozwoliła mu mówić do siebie Mike, odburknął więc, że nie.

– Doskonale, panie Bernardo. Mam kilka pytań. Interesy pani Keenan reprezentuję już od pewnego czasu. Nawiasem mówiąc, pracuje w mojej kancelarii w niepełnym wymiarze godzin, świetnie się wywiązuje ze swoich obowiązków i znam jej historię. Powtarzam moje pytanie: co pan tu robi?

– Po pierwsze, nie muszę się z niczego przed panią tłumaczyć. Ale spróbuję być miły, przynajmniej przez chwilę. Pracuję w firmie

maklerskiej w Pittsburghu, która ma klientów w Scranton. Przyjechałem się z nimi spotkać. Około południa poczułem się głodny i zupełnie przypadkowo wybrałem ten czterogwiazdkowy lokal. Wszedłem, zauważyłem panią Keenan i przywitałem się, a ona spanikowała. Chciałem z nią pogadać, a teraz jestem przesłuchiwany przez jej adwokatkę. Po co ci w ogóle adwokat, Elaine?

– Bo mnie zgwałciłeś – wybuchnęła dziewczyna. – Ty i Baxter Tate, i może Kyle McAvoy. – Oczy nabiegły jej łzami i zaczęła tak dyszeć, jakby miała się na niego rzucić.

– Może tak, może nie. Twoje opowieści nigdy nie trzymały się kupy.

– O czym chciał pan rozmawiać z moją klientką? – wtrąciła pani Chiz.

– Doszło do nieporozumienia i chciałem ją za nie przeprosić. Tylko tyle. Od czasu oskarżenia nas o gwałt nigdy więcej jej nie widzieliśmy. Policja przeprowadziła śledztwo i niczego nie stwierdziła, bo nic się nie wydarzyło, a Elaine zdążyła już zniknąć.

– Zgwałciłeś mnie, Joey, i sam o tym wiesz.

– Nie było żadnego gwałtu, Elaine. Uprawialiśmy seks, ja z tobą, ty z Baxterem

i większością chłopaków z Beta. Ale wszystko odbywało się za obopólną zgodą.

Zamknęła oczy, dygocząc, jakby dostała nagłych dreszczy.

– Po co jej adwokat? – Joey spojrzał na panią Chiz.

– Bo dużo wycierpiała.

– Nie wiem, ile wycierpiała, ale wiem, że jej pobyt w Duquesne nie wiązał się z żadnymi cierpieniami. Była zbyt zajęta imprezowaniem, by mieć czas na cierpienie. Za dużo było alkoholu, prochów i seksu. Jest wiele dziewcząt i chłopców, którzy mogą to poświadczyć. Myślę, że powinna pani lepiej poznać swoją klientkę, zanim się pani wpakuje w zmyślone oskarżenia. Działy się wtedy różne złe rzeczy.

– Zamknij się! – warknęła Elaine.

– Chce ją pan przeprosić? – spytała adwokatka.

– Tak. Elaine, przepraszam za nieporozumienie, czymkolwiek było. Myślę, że ty też powinnaś przeprosić za rzucanie fałszywych oskarżeń o coś, do czego nigdy nie doszło. A dodatkowo chcę jeszcze przeprosić, że w ogóle tu przyszedłem. – Joey wstał od stolika. – To był zły pomysł. Na razie.

Szybkim krokiem wyszedł z baru, wsiadł do samochodu i wyjechał ze Scranton. W drodze powrotnej do Pittsburgha nie przeklinał już Kyle'a. W uszach dzwoniły mu tylko słowa dziewczyny: „Zgwałciłeś mnie, Joey". W jej głosie brzmiał ból, ale nie było niepewności. Może wtedy nie wiedziała, co się z nią działo, ale teraz chyba nie miała wątpliwości.

Nigdy nikogo nie zgwałcił. Ale to, co się zaczęło jako seks z jej inicjatywy, teraz w mniemaniu Elaine przemieniło się w coś zupełnie innego.

Jeśli dziewczyna godzi się na seks, czy może w trakcie nagle zmienić zdanie? I jeśli traci wtedy świadomość, to skąd może później wiedzieć, że zmieniła zdanie? To były trudne pytania i Joey zmagał się z nimi przez resztę drogi.

„Zgwałciłeś mnie, Joey".

Tak rzucone oskarżenie musiało budzić wątpliwości i po raz pierwszy dopuścił do siebie taką myśl. Czy mogło być tak, że on i Baxter wykorzystali ją wbrew jej woli?

Cztery dni później Kyle zajrzał do działu rozdziału poczty w Scully & Pershing i odebrał

list od Joeya. Zawierał szczegółową relację ze spotkania z Elaine, łącznie z opisem jedzonych kanapek, koloru jej włosów i tatuaży. W podsumowaniu Joey wyraził swą opinię w całej sprawie:

> EK jest przekonana, że została przez nas zgwałcona. Na pewno przez JB i BT, „możliwe" również, że przez KM. Jest roztrzęsiona, emocjonalnie rozchwiana, sponiewierana, ale jednocześnie bycie ofiarą budzi w niej coś w rodzaju satysfakcji. Znalazła sobie odpowiednią adwokatkę, twardą sztukę, która w nią wierzy i nie zawaha się pójść do sądu, jeśli tylko znajdzie dowody. Trzyma palec na spuście. Jeśli to nagranie jest choć w połowie tak drastyczne, jak mówiłeś, to staraj się na wszelkie sposoby nie dopuścić, by do niego dotarła. Elaine i ona są jak dwie kobry. Podrażnione, sprężone i gotowe do ataku.

Na zakończenie listu Joey napisał:

> *Nie wiem, na czym ma polegać moje następne zadanie, ale nie chcę już żadnych kontaktów z tą dziewczyną. Nie lubię, jak ktoś wyzywa mnie od gwałcicieli. Całe spotkanie było bardzo nieprzyjemne,*

a do tego musiałem jeszcze okłamać Blair, po co wyjeżdżam z miasta. Mam dwa bilety na 26 października na mecz Steelersów z Giantami. Czy mam cię powiadomić o tym telefonicznie, żeby oprychy się dowiedziały? Myślę, że powinniśmy się spotkać i omówić dalsze kroki.

Twój wierny sługa, Joey

Kyle przeczytał list w głównej bibliotece, schowany za rzędem regałów ze starą literaturą prawniczą. Stanowił potwierdzenie jego najgorszych obaw, ale Kyle nie miał teraz czasu, by się nad tym zastanawiać. Starannie podarł kartki na maleńkie strzępy i w drodze do wyjścia wyrzucił do kosza. Zawsze od razu niszcz całą naszą korespondencję, instruował Joeya.

Hotelem najbliższym jego miejsca zamieszkania był Chelsea Garden, do którego spacerem miał piętnaście minut. Kyle wyszedł z domu o dwudziestej trzeciej i ruszył Siódmą Aleją w stronę hotelu. Spacer w jesienny wieczór chodnikiem zasłanym opadłymi liśćmi i pełnym wiecznie śpieszących gdzieś ludzi mógł być całkiem przyjemny, ale on był otępiały ze zmęczenia i niezdolny do myślenia o więcej niż jednej rzeczy naraz, a chwilami i to sprawiało mu trudność.

Bennie czekał w apartamencie na drugim piętrze już od dwóch godzin, bo jego szpieg nie mógł się wyrwać z pracy, ale nie miał o to żalu. Właściwym miejscem dla jego szpiega było biuro i im więcej czasu w nim spędzał, tym szybciej on, Bennie, osiągnie swój cel.

Mimo to obrzucił Kyle'a niechętnym spojrzeniem i burknął na powitanie:

– Spóźniłeś się dwie godziny.

– To podaj mnie do sądu. – Kyle wyciągnął się na łóżku. Było to ich czwarte spotkanie od przeprowadzki do Nowego Jorku, ale jak dotąd nie przekazał niczego, o czym Bennie nie powinien wiedzieć. Jego sumienie nadal było czyste. Nie popełnił żadnego wykroczenia.

Więc dlaczego czuł się jak zdrajca?

Bennie postukał w umieszczoną na stojaku wielką białą tablicę.

– Chciałbym, żebyś mi teraz poświęcił trochę uwagi – powiedział. – To nie potrwa długo. Nalać ci kawy?

Kyle nie zamierzał korzystać z żadnych uprzejmości. Zerwał się, nalał sobie kawy do papierowego kubka i przysiadł na krawędzi łóżka.

– Mów – rzucił.

– Oto drużyna Trylona w obecnym składzie. Na samej górze znajduje się Wilson Rush, pod nim jest ośmiu prawników procesowych: Mason, Bradley, Weems, Cochran, Green, Abbott, Etheridge i Wittenberg. Ilu z nich poznałeś?

Chłopak popatrzył na osiem okienek z wpisanymi nazwiskami i chwilę się zastanowił.

– Wilson Rush był na wstępnej prezentacji, ale od tamtej pory go nie widziałem. Dla Abbotta sporządziłem notatkę służbową w sprawie papierów wartościowych i odbyłem z nim krótkie spotkanie. Któregoś dnia jadłem lunch w kafeterii w towarzystwie Wittenberga. Zetknąłem się z Bradleyem, Weemsem i chyba Etheridge'em, ale nie mogę powiedzieć, że ich poznałem. To ogromna firma. – Nie przestawała go zdumiewać liczba nieznanych twarzy, na jakie codziennie się natykał na korytarzach, w windach, w kafeterii, w bibliotece i w pokojach socjalnych. Próbował nawiązywać kontakt i przynajmniej mówić „cześć", ale zegar ani na chwilę nie przestawał tykać, a najważniejsze dla wszystkich było fakturowanie.

Jego bezpośrednim zwierzchnikiem był Doug Peckham i Kyle z ulgą stwierdził, że jego nazwisko nie widnieje na tablicy.

Niżej ciągnął się szereg mniejszych okienek i Bennie postukał w nie palcem.

– Drużyna liczy szesnastu starszych prawników, pod nimi jest szesnastu młodszych. Nazwiska masz w tym segregatorze. Musisz je wszystkie wykuć na pamięć.

– Jasne, Bennie. – Kyle spojrzał na segregator. Miał niebieską okładkę i był gruby na pięć centymetrów. Poprzednie trzy były czarne i jeszcze grubsze.

– Z iloma z nich miałeś okazję współpracować? – spytał Bennie.

– Z pięcioma, sześcioma, może siedmioma – odparł Kyle, nie siląc się na dokładność. Skąd jego rozmówca miałby wiedzieć, z iloma naprawdę? Wolał się nawet nie zastanawiać, skąd Bennie zna nazwiska wszystkich czterdziestu jeden prawników przydzielonych do sprawy Trylona? Kilka można było znaleźć w aktach sądowych, ale tylko te najważniejsze. Iloma źródłami informacji ten człowiek dysponuje?

Bennie wskazał jedno z okienek.

– To starsza prawniczka Sherry Abney. Znasz ją?

– Nie.

– Wschodząca gwiazda, na szybkiej ścieżce do statusu wspólniczki. Dwa dyplomy Harvardu i praca we władzach federalnych. Podlega wspólnikowi Masonowi, który odpowiada za udostępnianie danych stronie przeciwnej. Pod nią jest prawnik z dwuletnim stażem pracy, niejaki Jack McDougle. McDougle ma problem z kokainą. Nikt w firmie o tym nie wie, ale niedługo zostanie wyrzucony z pracy i wszyscy się dowiedzą. Rozstanie będzie bardzo nagłe.

Kyle wpatrzył się w okienko z nazwiskiem McDougle i w jego głowie zrodziło się tyle pytań, że nie wiedziałby, od czego zacząć. Skąd on o tym wszystkim wie?

– I mam wskoczyć na jego miejsce?

– Masz się zająć Sherry Abney. Rozpracuj ją, zaprzyjaźnij się. Ma trzydzieści lat, niezamężna, związana z bankowcem inwestycyjnym z Chase, który pracuje tyle samo co ona, więc brak im czasu na prywatność. Jak dotąd nie wyznaczono daty ślubu, w każdym razie oficjalnie. Lubi grywać w squasha, jeśli znajdzie na to czas. Jak ci wiadomo, firma posiada dwa korty do squasha na trzydziestym dziewiątym piętrze, obok siłowni. Grasz w squasha?

– Teraz już pewnie tak. – Kyle grał parę razy w Yale. – Tylko nie wiem, skąd wezmę na to czas.

– Pokombinuj. Sherry może być twoją furtką do drużyny Trylona.

Kyle zamierzał unikać jakichkolwiek związków z Trylonem i jego drużyną procesową.

– Tylko jest pewien problem, Bennie – powiedział. – Pięknie odrobiłeś pracę domową, ale umknęło ci coś oczywistego. Przy tej sprawie nie pracuje żaden pierwszoroczniak. Powodów jest kilka. Po pierwsze młodzi na niczym się nie znają, bo jeszcze pięć miesięcy temu byli studentami prawa. Po drugie ludzie z Trylona musieli zażądać od swoich prawników, by trzymali młodych z dala od tej sprawy. Takie żądania się zdarzają. Nie wszyscy nasi klienci są na tyle głupi, by płacić po trzysta dolców za godzinę pracy jakichś niedoświadczonych smarkaczy. A zatem, Bennie, jaki masz plan B?

– Musisz okazać cierpliwość, Kyle. I spryt. Jak zaczniesz zabiegać o włączenie do sprawy Trylona, zaprzyjaźniać się ze starszymi prawnikami, lizać odpowiednie tyłki, to może nam się powiedzie.

Kyle nie uważał tematu McDougle’a za skończony i zamierzał jeszcze go podrążyć, ale drzwi do przylegającego saloniku nagle się otworzyły i ktoś w nich stanął. Kyle’a tak to zaskoczyło, że omal upuścił filiżankę z kawą.

– To Nigel – przedstawił przybysza Bennie. – Dołączy do nas, żeby cię wprowadzić w systemy komputerowe.

Nigel wyciągnął rękę na powitanie.

– Miło mi – powiedział z radosnym brytyjskim akcentem, po czym podszedł do stojaka i umieścił na nim swoją tablicę.

Kyle zerknął przez uchylone drzwi do wnętrza saloniku. Miał jakieś dwanaście metrów kwadratowych i Nigel najwyraźniej siedział w nim przez cały czas, przysłuchując się ich rozmowie.

– Scully and Pershing używa systemu o nazwie Świadek – zaczął bez żadnych wstępów. Poruszał się szybko i precyzyjnie i niewątpliwie był Brytyjczykiem, ale mówił z dziwnym akcentem. Miał około czterdziestu lat, jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt pięć kilo wagi. Krótkie, ciemne włosy, gdzieniegdzie przetykane siwizną, oczy piwne. Brak cech szczególnych, jeśli nie liczyć nieco wystających kości policzkowych. Wąskie wargi. Brak okularów.

– Jak dużo ci powiedzieli o działaniu Świadka? – spytał Nigel.

– Przedstawili tylko w ogólnych zarysach. Kilka razy sam z niego korzystałem. – Kyle wciąż

był jeszcze poruszony nagłym wtargnięciem Nigela.

– To typowe narzędzie do czynności procesowych. Wszelkie dostępne dane wprowadza się do wirtualnej biblioteki, do której dostęp mają wszyscy pracujący przy sprawie. Pozwala na szybkie wyszukiwanie dokumentów i na błyskawiczne przeszukiwanie bazy pod kątem konkretnych słów, fraz, terminów, czegokolwiek. Nadążasz?

– Tak.

– Świadek jest w miarę bezpieczny i w dzisiejszych czasach taki program to niemal standard. Ale jak każda rozsądna firma prawnicza, Scully and Pershing przy ważniejszych sprawach korzysta z bardziej zaawansowanego systemu o nazwie Adwokat. Słyszałeś o nim?

– Nie.

– I nie dziwię się. Specjalnie się nim nie chwalą. Działa podobnie jak Świadek, ale wejście do niego jest ściśle kontrolowane i jest dużo lepiej zabezpieczony przed hakerami. Miej oczy i uszy otwarte na tę nazwę.

Kyle kiwnął głową, jakby rzeczywiście zamierzał słuchać jego poleceń. Od tego wieczoru w lutym, gdy po meczu w młodzieżowej lidze

koszykówki urządzili na niego zasadzkę na skutych mrozem ulicach New Haven, spotykał się wyłącznie z Benniem Wrightem czy jak on się tam naprawdę nazywał. Bez większego zastanowienia założył, że Bennie jako jego prowadzący będzie jedyną twarzą całej operacji. Oczywiście byli też inni, jak choćby tych dwóch palantów łażących za nim dzień i noc i popełniających wystarczająco dużo błędów, by Kyle mógł ich mieć na oku. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że stanie twarzą w twarz z kimś nowym, kto pod przybranym nazwiskiem też będzie kierował operacją.

Bo właściwie po co? Bennie z całą pewnością mógłby przekazać Kyle'owi to wszystko, o czym mówił Nigel w swej oszczędnej prezentacji.

– I tu dochodzimy do Trylona – ciągnął Nigel. – Sprawy, niestety, całkowicie różniącej się od innych. Jest dużo bardziej skomplikowana i podlega dużo ostrzejszym rygorom. Potrzebne było do niej zupełnie nowe oprogramowanie. Prawdopodobnie stworzono je specjalnie z myślą o tym procesie sądowym. Dokumentacja znajduje się pod kluczem w magazynie na południu i jest pilnowana przez strażników z uzi, którzy strzegą wszystkich wejść. Ale udało nam się zrobić

pewien wyłom. – Przerwał na moment, by posłać Benniemu triumfalny uśmieszek.

Ależ z nas spryciarze.

– Wiemy, że program nazwano Hiper, od hiperdźwiękowego bombowca B-10. Moim zdaniem to niezbyt pomysłowa nazwa, ale bombowiec też im się specjalnie nie udał, co? Ha-ha. Do Hipera nie da się wejść ze zwykłego laptopa, jakie dostaliście pierwszego dnia pracy, o nie. Z żadnego laptopa nie da się do niego zajrzeć.

Nigel przeszedł na drugą stronę stojaka.

– Na siedemnastym piętrze twojego gmachu znajduje się tajne pomieszczenie, nawiasem mówiąc bardzo dobrze zabezpieczone, w którym zlokalizowano całą baterię komputerów, w tym kilka naprawdę bardzo zmyślnych. To one stanowią serce systemu Hiper. Kody dostępu są zmieniane codziennie, niekiedy nawet dwa razy dziennie. Żeby się zalogować, trzeba dysponować odpowiednim kodem identyfikacyjnym. Próba zalogowania z pominięciem któregoś z wymogów powoduje automatyczne wpisanie na czarną listę i zapewne wyrzucenie za drzwi.

Pokażcie mi te drzwi, chciałby parsknąć Kyle.

– Prawdopodobnie Hiper to skundlona wersja Adwokata, dlatego twoim zadaniem będzie

dokładnie i jak najszybciej zapoznać się z Adwokatem.

Już nie mogę się doczekać, miał na końcu języka Kyle.

Z wolna zaczynało do niego docierać, że właśnie przekracza linię i dzieje się to w sposób, jakiego nie przewidział. Miał wynosić ze Scully & Pershing tajemnice i przekazywać je Benniemu jak Judasz za trzydzieści srebrników. Teraz jednak poznawał tajemnice firmy ze źródeł zewnętrznych. Sam niczego jeszcze nie wykradł, ale na pewno nie miał prawa wiedzieć o istnieniu Hipera ani o tajnym pomieszczeniu na siedemnastym piętrze. Może posiadanie tej wiedzy nie było przestępstwem i nie można było tego uznać za złamanie zasad etyki zawodowej, ale z całą pewnością brzmiało to źle.

– Na dziś starczy – oznajmił Bennie. – Wyglądasz na wykończonego. Odpocznij trochę.

– Och, serdeczne dzięki.

Kyle wyszedł na Siódmą Aleję i spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Rozdział 21

O piątej rano – godzinie, która zdążyła już stać się normą – budzik zadzwonił z całą natarczywością i Kyle musiał dwukrotnie go klepnąć, nim wreszcie zamilkł. Pośpiesznie wziął prysznic, ogolił się i piętnaście minut później był już na ulicy, elegancko ubrany, bo wreszcie mógł sobie pozwolić na modne ciuchy. Jego życie w szybkim tempie przemieniło się w zdyszaną i zdezorganizowaną walkę z czasem, ale postanowił przynajmniej nie odpuszczać swego wyglądu. W znajomym całonocnym sklepie z barem kanapkowym kupił kawę, bajgla i egzemplarz „Timesa”, po czym na rogu Dwudziestej Czwartej i Siódmej złapał taksówkę. Dziesięć minut później był już po śniadaniu i sącząc kawę, przeglądał gazetowe nagłówki. Zgodnie z planem, punktualnie o szóstej wszedł do gmachu wejściem od Broad Street. Podczas jazdy w górę nie był w windzie sam i było tak zawsze, niezależnie od pory. Zwykle natykał się

na dwóch lub trzech niedospanych młodzieńców o posępnych obliczach, unikających kontaktu wzrokowego, kołyszących się lekko w sunącej bezszelestnie kabinie windy i zadających sobie wiecznie te same pytania.

Co mnie podkusiło, żeby wybrać studia prawnicze?

Jak długo zdzierżę w tej maszynce do mielenia mięsa?

Co za kretyn wymyślił takie praktykowanie prawa?

Rzadko ktoś się odzywał, bo nikt nie miał nic do powiedzenia. Niczym skazańcy jadący na szubienicę, wszyscy dumali i nabierali dystansu.

Bez zdziwienia powitał obecność w boksie innego młodego kolegi. Tim Reynolds był pierwszym z ich grupy, który zdecydował się na śpiwór – nowy model Eddiego Bauera z termoizolacją. Jego właściciel zarzekał się, że ma go od lat i zjeździł z nim cały kraj, ale śpiwór aż pachniał nowością. Tim – bez butów, krawata, koszuli i marynarki, w samym podkoszulku – leżał zwinięty w kłębek w śpiworze pod swoim małym biureczkiem i spał. Kyle kopnął go w stopy i wyrwawszy ze snu, powitał pogodnym: „Wyglądasz jak kupa gówna”.

– Dzień dobry – odparł Tim, gramoląc się na nogi i sięgając po buty. – Która godzina?

– Szósta. O której usnąłeś?

– Nie pamiętam. Gdzieś tak po drugiej. – Nerwowo dopinał koszulę, jakby w obawie, że lada chwila może wejść budzący grozę wspólnik i skarcić go. – Mam na siódmą przygotować notatkę dla Toby'ego Rolanda i nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Nieważne, bylebyś fakturował – mruknął Kyle bez cienia współczucia w głosie i zaczął wypakowywać teczkę i ustawiać laptop.

Tim skończył się ubierać i chwycił teczkę z dokumentami.

– Będę w bibliotece – rzucił. Już od świtu wyglądał na skonanego.

– Tylko nie zapomnij umyć zębów! – zawołał za nim Kyle.

Został sam i wszedł na stroną internetową QuickFace.com. W sieci funkcjonowało kilka adresów pozwalających detektywom amatorom tworzyć portrety pamięciowe twarzy, Kyle przejrzał wszystkie te strony i uznał, że QuickFace jest zdecydowanie najlepsza i najbardziej precyzyjna. Portret Nigela zaczął od oczu, najważniejszego fragmentu każdej twarzy. Dobierz właściwie oczy, i połowę roboty masz

z głowy. Strona oferowała do wyboru ponad dwieście różnych par oczu wszystkich ras, kolorów i odmian etnicznych. Szybko je przeleciał, znalazł najbardziej podobne i zaczął wokół nich tworzyć twarz. Nos, cienki i szpiczasty. Brwi dość gęste i nieco opadające na boki. Wargi bardzo cienkie. Wysokie i wydatne kości policzkowe. Podbródek niezbyt wystający, za to zupełnie płaski, bez dołeczka. Uszy owalne, przylegające do czaszki. Dodał jeszcze włosy i powrócił do oczu, podstawiając inną parę, potem jeszcze inną. Uszy sterczały za wysoko, więc je obniżył. Poprawiał i cyzelował wizerunek do wpół do siódmej, tracąc pół godziny bez fakturowania (mógł wyrównać stratę, naciągając inne godziny w ciągu dnia), i gdy twarz Nigela była wreszcie gotowa i bez trudu rozpoznawalna z dziesięciu metrów, wydrukował ją i ruszył do biblioteki z grubym plikiem papierów pod pachą, bo nikt nie chodził do biblioteki bez grubego pliku dokumentów. Wybrał sobie już wcześniej ciemny zakamarek na trzecim poziomie, na końcu przejścia między regałami z opasłymi księgami prawniczymi, do których nikt od kilkudziesięciu lat nie zaglądał. Z drugiej półki od dołu wysunął trzy księgi i wyciągnął kopertę A5, z której wyjął trzy inne portrety pamięciowe:

doskonałą podobiznę swego arcywroga Benniego i portrety dwóch palantów łażących za nim ulicami Nowego Jorku. Jeśli się nie mylił, do żadnego z nich nie zbliżył się na mniej niż piętnaście metrów i ani razu nie nawiązał kontaktu wzrokowego, ale wielokrotnie im się przyglądał i był pewien, że sporządzone przez niego portrety są całkiem udane. Dodał do kolekcji ponury wizerunek Nigela, co specjalnie jej nie ubarwiło.

Odłożył kopertę na miejsce i wrócił do swojego boksu, gdzie Tabor Gorliwiec zamaszyście szykował się do kolejnego dnia pracy. Był gwiazdą i oczywistym kandydatem do zrobienia szybkiej kariery, człowiekiem na szybkiej ścieżce do statusu wspólnika, kimś, komu wszyscy inni powinni schodzić z drogi. Dowiódł swych możliwości, fakturując dwadzieścia jeden godzin pracy w ciągu dnia. Wykazał się pracowitością, fakturując w pierwszym miesiącu najwięcej godzin ze wszystkich nowo przyjętych adeptów, choć Kyle miał tylko cztery godziny mniej. Tabor zgłaszał się na ochotnika do różnych prac i zawsze korzystał wyłącznie z kafeterii.

– Ostatnią noc spałem w bibliotece – oznajmił na widok Kyle’a.

– Dzień dobry, Tabor.

– Wiedziałeś, że wykładzina podłogowa w głównej bibliotece jest cieńsza od tej w bibliotece na dwudziestym drugim? Zdecydowanie wolę spać na dwudziestym drugim, tylko że jest tam dużo głośniej. A ty gdzie wolisz?

– Wszystkim nam odbija, Tabor.

– No, to prawda.

– Tim ostatnią noc przespał w śpiworze.

– Dlaczego? Nie dogadali się w końcu z doktor Dale?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Godzinę temu go obudziłem.

– Czy to znaczy, że spałeś w domu? We własnym łóżku?

– O, tak.

– No cóż, w południe czekają mnie dwa nowe zadania, oba bardzo ważne i pilne. Nie mogę sobie pozwolić na luksus spania.

– Jesteś najlepszy, Tabor. Do dzieła, supermanie.

Gorliwiec bez słowa wyszedł.

Dale Armstrong przyszła jak zwykle punktualnie o siódmej i choć wyglądała na nieco

zaspaną, była jak zwykle zebrana w sobie i gotowa do pracy. Najwyraźniej duża część jej sowitego wynagrodzenia szła na designerskie ciuchy i Kyle – podobnie jak Tim i Tabor – codziennie rano czekał z ciekawością na nowości ze świata mody.

– Świetnie dziś wyglądasz – powiedział z uśmiechem.

– Dziękuję.

– Prada?

– Dolce Gabbana.

– Świetne buty. Od Blahnika?

– Jimmy Choo.

– Pięćset dolców?

– Lepiej nie pytaj.

Podziwiając ją każdego ranka, Kyle szybko uczył się nazwisk apostołów damskiej mody. Był to zresztą jeden z niewielu tematów, o których była gotowa rozmawiać. Mimo sześciu tygodni spędzonych razem w ciasnym boksie wciąż niewiele o niej wiedział. Kiedy sama zaczynała coś mówić – a zdarzało się to rzadko – tematem zawsze były sprawy zawodowe i narzekanie na los początkujących prawników w wielkiej firmie prawniczej. Jeśli nawet w jej życiu był jakiś mężczyzna, to ani razu o nim nie wspomniała. Dwa razy się zdarzyło, że trochę się otworzyła

i zgodziła pójść na drinka po pracy, zwykle jednak odmawiała. I choć niemal wszyscy młodzi prawnicy głośno narzekali na długie godziny pracy i panującą w firmie presję, Dale Armstrong wydawała się bardziej zgnębiona od innych.

– Jakie masz plany na lunch? – spytał Kyle.

– Jeszcze nie jadłam śniadania – rzuciła chłodno, chowając się w swojej dziupli.

Rozdział 22

Światła w schronisku zapalano o szóstej rano, a większość bezdomnych wstawała i szykowała się do kolejnego dnia życia. Regulamin zabraniał przebywania w salach sypialnych po godzinie ósmej. Wielu mieszkańców pracowało, ale jeśli nawet nie, to wszyscy mieli obowiązek wychodzić w miasto i szukać zajęcia. Brat Manny i jego współpracownicy potrafili z powodzeniem znajdować zatrudnienie dla swoich „przyjaciół", nawet jeśli praca była tylko dorywcza i za minimalne wynagrodzenie.

Śniadanie podawano na górze we wspólnej sali, gdzie niewielką kuchnię obsługiwała grupka wolontariuszy, którzy smażyli jajka, opiekali tosty i gotowali owsiankę. Jedzeniu towarzyszyły uśmiechy, pogodne „dzień dobry" i krótka modlitwa dziękczynna przy stole. Brat Manny, zawzięty śpioch, wolał wczesnoporanne obowiązki cedować na innych. Od miesiąca

wydawaniem posiłków zarządzał Baxter Tate, wiecznie uśmiechnięty młody człowiek, któremu w poprzednim życiu nie zdarzało się nawet zagotować wody na herbatę. Tu smażył jajecznicę z kilkudziesięciu jajek, opiekał kromki chleba i gotował owsiankę – prawdziwą, nie typu instant – po czym zajmował się zmywaniem naczyń i kupowaniem zapasów. A do tego wszystkiego jeszcze często modlił się na głos. Zachęcał do pracy innych wolontariuszy, miał dobre słowo dla każdego i znał po imieniu większość bezdomnych, których z uśmiechem obsługiwał. Po śniadaniu pakował ich do trzech zdezelowanych furgonetek, zasiadał za kierownicą jednej z nich i pilnował rozwiezienia pasażerów do różnych miejsc pracy w Reno. Późnym popołudniem robił to samo, tylko w odwrotnej kolejności.

Trzy razy tygodniowo – w poniedziałki i czwartki wieczorem oraz w środy w południe – w Wiosce Nadziei odbywało się spotkanie grupy Anonimowych Alkoholików. Baxter nie opuścił żadnego z nich. Uczestnicy zawsze bardzo ciepło go witali, a on nie mógł się nadziwić ich różnorodności. Reprezentowane były wszystkie rasy, grupy wiekowe i społeczne oraz obie płcie. Byli wśród nich przedstawiciele wolnych

zawodów i bezdomni, bogaci i biedni. Alkohol nie wybierał, przenikając głęboko każdą warstwę społeczną. Zdarzali się zarówno pewni swego byli alkoholicy, którzy z dumą deklarowali abstynencję od dziesiątków lat, jak i zupełnie nowi, którzy jak Baxter wciąż jeszcze bali się własnej słabości. Tym drugim weterani walki z nałogiem okazywali wielką pomoc i zrozumienie. Baxter okropnie spaprał sobie życie, ale jego historia była niczym w porównaniu z opowieściami niektórych. Ich relacje, zwłaszcza z ust byłych więźniów, były często szokujące.

Podczas trzeciego spotkania AA z udziałem brata Manny'ego, który obserwował przebieg z tylnych rzędów, Baxter wyszedł na środek, odchrząknął i powiedział:

– Nazywam się Baxter Tate i jestem alkoholikiem z Pittsburgha.

Otarł sobie łzy z policzków i przez chwilę słuchał głośnego aplauzu.

Zgodnie z zaleceniami kodeksu DKO – Dwunastu Kroków do Ozdrowienia – Baxter sporządził listę wszystkich, których skrzywdził, i ułożył plan naprawy zła. Lista nie była zbyt długa i dotyczyła głównie członków rodziny, jednak myśl o powrocie do Pittsburgha go nie

cieszyła. Przeprowadził rozmowę z wujkiem Wallym i rodzina wiedziała, że nie pije, a tylko to się liczyło.

Po miesiącu zaczął odczuwać coraz większy niepokój. Ze strachem myślał o opuszczeniu bezpiecznej przystani w Wiosce Nadziei, wiedział jednak, że ta chwila nieuchronnie się zbliża. Także brat Manny go do tego zachęcał, mówiąc, że jest za młody, za inteligentny i za zdolny, by spędzić życie w schronisku dla bezdomnych.

– Bóg ma wobec ciebie wielkie plany – powtarzał. – Zaufaj mu, a wszystko zostanie ci wyjawione.

Ponieważ zapowiadało się, że w piątek wieczór uda im się wyjść z pracy o wyjątkowo wczesnej godzinie, Tim Reynolds i reszta skrzyknęli się na drinka i wszyscy razem opuścili budynek. Sobota była oficjalnym dniem wolnym od pracy i nikomu z działu procesowego Scully & Pershing nie wolno było przyjść do biura, co wiązało się z odbywającym się w tym dniu dorocznym firmowym piknikiem rodzinnym w Central Parku. A to znaczyło, że w piątkowy wieczór można było sobie pofolgować z piciem.

Kyle wymigał się, podobnie jak Dale. Gdy około siódmej oboje byli zajęci domykaniem spraw z kończącego się tygodnia i poza nimi nie było nikogo, Dale nagle przechyliła się przez brezentowe przepierzenie między ich boksami.

– Co powiesz na kolację dziś wieczorem? – spytała.

– Świetny pomysł – odparł bez zastanowienia. – Gdzieś konkretnie?

– Zapraszam do siebie. Będziemy się mogli odprężyć i pogadać, i w ogóle. Lubisz chińszczyznę?

– Uwielbiam. – W jego zamulonej pracą głowie zabrzęczały jej słowa „i w ogóle”. Dale miała trzydzieści lat, była atrakcyjną singielką, bez wątpienia hetero. Samotną ładną kobietą w wielkim mieście. W jej życiu musiały być chwile, gdy potrzebowała seksu, choć Kyle był niemal przygnębiony tym, jak rzadko myślał o tych sprawach.

Czyżby to miał być podryw? Brzmiało to wręcz absurdalnie. Przecież trudno było sobie wyobrazić, że ta zamknięta w sobie, wycofana kobieta mogłaby się zdobyć na taką inicjatywę wobec kogokolwiek.

– Wstąp po drodze do jakiegoś Chińczyka i coś kup – powiedziała.

– Świetny pomysł.

Mieszkała samotnie w Greenwich Village na trzecim piętrze bez windy. Wymienili się opiniami o paru chińskich restauracjach w okolicy, które sprzedawały jedzenie na wynos, i razem wyszli z biura. Godzinę później Kyle wspiął się po schodach z torbą smażonego ryżu z krewetkami i kurczakiem i zapukał do drzwi. Dale otworzyła z uśmiechem i zaprosiła go do środka. Mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń: salonu z wnęką kuchenną i sypialni. Było nieduże, ale gustownie urządzone; dominowała skóra i chrom, na ścianach wisiały czarno-białe fotografie. Ubiorem Dale też najwyraźniej hołdowała zasadzie „mniej znaczy więcej". Miała na sobie króciutką białą bawełnianą spódniczkę, ukazującą znacznie większy odcinek zgrabnych nóg, tak podziwianych w pracy przez Kyle'a i inne biurowe sępy. Na stopach miała szykowne czerwone baleriny.

– Jimmy Choo? – domyślił się Kyle, przyglądając się im z podziwem.

– Prada.

Czarny sweterek na tyle ściśle opinał ciało, że widać było, że nie ma pod nim stanika. Po raz

pierwszy od długiego czasu Kyle poczuł przypływ seksualnego podniecenia.

– Ładnie tu u ciebie – bąknął, rozglądając się po wnętrzu.

– Cztery tysiące miesięcznie, uwierzysz? – Otworzyła lodówkę wielkości stacjonarnego komputera i wyjęła butelkę białego wina.

– Uwierzę. Jesteśmy w Nowym Jorku. Ale nikt nam nie kazał tu przyjeżdżać.

Wyciągnęła ku niemu butelkę chardonnay.

– Przykro mi, nie mam wody sodowej – powiedziała. – Więc albo wino, albo kranówa.

– Chętnie napiję się wina – odparł po sekundzie wahania. Tyle potrzebował do podjęcia decyzji, że nie będzie walczył i złamie swą pięcioipółletnią abstynencję. Nigdy nie przechodził kuracji odwykowej, nigdy nie był na detoksie, nigdy nie uważał się za alkoholika. Po prostu w pewnej chwili przestał pić, bo pił za dużo, a teraz miał ochotę na kieliszek wina.

Zjedli przy małym kwadratowym stoliku, niemal dotykając się kolanami. Ale nawet w domowych pieleszach i bez biurowego stresu matematyczka Dale miała trudności ze swobodną rozmową. Nie umiał jej sobie wyobrazić prowadzącej ćwiczenia z pięćdziesiątką

studentów. A tym bardziej na sali sądowej, twarzą w twarz z ławą przysięgłych.

– Uzgodnijmy, że nie rozmawiamy o pracy – zaproponował, przejmując inicjatywę i pociągając czwarty łyk wina.

– Zgoda, ale najpierw pogadajmy o najnowszej plotce.

– Pogadajmy.

– Słyszałeś o rozłamie?

– Nie.

– Słyszałam to dzisiaj z dwóch źródeł. Toby Roland i czterech innych wspólników z procesowego zamierzają odejść i otworzyć własną firmę. Mogą pociągnąć za sobą ze dwudziestu prawników.

– Dlaczego?

– Jak zwykle chodzi o pieniądze.

Firmy prawnicze słyną z ciągłego rozrastania się i kurczenia, przeprowadzania fuzji i dzielenia się na części. To, że grupka niezadowolonych wspólników zamierzała pójść na swoje, nie było niczym niezwykłym ani w S&P, ani w jakiejkolwiek innej firmie.

– Czy to oznacza więcej obowiązków dla pozostałych? – spytał.

– Mam nadzieję.

– Poznałaś Toby’ego?

– Tak. I mam nadzieję, że plotka okaże się prawdziwa.

– Kto według ciebie jest największym palantem spośród tych, których poznałaś?

Łyknęła wina i zadumała się.

– Trudne pytanie. Zbyt duża konkurencja.

– Rzeczywiście duża. To pogadajmy o czymś innym.

Udało mu się zwekslować rozmowę na nią. Środowisko, z którego się wywodzi, szkoła, dzieciństwo, rodzina, studia. Nigdy nie wyszła za mąż i wciąż miała w pamięci nieudany romans. Dopiła pierwszy kieliszek i nalała sobie następny. Alkohol odrobinę ją rozluźnił. Kyle zauważył, że prawie nic nie jadła, on za to pałaszował wszystko ze smakiem. Gdy zmieniła temat rozmowy na niego, opowiedział o Duquesne i Yale. Wbrew umowie temat firmy co chwila się przewijał, a im było trudno się od niego uwolnić.

Po zjedzeniu i wypiciu wszystkiego Dale zaproponowała, by obejrzeli jakiś film.

– Świetny pomysł – uznał i kiedy ona zajęła się grzebaniem w płytach DVD, ukradkiem zerknął na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej. W ciągu minionego tygodnia spędził dwie noce w pracy i w końcu też przyniósł do biura śpiwór. Jego średnia tygodniowa wynosiła cztery godziny snu

na dobę. Był fizycznie i umysłowo wyczerpany, a dwa i pół kieliszka naprawdę pysznego wina zupełnie rozmiękczyły to, co zostało mu jeszcze w głowie.

– Coś romantycznego, film akcji, komedia? – spytała przez ramię, przeglądając naprawdę bogatą kolekcję. Klęczała przy tym na podłodze, a jej króciutka spódniczka ledwie zakrywała pośladki. Kyle rozparł się na kanapie, bo żaden z dwóch foteli nie wyglądał zbyt zachęcająco.

– Cokolwiek, byle nie babski wyciskacz łez.

– Co powiesz na *Sok z żuka*?

– Idealnie.

Włożyła płytę do odtwarzacza, zrzuciła ze stóp pantofle, wzięła koc i usiadła na kanapie obok Kyle'a. Przez chwilę się wierciła, szukając najwygodniejszej pozycji i sadowiąc się tuż przy nim, po czym naciągnęła na nich koc. Siedzieli prawie przytuleni, chwilę później zaczęło się dotykanie. Wąchając jej włosy, Kyle pomyślał, że poszło nadspodziewanie łatwo.

– Czy firma nie zabrania takich rzeczy? – powiedział.

– Oglądamy tylko film.

I rzeczywiście zaczęli go oglądać. Rozgrzani kocem, winem i wzajemną bliskością, wytrzymali całe dziesięć minut. Po wszystkim nie potrafili

nawet powiedzieć, które z nich pierwsze usnęło. Dale ocknęła się długo po zakończeniu filmu, zarzuciła koc na Kyle'a i przeniosła się do sypialni. On obudził się o wpół do dziesiątej rano w pustym mieszkaniu. Na stoliku leżała kartka z wiadomością, że jest w kafejce za rogiem i czyta poranne gazety, więc jeśli jest głodny, może do niej dołączyć.

Pojechali razem metrem do stacji Central Park i wkroczyli na teren parku około południa. Dział procesowy Scully & Pershing w każdą trzecią sobotę października organizował rodzinny piknik koło hangaru na łodzie. Głównym punktem programu był turniej softballowy, ale poza tym można było porzucać podkowami, zagrać w krokieta lub bocce. Było też wiele gier i atrakcji dla dzieci. Wynajęta firma cateringowa serwowała żeberka i kurczaki z grilla, zespół raperów zapewniał odpowiednio hałaśliwą oprawę, na trawie stał rząd obłożonych lodem beczek heinekena.

Piknik miał umacniać więzy koleżeńskie i udowadniać, że firma naprawdę umie się bawić. Obecność była obowiązkowa. Nie wolno było używać telefonów. Większość wolałaby

poświęcić te godziny na odespanie zarwanych nocy, ale przynajmniej mieli pewność, że nikt ich stąd nie wyśle do biura i nie zmusi do kolejnej bezsennej nocy. Podobnie celebrowane były tylko święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok, Święto Dziękczynienia, Rosz Haszana i Jom Kippur.

Dzień był pogodny, pogoda wymarzona na piknik, więc wymęczeni prawnicy szybko odzyskali wigor i przystąpili do ostrej gry i jeszcze ostrzejszego picia. Chcąc uniknąć ewentualnych podejrzeń, Kyle i Dale szybko się rozdzielili i wmieszali w tłum.

Parę minut później do Kyle'a dotarła wiadomość, że Jack McDougle, prawnik z dwuletnim stażem po Duke, został ubiegłej nocy aresztowany przez brygadę antynarkotykową w swoim mieszkaniu w SoHo, w którym znaleziono pokaźny zapas kokainy. Siedział teraz w areszcie i wszystko wskazywało na to, że spędzi w nim resztę weekendu i wyjdzie za kaucją dopiero w poniedziałek. Firma pociągnęła różne nitki w jego obronie, ale jej zaangażowanie musiało być bardzo ostrożne. Scully & Pershing zajmowała w tych sprawach nieugięte stanowisko i należało się liczyć z tym, że McDougle może stracić pracę. Jeśli plotki

okażą się prawdziwe, w ciągu paru tygodni będzie wyrzucony i stanie się bezrobotnym.

Kyle przypomniał sobie słowa Benniego. Wyglądało na to, że ponura przepowiednia się sprawdza.

Obsada działu procesowego składała się z dwudziestu ośmiu wspólników i stu trzydziestu prawników. Dwie trzecie z nich pozostawało w związkach małżeńskich, więc na placu zabaw nie brakowało rozbrykanych dzieci w eleganckich ubrankach. Turniej softballu zaczął się od powitalnej mowy seniora seniorów, Wilsona Rusha, który przypomniał obowiązujące zasady i na głównego arbitra zawodów wyznaczył siebie. Kilku prawników odważyło się zareagować buczeniem, ale tego radosnego dnia wszystko uchodziło na sucho. Kyle zgłosił się do gry – uczestnictwo nie było obowiązkowe – i został przydzielony do grona graczy, z których dwóch miał okazję poznać wcześniej, siedmiu widział po raz pierwszy na oczy. Trenerem ich zbieraniny był wspólnik, Cecil Abbott (członek ekipy Trylona), który miał na głowie czapeczkę Yankees i ubrany był w bluzę Dereka Jetera. Szybko się okazało, że trener Abbott nie ma

pojęcia o grze i pewnie w życiu nie dobiegł do pierwszej bazy. Wymachując butelką heinekena, tak zestawił skład wyjściowy, że panowie nie byliby w stanie wygrać nawet ze średnio zaawansowaną drużyną T-ballową[8], tyle że nie miało to żadnego znaczenia. Kyle, najbardziej wysportowany spośród członków drużyny, wylądował na prawym polu, na środku znalazła się Sherry Abney, prawniczka z pięcioletnim stażem, w której Bennie upatrywał furtkę dla Kyle'a do sprawy Trylon kontra Bartin. Po pierwszym wybiciu w pierwszej rundzie Kyle podszedł, przedstawił się i zaczął z nią rozmawiać. Widać było, że jest bardzo poruszona aresztowaniem McDougle'a. Od dwóch lat razem pracowali i nie, nic nie wiedziała o jego problemie narkotykowym.

Bratanie się i zagadywanie obcych było dobrze widziane, więc gdy drużyna trenera Abbotta została ostatecznie ocalona dzięki aktowi łaski w czwartej rundzie, Kyle wmieszał się w tłum i zaczął się witać z zupełnie nieznajomymi uczestnikami zabawy. Nieznajome były jednak tylko twarze, bo mając za sobą sześć tygodni uporczywego studiowania życiorysów tych ludzi, kojarzył wiele nazwisk. Sławetny wspólnik Birch Mason, także ubrany w strój

Yankees i mimo drugiej po południu nieźle już naprany, objął Kyle'a jak starego druha i przedstawił żonie i dwójce nastoletnich dzieci. Doug Peckham wziął go pod rękę i przedstawił kilku wspólnikom. Wszystkie rozmowy były podobne do siebie: gdzie chodziłeś do szkoły, jak ci się układa w pracy, na pewno się niepokoisz o wynik egzaminu adwokackiego, po pierwszym roku pracy życie w firmie staje się dużo znośniejsze i tak dalej, i tak dalej.

A także: Aż trudno uwierzyć w tę historię z McDougle'em.

Regulamin turnieju przewidywał odpadnięcie z gry po dwóch przegranych i drużyna Kyle'a odpadła jako pierwsza. Odnalazł Dale przy grze w bocce i oboje ruszyli do namiotu, gdzie serwowano jedzenie. Z talerzami pełnymi grillowanego mięsa i butelkami wody przysiedli się do Tabora i jego niezbyt urodziwej dziewczyny, którzy zajęli miejsca przy stole pod drzewem. Gorliwiec był oczywiście członkiem drużyny, która nie poniosła jeszcze porażki, i sam z powodzeniem zaliczył większość biegów. Wspomniał, że w biurze czeka na niego pilna robota, i planował być tam jutro o szóstej rano.

Idziesz jak burza, kolego, chciał rzucić Kyle. Jesteś urodzonym zwycięzcą. Powinni cię od razu

zrobić wspólnikiem.

Późnym popołudniem, gdy słońce zaczęło się już chować za apartamentowce przy Central Park West, Kyle dyskretnie odłączył od tłumu i usiadł na pustej ławce na wzgórku pod dębem. Z drzewa leciały złociste liście, a on z oddali przyglądał się zawodom, słuchając radosnych okrzyków i wąchając resztki dymu z przygasających grillów. Gdyby bardzo się postarał, pewnie potrafiłby sobie wmówić, że czuje się tu na swoim miejscu. Że jest młodym prawnikiem, któremu się powiodło i który korzysta z zasłużonego wypoczynku po wytężonej pracy.

Ale poczucie rzeczywistości nigdy go naprawdę nie opuszczało. Jeśli mu się powiedzie, popełni zasługujące na pogardę przestępstwo wobec firmy i ujdzie mu to na sucho. Ale jeśli nie, to na którymś kolejnym rodzinnym pikniku w parku będą rozmawiali o nim z taką samą zgrozą, z jaką dziś rozmawiają o McDougle'u.

Rozdział 23

W niedzielę rano, gdy większość prawników z działu procesowego leczyła kaca, Kyle zerwał się wcześnie pełen werwy i chęci do życia. Zrobił sobie kubek kawy i włożył buty do trekkingu, czekał go bowiem pięciogodzinny spacer ulicami miasta. Do kieszeni włożył wprawdzie FirmFon, ale był spokojny, że nikt do niego nie zadzwoni. Niedziela po sobotnim pikniku była tradycyjnie dniem wolnym od pracy. Pewnie paru gorliwców zjawi się dziś w biurze, ale większość prawników z działu procesowego będzie się rozkoszować kolejnym pięknym jesiennym dniem, nawet nie myśląc o fakturowaniu.

Ruszył na południe przez Village i Tribeca, potem skręcił w lewo i zanurzył się w wiecznie tętniące życiem uliczki Chinatown. W SoHo udało mu się znaleźć miejsce przy bufecie w Balthazarze, popularnej knajpce w stylu paryskiego bistro, o której rozpisują się wszystkie miejskie przewodniki. Zamówił jajka po

benedyktyńsku i szklankę soku pomidorowego, po czym z przyjemnością przyglądał się barwnej i rozkrzyczanej klienteli. Ruszył dalej w stronę mostu Brooklińskiego, wspiął się na górny pomost spacerowy i przeszedł nad East River na stronę Brooklynu. Spacer zajął czterdzieści minut w jedną stronę i czterdzieści z powrotem na Manhattan, gdzie skręcił w Broadway. Przeszedł całą jego długość, mijając po drodze sklepy z ciuchami, teatry i Times Square, i dotarł aż do Columbus Circle.

Brunch wyznaczono na wpół do dwunastej w apartamencie Douga i Shelly Peckhamów na Upper West Side. Mieszkali w starej kamienicy przy Sześćdziesiątej Trzeciej, dwie przecznice od Central Parku, i jadąc ciasną windą na drugie piętro, Kyle nagle uzmysłowił sobie, że właśnie oddaje się ulubionemu zajęciu nowojorczyków, któremu poświęcają dużo uwagi w czasie wolnym od pracy, ale także w pracy: rozmyślaniu o cenach nieruchomości. Doug Peckham, czterdziestojednoletni wspólnik i pełnoprawny udziałowiec, zarobił w zeszłym roku milion trzysta tysięcy dolarów. Jego zarobki nie były tajemnicą, bo Scully & Pershing, jak większość wielkich firm, ujawniała oświadczenia majątkowe swoich wspólników. Peckham miał

prawo oczekiwać, że jego dochody wyniosą co najmniej tyle samo do końca kariery zawodowej, więc stać go było na elegancki adres. Tyle że milion trzysta tysięcy rocznie nie zapewniał miejsca w nowojorskiej pierwszej lidze. O, nie. Do prawdziwych bogaczy zaliczali się bankierzy inwestycyjni, macherzy od funduszy hedgingowych, wielcy przedsiębiorcy z branży high-tech i szefowie korporacji, których majątki liczono w miliardach i którzy bez zmrużenia oka potrafili wydać dwadzieścia milionów na kupno mieszkania w śródmieściu. Oczywiście każdy z nich musiał też posiadać obowiązkowy dom letniskowy w Hamptons na lato i drugi w Palm Beach na zimowe weekendy.

Peckhamowie mieli dom w East Hampton i można tylko było mieć nadzieję, że przynajmniej Shelly i dzieci dobrze się w nim czują, bo Doug najwyraźniej nie, ponieważ prawie wszystkie soboty i większość niedziel spędzał w biurze.

Shelly wyściskała Kyle’a, jakby był starym przyjacielem, i zaprosiła do obszernego i bezpretensjonalnego wnętrza. Doug w dżinsach, chodakach na bose stopy i z jednodniowym zarostem na twarzy serwował gościom kolejne Krwawe Mary. Na brunch zaproszono jeszcze

czterech prawników z jego grupy, co miało stanowić kolejną próbę skrócenia dystansu i nadania firmie Scully & Pershing ludzkiej twarzy. Doug chętnie wysłuchiwał ich problemów, pomysłów i planów, zapoznawał się z wątpliwościami, odczuciami i ambicjami. Zależało mu też na nadaniu tempa tej części spotkania, by zdążyli zjeść i z piwem w dłoniach obejrzeć mecz Giantsów z 49ers, który zaczynał się punktualnie o trzynastej.

Shelly osobiście stała przy kuchni, Doug wziął na siebie noszenie jedzenia i rozlewanie wina. Po godzinie rozmowy o kilku nudnych procesach, z jakimi ostatnio mieli do czynienia, przyszła pora na Giantsów. Kyle, jedyny tegoroczny adept przy stole, miał niewiele do powiedzenia i mniej więcej od połowy brunchu zaczął obmyślać powrotną trasę ulicami miasta. Po deserze przeszli do salonu, któremu kominek nadawał ciepłą, przyjazną atmosferę i gdzie na ścianie wisiał wielki płaskoekranowy telewizor HD. By nieco rozruszać senne towarzystwo, Kyle oznajmił, że jest zagorzałym kibicem 49ers i nienawidzi Giantsów, co wywołało kilka emocjonalnych wypowiedzi. Pod koniec pierwszej kwarty dwóch starszych prawników zapadło w drzemkę, gospodarz też zaczynał

przysypiać. Po pierwszej połowie meczu Kyle dyskretnie się pożegnał i wyszedł.

W poniedziałek był w biurze o piątej rano, rozpoczynając kolejny długi tydzień pracy.

Giantsi następny mecz grali na wyjeździe w Pittsburghu i dwie godziny przed jego rozpoczęciem Kyle z Joeyem, kuląc się z zimna, zajęli miejsca przy czterdziestu jardach. Zimny front atmosferyczny zamienił jesień w zapowiedź nadchodzącej zimy i marznąca mżawka spowiła nowo otwarty stadion, co im jednak nie przeszkadzało. Jako zagorzali kibice nieraz wymarzli na stadionie Three Rivers – dawnej, nieistniejącej już siedzibie Steelersów – ale zawsze uważali, że zimno to prawdziwie futbolowa pogoda.

Szczęśliwie Blair nie była fanką futbolu. Była w piątym miesiącu, bardzo utyła i czekające ją macierzyństwo chyba nie budziło jej zachwytu. Joey zaczynał mieć wątpliwości co do małżeństwa, ale z jakiegoś powodu czuł się usidlony. Kyle miał mu niewiele do powiedzenia. Gdyby nie ciąża Blair, zapewne doradziłby mu, by dał sobie z nią spokój, ale chyba nie rzuca się ciężarnej narzeczonej, prawda? Po prostu się

tego nie robi. Ale cóż on może wiedzieć o takich sprawach?

Kiedy trybuny wypełniły się publicznością, a obie drużyny zaczęły rozgrzewkę, uznał, że pora porozmawiać.

– Opowiedz mi o spotkaniu z Elaine Keenan, tylko mów cicho.

Joey miał w kieszeni piersiówkę z wódką, która miała go chronić przed zamarznięciem. Pociągnął łyk i skrzywił się niemiłosiernie.

– Wszystko nie tak – mruknął.

Kyle wiedział o spotkaniu z Elaine tylko to, co wyczytał z listu Joeya, a chciał poznać szczegóły i na tej podstawie obmyślić plan działania.

– Wygląda na mocno zgnębioną młodą kobietę. Ale nawet w połowie nie tak zawziętą jak jej adwokatka.

– Zacznij od początku i opowiedz wszystko po kolei.

Joe pociągnął następny łyk, oblizał wargi i lękliwie spojrzał na boki, czy nikt go nie obserwuje, po czym zaczął zdawać relację ze swej wizyty w Scranton. Chwilami przerywał i szukał w głowie odpowiednich słów. Kyle kilkakrotnie zadawał mu dodatkowe pytania, Joey odpowiadał i ciągnął swoją opowieść. Tuż przed rzuceniem monety, gdy wypełniony po

brzegi stadion aż wibrował z podniecenia, dotarł wreszcie do końca.

– Jeśli tylko znajdą jakiś punkt zaczepienia, to nas z furią zaatakują – zakończył. – Więc im go nie dawaj. Zagrzebmy jak najgłębiej ten idiotyczny incydent.

Przez jakiś czas obserwowali akcję na boisku, wymieniając się uwagami o grze, i dopiero podczas przerwy Joey wrócił do tematu.

– To jaki mamy plan? – spytał.

– Możesz w następny weekend przyjechać do Nowego Jorku? Steelersi grają z Jetsami. Niedziela o czwartej w Meadowlands. Załatwię bilety.

– Kurczę, sam nie wiem. – Głównym problemem była Blair, ale kwestia kosztów też nie była bez znaczenia. Pensja Joeya plus prowizje składały się na całkiem przyzwoitą sumę, ale nie można było uznać tego za drogę do bogactwa. A teraz czekały go jeszcze dodatkowe wydatki na dziecko i zaraz po tym na ślub lub odwrotnie, bo jeszcze się nie zdecydowali co do kolejności. Jednego dnia Blair chciała przesunąć datę ślubu po urodzeniu dziecka, kiedy odzyska normalną figurę, następnego nalegała na jak najszybszy ślub, żeby dziecko nie urodziło się z piętnem nieślubnego. Joey siedział okrakiem na

płocie, trzymając się końcami palców i dostając baty z obu stron. Płacili już czynsz za swoje nowe kosztowne mieszkanie i nie mógł sobie pozwolić na szastanie pieniędzmi na zbędne przyjemności.

– Do czego jestem ci tam potrzebny? – spytał.

– Chcę, żebyś sfotografował Benniego.

– A po co ci jego fotografia? Mówiłeś, że ci ludzie są niebezpieczni, nie?

– O, tak, śmiertelnie niebezpieczni.

– To po co mamy się narażać?

– Bo chcę się dowiedzieć, kim są.

Joey pokręcił głową i przeniósł wzrok ku tablicy wyników. Potem łyknął z piersiówki i przysunął się bliżej Kyle'a.

– Uważam, że należy zostawić ich w spokoju. A ty powinieneś zrobić to, czego od ciebie oczekują. Zagrać w ich grę i nie dać się przyłapać. Dzięki temu to cholerne nagranie nigdy nie ujrzy światła dziennego i wszyscy odetchną.

– Może tak, może nie. Przyjedziesz?

– Nie wiem. Będę musiał się zastanowić.

– To dla mnie bardzo ważne. Proszę.

– A jak, mój drogi kolego, zamierzasz zrobić to zdjęcie? Bennie to zawodowiec, tak?

– Coś w tym rodzaju.

– Ty jesteś prawnikiem, ja maklerem. Obaj nie mamy zielonego pojęcia o tych sprawach.

Możemy narobić sobie kłopotów.

– To prawda. – Kyle wyjął małą paczuszkę z kieszeni czarno-złotej kurtki Steelersów. – Weź to – powiedział, opuszczając nisko rękę, by ją ukryć przed wzrokiem innych.

Joe chwycił paczuszkę i wsunął do kieszeni identycznej czarno-złotej kurtki.

– Co to jest? – spytał.

– Kamera wideo.

– Nie wygląda mi na kamerę.

– Bo takiej nie znajdziesz w byle sklepie ze sprzętem fotograficznym.

Steelersi zapunktowali po długim podaniu, zaliczając pierwsze przyłożenie, i tłum zaczął długo i głośno wiwatować.

Podczas następnej przerwy Kyle wrócił do tematu.

– Jest niewiele większa od pióra wiecznego. Da się ją włożyć do kieszeni koszuli lub marynarki i przeprowadzić cieniutki przewód do pilota, który trzymasz w dłoni. Można z kimś rozmawiać i nagrywać rozmowę bez jego wiedzy.

– Czyli podchodzę do Benniego, który jest zapewne uzbrojony po zęby i ma w pobliżu paru uzbrojonych po zęby zbirów, mówię „dzień dobry” i proszę o uśmiech, tak?

– Nie, jest na to lepszy sposób. Ale musisz się najpierw z nią zapoznać.

– To cudo się jakoś nazywa?

– Masz to w instrukcji. Specyfikację techniczną, sposób obsługi, wszystko. Musisz tylko poświęcić trochę czasu i nauczyć się nią posługiwać. Jeśli pójdzie dobrze, na sfilmowanie Benniego będziesz miał około trzech sekund.

– A jak nie?

– To cię wyratuję.

– Super! – Długie, nerwowe pociągnięcie z piersiówki. – Dobra, Kyle. Załóżmy, że się udało i mamy Benniego na wideo. Jak ci to pomoże w jego identyfikacji?

– Tego jeszcze nie przemyślałem.

– Zdaje się, że jeszcze wielu spraw nie przemyślałeś.

– Jak zwykle wyślę ci maila we wtorek z potwierdzeniem, że mam bilety. To jak, Joey, stary druhu, wchodzisz w to?

– Nie wiem. Myślę, że zwariowałeś i chcesz, żebym ja też zwariował.

– Daj spokój, kolego. Baw się, póki jeszcze możesz.

Kyle siedział w czwartek po południu w głównej bibliotece, zatopiony w pracy, gdy o czwartej jego FirmFon cicho piknął. Mail z adnotacją PILNY wzywał wszystkich pierwszorocznych prawników do natychmiastowego stawienia się w sali na czterdziestym trzecim piętrze, największym pomieszczeniu, jakim firma dysponowała. Wezwanie mogło oznaczać tylko jedno: ogłoszenie wyników egzaminu adwokackiego. A to, że go wzywano, musiało znaczyć, że zdał.

Od wielu tygodni rytm ich życia wyznaczał zegar; próby stosowania się do wymogów pracy w wielkiej firmie poddawały ich często niewyobrażalnemu stresowi, a do tego niczym czarna chmura wisiała nad nimi niepewność co do wyniku egzaminu. Myśl o nim ani na chwilę ich nie opuszczała, choć nikt nie mówił o tym głośno, bo to by tylko pogarszało sprawę. Ale i tak często spędzało im to sen z powiek w chwilach, gdy najbardziej tego snu potrzebowali, i towarzyszyło przy stole, rujnując najsmaczniejszy posiłek. Myślenie o wyniku egzaminu. A co będzie, jak się okaże, że nie zdałem?

Ogłaszanie wyników przebiega różnie w zależności od firmy, ale w Scully & Pershing

odbywało się to zawsze bardzo uroczyście. Zwoływano wszystkich szczęśliwców i urządzano przyjęcie. Choć lista miała być niespodzianką, mniej więcej od połowy września wszyscy nowo przyjęci adepci już wiedzieli. Okrutne było to, że tych, którzy oblali egzamin, po prostu nie zapraszano. Pozwalano im wymknąć się cichaczem z budynku i włóczyć bez celu przez resztę dnia.

Biegnąc po schodach i śpiesząc przez korytarze, Kyle rozglądał się za kolegami. Wszędzie wokół młodzi ludzie przybijali sobie piątki, wydawali okrzyki radości i ruszali biegiem w obuwiu zupełnie nieprzystosowanym do biegania. Spotkał po drodze Dale, serdecznie ją wyściskał i resztę drogi odbyli razem. Wśród zgromadzonych w holu panował już odświętny nastrój, w końcu na podium wszedł Howard Meezer, wspólnik zarządzający firmy, i podniosłym tonem obwieścił: „Gratulacje! Zaczynamy uroczystość. Na dziś koniec z fakturowaniem”.

Strzelały korki od szampana, barmani zwijali się jak w ukropie, kelnerzy roznosili tace z pysznymi przekąskami. Zapanował nastrój prawdziwego święta, bo wreszcie koszmar

niepewności się kończył i wszyscy już na zawsze stawali się adwokatami.

Kyle sączył kieliszek szampana w towarzystwie Dale i paru innych osób, gdy ktoś nagle przypomniał sobie o kolegach, którym się nie powiodło.

– Ktoś widział Garwooda?

Wszyscy zaczęli się rozglądać za Garwoodem, nigdzie go jednak nie było, a to musiało znaczyć, że znalazł się na liście pechowców.

Podszedł Tim Reynolds z wrednym uśmieszkiem na twarzy, kieliszkiem w jednej ręce i wydrukiem komputerowym w drugiej.

– Tabor oblał – oznajmił z satysfakcją. – Wyobrażacie sobie? Wypierdek z Harvardu.

Kyle'a zbytnio to nie ucieszyło. To prawda, że Tabor był wstrętnym oportunistą, ale był też ich sąsiadem z boksu. Oblanie egzaminu kompletnie go rozwali, a nie był złym facetem.

Wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy, liczba pechowców rosła. Na stu trzech zdających oblało ośmioro, co dawało wynik na poziomie dziewięćdziesięciu dwóch procent powodzenia – doskonały rezultat dla każdego rocznika i każdej firmy. Raz jeszcze stawało się jasne, że są wschodzącymi

gwiazdami, przed którymi otwiera się błyskotliwa kariera prawnicza.

Ubzdryngolili się na tyle, na ile było to możliwe, i rozjechali do domów limuzynami podstawionymi przez firmę. Kyle wypił tylko dwa kieliszki i postanowił się przejść. Po drodze zadzwonił do ojca, żeby mu przekazać radosną wiadomość.

Rozdział 24

Jego piątkowe spotkanie z Dougiem Peckhamem nazywało się oficjalnie roboczym lunchem dla omówienia pewnych spraw, jednak gdy Kyle zjawił się dziesięć minut przed wyznaczoną godziną, Peckham oznajmił, że dziś odpuszczą sobie pracę. Wyszli z gmachu i usiedli na tylnej kanapie czekającego lincolna, jednej z niezliczonych czarnych limuzyn w mieście, które są po to, by wielcy tego świata nie musieli się zniżać do korzystania z miejskich taksówek. Firma posiadała flotę takich czarnych limuzyn.

– Byłeś kiedyś pod jedenastką przy Madison Park? – spytał Doug.

– Nie. Mało ostatnio wychodzę. Jako pierwszoroczniak zwykle jestem zbyt zmęczony, żeby jeść, albo nie mam czasu, albo po prostu zapominam o jedzeniu.

– Użalamy się nad sobą, tak?

– Skąd, oczywiście, że nie.

– Gratulacje z okazji zdania egzaminu.

– Dziękuję.

– Spodoba ci się. Mają świetne jedzenie i piękne wnętrze. Posiedzimy, wypijemy trochę wina. Mam klienta, którego będzie można tym obciążyć.

Kyle skinął głową. Jeszcze dwa miesiące wcześniej obciążanie klientów tego rodzaju kosztami mocno go bulwersowało. Sztuczne nadymanie spraw i faktur. Obciążanie lewymi kosztami. Miał ochotę spytać, czym konkretnie klient zostanie obciążony. Czy tylko kosztem lunchu – bo tym na pewno – czy także dwiema godzinami pracy jego i Peckhama. Ale nie zrobił tego.

Restauracja mieściła się na parterze starego budynku Metropolitan Life, roztaczał się z niej widok na Madison Square Park. Wystrój był nowoczesny, sala jadalna miała wysoki strop i ogromne okna. Doug oczywiście zapewnił, że zna osobiście szefa kuchni, kierownika sali i sommeliera, więc Kyle'a nie zdziwiło, gdy posadzono ich przy ekstrastoliku z widokiem na park.

– Załatwmy na początek sprawę twojej oceny i miejmy to z głowy – powiedział Doug, przełamując chrupiący paluszek i rozsypując okruchy po śnieżnobiałym obrusie.

– Oceny?

– Tak. Moim obowiązkiem jako twojego opiekuna jest wystawienie ci oceny po ogłoszeniu wyników egzaminu adwokackiego. Gdybyś oblał, oczywiście by nas tu nie było, a ja nie miałbym okazji do powiedzenia kilku ciepłych słów. Wtedy podeszlibyśmy do któregoś z ulicznych wózków z jedzeniem, zjedli po kawałku tłustej kiełbasy, poszli na spacer i odbyli nieprzyjemną rozmowę. Ale zdałeś, więc będę dla ciebie miły.

– Dzięki.

Kelner wręczył im menu i rozlał do kieliszków wodę. Doug zabrał się do chrupania następnego paluszka i rozsypywania po stole kolejnej porcji okruchów.

– Twoje fakturowanie przekracza średnią. Prawdę mówiąc, jest imponujące.

– Dzięki.

Jak można się było spodziewać, wszelkie oceny pracownika Scully & Pershing musiały zaczynać się od tego, ile firma zarabia na nim pieniędzy.

– Od kolegów wspólników i starszych prawników słyszę same pochwały.

– Coś do picia? Jakiś aperitif na początek? – spytał kelner.

– Zamówimy wino do jedzenia – rzucił Doug niemal opryskliwie i kelner się oddalił. – Ale czasem sprawiasz wrażenie, jakby brakowało ci entuzjazmu. Jakbyś nie w pełni identyfikował się z firmą. Zgodzisz się?

Kyle pokręcił głową i przez chwilę dumał nad odpowiedzią. Doug wyglądał na rozsądnego faceta, więc może się przed nim otworzyć?

– Mieszkam, jem i śpię w firmie jak wszyscy nowi, bo taki model pracy wymyślił ktoś lata temu. Na tej samej zasadzie stażyści w szpitalach pracują po dwadzieścia cztery godziny na dobę, by okazać swój zapał do zawodu. Na szczęście nie mamy do czynienia z chorymi. Nie wiem, co więcej mógłbym zrobić, żeby okazać zaangażowanie.

– Słuszna uwaga – mruknął Doug i nagle zainteresował się menu. Kelner stał nad nimi, czekając na zamówienie. – Wiesz już, co zjesz? Bo ja umieram z głodu.

Kyle nawet nie zajrzał do menu, wciąż jeszcze przeżywał słowa Peckhama.

– Już, zaraz – powiedział, otwierając je. Wszystko zapowiadało się smakowicie.

Złożyli zamówienie, kelner z uznaniem skinął głową i odszedł, a na jego miejsce zjawił się sommelier. Tocząc z nim uczoną rozprawę na

temat odpowiednich win, Doug wspomniał coś o „pierwszej butelce” i „drugiej butelce”.

Pierwszą okazał się biały burgund.

– Będziesz zachwycony – zapewnił Doug. – To jedno z moich ulubionych win.

– Nie wątpię.

– Masz jakieś problemy, chcesz się na coś poskarżyć? – spytał Doug, jakby odhaczał w myślach listę spraw do załatwienia.

Jak na zawołanie w tym momencie zaczął wibrować FirmFon Kyle’a.

– Zabawne, że pytasz – powiedział, wyciągając telefon z kieszeni marynarki i zerkając na otrzymanego maila. – To od Karleen Sanborn. Potrzebuje kogoś na parę godzin do porządkowania bałaganu w dokumentacji Placid Mortgage. Co mam jej odpowiedzieć?

– Że jesteś ze mną na lunchu.

Kyle napisał odpowiedź, wysłał i spojrzał na Douga.

– Mogę to wyłączyć?

– Oczywiście.

Kelner zaprezentował butelkę wina, Doug skosztował i z zachwytem wywrócił oczami. Kelner rozlał wino do kieliszków.

– Chcę się poskarżyć na ten telefon – odezwał się Kyle. – To cholerstwo zawładnęło moim

życiem. Gdy zaczynałeś piętnaście lat temu, nie było jeszcze komórek ani smartfonów, ani FirmFonów, wtedy…

– …wtedy pracowaliśmy równie ciężko – przerwał mu Doug i lekceważąco machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Przestań narzekać i weź się w karby”. Drugą ręką uniósł kieliszek i przyjrzał się zawartości, w końcu upił łyk i z aprobatą pokiwał głową.

– No więc moim problemem jest ten telefon.

– Dobra, coś jeszcze? – Kolejny ptaszek przy kolejnym punkcie z listy.

– Nie, jeśli nie liczyć typowych narzekań na wykorzystywanie młodych prawników. Słyszałeś je nieraz i pewnie nie chcesz znów ich wysłuchiwać.

– Nie mylisz się, Kyle, nie chcę ich słuchać. Możesz mi wierzyć, że jako wspólnicy wiemy, co się dzieje w firmie. Nie jesteśmy ślepi ani głusi. Przeszliśmy to samo i teraz zbieramy żniwo. To nie jest dobry model biznesowy, bo wszyscy czują się skrzywdzeni. Myślisz, że mnie chce się zrywać z łóżka o piątej rano i przez dwanaście zwariowanych godzin pracować tylko po to, by na koniec roku móc podzielić zyski i utrzymać się na pierwszym miejscu? W zeszłym roku wspólnicy APE zarobili średnio po milion

czterysta tysięcy, my tylko po milion trzysta i wszyscy wpadli w panikę. Musimy ciąć koszty! Musimy więcej fakturować! Trzeba zatrudnić więcej prawników i wycisnąć z nich wszystkie soki, bo musimy być najlepsi! To czyste szaleństwo. Nikt ci nigdy nie powie: „Zaraz, chwila, mogę spokojnie wyżyć z miliona dolców, a za to spędzić więcej czasu z dzieciakami albo dłużej poleżeć na plaży”. O, nie! My musimy być numerem jeden.

– Jestem gotów zgodzić się na milion dolców rocznie.

– Dojdziesz do tego. Koniec oceny.

– Jeszcze tylko jedno krótkie pytanie.

– Wal.

– Jest pewna ładna pierwszoroczna prawniczka, która coraz bardziej mi się podoba. Na ile byłoby to poważne wykroczenie?

– To surowo zabronione. Jak ładna?

– Z każdym dniem ładniejsza.

– Nazwisko?

– Wybacz.

– Musicie to robić w biurze?

– Jeszcze do tego nie doszło. Ale w biurze jest dużo śpiworów.

Doug westchnął, wystawił łokcie i pochylił się nad stołem.

– W firmie aż kipi od seksu. Daj spokój, przecież to zwyczajne biuro. Spotyka się w nim pięć tysięcy kobiet i mężczyzn i zaczyna się. Niepisana reguła brzmi: nie zadawać się z personelem. Żadnych sekretarek, asystentek, urzędniczek. Takich, które uważamy za nieco gorsze od siebie i nazywamy „nieprawniczkami". Natomiast co do koleżanek prawniczek, a także wspólniczek, nikomu to nie przeszkadza, pod warunkiem że nie dadzą się przyłapać.

– Słyszałem kilka smacznych opowieści.

– I zapewne prawdziwych. Wiele karier legło w gruzach. W zeszłym roku doszło do gorącego romansu między dwojgiem wspólników. Ona była zamężna, on żonaty. Przyłapano ich i oboje wyrzucono. Do dziś szukają pracy.

– Ale jeśli sprawa dotyczy dwojga prawników stanu wolnego? To chyba normalne?

– Po prostu nie dajcie się przyłapać.

Kelner przyniósł przystawki i sprawy seksu zeszły na dalszy plan. Kyle zamówił grzankę z porem i serem, Doug zdecydował się na sałatkę z homarem z Maine z koprem włoskim i grzybami. Kyle pił mniej wina, więcej wody, Doug zaparł się, by jak najszybciej wykończyć pierwszą butelkę i przejść do drugiej.

– Mówi się o czekającym nas małym trzęsieniu ziemi – powiedział między kolejnymi kęsami sałatki. – Pewnie coś słyszałeś.

Kyle tylko skinął głową, bo akurat miał pełne usta.

– Chyba do niego dojdzie – rzucił Doug. – Pięciu wspólników z działu procesowego zamierza odejść i pociągnąć za sobą kilku naszych prawników i klientów. Przywódcą rokoszu jest Toby Roland i wygląda to dość paskudnie.

– Ilu prawników? – spytał Kyle.

– Dwudziestu sześciu, według stanu na dziś rano. Ale to jeszcze nie koniec. Machają im przed nosem forsą i wyłamują ręce, więc nikt nie wie, ilu w rezultacie odejdzie. Nieważne, ilu by ich było, w dziale procesowym powstanie dziura. Ale przeżyjemy.

– Jak tę dziurę zapełnimy?

– Pewnie podkupimy ludzi z jakiejś innej firmy. Nie uczyli cię tego na studiach?

Obaj parsknęli śmiechem i na chwilę zajęli się jedzeniem.

– Czy to zwiększy obciążenie pracą tych, którzy zostaną? – spytał Kyle między kęsami.

Doug wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

– Może. Za wcześnie o tym mówić. Zabierają z sobą paru ważnych klientów z dużymi sprawami. Właśnie dlatego odchodzą.

– Jest wśród nich Trylon?

– Trylon to nasz stary klient, który pozostaje pod osobistą opieką Wilsona Rusha. A co ty wiesz o Trylonie? – Doug przyjrzał mu się uważnie, jakby wkraczali na zakazany teren.

– Tylko tyle, ile wyczytałem w prasie. Miałeś okazję ich reprezentować?

– Pewnie, wielokrotnie.

Kyle postanowił jeszcze trochę podrążyć. Kelner zabrał talerze po przystawkach, inny zajął się rozlewaniem wina.

– A o co chodzi w tym ich sporze z Bartinem? „Journal” napisał, że akta sądowe zostały utajnione i są trzymane pod kluczem, bo to bardzo delikatna sprawa.

– Tajemnice wojskowe. Gra idzie o wielkie pieniądze. Jest w to zamieszany Pentagon, który robił wszystko, by nie dopuścić do procesu, ale nic nie wskórał. Chodzi o najnowszą technologię wojskową, nie mówiąc o kilkuset miliardach dolarów.

– Uczestniczysz w tym?

– Nie. Zrezygnowałem. Ale zajmuje się tym bardzo silna ekipa.

Podano świeże pieczywo, by mogli oczyścić sobie podniebienia. Pierwsza butelka była już pusta i Doug poprosił o otwarcie drugiej. Kyle nie przestawał się pilnować.

– A wśród odchodzących ilu zajmuje się procesem z Bartinem?

– Nie wiem. Dlaczego to cię tak interesuje?

– Bo nie chcę, żeby mnie w to wpuszczono.

– Dlaczego?

– Uważam Trylona za nieuczciwego gracza na rynku kontraktów wojskowych. Cieszą się zasłużoną opinią dostawcy szajsu, który za pieniądze rządu i podatników zaopatruje świat w śmiercionośną broń. Zabijają niewinnych ludzi, promują konflikty zbrojne i spiskują z lokalnymi kacykami, a wszystko po to, aby zwiększyć zyski i zasłużyć na uznanie swoich udziałowców.

– Coś jeszcze?

– Bardzo dużo.

– Chyba nie lubisz Trylona?

– Nie.

– Są naszym bardzo ważnym klientem.

– Świetnie. To niech ktoś inny się nimi zajmuje.

– Nasi prawnicy nie mogą wybierać, dla kogo pracują.

– Wiem. Po prostu wyrażam swoją opinię.

– Lepiej zachowaj ją dla siebie. Tego typu wypowiedzi zepsują ci reputację.

– Nie martw się, będę robił, co mi każą. Ale jako opiekuna proszę cię o przysługę. Postaraj się zatrudnić mnie przy czymś innym.

– Zobaczę, co się da zrobić. Ale ostateczna decyzja i tak będzie należała do Rusha.

Drugim winem okazało się pinot noir z RPA i po skosztowaniu Doug znów wywrócił oczami z zachwytu. Zaraz po rozlaniu wina pojawiły się ich główne dania, duszona łopatka wieprzowa i marynowane żeberka wołowe, i obaj z zapałem przystąpili do jedzenia.

– Wiesz, że twoja stawka wzrasta teraz do czterystu za godzinę – powiedział Doug, żując kęs mięsa.

– A twoja wciąż wynosi osiemset?

– Tak.

Kyle nie był pewien, czy miałby odwagę obciążać klienta – wszystko jedno, jak wielkiego i bogatego – stawką czterystu dolarów za godzinę swej niepodpartej doświadczeniem pracy, ale nikt nie pytał go o zdanie.

– A skoro mowa o fakturowaniu – wtrącił Doug. – Musisz mi pomóc oszacować moje

godziny w październiku dla banku Ontario. Zająłem się czymś innym i straciłem rachubę.

Kyle'owi udało się nie zakrztusić gryzionym właśnie kawałkiem wieprzowiny. Czy on naprawdę powiedział: „oszacować moje godziny"? Rzeczywiście tak powiedział i było to coś całkiem nowego. Podczas wstępnej prezentacji, w otrzymanej instrukcji ani gdziekolwiek indziej nie było mowy o „szacowaniu" godzin. Wręcz przeciwnie, zawzięcie wbijano im do głowy, że skrupulatne ich liczenie i fakturowanie stanowi najświętszy obowiązek prawników. Bierzesz do ręki akta i patrzysz na zegar. Podnosisz słuchawkę, żeby zadzwonić, i notujesz dokładny czas. Siedzisz na spotkaniu i liczysz minuty. Należało wszystko sumować i od razu wystawiać rachunek. Nie wolno było chwili zwlekać, a wyliczenie miało być precyzyjne.

– Jak się szacuje godziny pracy? – spytał niepewnie.

– Zaglądasz do akt sprawy i sprawdzasz, ile godzin zafakturowałeś. Musisz się przyjrzeć mojej pracy i oszacować, ile czasu mogło mi to zająć w październiku. Nic wielkiego.

Przy stawce ośmiuset dolarów za godzinę to nie mogło być nic małego.

– Tylko uważaj, żeby nie zaniżyć – rzucił Doug i zakręcił winem w kieliszku.

Oczywiście, że nie. Bo skoro już mamy szacować, to lepiej przeszacujmy, niż nie doszacujmy.

– To powszechna praktyka? – spytał Kyle.

Doug prychnął, spojrzał na niego z politowaniem i przełknął jedzenie. Nie wygłupiaj się, chłopcze. Wszyscy tak robią.

– A skoro już mowa o banku Ontario – wyszczerzył zęby oblepione włóknami mięsa – to obciąż ich rachunkiem za ten lunch.

– To nie ja płacę? – rzucił Kyle, siląc się na dowcip.

– Jasne, że nie. Zapłacę służbową kartą kredytową i doliczymy im do rachunku. Mam na myśli nasz czas. Dwie godziny twoje po czterysta i moje po osiemset. Bank w zeszłym roku zanotował rekordowe zyski.

Miło słyszeć. I będą musieli bić kolejne rekordy, żeby było ich stać na bycie klientem Scully & Pershing. Dwa tysiące czterysta dolarów za lunch, nie licząc jedzenia, wina i napiwku.

– A w związku ze zdanym egzaminem ty też nabywasz prawa do korzystania z czarnych limuzyn i obciążania klientów kosztami posiłków. Zasada jest taka: jeśli pracujesz do

dwudziestej, wolno ci wezwać samochód. Dostaniesz ode mnie numer telefonu i kod rozpoznawczy. Musisz tylko pamiętać, żeby koszt samochodu przypisać klientowi. I jeśli chcesz, wolno ci pojechać do restauracji, wydać na siebie nie więcej niż sto dolarów, i to też wpisać na konto klienta.

– No, chyba żartujesz.

– Dlaczego?

– Niemal co dzień siedzę w biurze do ósmej i dłużej, więc jeśli ktoś będzie płacił za moją kolację, to ani razu nie wyjdę wcześniej.

– Łebski chłopak.

– Ale to chyba lekka przesada, nie uważasz?

– Co jest lekką przesadą?

– Obciążanie klientów kosztem drogich kolacji, lunchów i limuzyn.

Doug znów zakręcił winem w kieliszku, przyjrzał mu się uważnie i pociągnął długi łyk.

– Kyle, drogi chłopcze, spójrz na to inaczej. Naszym największym klientem jest BXL, siódma co do wielkości firma na świecie, która w zeszłym roku uzyskała wartość sprzedaży rzędu dwustu miliardów dolarów. Kierują nią dobrzy spece od biznesu, w których budżecie jest miejsce na wszystko. Bo u nich wszystkim rządzi budżet. To fanatycy budżetu. W ich

ubiegłorocznym budżecie na koszty obsługi prawnej przewidziano jeden procent przychodu, czyli około dwóch miliardów dolarów. Nie wszystko z tego trafiło do nas, bo korzystają z dwudziestu różnych firm prawniczych na całym świecie, ale dostaliśmy swoją działkę. Wyobraź sobie teraz, co się dzieje, jeśli nie udaje im się wydać pieniędzy zapisanych w budżecie, bo koszty obsługi prawnej wynoszą mniej. Ich własne biuro prawne monitoruje nasze faktury i jeśli opiewają one na kwoty niższe od zakładanych, dzwonią do nas i robią awanturę. Bo to może znaczyć, że nie robimy tego, co do nas należy. Nie chronimy należycie ich interesów. Chodzi o to, że oni spodziewają się tych kosztów, więc jeżeli ich nimi nie obciążamy, to ich założenia budżetowe biorą w łeb. Zaczynają się wtedy martwić i mogą zacząć rozglądać się za kimś innym. Kimś, kto nie zawiedzie ich oczekiwań budżetowych. Kapujesz?

O, tak, Kyle kapował. Wszystko nabierało sensu. Kosztowne posiłki służyły nie tylko karmieniu głodnych prawników, ale także odpowiedniemu bilansowaniu budżetu klientów. Z tego punktu widzenia takie podejście prawników było wręcz dowodem rozwagi.

– Tak – powiedział, czując po raz pierwszy, że wypite wino rozgrzewa umysł i pomaga mu się zrelaksować.

Doug rozłożył ręce.

– I rozejrzyj się, Kyle. To Wall Street, absolutny symbol amerykańskiego sukcesu. A my utrzymujemy się na jego szczycie, jesteśmy sprytni, twardzi i utalentowani i dzięki temu zgarniamy grube miliony. I mamy do tego prawo, nie zapominaj o tym. Klienci nam płacą, bo nas potrzebują. Bo oferujemy im najlepszą obsługę prawną, jaką można kupić. Nigdy o tym nie zapominaj.

John McAvoy od lat zjadał codzienny lunch przy tym samym stoliku w tej samej starej knajpce przy Queen Street w Yorku, a Kyle, który od dziesiątego roku życia kręcił się po kancelarii ojca, uwielbiał mu w tym towarzyszyć. Specjalnością kuchni był bukiet jarzyn, codziennie nieco inny, który podawano z bułeczkami z domowego wypieku i mrożoną herbatą bez cukru. Lunch kosztował grosze; w knajpce stołowali się prawnicy, bankowcy i sędziowie, ale wpadali też mechanicy i budowlańcy. Atmosfera na sali była aż gęsta od plotek i żartów. Prawnicy wiecznie się przekomarzali – „To kto dziś płaci za lunch?” –

i chwalili się bogatymi klientami, którym mogą dopisać koszt posiłku za trzy dolary i dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

Kyle wątpił, by ojciec choć raz w życiu pomyślał o obciążeniu klienta kosztem swojego lunchu.

Doug się zaparł, że muszą zjeść deser. Po dwóch godzinach od wejścia z trudem wytoczyli się z restauracji, wsiedli do czekającej limuzyny i obaj przedrzemali piętnastominutową jazdę do biura.

Rozdział 25

Po raz pierwszy w dziewięciomiesięcznej historii ich kontaktów Kyle sam zadzwonił do Benniego i zaproponował spotkanie. Wszystkie dotychczasowe odbywały się z inicjatywy agenta prowadzącego, nie prowadzonego. Kyle nie wyjawił powodu spotkania, ale Bennie się nie dopytywał. Widać założył, że jego podopieczny wreszcie ma coś istotnego do przekazania. Dochodziła osiemnasta i Kyle siedział w głównej bibliotece na trzydziestym ósmym piętrze. Bennie zareagował mailem z propozycją spotkania w hotelu Thompson w SoHo, Kyle potwierdził, że się zgadza. Zawsze się zgadzał, bo nie wolno mu było się nie godzić lub proponować inne miejsce spotkania. Było mu to jednak obojętne, bo i tak nie zamierzał tam przychodzić. Był piątek i Joey jeszcze nie zjawił się w mieście.

Cztery godziny później, siedząc w bunkrze Placid Mortgage i bezmyślnie przewracając stronę za stroną akt w sprawie wywłaszczenia –

teraz już po czterysta dolarów za godzinę – wysłał do Benniego maila, w którym z żalem go informował, że, niestety, w najbliższym czasie nie uda mu się wyrwać z biura, a być może będzie musiał zostać na całą noc. Choć szczerze nie znosił przesiadywania w bunkrze i z trudem przychodziło mu pogodzić się z tym, że piątkowy wieczór spędza w pracy, jednocześnie czuł lekkie rozbawienie na myśl, że Bennie siedzi teraz w pokoju hotelowym i niecierpliwie czeka na spotkanie, do którego nie dojdzie, bo jego podopieczny tkwi w bunkrze i nie zamierza się z niego ruszyć. Ale jako agent prowadzący nie mógł mieć pretensji o to, że jego człowiek tak intensywnie pracuje.

Kyle w tej sytuacji zaproponował spotkanie w sobotę po południu, Bennie łyknął przynętę i w ciągu paru minut przysłał maila ze szczegółami: sobota, godzina dziewiętnasta, hotel Wooster w SoHo, pokój 42. Jak dotąd każde kolejne spotkanie odbywało się w innym hotelu.

Z telefonu stacjonarnego Kyle zadzwonił na nowy numer komórkowy Joeya i ustalił z nim co i jak. Samolot z Pittsburgha przylatywał na lotnisko LaGuardia w sobotę o czternastej trzydzieści. Joey miał pojechać taksówką do hotelu Mercer, zameldować się i poczekać, aż

przyjaciel skończy praktykować prawo. Miał się pokręcić po ulicach, wejść do kilku barów i od razu z nich wyjść tylnymi drzwiami, zajrzeć do paru księgarni, przejechać się paroma taksówkami i po upewnieniu się, że nikt go nie śledzi, dotrzeć do hotelu Wooster i usiąść w głównym holu. W kieszeni miał mieć portret pamięciowy Benniego, od tygodni dopieszczany przez Kyle'a. Joey godzinami się w niego wpatrywał i był pewien, że bez trudu rozpozna oryginał. Kyle chciał mieć jednak twarz Benniego w cyfrowej rozdzielczości i kolorze.

O dziewiętnastej trzydzieści Kyle wkroczył do holu hotelowego i pojechał windą na trzecie piętro. Bennie tym razem wynajął nie apartament, lecz niewielki dwuosobowy pokój. Kyle rzucił płaszcz i teczkę na łóżko i zajrzał do łazienki.

– Sprawdzam tylko, czy nie ma w niej Nigela lub innej niespodzianki – wyjaśnił, zapalając światło.

– Tym razem tylko ja sam – mruknął Bennie. Siedział rozparty na fotelu z aksamitnym obiciem. – Gratulacje z okazji zdanego egzaminu.

– Dzięki. – Kyle zamknął drzwi łazienki i usiadł na łóżku. W pokoju rzeczywiście nie było nikogo poza Benniem i nie było też żadnego

bagażu, a w łazience przyborów do golenia. Niczego, co mogłoby świadczyć, że po wyjściu Kyle'a Bennie zamierza tu zostać.

– Nabijasz sobie godziny – zauważył Bennie, jak zwykle próbując rozluźnić atmosferę spotkania.

– Jestem już pełnoprawnym adwokatem, więc oczekują, że będę pracował jeszcze intensywniej. – Uwagę Kyle'a przyciągnął ubiór Benniego: jasnoniebieska gładka bawełniana koszula z kołnierzykiem nieprzypinanym na guziki, bez krawata, ciemnobrązowe wełniane spodnie. Marynarka zapewne wisiała w szafie obok drzwi do łazienki i Kyle skarcił się w myślach, że do niej nie zajrzał. Skarpetki w nieokreślonym burym kolorze i zdecydowanie niemodne, mocno znoszone czarne buty.

– Mam dla ciebie sensacyjną wiadomość – zaczął Kyle. – Pięciu wspólników z działu procesowego odchodzi z firmy: Abraham, DeVere, Hanrahan, Roland i Bradley. Zakładają własną firmę i zabierają z sobą co najmniej trzech klientów. Według ostatnich danych dołącza do nich dwudziestu sześciu prawników. Spośród odchodzących wspólników Bradley jako jedyny zajmuje się sprawą Trylon kontra Bartin,

ale w gronie prawników jest co najmniej siedmioro.

– Na pewno masz dla mnie pisemną notatkę w tej sprawie.

Kyle wyjął z teczki złożoną trzykrotnie kartkę i podał Benniemu. Wypisał na niej wcześniej nazwiska wszystkich prawników Scully & Pershing, którzy zdecydowali się dołączyć do buntowników. Wiedział z góry, że Bennie będzie się domagał czegoś na piśmie. Chciał nie tylko wpiąć to do swojej dokumentacji, ale mieć w ręku dowód jego sprzeniewierzenia. Kyle wreszcie to zrobił. Zdradził firmowe sekrety i od tej chwili nie miał już odwrotu.

Tyle że nie do końca tak było. Wersje co chwila się zmieniały i nikt nie wiedział, kto naprawdę zamierza odejść. Kyle w swojej notatce trochę pofantazjował, szczególnie w odniesieniu do nazwisk prawników, a jej treść nie stanowiła specjalnej tajemnicy, bo w „New York Lawyer”, branżowym dzienniku prawniczym, ukazały się już dwa materiały o buncie w dziale procesowym firmy Scully & Pershing. Zważywszy na ciągłą płynność kadr w firmach prawniczych, wiadomość nie miała charakteru sensacji i nie trafiła na pierwszą stronę. Nie mówiąc o tym, że

Bennie wiedział o tej sprawie tyle samo co jego podopieczny, a ten wiedział, że Bennie wie.

W notatce nie było ani słowa o reprezentowanych przez firmę klientach i nie podano nawet ich nazw. Robiła wrażenie sporządzonej na chybcika. W rzeczywistości Kyle spędził nad nią wiele godzin, pilnując, by jej treść nie naruszała zasad etyki zawodowej.

Bennie rozprostował kartkę i w skupieniu zaczął czytać. Kyle przez chwilę mu się przyglądał, po czym oznajmił, że musi skorzystać z łazienki.

– Tam – mruknął Bennie, nie unosząc wzroku znad kartki.

W drodze do łazienki Kyle rzucił okiem do szafy, której drzwi były uchylone. W środku wisiała pospolita granatowa marynarka i ciemnoszary prochowiec.

– Nie jestem pewny, czy będzie to miało dla mnie jakieś konsekwencje – powiedział po powrocie do pokoju. – Biuro prawne Trylona steruje całą sprawą, a oni wolą doświadczonych prawników. Na miejsce odchodzących nasi wyznaczą pewnie ludzi z trzy- lub czteroletnim stażem. Dla mnie to wciąż odległa perspektywa.

– Kto zastąpi Bradleya?

– Nie mam pojęcia. Krążą różne pogłoski.

– Poznałeś Sherry Abney?

– Tak, na pikniku w Central Parku. Graliśmy w softball. Zawarliśmy znajomość, ale to nie od niej zależy, kogo przydzielą do sprawy. O tym decyduje Wilson Rush.

– Cierpliwości, Kyle, cierpliwości. Praca wywiadowcza polega na długim urabianiu ludzi i właściwych relacjach. Jeszcze wszystko przed tobą.

– Nie wątpię. Zwłaszcza jeśli będziesz usuwał z drogi kolejnych prawników. Jak ci się udało pozbyć McDougle'a? Podrzuciłeś mu prochy do mieszkania?

– Nie żartuj sobie, Kyle. Facet miał poważny problem z kokainą.

– Nie potrzebował twojej pomocy.

– Jest w drodze do wyzdrowienia.

– Ty draniu! On jest w drodze do więzienia.

– Handlował koką, Kyle. Był zakałą społeczeństwa.

– Od kiedy tak się troszczysz o społeczeństwo?

Kyle wstał i zaczął zbierać swoje rzeczy.

– Muszę lecieć. Przyjechał mój kumpel z Pittsburgha. Jutro idziemy na mecz Jetsów.

– To miło. – Bennie wstał z fotela. Znał numery lotów Joeya w obie strony i numery ich miejsc na stadionie.

– Pamiętasz Joeya? Drugiego w kolejce na twoim wideo?

– To nie moje wideo, Kyle. Ja go nie nagrałem. Tylko się na nie natknąłem.

– Ale nie mogłeś go zostawić w spokoju, co? Na razie. – Kyle trzasnął drzwiami i ruszył korytarzem. Zbiegł po schodach i wpadł do holu w pobliżu wind. Nawiązał szybki kontakt wzrokowy z Joeyem i skręcił do męskiej toalety za załomem muru. Wewnątrz na prawej ścianie znajdowały się trzy pisuary, stanął przy środkowym, Joey dołączył do niego po dziesięciu sekundach, stając przy lewym. Poza nimi w toalecie nie było nikogo.

– Bladoniebieska koszula bez krawata, granatowa sportowa marynarka, wszystko pod ciemnoszarym prochowcem. Wciąż wkłada i zdejmuje okulary w czarnej oprawce, pewnie zjedzie bez nich. Nie zauważyłem, żeby miał jakąś teczkę, kapelusz lub parasol, nic z tych rzeczy. Nie zostaje tu na noc, więc pewnie niedługo się zjawi. Powodzenia.

Kyle nacisnął przycisk spłuczki, wyszedł z toalety i opuścił hotel. Joey odczekał dwie minuty i wrócił do holu. Podniósł z fotela zostawioną gazetę i usiadł. Jego ciemne włosy zostały dzień wcześniej krótko przycięte i były

niemal zupełnie siwe. Na nosie miał okulary w grubej czarnej oprawie, kamera niewiele większa od długopisu i praktycznie nie do odróżnienia tkwiła w kieszonce brązowej sztruksowej marynarki, tuż obok czerwonej chusteczki.

Hotelowy ochroniarz w eleganckim czarnym garniturze przyglądał mu się uważnie, jednak jego zainteresowanie brało się bardziej z nudy niż podejrzliwości. Pół godziny wcześniej Joey wyjaśnił mu, że czeka na znajomego, który pojechał na górę. Za ladą dwóch recepcjonistów z opuszczonymi głowami zajmowało się swoimi sprawami, na nic nie patrząc, choć naprawdę widząc wszystko.

Minęło dziesięć minut, piętnaście. Przy każdym otwarciu drzwi windy Joey lekko się spinał. Trzymał gazetę nisko opuszczoną na kolana, by wyglądało, że czyta, a jednocześnie jego kamera miała niczym niezakłócony widok.

Brzęknął dzwonek, drzwi lewej windy rozsunęły się i ukazał się w nich Bennie we własnej osobie. Miał na sobie długi prochowiec i Joey nie miał cienia wątpliwości co do jego tożsamości. Portret pamięciowy Kyle’a był wyjątkowo dokładny – połyskliwa łysa czaszka, kilka kosmyków czarnych włosów za uszami,

długi wąski nos, kwadratowa szczęka, krzaczaste brwi nad ciemnymi oczami. Joey nerwowo przełknął ślinę, opuścił głowę i nacisnął guzik na pilocie trzymanym w lewej dłoni. Bennie zrobił osiem kroków wprost na niego, potem lekko skręcił, przeszedł po marmurowej posadzce ku drzwiom i wyszedł z hotelu. Joey lekko się przechylił, by jeszcze przez chwilę utrzymać go w kadrze, po czym wyłączył kamerę, głęboko odetchnął, wsadził nos w gazetę i zerkał ponad nią przy każdym otwarciu drzwi wind. Po wlokących się nieznośnie dziesięciu minutach wstał i znów udał się do toalety. Wytrzymał w holu jeszcze pół godziny, w końcu ostentacyjnie okazał zniecierpliwienie i zamaszystym krokiem wyszedł z hotelu. Nikt za nim nie ruszył.

Joey wmieszał się w sobotni tłum na ulicach dolnego Manhattanu i dał się ponieść potokowi przechodniów zatrzymujących się przed wystawami, zaglądających do sklepów z muzyką i wpadających do kafejek. Był pewien, że jeśli nawet miał ogon, to go przed dwiema godzinami zgubił, wolał jednak nie ryzykować. Zaczął niespodziewanie skręcać za rogami budynków i przemykać wąskimi zaułkami. Przed wieczorem wszedł do jakiegoś antykwariatu, zamknął się

w maleńkiej ubikacji i zmył włosy specjalną płukanką, która usunęła niemal całą siwiznę. Ukrył jej resztki pod bejsbolówką Steelersów, wyrzucił okulary do kosza i wcisnął kamerę wideo głęboko do kieszonki.

Kyle czekał niecierpliwie w Gotham Bar and Grill przy Dwunastej Ulicy, siedząc przy barze, sącząc kieliszek białego wina i od czasu do czasu zamieniając kilka słów z barmanem. Stolik był zarezerwowany na dwudziestą pierwszą.

Najgorszym scenariuszem z możliwych – prawdę mówiąc jedynym, który mógł oznaczać niepowodzenie całej akcji – było rozpoznanie Joeya przez Benniego i ich konfrontacja w holu hotelu Wooster. Było to jednak mało prawdopodobne. Bennie wprawdzie wiedział, że Joey jest w mieście, ale nie rozpoznałby go w przebraniu ani nie spodziewałby się go spotkać akurat w tym hotelu. Kyle liczył na to, że jest sobota wieczór, a on w ciągu minionych dwóch miesięcy nie dał swym zachowaniem żadnych podstaw do podejrzeń, więc Bennie będzie miał tylko skromną obstawę na ulicy.

Joey przyszedł punktualnie o dziewiątej. Jego włosy znów nabrały naturalnej barwy i Kyle nie

dostrzegał na jego głowie ani jednego siwego włoska. Joeyowi udało się też jakimś cudem zastąpić wyświechtaną brązową sztruksową marynarkę dużo elegantszą czarną. Uśmiech na jego twarzy mówił wszystko.

– Mam go – rzucił, sadowiąc się na stołku obok Kyle'a i od razu szukając wzrokiem barmana.

– Mów – szepnął Kyle, obserwując drzwi, by sprawdzić, czy nikt nie wejdzie za Joeyem.

– Podwójny absolut z lodem – powiedział Joey do barmana, po czym zwrócił się twarzą ku Kyle'owi i ciszej dodał: – Myślę, że go dopadłem. Odczekał szesnaście minut, zjechał windą i nim mnie minął, miałem go w kadrze przez dobre pięć sekund.

– Spojrzał na ciebie?

– Nie wiem. Cały czas czytałem gazetę. Żadnego kontaktu wzrokowego, pamiętasz? Ale ani na moment nie przystanął.

– Bez trudu go poznałeś?

– Bez. Zrobiłeś świetny portret pamięciowy.

Przez chwilę zostali jeszcze przy barze, popijając. Kyle nie przestawał obserwować drzwi i kawałka chodnika widocznego bez nadmiernego wyciągania szyi. Zjawił się kierownik sali i zaprowadził ich do stolika

w głębi sali. Kelner wręczył im menu, a Joey wyjął z kieszonki kamerę i podał Kyle'owi.

– Kiedy obejrzę nagranie? – spytał.

– Za parę dni. Przegram je najpierw do komputera w biurze.

– Tylko nie przysyłaj tego mailem.

– Bez obaw. Zrobię ci kopię i wyślę zwykłą pocztą.

– I co teraz?

– Dobra robota, kolego. Teraz zjemy smaczną kolację z dobrym winem, jak się zaraz przekonasz – odparł Kyle z uśmiechem.

– Jestem z ciebie dumny.

– A jutro popatrzymy, jak Steelersi roznoszą w puch Jetsów.

Stuknęli się kieliszkami w poczuciu odniesionego sukcesu.

Bennie nawrzeszczał na swoich trzech agentów, kiedy się okazało, że zgubili Joeya krótko po jego przyjeździe do miasta. Po raz pierwszy zgubili go późnym popołudniem, niedługo po jego wyjściu z hotelu Mercer. Przed wieczorem natknęli się na niego w Village, ale szybko znów się im zgubił. A teraz jadł kolację z Kyle'em w Gotham Bar and Grill, ale to akurat

było łatwe, bo tak miało być. Agenci zarzekali się, że Joey zachowywał się tak, jakby wiedział, że jest śledzony, i najwyraźniej starał im się wymknąć.

– I całkiem nieźle mu się udało, co?! – wrzasnął Bennie.

Dwa mecze futbolowe z rzędu, jeden w Pittsburghu, drugi w Nowym Jorku. Częsta wymiana maili. Joey był jedynym kolegą z czasów college'u, z którym Kyle utrzymywał regularny kontakt. Sygnały ostrzegawcze były aż nazbyt wyraźne. Coś obaj knuli.

Bennie postanowił wzmóc inwigilację Joeya Bernardo.

Nie spuszczali też oka z Baxtera Tate'a, obserwując jego niezwykłą odmianę.

Rozdział 26

W poniedziałek o wpół do piątej rano Kyle wysiadł na trzydziestym drugim piętrze z windy, która tym razem była pusta, i pomaszerował korytarzem do swojego boksu. Jak zwykle wszystkie światła były zapalone, drzwi pootwierane, kawa się parzyła; ktoś już pracował. Bez względu na porę dnia czy nocy, tu zawsze ktoś pracował. Recepcjonistki, sekretarki i urzędniczki przychodziły na dziewiątą, ale dla nich tydzień pracy liczył zaledwie czterdzieści godzin. Wspólnicy wyrabiali ich około siedemdziesięciu, dla szeregowych prawników stugodzinny tydzień pracy nie był niczym nadzwyczajnym.

– Dzień dobry, panie McAvoy – powitał go Alfredo, jeden z chodzących po cywilnemu ochroniarzy, którzy kręcili się po biurze w nietypowych godzinach.

– Dzień dobry, Alfredo – odpowiedział Kyle, zwijając w kulkę swój prochowiec i rzucając go

w kąt obok śpiwora.

– I co pan powiesz o Jetsach? – Alfredo się uśmiechnął.

– Wolę nic nie mówić – mruknął Kyle. Dwanaście godzin wcześniej Jetsi w lejącym deszczu rozgromili Steelersów różnicą trzech przyłożeń.

– Życzę miłego dnia – rzucił pogodnie Alfredo, ruszając w dalszy obchód. Dla niego dzień dobrze się zaczynał. Nie tylko jego drużyna spuściła lanie Steelersom, ale jeszcze udało mu się szturchnąć ich kibica.

Cholerni nowojorscy kibole, mruknął pod nosem Kyle, otwierając kluczem szufladę biurka i wyciągając laptop. Włączył go i czekając, aż wystartuje, raz jeszcze się upewnił, że w pobliżu nie ma nikogo. Dale nigdy nie przychodziła przed szóstą, wróg wczesnego wstawania, Tim Reynolds, wolał zaczynać około ósmej i siedzieć w pracy do północy. A nieszczęsny Tabor po oblanym egzaminie adwokackim w ogóle nie pojawiał się w biurze. W piątek, dzień po ogłoszeniu wyników, zadzwonił, powiedział, że jest chory, i jego choroba ciągnęła się przez cały weekend. Ale Kyle nie miał głowy, by się martwić Taborem. Niech sam się o siebie martwi.

Wyjął z kamerki maleńką kartę pamięci, umieścił w przejściówce i wetknął do gniazda w laptopie. Chwilę odczekał, kliknął dwa razy i aż zamarł z wrażenia. Na ekranie ujrzał kolorowy obraz Benniego, który czeka na całkowite otwarcie drzwi windy, po czym rusza w stronę kamery miarowym krokiem człowieka pewnego siebie i niemającego powodu się śpieszyć. Cztery kroki po marmurowej posadzce, obrzucenie Joeya przelotnym spojrzeniem, kolejne pięć kroków, wyjście z kadru, koniec nagrania. Kyle cofnął i obejrzał ponownie, potem jeszcze raz i jeszcze raz, w coraz wolniejszym tempie. W chwili gdy po czterech krokach Bennie patrzy obojętnie na Joeya, wcisnął stop i przyjrzał się jego twarzy. Obraz był krystalicznie czysty, wysokiej rozdzielczości wideo. Kyle wcisnął klawisz „Print Screen” i szybko zrobił pięć odbitek.

Dopadł wreszcie swojego prześladowcę, przynajmniej na taśmie. I co ty na to, Bennie? Nie ty jeden umiesz się bawić ukrytą kamerą. Kyle wyjął z drukarki odbitki. Regulamin kazał rejestrować wszystkie wydruki i przypisywać koszt klientom, ale Sandra przymykała oko na sporadyczne korzystanie z drukarki do celów prywatnych. Spojrzał na odbitki i aż klasnął

w dłonie. Miał przed sobą twarz swojego prześladowcy, szantażysty, wrednego skurwiela, który tak zapanował nad jego życiem.

Podziękował w myślach Joeyowi za świetną robotę. Przyjaciel okazał się mistrzem kamuflażu i świetnym kamerzystą.

Z oddali dobiegły jakieś głosy, zamknął więc laptop, schował kartę pamięci i wszedł po schodach na trzydzieste ósme piętro do głównej biblioteki, gdzie sięgnął do swojej skrytki i uzupełnił jej zawartość o cztery nowe odbitki. Piątą zamierzał wysłać Joeyowi zwykłą pocztą, razem z listem gratulacyjnym.

Spojrzał z galeryjki w dół na główny poziom biblioteki. Rzędy długich stołów z oddzielonymi miejscami do spokojnej pracy i stertami zdjętych z półek książek. Naliczył ośmiu prawników, którzy z pochylonymi głowami siedzieli zanurzeni w świecie prawnych precedensów, komentarzy i wniosków, mogących się przydać do ich bieżących celów. Piąta rano, poniedziałek, początek listopada. Cóż za okropny sposób na rozpoczynanie nowego tygodnia pracy!

W swoim planie działania nie obmyślił jeszcze następnego kroku – szczerze mówiąc, nie był nawet pewien, czy istnieje następny krok – ale na razie mógł odetchnąć z satysfakcją. Cieszyć się

przez chwilę odniesionym sukcesem i wierzyć, że jednak istnieje jakieś wyjście.

Zaraz po otwarciu giełd w poniedziałek do Joeya zgłosił się klient pragnący upłynnić część akcji w firmie naftowej, chwilę później zadzwonił drugi telefon. Rozmowa na dwa telefony nie była niczym niezwykłym, jednak gdy w słuchawce usłyszał: „Cześć, Joey, tu Baxter. Co u ciebie?", szybko zakończył pierwszą rozmowę.

– Skąd dzwonisz? – spytał.

Baxter wyjechał z Pittsburgha trzy lata temu, zaraz po ukończeniu Duquesne, i od tamtej pory rzadko się tu zjawiał. Gdy czasami się to zdarzało, zwoływał starą bandę – każdego, komu nie udało się przed nim umknąć – i organizował dzikie pijackie imprezy, które ciągnęły się przez cały weekend. Im dłużej przebywał w Los Angeles i im zacieklej zmagał się z karierą aktorską, tym trudniej było go zaakceptować podczas sporadycznych wizyt w domu.

– Jestem w Pittsburghu. Czysty i trzeźwy od stu sześćdziesięciu dni.

– To wspaniale, Baxter! Cudownie. Słyszałem, że trafiłeś na odwyk.

– Tak, wujek Wally znów mnie zmusił. I Bogu dzięki. Masz chwilę na szybki lunch? Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Od czasów college'u nigdy nie spotkali się w południe. Jedzenie lunchu było dla Baxtera zbyt trywialne. Z przyjaciółmi zawsze umawiał się wieczorem, by mieć przed sobą długie nocne godziny.

– Jasne. A o co chodzi?

– Nic specjalnego. Chciałbym się przywitać. Spotkajmy się w parku Point State. Kup sobie po drodze kanapkę, zjemy na powietrzu i pogapimy się na statki.

– Oczywiście. – Baxter widać wszystko sobie zaplanował, co Joeyowi od razu wydało się podejrzane.

– Może być w południe?

– Widzimy się w parku.

Baxter przyniósł z sobą tylko butelkę wody i nic do jedzenia. Bardzo wyszczuplał, miał na sobie płócienne spodnie i sprany granatowy sweter, na nogach czarne wojskowe buciory – wszystko ze sklepu z używaną odzieżą przy schronisku brata Manny'ego. Koniec z designerskimi dżinsami, kurtkami od Armaniego i mokasynami z krokodylej skóry. Dawny Baxter należał do historii.

Uściskali się, jak zawsze obrzucili wyzwiskami i znaleźli wolną ławkę w pobliżu miejsca, gdzie zlewają się rzeki Allegheny i Monongahela. Za ich plecami tryskała wielka fontanna.

– Nie masz nic do jedzenia? – zdziwił się Joey.

– Nie jestem głodny. Ale ty się nie krępuj.

Joey położył na ławce swoją kanapkę i wlepił wzrok w buciory kolegi.

– Widziałeś się z Kyle'em? – spytał Baxter.

Następne kilka minut upłynęło im na rozmowie o Kyle'u, Alanie Strocku i paru innych członkach bractwa. Baxter mówił cichym spokojnym głosem, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w łączące się rzeki, jakby myślami był gdzieś daleko. Wyglądało to tak, jakby słuchał słów Joeya, ale naprawdę ich nie słyszał.

– Wyglądasz mi na rozkojarzonego – zauważył w pewnej chwili Joey, jak zwykle waląc prosto z mostu.

– Trochę dziwnie się czuję na starych śmieciach. W dodatku wszystko jest takie inne na trzeźwo. Jestem alkoholikiem, Joey, zdeklarowanym alkoholikiem. Jak przestałem pić i mój organizm uwolnił się od tej cholernej trucizny, na wszystko patrzę trochę inaczej. Już nigdy nie wrócę do picia.

– Skoro tak mówisz…

– Nie jestem już tym Baxterem, którego kiedyś znałeś.

– Pogratulować, tyle że ten dawny Baxter wcale nie był taki zły.

– Dawny Baxter był samolubną, nadętą, egoistyczną, wiecznie zalaną kreaturą, i sam o tym wiesz.

– Wiem.

– Jeszcze z pięć lat i przejechałbym się na tamten świat.

Na rzece pojawiła się mozolnie walcząca z prądem barka i obaj przez chwilę się jej przyglądali. Joey wolno rozpakował kanapkę z żytniego chleba z indykiem i zabrał się do jedzenia.

– Teraz walczę o całkowite wyzdrowienie – bąknął Baxter. – Wiesz, na czym polega terapia Anonimowych Alkoholików?

– Z grubsza. Mam wujka, który parę lat temu wytrzeźwiał, ale nadal działa w AA. To świetny program.

– Moim opiekunem i doradcą jest pastor i były kryminalista, zwany potocznie bratem Mannym. Wyciągnął mnie z baru w kasynie w Reno sześć godzin po moim wyjściu z ośrodka rehabilitacji.

– Poznaję w tym dawnego Baxtera.

– Racja. Manny przeprowadził mnie przez dwanaście kroków kuracji. Pod jego namową sporządziłem listę wszystkich tych, którym wcześniej wyrządziłem krzywdę. To było straszne. Musiałem usiąść i przypomnieć sobie każdego, kogo skrzywdziłem po pijaku.

– I ja jestem jednym z nich?

– Nie, ty się nie załapałeś. Przykro mi.

– O cholera!

– Chodzi głównie o moją rodzinę. Są na mojej liście, a jeśli oni spróbują kiedyś podejść poważnie do życia, zapewne ja trafię na ich listy. Następnym krokiem jest próba zadośćuczynienia. A to jeszcze większy koszmar. Przed pójściem do więzienia brat Manny pobił swoją pierwszą żonę. Wystąpiła wtedy o rozwód, a on po latach, kiedy już wytrzeźwiał, odszukał ją, żeby ją przeprosić. Miała po nim pamiątkę w postaci blizny pod nosem i gdy w końcu zgodziła się z nim spotkać, ubłagał ją o przebaczenie. Pokazywała mu swoją bliznę i płakała, on też płakał. Brzmi to strasznie, nie?

– Tak.

– Ja też kiedyś skrzywdziłem jedną dziewczynę. I ona jest na mojej liście.

Kawałek indyka utkwił Joeyowi w przełyku. Próbował go przełknąć, ale kęs uparcie tam

tkwił.

– Co ty powiesz!

– Elaine Keenan, pamiętasz ją? Twierdziła, że zgwałciliśmy ją na imprezie w naszym mieszkaniu.

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Myślisz o niej czasami? Poszła z tym na policję i napędziła nam niezłego stracha. Omal nie wynajęliśmy wtedy adwokatów. Starałem się jak mogłem o tym zapomnieć i prawie mi się udało. Ale teraz na trzeźwo mam jaśniejszy umysł i więcej pamiętam. Myśmy ją wykorzystali, Joey.

Joey odłożył niedojedzoną kanapkę.

– Może jednak pamięć cię zawodzi. Tak jak ja to pamiętam, to mieliśmy do czynienia z balangowiczką, która uwielbiała imprezować, pić i wciągać kokę, ale najbardziej lubiła rżnąć się na okrągło. Nikogo nie wykorzystaliśmy. W każdym razie nie ja. Jeśli chcesz rewidować swoją przeszłość, proszę bardzo, ale na mnie nie licz.

– Straciła przytomność. Przeleciałem ją pierwszy i robiąc to, nagle się zorientowałem, że jest nieprzytomna. Pamiętam, że potem ty podszedłeś do kanapy i powiedziałeś coś

w rodzaju: „A ona jest przytomna?”. Pamiętasz coś z tego, Joey?

– Nie. – Brzmiało to po części znajomo, ale Joey niczego nie był pewien. Bardzo starał się o tym zapomnieć, tylko potem opowieść Kyle’a brutalnie sprowadziła go na ziemię.

– Upierała się, żeśmy ją zgwałcili. Może tak było.

– A skąd! Pozwól, że ci odświeżę pamięć. Ty i ja uprawialiśmy z nią seks poprzedniego wieczoru. Widać jej się spodobało, bo następnego dnia sama zaproponowała: „Chodźmy do was”. Wyraziła zgodę na seks, nim jeszcze weszliśmy do mieszkania.

Zapadła długa cisza jakby w oczekiwaniu, co teraz powie ten drugi.

– Zamierzasz rozmawiać z Elaine? – spytał wreszcie Joey.

– Może. W każdym razie coś muszę zrobić. Czuję się nie w porządku po tym, co się stało.

– Daj spokój, Baxter. Wszyscy byliśmy wtedy urżnięci. Cały ten wieczór to jedna szara plama.

– Och, te alkoholowe wymówki… Robimy coś, czego potem nie pamiętamy. Krzywdzimy innych, bo tak nam się podoba. Ale jak w końcu trzeźwiejemy, to przynajmniej trzeba przeprosić.

– Przeprosić? Pozwól, że coś ci opowiem, bracie Baxterze. Parę tygodni temu natknąłem się na Elaine. Mieszka w Scranton. Byłem tam służbowo i spotkałem ją w barze kanapkowym w porze lunchu. Próbowałem być dla niej miły, ale ona nazwała mnie gwałcicielem i nie chciała ze mną gadać. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali i pogadali jak ludzie przy kawie, a ona przyszła ze swoją adwokatką. Naprawdę wredną babą, która uważa wszystkich mężczyzn za drani. Więc załóżmy, że pojedziesz do Scranton, odszukasz ją i przeprosisz, bo może mówi prawdę, a ty teraz wytrzeźwiałeś i jako zreformowany alkoholik chcesz się poczuć lepiej sam z sobą. Wiesz, czym to się skończy? Oskarżeniem, aresztowaniem, procesem, wyrokiem, więzieniem, wszystkim po kolei. I nie tylko ty za to bekniesz, bracie Baxter, ale niektórzy twoi przyjaciele też.

Joey zamilkł, by nabrać powietrza. Miał Baxtera na linach w rogu ringu i należało go wykończyć.

– Jej adwokatka mi uświadomiła, że w Pensylwanii przedawnienie w sprawach o gwałt następuje po dwunastu latach, więc termin jeszcze nie minął. Zostało jeszcze dużo czasu. Zbliż się do niej z jakimiś bezsensownymi

przeprosinami dla lepszego samopoczucia, a w celi będziesz miał okazję dowiedzieć się dużo więcej, czym jest gwałt.

Joey zerwał się z miejsca, podszedł do krawędzi skarpy i splunął, po czym zawrócił do ławki, ale już nie usiadł. Baxter siedział, kręcąc głową.

– Ona chciała tego seksu, Baxter, a my tylko chętnie spełniliśmy jej życzenie. A teraz robisz z tego wielką sprawę.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Nie, do cholery! Nie zbliżysz się do niej na krok, dopóki wszyscy czterej, ty, ja, Kyle i Alan, dokładnie tego nie omówimy. Już samo to będzie dość paskudne, nie sądzisz?

– Muszę pogadać z Kyle'em. Jest z nas wszystkich najrozsądniejszy.

– To prawda, ale ma morderczą robotę. Pracuje w ciągłym stresie. – Joey próbował wyobrazić sobie spotkanie ich dwóch. Kyle z nagraniem w pamięci i Baxter z odświeżoną pamięcią, potwierdzający szczegóły. Tragedia.

– Pojadę do Nowego Jorku – oświadczył Baxter.

– Nie rób tego.

– Dlaczego nie? Chcę się zobaczyć z Kyle'em.

– W porządku, ale jeśli chcesz rozmawiać z Kyle’em, to porozmawiaj też z Alanem. Niech każdy się wypowie, nim pojedziesz do Scranton i zrujnujesz nam wszystkim życie. Powtarzam ci: ta dziewczyna chce krwi, a jej pani adwokat wie, jak to się robi.

Znów zapadło długie milczenie, Joey w końcu usiadł i klepnął kolegę w kolano. Ot, dwaj kumple ze studenckiego bractwa, którzy po latach nadal się lubią.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział z taką pewnością w głosie, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Teraz myślał już tylko o własnej skórze. Jak miałby to wyjaśnić Blair będącej w piątym miesiącu ciąży? „Wyobraź sobie, kochanie, właśnie dzwonili do mnie z policji. Chcą ze mną rozmawiać w sprawie gwałtu. To na pewno nie jest nic poważnego, ale mogę się spóźnić na kolację. Wspomnieli coś o czekających reporterach, tak że obejrzyj później wiadomości na kanale czwartym. Do zobaczenia. Ściskam i całuję”.

– Nie wiem do końca, co się wtedy zdarzyło, Joey. – Baxter mówił cichym, spokojnym głosem. – Ale wiem, że to, co wtedy zrobiłem, było złe.

– Kiedy mój wujek alkoholik zaczął chodzić na spotkania AA, też sporządził listę swoich

grzechów. Okazało się, że kiedyś ukradł strzelbę mojemu ojcu, więc zaczął odkładać pieniądze, żeby mu ją odkupić. Któregoś wieczoru przyszedł z nią do nas do domu. Wielkie zaskoczenie, wzruszająca scena. Ale z tego, co wiem, jako alkoholik stosujący się do zasad dwunastu kroków nie możesz naprawiać krzywd w sposób, który jednocześnie skrzywdzi innych. Nie jest tak?

– Jest.

– No więc masz odpowiedź. Jeśli poprosisz ją o wybaczenie, jej pani adwokat od razu poczuje krew i z miejsca oskarży mnie, a może także Kyle'a i Alana. Więc nie wolno ci tego zrobić, bo w ten sposób skrzywdzisz nas.

– Jeśli nie zrobiliście nic złego, to nie macie się czego obawiać. Ja muszę naprawić, co sam zrobiłem, bo to było złe.

– Baxter, to czyste szaleństwo. Posłuchaj, jesteś czysty, trzeźwy i natchniony dobrą nowiną, i chwała ci za to. Jestem z ciebie dumny. Czeka cię jasna przyszłość, a ty chcesz ją zaprzepaścić, ryzykując odsiadkę dwudziestu lat w więzieniu. Przecież to szaleństwo!

– To co mam zrobić?

– Zbieraj dupę w troki i jedź do Reno albo gdzieś równie daleko i o wszystkim zapomnij.

Jedź i pędź tam swoje wspaniałe życie. Ale nas zostaw w spokoju.

Ścieżką przeszło dwóch roześmianych policjantów i Joey ze zgrozą popatrzył na zwisające im u pasa kajdanki.

– Nie wolno ci tego robić, Baxter – powtórzył. – Przemyśl to jeszcze. Pomódl się. Porozmawiaj ze swoim pastorem.

– Już rozmawiałem.

– I co powiedział?

– Żebym był ostrożny.

– Mądry gość. Posłuchaj, jesteś teraz w stadium przejściowym. Wszystko jest jeszcze płynne. Nie wróciłeś do Los Angeles, jesteś czysty i trzeźwy. Wszystko jest jak trzeba. I powtórzę, że jestem z ciebie dumny. Ale byłoby niewybaczalnym błędem, gdybyś dał się teraz ponieść i zrobił jakieś głupstwo.

– Chodź, przejdziemy się – zaproponował Baxter, wolno wstając z ławki. Ruszyli wzdłuż rzeki; przypatrywali się statkom, prawie się do siebie nie odzywając.

– Naprawdę chcę pogadać z Kyle’em – powiedział wreszcie Baxter.

Rozdział 27

Kyle mieszkał w swym prymitywnym mieszkanku już od czterech i pół miesiąca i udało mu się ani razu nie zaprosić do siebie gości. Dale parę razy się przymawiała, w końcu jednak dała spokój. Kyle wyjaśnił, że mieszka w prawie pozbawionej mebli norze, z letnią wodą w kranie, pluskwami i nieotynkowanymi ścianami. Zapewnił, że myśli o czymś lepszym, ale jako pierwszoroczniak ma jeszcze czas na rozejrzenie się za docelowym mieszkaniem. Prawda natomiast była taka, że właśnie temu miała służyć jego nora – trzymaniu gości na odległość, w obawie, że ich rozmowy mogłyby zostać podsłuchane i nagrane. Wprawdzie nie próbował szukać ukrytych mikrofonów i elektronicznych pluskiew, ale wiedział, że mieszkanie jest nimi naszpikowane. Podejrzewał, że są w nim też kamery, które cały czas go obserwują, postanowił jednak nie alarmować swoich prześladowców i udawać, że nic nie wie

o ich szpiegowaniu. Żył jak pustelnik, ograniczając się do codziennych czynności. Nieproszeni goście wpadali pod jego nieobecność co najmniej raz w tygodniu, proszonych nie było.

Dale nie kryła zadowolenia, że spotykają się u niej, bo brzydziła się pluskiew. Gdybyś tak znała prawdę, myślał Kyle. Że można u mnie znaleźć wszystkie rodzaje pluskiew znanych w tajemnym świecie.

W końcu udało im się pójść do łóżka i nie zapaść przedtem w sen, choć zaraz potem oboje padli, całkiem wycieńczeni. Złamali regulamin firmowy co najmniej czterokrotnie i nie zamierzali na tym poprzestać.

Gdy zadzwonił Baxter z pytaniem, czy mógłby przekoczować u niego parę dni, Kyle miał już gotową całą serię wymówek, które brzmiały w miarę przekonująco. Joey zaalarmował go telefonicznie, dzwoniąc z aparatu stacjonarnego chwilę po rozstaniu z Baxterem.

– Musimy coś z tym zrobić – powtarzał tak przybitym tonem, że Kyle kazał mu się w końcu przymknąć.

Pomysł, żeby Baxter u niego zamieszkał i godzinami rozpamiętywał epizod z Elaine, był po prostu nie do przyjęcia. Kyle już widział Benniego i jego techników, jak siedzą ze

słuchawkami na uszach i wsłuchują się w zwierzenia Baxtera o potrzebie rozliczenia się z przeszłością, wyznaniu win i tak dalej. Wiedział, że jeśli sprawa Elaine znów ożyje, prędzej czy później obejmie też jego, a Bennie utraci swe główne narzędzie nacisku.

– Przykro mi, Bax – powiedział pogodnym tonem. – Mam tylko jednoosobową sypialnię, jeśli to w ogóle można nazwać sypialnią, a na kanapie w pokoju od miesiąca koczuje moja kuzynka. Przyjechała do Nowego Jorku w poszukiwaniu pracy i, niestety… no cóż, prawda jest taka, że nie ma u mnie miejsca.

Baxter wynajął pokój w hotelu Soho Grand i spotkali się w całonocnej pizzerii przy Bleecker Street w Village. Miejsce wybrał Kyle, bo był tam już wcześniej i jak zwykle odnotował w myślach przydatność lokalu do tego rodzaju sekretnych spotkań. Miał on tylko jedno wejście i duże okna wystawowe od ulicy, panował w nim ciągły ruch, a wnętrze było za małe, by któryś z jego prześladowców mógł się w nim ukryć niezauważony. Kyle przyszedł za piętnaście dziesiąta, kwadrans przed umówionym spotkaniem, żeby znaleźć wolny boks i móc usiąść twarzą do wejścia. Jak przystało na zawalonego pracą prawnika, który każdą wolną

chwilę poświęca pracy, rozłożył przed sobą stertę papierów.

Baxter był w tych samych płóciennych spodniach, swetrze i wojskowych buciorach, o których wspomniał Joey. Uścisnęli się, usiedli i zaczęli radośnie się przekrzykiwać. Zamówili gazowane napoje, po czym Kyle powiedział:

– Dzwonił do mnie Joey. Gratuluję decyzji. Wyglądasz świetnie.

– Dzięki. Ostatnio dużo o tobie myślałem. Ty też przestałeś pić, chyba jeszcze na drugim roku w college'u, prawda?

– Prawda.

– Tylko nie pamiętam dlaczego.

– Terapeuta ostrzegł mnie, że będzie coraz gorzej. W tym momencie to nie był jeszcze poważny problem, ale można się było obawiać, że będę pił coraz więcej. Dlatego przestałem. Nie miałem w ustach ani kropli, dopiero parę tygodni temu wypiłem trochę wina. Więc jak dotąd się trzymam. Jeśli poczuję, że przestaję to kontrolować, znowu przestanę.

– Kiedy mnie przyjmowali do ośrodka, miałem trzy krwawiące wrzody żołądka. Myślałem o samobójstwie, ale tak naprawdę nie chciałem tego zrobić, bo brakowałoby mi wódy i kokainy. Czysta paranoja.

Zamówili pizzę i długo dzielili się wspominkami z przeszłości, głównie Baxtera, który zaczął opowiadać o swoich ostatnich trzech latach w Los Angeles. O tym, jak próbował się przebić do przemysłu filmowego, o szalonych balangach, rynku narkotyków, prześlicznych młodych dziewczynach z amerykańskiej prowincji, które robiły wszystko, by dać się zauważyć lub wyjść bogato za mąż. Kyle słuchał z uwagą, nie spuszczając wzroku z drzwi wejściowych i szyb wystawowych. Ale nic się nie działo.

Rozmawiali o starych przyjaciołach, nowej pracy Kyle'a i nowym życiu Baxtera. Po godzinie, gdy ostatnie okruchy pizzy zniknęły z talerza, przeszli wreszcie do ważniejszych spraw.

– Domyślam się, że Joey wspomniał ci o Elaine – powiedział Baxter.

– Oczywiście. To zły pomysł, Baxter. Znam się na prawie, a ty nie. Zamierzasz wkroczyć na ruchome piaski, które mogą cię wciągnąć, a nas razem z tobą.

– Przecież ty nic nie zrobiłeś. Więc czym się martwisz?

– Scenariusz wygląda następująco. – Kyle przysunął się bliżej. Od wielu godzin obmyślał swoją mowę i chciał ją już z siebie wyrzucić. –

Chcesz się zgłosić do Elaine, bo liczysz na odkupienie grzechów czy rozgrzeszenie, czy coś w tym rodzaju. Chcesz przeprosić kogoś, kogo kiedyś skrzywdziłeś. Może nadstawi drugi policzek i przyjmie twoje przeprosiny, oboje się wyściskacie i rozejdziecie w pokoju. Ale przypuszczalnie tak się nie stanie. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że nie zachowa się po chrześcijańsku i nie przyjdzie jej nawet do głowy nadstawić drugi policzek, tylko podburzona przez swoją zajadłą adwokatkę zadecyduje doprowadzić do wymierzenia sprawiedliwości. Zemścić się. Już raz podniosła krzyk, że została zgwałcona, ale nikt jej nie wysłuchał. I teraz ty, kierując się najlepszymi intencjami i próbując ją przeprosić, stworzysz okazję do zemsty. Czuje się skrzywdzona i chce się uważać za ofiarę. Jej adwokatka zacznie cisnąć i sprawy ruszą z kopyta. W Pittsburghu jest prokurator, który uwielbia oglądać swoje zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Jak wszyscy prokuratorzy jest zniesmaczony tym, że musi się zajmować pospolitymi przestępstwami: porachunkami gangów, zwykłą uliczną przestępczością. Aż tu nagle zdarza się okazja dania łupnia chłopakom z Duquesne, z których w dodatku jeden nazywa się Tate. Może dopaść nie tylko jednego wielkiego

białego oskarżonego, ale aż czterech! Widzisz te nagłówki, te konferencje prasowe, te wywiady? On będzie w nich bohaterem, my kryminalistami. Oczywiście będziemy mieć prawo do obrony przed sądem, ale do rozprawy dojdzie za rok. A przez ten rok przeżyjemy prawdziwe piekło. Nie wolno ci tego zrobić, Baxter. Skrzywdziłbyś zbyt wielu ludzi.

– A jeśli zaoferuję jej pieniądze? Ugoda tylko między nami dwojgiem, nią i mną.

– To mogłoby się udać. Nie wątpię, że ona i jej adwokatka chętnie przystąpiłyby do takich rozmów. Tyle że proponowanie pieniędzy jest równoznaczne z przyznaniem się do winy. Nie znam Elaine, podobnie jak ty, ale na podstawie przebiegu spotkania Joeya można chyba uznać, że nie jest zbyt zrównoważona. Nie da się przewidzieć, jak się zachowa. To za ryzykowne.

– Nie zaznam spokoju, póki z nią nie porozmawiam, Kyle. Mam poczucie, że ją skrzywdziłem.

– I to rozumiem. Świetnie brzmi w programie AA, ale sprawa zaczyna wyglądać inaczej, gdy dotyczy też innych ludzi. Musisz to zostawić, puścić w niepamięć.

– Nie jestem pewien, czy potrafię.

– Właśnie w tym przejawia się twój egoizm, Baxter. Chcesz tak postąpić, bo uważasz, że dzięki temu poczujesz się lepiej. Dobrze, niech ci będzie. Ale co z nami? Twoje życie może stanie się pełniejsze, ale życie nas trzech legnie w gruzach. Absolutnie nie masz racji. Zostaw tę dziewczynę w spokoju.

– Mogę ją przeprosić bez przyznawania się do winy. Po prostu powiem, że zrobiłem źle i chcę ją przeprosić.

– Jej adwokatka nie jest głupia. Będzie obecna przy rozmowie z magnetofonem, a być może także z kamerą. – Kyle wypił łyk dietetycznego napoju gazowanego i na moment przed oczami stanęło mu tamto nagranie. Gdyby Baxter je obejrzał i zobaczył, jak on i Joey zabawiają się z nieprzytomną Elaine, poczucie winy całkiem by go przygniotło.

– Muszę coś zrobić.

– Nie, nie musisz – burknął Kyle, po raz pierwszy podnosząc głos. Upór kolegi go zdumiewał. – Nie masz prawa rujnować nam życia.

– Nie rujnuję ci życia, Kyle. Nie zrobiłeś nic złego.

„Jest przytomna?”, upewnia się Joey, jego słowa odbijają się echem po sali sądowej,

a przysięgli patrzą z odrazą na czterech oskarżonych. Może wobec Kyle'a i Alana czują coś na kształt współczucia, bo w końcu nie ma dowodów, że oni też zgwałcili ofiarę, i uznają ich za niewinnych. Ale może są tak oburzeni zachowaniem całej czwórki, że wszystkich skazują na więzienie.

– Wezmę na siebie całą winę – powiedział Baxter.

– Dlaczego tak się upierasz? Chcesz narobić sobie jeszcze większych kłopotów niż dotąd? Igrasz z więzieniem. Oprzytomniej, człowieku.

– Wezmę winę na siebie – powtórzył, widząc się już w roli męczennika. – Wam nic nie zrobią.

– Baxter, nie słuchasz mnie. To dużo bardziej skomplikowana sprawa, niż ci się zdaje.

– Może. – Baxter wzruszył obojętnie ramionami.

– Jasna cholera, słuchaj, co do ciebie mówię!

– Słucham, co do mnie mówisz, Kyle, ale słucham też słów Pana.

– No cóż, rzeczywiście nie mogę konkurować…

– A On mnie wiedzie do Elaine. Do przebaczenia. I wierzę, że ona mnie wysłucha i mi wybaczy, i zapomni. – W głosie Baxtera przebijało namaszczenie i pobożność.

Kyle nagle zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma mu już nic więcej do powiedzenia.

– Odczekaj miesiąc – odezwał się cicho. – Nie rób nic pochopnie. Joey, Alan i ja musimy mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

– Chodźmy stąd. Już mi się tu znudziło.

Przez pół godziny włóczyli się po Village, w końcu Kyle poczuł, że pada z nóg, i pożegnali się.

Trzy godziny później wyrwał go ze snu dzwonek komórki. Odebrał połączenie i usłyszał głos Baxtera.

– Rozmawiałem z Elaine – oświadczył z dumą w głosie. – Odszukałem ją, zadzwoniłem, obudziłem i chwilę rozmawialiśmy.

– Ty idioto!

– Rozmowa była całkiem sympatyczna.

– I co jej powiedziałeś? – Kyle zdążył już przejść do łazienki i jedną ręką spryskać twarz zimną wodą; w drugiej trzymał komórkę.

– Że po tym, co się wtedy stało, zawsze miałem wyrzuty sumienia. Do niczego się nie przyznałem, powiedziałem tylko, że źle się z tym czuję.

Chociaż tyle.

– I co ona na to?

– Podziękowała, że zadzwoniłem. A potem się rozpłakała i powiedziała, że nikt nigdy nie chciał jej wierzyć. I nadal czuje się tak, jakby ją zgwałcono. I że zawsze wiedziała, że to byłem ja i Joey, a ty i Alan tylko się temu przyglądaliście.

– To nieprawda.

– Za parę dni spotkamy się w Scranton i zjemy razem lunch, tylko we dwoje.

– Nie rób tego, Baxter, proszę cię, nie rób tego. Będziesz do końca życia żałował.

– Sam wiem najlepiej, co mam robić, Kyle. Wiele godzin się o to modliłem i wierzę, że Bóg mnie przez to przeprowadzi. Obiecała, że nic nie powie swojej adwokatce. Trzeba mieć wiarę.

– Pracuje w kancelarii tej adwokatki, przyznała ci się do tego? Oczywiście, że nie. Wpakujesz się w pułapkę i twoje życie się skończy.

– Moje życie dopiero się zaczyna, staruszku. Wiara, Kyle. Trzeba mieć wiarę. Dobranoc. – W telefonie pyknęło na znak, że połączenie zostało przerwane.

Następnego dnia rano Baxter poleciał do Pittsburgha, zabrał z parkingu swój samochód – porsche, które zamierzał sprzedać – i wynajął

pokój w motelu w pobliżu lotniska. Z wyciągu z jego karty kredytowej wynikało, że spędził w nim dwie doby, a billing z jego komórki dowodził, że w tym czasie było wiele połączeń przychodzących od Joeya Bernardo i Kyle'a McAvoya, ale brak połączeń wychodzących na ich numery. Odbył dwie długie rozmowy z bratem Mannym w Reno i kilka krótszych z rodzicami i bratem w Pittsburghu, wykonał też dwa telefony do Elaine Keenan.

W ostatnim dniu życia wyjechał z Pittsburgha przed wschodem słońca i ruszył w kierunku Scranton. Miał do przejechania czterysta osiemdziesiąt kilometrów, co mu miało zająć około pięciu godzin. Z wyciągu karty kredytowej wynikało, że zatankował na stacji Shell w pobliżu skrzyżowania I-79 z I-80 – jakieś półtorej godziny drogi na północ od Pittsburgha – po czym skręcił w I-80 i jechał nią około dwóch godzin prosto na wschód. Jego podróż dobiegła końca w pobliżu miasteczka Snow Shoe. Zatrzymał się na przydrożnym parkingu i udał do męskiej toalety. Był piątek, połowa listopada, godzina mniej więcej dziesiąta czterdzieści. Na autostradzie panował niewielki ruch i na parkingu stało tylko kilka samochodów.

Ciało Baxtera znalazł krótko po zastrzeleniu niejaki Dwight Nowoski, emeryt z Dayton, podróżujący do Vermontu z żoną, która w tym czasie przebywała w damskiej toalecie. Baxter jeszcze żył, ale w wyniku rany postrzałowej w głowę życie szybko z niego wyciekało. Leżał na podłodze obok pisuarów, miał rozpięty rozporek w dżinsach, podłoga była zalana krwią i moczem. Dyszał ciężko, jęczał i wił się na podłodze jak jeleń uderzony przez samochód. W chwili gdy pan Nowoski wszedł i ujrzał mrożącą krew w żyłach scenę, w toalecie poza nimi nie było nikogo.

Najwyraźniej morderca wszedł tam za swoją ofiarą i upewniwszy się, że są sami, przyłożył do podstawy czaszki Baxtera lufę dziewięciomilimetrowej beretty, co później ustalono na podstawie badań laboratoryjnych, i wystrzelił tylko raz. Tłumik wyciszył odgłos strzału, na parkingu nie było kamer monitorujących.

Policja stanowa Pensylwanii wyłączyła z użytku cały parking, otaczając go taśmą policyjną. Sześcioro podróżnych – w tym państwa Nowoskich – poddano od razu skrupulatnemu przesłuchaniu. Jeden z podróżnych zapamiętał żółty pick-up z logo

firmy Penske wynajmującej ciężarówki, który w tym czasie wjechał i wyjechał z parkingu, nie potrafił jednak określić, jak długo na nim stał. Świadkowie twierdzili, że w czasie między znalezieniem ciała ofiary a przyjazdem policji parking opuściło też cztery czy pięć innych pojazdów. Nikt nie pamiętał momentu wejścia Baxtera do toalety, nikt też nie zauważył mordercy, który musiał się tam za nim wślizgnąć. Kobieta z Rhode Island zeznała, że wchodząc do damskiej toalety, zauważyła mężczyznę stojącego obok wejścia do męskiej, po czym w odpowiedzi na pytanie przyznała, iż mogła to być czujka na czatach, mężczyzna bowiem ani nie wszedł do środka, ani nie wyszedł. Oczywiście już dawno go tam nie było, a podany przez kobietę rysopis nie był zbyt precyzyjny: biały, wiek między trzydzieści a czterdzieści pięć lat, wzrost co najmniej metr siedemdziesiąt, ale nie więcej niż metr dziewięćdziesiąt, ubrany w ciemną marynarkę, być może skórzaną, lnianą, wełnianą lub jakąś inną. Poza protokołem z sekcji zwłok i ekspertyzą laboratorium balistycznego podany przez kobietę rysopis stanowił jedyny materiał dowodowy.

Przy Baxterze znaleziono nietknięty portfel, portmonetkę z pieniędzmi i zegarek. Policja

sprawdziła zawartość jego kieszeni, ale oprócz garści monet, kluczyków do samochodu i tubki kremu do ust niczego nie znaleziono. Badania laboratoryjne potwierdziły później, że w krwi denata, na jego ubraniu i w samochodzie nie było śladów alkoholu ani żadnych substancji zakazanych.

Przeprowadzający sekcję patolog zwrócił uwagę na poważne uszkodzenia wątroby, całkiem nietypowe dla dwudziestopięciolatka.

Z oczywistych względów od razu jako motyw przestępstwa wykluczono napad rabunkowy. Denatowi niczego nie zabrano, chyba że miał przy sobie coś cennego, o czym nikt nie wiedział. Czemu jednak rabuś miałby zostawić nietknięte pięćset trzynaście dolarów w gotówce i osiem kart kredytowych? Czy złodziej nie skorzystałby z okazji, by zabrać też porsche? Brak było jakichkolwiek dowodów na to, że zbrodnia miała podłoże seksualne. Mogła stanowić efekt porachunków narkotykowych, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Tego typu porachunkom towarzyszyło zwykle dużo większe zamieszanie.

Po wykluczeniu seksu, rabunku i narkotyków jako ewentualnych motywów śledczy zaczęli drapać się po głowach. Stali, przyglądając się

w milczeniu, jak pakują worek z ciałem denata do karetki mającej go zawieźć do Pittsburgha. Wiedzieli, że mają problem. Pozorna przypadkowość morderstwa, broń z tłumikiem i sprawna ucieczka z miejsca przestępstwa kazały podejrzewać, że mają do czynienia z zawodowcami.

Wiadomość, że członka znanego i zasłużonego rodu spotkał tak nieoczekiwany i tragiczny koniec, stała się sensacją dnia w nudnawym życiu Pittsburgha. Pod rezydencją Tate'ów w Shadyside zjawiło się wiele ekip telewizyjnych, którym na spotkanie wyszli jednak tylko członkowie prywatnej ochrony rezydencji. Od wielu pokoleń rodzina Tate'ów konsekwentnie stosowała politykę „Bez komentarzy" we wszelkich kontrowersyjnych sytuacjach, i tym razem postąpiono tak samo. Adwokat rodziny wydał suchy komunikat, w którym poprosił o modlitwę, rozwagę i uszanowanie prywatności. Wujek Wally raz jeszcze przejął dowodzenie i wydał rozkazy.

Kyle siedział w swoim boksie, ustalając z Dale plany na wieczór, gdy zadzwonił Joey. Był piątek, dochodziła siedemnasta. Od wtorku, gdy

wieczorem jedli razem pizzę i parę godzin później rozmawiali przez telefon, Kyle nie miał z Baxterem żadnego kontaktu, podobnie zresztą jak Joey. Baxter albo gdzieś się ukrywał, albo po prostu nie reagował na ich telefony.

– Co się stało? – spytała Dale, widząc minę Kyle'a, ten jednak nie odpowiedział.

Z telefonem przytkniętym do ucha wstał i ruszył korytarzem, słuchając szczegółowej relacji Joeya, który na żywo przekazywał to, co pokazywano na ekranie telewizyjnym. W windzie utracił zasięg, zadzwonił więc do Joeya po wyjściu z budynku, a ten podjął na nowo relację. Na chodnikach Broad Street pełno było popołudniowych przechodniów, którzy jak zwykle dokądś pędzili. Kyle włączył się w ludzki potok i popłynął razem z nim. Był bez marynarki, która by go zabezpieczała przed chłodem, i nie miał pojęcia, dokąd idzie.

– Zabili go – rzucił w końcu do słuchawki.

– Kto?

– Myślę, że wiesz kto.

Rozdział 28

Pogrzeb to dwie godziny – rzekł Doug Peckham, mierząc Kyle'a złym spojrzeniem. – Nie rozumiem, po co ci aż dwa dni wolnego.

– Pogrzeb jest w Pittsburghu. Muszę tam dolecieć i wrócić. Należeliśmy do jednego bractwa i zostałem wyznaczony do niesienia trumny. Muszę się zobaczyć z rodziną. Daj spokój, Doug.

– Byłem na niejednym pogrzebie.

– Na pogrzebie dwudziestopięcioletniego dawnego współlokatora, którego zabito strzałem w głowę też?

– Wszystko to rozumiem, ale aż dwa dni?

– Tak. Odlicz mi to z urlopu. Potraktuj jako powody osobiste. Czy nie mamy prawa do kilku dni w roku wolnego z powodów osobistych?

– Jasne, tak mówi regulamin. Tylko że nikt nigdy z tego nie korzysta.

– To będę pierwszy. Możesz mnie za to wyrzucić z pracy, jest mi obojętne.

Jeszcze głębokie westchnienia po obu stronach biurka i Doug wreszcie skapitulował.

– Dobrze, już dobrze – mruknął. – To kiedy jest ten pogrzeb?

– W środę o czternastej.

– Więc wyjedź jutro późnym popołudniem i spotkajmy się tu o wpół do szóstej w czwartek rano. Musisz wiedzieć, Kyle, że firma jest obecnie jak beczka prochu. To odejście Toby'ego Rolanda robi się coraz bardziej paskudne i zatacza coraz większe kręgi. Tych, którzy się nie sprawdzą, firma szybko się pozbędzie.

– Był moim współlokatorem.

– Bardzo ci współczuję.

– Och, serdecznie dziękuję!

Doug machnął lekceważąco ręką, wziął do ręki grubą teczkę z aktami i przesunął ją po biurku.

– Możesz to poczytać w samolocie? – Choć zakończone znakiem zapytania, jego słowa miały niewątpliwie charakter polecenia.

Kyle wziął do ręki teczkę i zacisnął zęby, by nie odwarknąć: „Jasne, Doug, poczytam to sobie w samolocie, przejrzę podczas stypy, przeanalizuję w czasie nabożeństwa i wyciągnę wnioski, jak go będą składać do grobu, a potem w drodze powrotnej na LaGuardię jeszcze raz

przelecę całość i za każdą minutę spędzoną na myśleniu o sprawie obciążę podwójnie, a może nawet potrójnie nieszczęsnego klienta, który popełnił życiowy błąd i wybrał na swojego prawnego pełnomocnika firmę krwiopijcę”.

– Dobrze się czujesz?

– Nie.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro, nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

– Nie ma tu nic do powiedzenia.

– Są jakieś podejrzenia, kto mógł pociągnąć za ten cyngiel? – Doug poprawił się w fotelu, by podkreślić zmianę klimatu rozmowy i dość nieudolnie udać zatroskanie tym, co się wydarzyło.

– Nie – burknął Kyle, jednocześnie myśląc: gdybyś tylko wiedział.

– Bardzo ci współczuję – rzucił Doug, wyczerpując tym temat.

Kyle ruszył do drzwi, ale powstrzymał go głos Douga:

– Prosiłem, żebyś oszacował moje godziny spędzone na rzecz banku Ontario, prawda? Wspomniałem o tym przy lunchu, pamiętasz? Jest mi to potrzebne.

„Szacuj sobie sam swoje cholerne godziny”, miał już na końcu języka Kyle. Albo jeszcze lepiej,

notuj je na bieżąco jak wszyscy inni.

– Prawie już skończyłem – mruknął.

Udało mu się dotrzeć do drzwi bez dalszych przeszkód.

Baxtera Farnswortha Tate'a złożono do grobu w rodzinnej kwaterze na cmentarzu Homewood w centrum Pittsburgha. Dzień był posępny i wilgotny, pochówek poprzedziło uroczyste nabożeństwo episkopalne, zamknięte dla obcych, a zwłaszcza dla przedstawicieli mediów. Baxter zostawił brata, który uczestniczył w nabożeństwie, oraz siostrę, która się nie zjawiła. Podczas minionego weekendu brat wystąpił ze szlachetną inicjatywą uczynienia z pogrzebu uroczystości upamiętniającej życie Baxtera, nic jednak z tego nie wyszło, kiedy się okazało, że tak naprawdę nie ma czego upamiętniać. W tej sytuacji brat zostawił przebieg uroczystości proboszczowi, a ten ją poprowadził według utartych reguł żegnania kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziało się na oczy. Ollie Guice, członek bractwa Beta z Cleveland, który przez dwa lata studiów w Duquesne mieszkał z Baxterem, wydukał mowę pożegnalną, przywołując na niektórych

twarzach uśmieszki politowania. Spośród ośmiu żyjących członków bractwa, siedmiu się zjawiło. Przybyło też wielu kolegów z czasów dzieciństwa w Pittsburghu, a także grupka przedstawicieli miejscowych wyższych sfer, dla których obecność na pogrzebie była obowiązkową powinnością towarzyską. Przyszło nawet czterech dawno zapomnianych kolegów ze szkoły, do której wysłano Baxtera w wieku czternastu lat.

Kyle ani nikt inny nie wiedział, że do kościoła próbowała też wejść Elaine Keenan, tyle że jej nie wpuszczono, bo nazwiska nie było na liście.

Z Hollywood nikt się nie pofatygował i tylko reprezentujący trzecioligowych aktorów agent Baxtera przysłał kwiaty. Była współlokatorka Baxtera wysłała do proboszcza maila z krótkim wspomnieniem pożegnalnym i zażyczyła sobie, by ktoś z obecnych je odczytał. Sama „akurat była na planie” i nie mogła zrobić tego osobiście. We wspomnieniu nawiązywała do Buddy i Tybetu, co w Pittsburghu nie zostało dobrze przyjęte. Proboszcz przekazał maila rodzinie bez słowa komentarza.

Brat Manny przekonał ochronę i dostał się do kościoła, ale tylko dzięki temu, że Joey Bernardo zapewnił rodzinę, że Baxter z wielką estymą

wyrażał się o swoim pastorze z Reno. Ale i tak Tate'owie i inni żałobnicy przyglądali mu się podejrzliwie. Był ubrany w swój codzienny strój – wypłowiałe workowate spodnie z wypuszczoną na nie luźną białą koszulą – z narzuconą płachtą mającą zapewne udawać sutannę, która jednak bardziej przypominała ściągnięte z łóżka prześcieradło. Jedynym akcentem jego stroju, który miał podkreślić powagę chwili, był czarny skórzany beret z wymykającymi się spod niego siwymi kosmykami, co nadawało mu wygląd podstarzałego Che Guevary. Przez całe nabożeństwo rzewnie łkał, wylewając więcej łez niż cała reszta zachowujących stoicki spokój żałobników.

Kyle nie uronił ani jednej łzy, choć był mocno poruszony takim zmarnowaniem sobie życia. Stojąc przy grobie i wpatrując się w dębową trumnę, nie potrafił odtworzyć w myślach radosnych chwil, jakie wspólnie przeżyli. Pochłaniały go bowiem gorączkowe rozważania, co powinien był zrobić inaczej. Zwłaszcza czy należało powiedzieć Baxterowi o nagraniu, o Benniem i jego oprychach, o wszystkim, co się wydarzyło? Gdyby tak zrobił, może Baxter doceniłby grożące mu niebezpieczeństwo i postąpił inaczej. Może. Ale może nie. Kierowany

wewnętrznym nakazem naprawienia dawnych błędów, Baxter mógł się wściec na wieść, że jego igraszki z Elaine – czymkolwiek one były – zostały uwiecznione. Mógłby się przyznać do gwałtu, nie przejmując się losem innych. Nie dało się przewidzieć jego reakcji, bo nie myślał racjonalnie. Nie można też było mieć pretensji o to, że Kyle nie przewidział stopnia niebezpieczeństwa.

Ale niewątpliwie dostrzegał go teraz.

W pogrzebie uczestniczyło około setki żałobników tłoczących się przy grobie, by wysłuchać ostatnich słów proboszcza. Uroczystość przyśpieszyły pierwsze krople zimnego deszczu, choć trumnę na katafalku i siedzącą przed nią najbliższą rodzinę chronił szkarłatny namiot. Kyle potoczył wzrokiem po rzędach starych nagrobków, ku wznoszącej się w oddali kamiennej bramie cmentarnej. Za nią stała gromada przedstawicieli mediów czekających jak sępy na uchwycenie czegoś smakowitego. Reporterów obładowanych aparatami, kamerami, lampami i mikrofonami funkcjonariusze policji i prywatni ochroniarze nie wpuścili do kościoła, ale ci poszli za procesją jak wyrostki za wojskową paradą i teraz tylko czekali, by sfotografować trumnę lub mdlejącą

nad nią matkę denata. Krył się wśród nich co najmniej jeden zbir od Benniego, może nawet dwóch lub trzech. Kyle był ciekaw, czy oni też mają aparaty fotograficzne – nie po to, by uwiecznić trumnę, ale by wiedzieć, kto z przyjaciół Baxtera wziął udział w pogrzebie. Informacja ta nie miała żadnego praktycznego znaczenia, ale wiele ich poczynań było pozbawionych logiki.

Za to umieli zabijać. Kyle nie miał co do tego wątpliwości. Policja stanowa nie wydała na razie żadnego komunikatu i w miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej oczywiste, że jej milczenie nie wynika z braku chęci dzielenia się informacjami. Po prostu nie mieli nic do powiedzenia. Czysta robota, cichy strzał, sprawna ucieczka z miejsca przestępstwa, brak jakiegokolwiek motywu.

Brat Manny stał przy namiocie, głośno łkając, co wszystkich obecnych mocno drażniło. Nawet proboszcz na moment się zacukał w swej mowie pożegnalnej i dopiero po chwili podjął wątek.

Kyle przyjrzał się tłumowi za bramą, ale było za daleko, by dało się rozpoznać jakąś twarz. Ale nie miał wątpliwości że tam są, obserwują, czekają i śledzą jego, a także Joeya i Alana Strocka, który dotarł samochodem z Ohio.

Z czterech współlokatorów zostało ich już tylko trzech.

Proboszcz zakończył mowę, rozległo się kilka pojedynczych szlochów, po czym tłum żałobników zaczął się wykruszać spod szkarłatnego namiotu. Gdy uroczystość dobiegła końca, rodzice Baxtera oraz jego brat bezzwłocznie się oddalili. Kyle i Joey usunęli się na bok i chwilę odczekali, stojąc przy grobie innego z Tate'ów.

– Kyle, to będzie nasza ostatnia rozmowa na długo – powiedział cichym, ale stanowczym tonem Joey. – Zadajesz się ze złymi ludźmi i mnie do tego nie mieszaj.

Kyle popatrzył na kopiec świeżej ziemi, która za chwilę miała przykryć trumnę Baxtera.

– Wyłącz mnie z tego, dobrze? – mówił dalej Joey, prawie nie poruszając wargami, jakby wszędzie wokół było pełno pluskiew. – Mam wystarczająco dużo zajęć. Czeka mnie ślub i wkrótce narodziny dziecka. Mam dość tych twoich durnych szpiegowskich zabaw. Ty się w to baw, jak chcesz, ale mnie zostaw w spokoju.

– Jasne, Joey.

– Koniec z mailami, przesyłkami, rozmowami telefonicznymi. Koniec z wyjazdami do Nowego Jorku. Nie mogę ci zabronić przyjeżdżać do

Pittsburgha, ale jak przyjedziesz, to do mnie nie dzwoń. Jeden z nas jest następny na liście i tym kimś nie będziesz ty. Jesteś dla nich zbyt cenny. Ciebie potrzebują. Więc możesz zgadywać, który z nas dwóch dostanie kulkę w wyniku następnego błędu.

– To nie my spowodowaliśmy jego śmierć.

– Jesteś pewny?

– Nie.

– Ci faceci kręcą się przy nas nie bez powodu, a powodem jesteś ty.

– Dzięki, Joey.

– Nie ma za co. Zmywam się stąd. Proszę cię, nie mieszaj mnie do tego. I dopilnuj, żeby nikt nie zobaczył tego cholernego nagrania. Na razie.

Kyle chwilę odczekał, po czym ruszył za przyjacielem do wyjścia z cmentarza.

Rozdział 29

W czwartek o wpół do siódmej rano Kyle wszedł do gabinetu Douga Peckhama i zameldował, że już wrócił. Doug stał za swoim biurkiem, które jak zwykle przypominało wysypisko śmieci.

– Jak było na pogrzebie? – spytał, nie odrywając wzroku od czegoś, co akurat trzymał.

– Jak to na pogrzebie – odparł Kyle, wyciągając ku niemu kartkę papieru. – Tu masz oszacowane swoje godziny dla banku Ontario.

Doug niemal wyrwał mu ją z ręki, rzucił okiem i z niezadowoleniem prychnął:

– Tylko trzydzieści?

– Góra.

– Chyba zgłupiałeś! Podwój to i zgódźmy się na sześćdziesiąt.

Kyle wzruszył ramionami. Możemy się zgodzić, na ile chcesz. Ty tu jesteś wspólnikiem. Jeśli klient może płacić dwadzieścia cztery tysiące dolarów za niewykonaną pracę, to

pewnie stać go, by dołożyć drugie dwadzieścia cztery tysiące.

– O dziewiątej mamy rozprawę w sądzie federalnym. Wyjedziemy stąd o wpół do dziewiątej. Dokończ notatkę w sprawie reguły dziesiątej i bądź tu o ósmej.

Pomysł włączenia pierwszorocznego adepta z wydziału procesowego do autentycznej sprawy w sądzie był czymś zupełnie niespotykanym i dzień, który dla Kyle'a zaczął się tak ponuro, nagle nabrał barw. Z dwunastki jego kolegów nikt jeszcze – przynajmniej z tego, co mu było wiadomo – nie uczestniczył w prawdziwej rozprawie sądowej. Pognał do swojego boksu i zajął się czytaniem otrzymanych maili, gdy w drzwiach stanął Tabor z kubkiem kawy w dłoni i zgnębionym wyrazem twarzy. Od chwili ogłoszenia wyników egzaminu adwokackiego powoli dochodził do siebie i choć został boleśnie upokorzony, jego wrodzona pewność siebie stopniowo powracała.

– Przykro mi z powodu twojego kolegi – rzucił, odkładając na bok płaszcz i teczkę.

– Dzięki – mruknął Kyle, ale to Taborowi nie wystarczyło. Widać było, że ma ochotę pogadać.

– Wiesz, który to H.W. Prewitt, wspólnik w wydziale procesowym dwa piętra wyżej?

– Nie – odparł Kyle, nie przestając czytać.

– Wielki, zwalisty Teksańczyk około pięćdziesiątki. Za plecami przezywają go Harvey Wayne, kapujesz? Harvey Wayne z Teksasu, dwojga imion.

– Kapuję.

– Mówią też na niego Chudzina, bo waży ze sto osiemdziesiąt kilo. Okropnie wredny. Skończył dwuletnią szkołę policealną, potem college A&M, potem prawo na stanowym w Teksasie. Nienawidzi wszystkich absolwentów Harvardu, ale mnie szczególnie sobie upatrzył. Dwa dni temu mnie dopadł i zlecił pracę, którą mogłaby wykonać każda jako tako rozgarnięta sekretarka. We wtorek spędziłem sześć godzin na szykowaniu materiałów na wczorajszą prezentację. Musiałem porozpinać wszystkie segregatory, wyjąć z nich każdą kartkę i ułożyć z powrotem w takiej kolejności, w jakiej sobie zażyczył. Było tych segregatorów kilkanaście, w każdym po kilkaset kartek. Tona papierzysk. Wczoraj o dziewiątej rano załadowałem je na wózek i zawiozłem do sali konferencyjnej, gdzie zebrało się około stu prawników… I co robi Harvey Wayne?

– Co?

– W sali są drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, których nie daje się zamknąć, bo wciąż się otwierają, jakby były na sprężynie. I Harvey Wayne, ten spasiony zasraniec, każe mi rozłożyć segregatory na podłodze i podeprzeć nimi drzwi. Robię, co mi każe, ruszam do wyjścia i za plecami słyszę, jak parska coś w rodzaju: „Ci absolwenci Harvardu świetnie się do tego nadają”.

– Ile kaw już dziś wypiłeś?

– Ta jest druga.

– A ja piję moją pierwszą i naprawdę muszę skończyć tę notatkę.

– Przepraszam. Słuchaj, widziałeś może Dale?

– Nie. Wyjechałem we wtorek po południu, bo wczoraj miałem pogrzeb. A coś się stało?

– Dali jej we wtorek jakąś koszmarną robotę i coś mi się widzi, że w ogóle nie spała. Miejmy na nią oko.

– Jasne.

O wpół do dziewiątej Kyle wyszedł z biura w towarzystwie Douga Peckhama i starszego prawnika, Noela Barda. Szybkim krokiem przeszli kilka przecznic na parking i gdy pracownik wyjechał z niego najnowszym modelem jaguara Barda, Peckham rzucił:

– Kyle, ty poprowadź. Jedziemy na Foley Square.

Kyle już miał zaprotestować, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Bard i Peckham usiedli z tyłu, zostawiając szofera Kyle'a samego z przodu.

– Nie jestem pewien, czy znam najlepszą drogę – bąknął Kyle, drętwiejąc ze strachu na myśl, że mógłby się zgubić i dwaj ważniacy z tylnego siedzenia spóźniliby się do sądu.

– Prosto Broad do miejsca, gdzie przejdzie w Nassau, dalej prosto aż do Foley Square – powiedział Bard takim tonem, jakby codziennie pokonywał tę trasę. – Tylko uważaj. To nowiutkie cacko kosztowało mnie sto kawałków. Należy do mojej żony.

Kyle nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak zdenerwowany, siadając za kierownicą. W końcu udało mu się przestawić lusterka i z oczami wokół głowy włączyć do ruchu. Co gorsza, Peckhamowi zebrało się na pogaduszki.

– Kyle, chcę cię spytać o parę nazwisk, sami pierwszoroczni adepci. Darren Bartkowski?

Nie patrząc na Peckhama w lusterku wstecznym, Kyle chwilę odczekał, po czym bąknął:

– No i?

– Znasz go?

– Oczywiście. Znam wszystkich nowych w wydziale procesowym.

– I co o nim myślisz? Pracowałeś z nim? Dobry, marny, powiedz coś. Jak byś go ocenił?

– Hm, no cóż, fajny koleś. Znamy się jeszcze z Yale.

– Pytam o jego pracę. Jakim jest pracownikiem?

– Jeszcze z nim nie pracowałem.

– Bo mówi się, że z niego leser. Wyręcza się kolegami, nie dotrzymuje terminów, wciąż spóźnia się z fakturowaniem.

Ciekawe, czy też szacuje swoje godziny, przemknęło Kyle'owi przez głowę, ale uwagę miał skupioną na żółtych taksówkach, które bez pardonu wyprzedzały, wciskały się, ostro hamowały, zawracały i generalnie miały gdzieś wszelkie przepisy.

– Słyszałeś o nim, że jest leserem?

– Tak – odparł niechętnie Kyle. Rzeczywiście tak o Bartkowskim mówiono.

Bard postanowił dołożyć się do ostatecznego pognębienia biednego adepta.

– Zafakturował najmniej godzin ze wszystkich w twojej grupie.

Obgadywanie kolegów było ulubionym sportem kontaktowym w firmie i w tej konkurencji wspólnicy w niczym nie ustępowali szeregowym prawnikom. Pracownik migający się lub wyręczający kolegami był nazywany leserem i ta etykieta przywierała do niego na dobre. Większości leserów to nie przeszkadzało, bo pracowali mniej, zarabiali tyle samo i jeśli nie przyłapano ich na okradaniu klienta lub skandalu o charakterze seksualnym, praktycznie nic im nie groziło. Dostawali obniżone premie, ale kto by się przejmował premią, kiedy się dostaje odpowiednio sowitą pensję zasadniczą. Leserzy potrafili przez pięć czy sześć lat obijać się i dopiero po tym czasie szefostwo informowało ich, że nie mają szans na awans na wspólnika, i pokazywało im drzwi.

– A Jeff Tabor? – spytał Doug.

– Jego znam dobrze. Zdecydowanie nie jest leserem.

– Ma opinię nadgorliwca.

– Tak, i to całkiem zasłużoną. Potrafi walczyć, ale nie podrzyna przy tym gardeł.

– Lubisz go, Kyle?

– Tak. Tabor to fajny gość. Piekielnie inteligentny.

– Widać nie wystarczająco – wtrącił Bard. – Mam na myśli jego egzamin adwokacki.

Kyle nie odpowiedział i nie zrobiłby tego, nawet gdyby chciał, bo w tym momencie żółta taksówka gwałtownie zajechała mu drogę, tak że musiał z całej siły wdepnąć hamulec i jednocześnie wcisnąć klakson. Z okna taksówki wysunęła się zwinięta w pięść dłoń, która zaraz rozluźniła się na tyle, by wystawić wyprostowany środkowy palec, pierwszy w karierze Kyle'a jako nowojorskiego kierowcy. Spokojnie, tylko nie daj się sprowokować, pomyślał.

– Trzeba strasznie uważać na tych idiotów – mruknął Doug.

Z tylnego siedzenia dobiegł Kyle'a szelest przekładanych papierów. Panowie nad czymś się naradzali.

– Będziemy się użerać z sędzią Hennessym czy z jakimś urzędnikiem sądowym? – spytał Doug Barda. Obaj jakby zapomnieli o istnieniu Kyle'a, co zresztą bardzo mu odpowiadało. Wolał skupiać uwagę na ruchu ulicznym i nie palił się do wystawiania cenzurek kolegom.

Po dziesięciu minutach tłoczenia się w porannym korku miał wilgotny kołnierzyk koszuli i ciężko dyszał.

– Na rogu Nassau i Chambers, dwie przecznice od budynku sądu, jest parking – oznajmił Bard.

Kyle nerwowo skinął głową, odszukał parking, ale okazało się, że nie ma miejsc, co na tylnym siedzeniu wywołało wiązankę przekleństw.

– Słuchaj, Kyle – rzucił Peckham. – Naprawdę nam się śpieszy. Po prostu wysadź nas przed wejściem na Foley Square i pokręć się po okolicy, aż znajdziesz jakieś miejsce na ulicy.

– Na której ulicy?

Doug zajął się upychaniem papierów do aktówki, Bard musiał pilnie gdzieś zadzwonić.

– Obojętnie. Na którejkolwiek. A jak nic nie znajdziesz, to jeźdź w kółko. Wysadź nas tu.

Kyle zjechał do krawężnika i ktoś za nim od razu zatrąbił. Obaj prawnicy wysiedli.

– Kręć się tak długo, aż coś znajdziesz – rzucił na pożegnanie Peckham.

– I uważaj, bo to auto mojej żony – dorzucił Bard, któremu udało się na chwilę oderwać od telefonu.

Kyle włączył się do ruchu, próbując uspokoić rozdygotane nerwy. Pojechał na północ Centre Street, minął cztery przecznice, skręcił w lewo w Leonard i pojechał w kierunku zachodnim.

Krawężniki były oblepione zaparkowanymi samochodami i motocyklami, każdy wolniejszy fragment był obstawiony niezliczonymi znakami zakazu parkowania. Kyle nigdy nie spotkał takiego natłoku znaków zakazu. Nie natknął się po drodze na żaden parking, natomiast dostrzegł paru gliniarzy z drogówki, którzy wtykali mandaty pod wycieraczki źle zaparkowanych aut. Po długiej wolnej jeździe skręcił w lewo w Broadway, jednak ruch był tu jeszcze większy. W ślimaczym tempie przejechał sześć przecznic i skręcił w lewo w Chambers. Przejechał znów kilka przecznic i ponownie znalazł się przed budynkiem sądu, w którym miał zadebiutować w roli prawnika procesowego, nawet jeśli tylko rezerwowego.

W lewo w Centre, w lewo w Leonard, w lewo w Broadway, w lewo w Chambers i znów przed sądem. Pamiętając o obowiązku fakturowania, zanotował godzinę. Drugie kółko zabrało mu siedemnaście minut i nie przyniosło żadnego miejsca do zaparkowania. Po drodze natknął się na te same znaki zakazu, tych samych gliniarzy, tych samych włóczęgów i tego samego dilera narkotyków, który siedział na ławce i rozmawiał przez komórkę.

Dziewiąta minęła bez telefonu od Peckhama choćby z krótkim pytaniem: „Gdzie ty się, do cholery, podziewasz?”. Rozprawa musiała się już rozpocząć, ale bez udziału mecenasa Kyle’a. Natomiast Kyle szofer miał ręce pełne roboty. Po trzech rundach mu się znudziło i postanowił poszerzyć pętlę o kilka przecznic na północ i na zachód. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie kupić sobie kawy na wynos, ale zrezygnował w obawie, że mógłby poplamić elegancką tapicerkę z beżowej skóry w nowiutkim jaguarze żony Barda. Rozparł się wygodnie na skórzanym fotelu. Samochód rzeczywiście był bardzo elegancki. Kosztował sto tysięcy dolarów, ale z pewnością był wart swojej ceny. Zbiornik paliwa był tylko do połowy pełny i to go nieco martwiło. Ciągłe ruszanie i hamowanie jest dla tak wielkiego silnika zabójcze. Rozprawa, w której miał uczestniczyć, była naprawdę istotna i niewątpliwie odbywała się w obecności wielu ważnych prawników, z których każdy będzie chciał przedstawić swoje stanowisko, więc postępowanie na sali sądowej mogło się mocno przeciągnąć. Najwyraźniej wszystkie miejsca parkingowe na całym dolnym Manhattanie były zajęte, a mając w pamięci wyraźne polecenie: „Kręć się tak długo, aż coś znajdziesz”, nie miał

wyboru i musiał wypalać benzynę. Zaczął się rozglądać za stacją benzynową. Napełni zbiornik i obciąży kosztem klienta, a u Barda zarobi sobie kilka punktów.

Mając pełny zbiornik, zaczął obmyślać inne sposoby zaskarbienia sobie wdzięczności. Może szybka wizyta na myjni? Zmiana oleju? Gdy mijał budynek sądu po raz siódmy czy ósmy, uliczny sprzedawca precli przed sądem przyjrzał mu się podejrzliwie, rozłożył ręce i mruknął coś w rodzaju: „Odbiło ci, człowieku?”, ale Kyle się tym nie przejął. Zarzucił też pomysł umycia auta i zmiany oleju.

Poczuł się już na tyle pewnie, że wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Dale. Odebrała po trzecim dzwonku i wycedziła zduszonym szeptem:

– Siedzę w bibliotece.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– W głosie słyszę coś innego.

Chwila ciszy.

– Przez dwie noce nie zmrużyłam oka. Chyba już majaczę.

– Brzmisz okropnie.

– Gdzie jesteś?

– Akurat w tej chwili na Leonard Street, w nowym jaguarze żony Noela Barda. I jak myślisz, w jakiej roli?

– Przepraszam, że spytałam. Jak było na pogrzebie?

– Strasznie. Spotkajmy się dziś na kolacji. Muszę się przed kimś wyładować.

– Dziś wracam do domu, kładę się do łóżka i śpię.

– Musisz coś zjeść. Kupię jakąś chińszczyznę, wypijemy po kieliszku wina i razem pójdziemy do łóżka. Żadnego seksu. Już tak umiemy.

– Zobaczymy. Najpierw muszę stąd wyjść. Na razie.

– Wytrzymasz?

– Wątpię.

O jedenastej Kyle pogratulował sobie, że będzie mógł obciążyć klienta kwotą ośmiuset dolarów za kręcenie się w kółko. A potem głośno się roześmiał. Redaktor naczelny „Yale Law Journal" w roli szofera, który sprawnie hamuje, rusza i skręca, rozgląda się i ucieka przed taksówkami. Oto życie sławnego adwokata z Wall Street.

Gdyby tak ojciec mógł go teraz zobaczyć.

Telefon zadzwonił o jedenastej czterdzieści.

– Wychodzimy już z sądu – oznajmił Bard. – Co się z tobą działo?

– Nie udało mi się zaparkować.

– Gdzie teraz jesteś?

– Dwie przecznice od sądu.

– Podjedź tam, gdzie nas wysadziłeś.

– Już się robi.

Kilka minut później Kyle podjechał pod krawężnik jak wytrawny szofer, jego dwaj pasażerowie usiedli z tyłu, a on płynnie włączył się do ruchu.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Do biura – burknął sucho Peckham, po czym na kilka minut zapadła cisza.

Kyle oczekiwał, że zaczną go wypytywać, gdzie się podziewał przez ostatnie kilka godzin. Co się z tobą działo, Kyle? Dlaczego nie byłeś na rozprawie, Kyle? Ale nic takiego nie nastąpiło, a on z żalem sobie uzmysłowił, że chyba nikomu go nie brakowało. W końcu, by przerwać nieznośną ciszę, zapytał:

– Jak poszła rozprawa?

– Nie poszła – warknął Peckham.

– Jaka rozprawa? – prychnął Bard.

– To co robiliście tam od dziewiątej? – spytał Kyle.

– Czekaliśmy, aż szacowny sędzia Theodore Hennessy wyleczy kaca i zaszczyci nas swoją obecnością – mruknął Bard.

– Rozprawa odroczona o dwa tygodnie – dorzucił Peckham.

Wysiedli z windy na trzydziestym pierwszym piętrze i w tym momencie zawibrowała komórka Kyle'a. SMS od Tabora alarmował: „Wracaj jak najszybciej. Mamy problem".

Czekał na niego przy schodach.

– Jak ci poszło w sądzie? – spytał.

– Świetnie. Kocham rozprawy. Jaki problem?

Przeszli szybkim krokiem obok boksu Sandry, ich sekretarki.

– Chodzi o Dale – szepnął Tabor. – Zemdlała, odjechała, straciła przytomność, coś w tym rodzaju.

– Gdzie jest teraz?

– Ukryłem ciało.

Dale leżała w ich boksie na rozłożonym śpiworze, częściowo schowana pod biurkiem Tabora. Miała otwarte oczy, patrzyła całkiem przytomnie i była tylko śmiertelnie blada.

– Wstała o piątej we wtorek i od tamtej chwili nie zmrużyła oka. To jakieś pięćdziesiąt pięć

godzin bez snu, co może być rekordem.

Kyle ukląkł przy leżącej i delikatnie ujął jej rękę.

– Dobrze się czujesz?

Skinęła głową, ale nie wyglądało to zbyt przekonująco.

Stojący na straży Tabor rozejrzał się i zaczął mówić:

– Ona nie chce, żeby się ktoś dowiedział. Chciałem wezwać pomoc medyczną, ale się nie zgodziła. A ty jak myślisz?

– Nikomu nie mówcie – wtrąciła Dale. Jej głos zabrzmiał słabo i chrapliwie. – Po prostu zemdlałam i nic więcej. Nic mi nie będzie.

– Tętno masz w porządku – rzucił Kyle. – Dasz radę wstać?

– Chyba tak.

– To wszyscy troje wychodzimy na szybki lunch – zadecydował. – Odwiozę cię do domu, musisz odpocząć. Tabor, zadzwoń po samochód.

Wzięli ją pod ręce i ostrożnie podnieśli z podłogi. Wyprostowała się i głęboko odetchnęła.

– Możemy iść – powiedziała.

– Jesteśmy tuż przy tobie – zapewnił ją Kyle.

Po drodze do wyjścia napotkali parę ciekawskich spojrzeń, jednak widok drobnej,

młodej, modnie ubranej i bardzo bladej prawniczki z dwoma kolegami, zapewne udających się na szybki lunch na mieście, nikogo specjalnie nie zainteresował. Tabor pomógł jej wsiąść do samochodu i zawrócił do biura, by w razie potrzeby ich kryć.

Kyle niemal wniósł ją na górę, pomógł jej się rozebrać i otulił kołdrą. Pocałował w czoło, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi sypialni. Wiedział, że przez wiele godzin będzie spała jak zabita.

Przeszedł do salonu i zdjął marynarkę, krawat i buty. Na małym stoliku rozłożył laptop, FirmFon i teczkę z papierami w sprawie zaległej notatki. Rozsiadł się i od razu poczuł, że kleją mu się oczy. Przeniósł się na kanapę i wyciągnął na krótką drzemkę. Godzinę później obudził go telefon od Tabora. Kyle zapewnił go, że Dale głęboko śpi i obudzi się jak nowa.

– Na czwartą zapowiedziano ogłoszenie komunikatu – powiedział Tabor. – Coś ważnego w sprawie rozłamowców. Czytaj maile.

Dokładnie o szesnastej firma Scully & Pershing powiadomiła pocztą elektroniczną wszystkich swoich prawników o odejściu sześciu wspólników i trzydziestu jeden prawników z działu procesowego. Wymieniono ich nazwiska

i podkreślono, że wszyscy oni przestają pracować w firmie dziś o siedemnastej. Resztę maila poświęcono zwyczajowym hymnom pochwalnym na cześć firmy, a także zapewnieniu, że odejście grupki prawników w żaden sposób nie wpłynie na poziom obsługi prawnej jej licznych i cennych klientów.

Kyle uchylił drzwi i zajrzał do sypialni. Dale oddychała miarowo i głęboko i nawet na milimetr nie zmieniła pozycji.

Przygasił światła w salonie i wyciągnął się na kanapie. Do diabła z notatką, do diabła z fakturowaniem i do diabła z całą firmą, przynajmniej na te kilka wykradzionych chwil! Ile razy trafi mu się okazja do drzemki w czwartkowe popołudnie? Miał wrażenie, jakby od pogrzebu minął już co najmniej miesiąc, a Pittsburgh był w innej galaktyce. Baxter odszedł, ale nie został zapomniany. Kyle potrzebował Joeya, ale jego też nie było.

Obudziła go wibracja komórki. Tym razem mail był od Douga Peckhama, który informował: „Kyle, wielkie zmiany w procesowym. Zostałem włączony do sprawy Trylona. Ty też. Jutro rano punktualnie o 7.00 w gabinecie Wilsona Rusha”.

Rozdział 30

Dla starszego wspólnika w dziale procesowym i członka zarządu firmy cena powierzchni biurowej nie była widać problemem, bo gabinet Wilsona Rusha zajmował cały narożnik na trzydziestym piętrze budynku i był co najmniej czterokrotnie większy od największego, jaki Kyle dotąd widział. Mecenas Rush najwyraźniej lubił żeglarstwo, bo jego wypolerowane do połysku biurko stało wsparte na czterech piórach sterowych ze starych jachtów, a na długiej komodzie pod ścianą widniała cała kolekcja modeli smukłych szkunerów i kliperów. Także wszystkie obrazy na ścianach przedstawiały statki i żaglówki na morzu. Kyle wszedł do środka i niemal odniósł wrażenie, że podłoga kołysze się niczym pokład i brakuje tylko słonej bryzy w powietrzu. Do rzeczywistości szybko przywrócił go męski głos.

– Dzień dobry, Kyle. Tutaj, proszę.

Siedzący przy końcu długiego stołu konferencyjnego gospodarz wstał na powitanie. Przy stole zgromadziło się już kilka osób i one też wstały. Kyle usiadł obok Douga Peckhama, po czym dokonano wzajemnej prezentacji. Poza Rushem i Peckhamem przy stole siedziało jeszcze dziewięć osób i Kyle znał większość z nich, w tym Sherry Abney, starszą prawniczkę, o której mówił mu Bennie. Uśmiechnęła się do niego, Kyle zrewanżował się tym samym.

Rush dokonał szybkiego przeglądu sytuacji zaistniałej po odejściu rozłamowców. Dwaj zbuntowani wspólnicy, którzy dołączyli do Toby'ego Rolanda, oraz siedmiu z trzydziestu jeden odchodzących prawników należało do ekipy zajmującej się sprawą Trylon kontra Bartin i należało natychmiast uzupełnić skład ekipy, jako że klient był bardzo ważny i niezwykle wymagający. Dlatego do ekipy dołącza od zaraz dwoje nowych wspólników, Doug Peckham i Isabelle Gaffney, oraz ośmiu nowych prawników, oświadczył Rush.

Przez chwilę opisywał niezadowolenie, z jakim ucieczka grupy spotkała się ze strony klienta, i jak ważne jest to, by zewrzeć szeregi i rzucić nowe siły prawnicze do boju z APE i Bartin Dynamics.

Isabelle – za plecami zwana Izzy – zasłynęła z tego, że kazała dwóm prawnikom siedzieć i czekać na porodówce, bo chwilowo była zajęta rodzeniem dziecka. Według biurowej legendy jeszcze nikt nigdy nie widział, żeby się uśmiechała, i teraz też nie zamierzała reagować uśmiechem na zapowiedź Rusha o szykowanych zmianach i reorganizacji w jego ekipie.

Dołączało do niej dwóch pierwszorocznych adeptów – Kyle i bliżej nieznany młody człowiek po Penn, nazwiskiem Atwater. Z dwunastki adeptów w wydziale procesowym był niewątpliwie najspokojniejszy i najbardziej wycofany. Dale pod tym względem plasowała się na dalekim drugim miejscu, poza tym jej wizerunek ulegał szybkiemu ociepleniu, przynajmniej w opinii Kyle'a. Ponownie spędził samotną noc na jej kanapie, podczas gdy ona spała w łóżku jak zabita. On miał mnóstwo spraw do przemyślenia i spał niewiele. Szokująca wiadomość, że został przydzielony do ekipy Trylona, spowodowała, że leżał ze wzrokiem wbitym w sufit, mrucząc coś pod nosem. Tragiczna śmierć Baxtera, sceny z jego pogrzebu, ostre słowa Joeya Bernardo… Jak mógłby w tych warunkach spać?

Późnym wieczorem zadzwonił do Peckhama i spróbował wysondować, co legło u podstaw decyzji o włączeniu go do ekipy procesowej w sprawie, do której miał tak negatywny stosunek i głośno o tym mówił. Peckham nie okazał zrozumienia i nie bardzo chciał z nim gadać. Decyzję podjął Wilson Rush, koniec tematu.

Rush przeszedł do omówienia istoty sporu sądowego Trylon kontra Bartin, którą Kyle znał na pamięć. Obecnym rozdano segregatory z dokumentacją i następne pół godziny minęło na omawianiu szczegółów. Kyle zaczynał się już zastanawiać, jak ktoś tak nudny i zasadniczy jak Wilson Rush może odnosić takie sukcesy na sali sądowej. Zbliżał się etap wzajemnej wymiany informacji i strony walczyły o dostęp do konkretnych dokumentów. Spodziewano się złożenia co najmniej dwudziestu zaprzysiężonych zeznań.

Kyle robił notatki, ale tylko po to, by nie odstawać od reszty, bo myśli miał zajęte czym innym. Ciekawe, czy Bennie już wie, że został wyznaczony na wymarzone stanowisko w ekipie procesowej? Bennie znał nazwiska wszystkich jej członków, wiedział też, że Sherry Abney nadzoruje Jacka McDougle’a. Czy to znaczy, że

Bennie ma w firmie jeszcze kogoś? Kolejną ofiarę szantażu? A jeśli tak, to czy ten ktoś obserwuje Kyle'a i donosi na niego?

Choć nie cierpiał spotkań ze swoim agentem prowadzącym, zdawał sobie sprawę, że następne będzie stanowić największe wyzwanie. Będzie musiał prowadzić w miarę cywilizowaną rozmowę z człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć Baxtera i cały czas udawać, że nic o tym nie wie.

– Jakieś pytania? – spytał Rush.

Pewno, pomyślał Kyle. Dużo więcej, niż potrafiłbyś odpowiedzieć.

Po godzinnym wałkowaniu szczegółów Sherry Abney zabrała Kyle'a, Atwatera i pozostałych sześciu nowych członków ekipy do tajnego pomieszczenia na siedemnastym piętrze. Może tajnego dla wielu, lecz nie dla Benniego i Nigela, którzy wiedzieli o jego istnieniu. Dołączył do nich niejaki Gant, który okazał się specjalistą od spraw bezpieczeństwa. Zatrzymał się pod drzwiami i wyjaśnił, że jest to jedyne wejście i wyjście z pomieszczenia i by z niego skorzystać, należy się posłużyć maleńką plastikową kartą z kodem. Każdy z członków ekipy dysponuje taką kartą i każdorazowe jej użycie jest rejestrowane w pamięci urządzenia. Gant wskazał też na sufit

i oświadczył, że wszystko, co się dzieje w pobliżu drzwi, jest nagrywane przez kamery.

Pomieszczenie przypominało wielkością gabinet Wilsona Rusha, tyle że było pozbawione okien, miało gołe ściany, a podłogę pokrywała posępna oliwkowa wykładzina. Poza dziesięcioma stołami z komputerami i krzesłami w pomieszczeniu nie było nic więcej.

Pałeczkę przejęła Sherry Abney.

– Dokumentacja sprawy liczy ponad cztery miliony stron i każda z nich znajduje się w tym wirtualnym archiwum – powiedziała, poklepując komputer niczym matka dumna ze swego dziecka. – Dokumenty w formie papierowej są przechowywane w magazynie w Wilmington, ale do wszystkich można uzyskać dostęp z jednego z tych komputerów. Główny serwer znajduje się w pomieszczeniu obok. – Ponownie klepnęła obudowę. – To bardzo zaawansowane komputery, wykonane na specjalne zamówienie przez firmę, o której nigdy nie słyszeliście i nigdy nie usłyszycie. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie próbujcie ich naprawiać, zaglądać do środka czy się nimi bawić.

– Oprogramowanie nosi nazwę Hiper i ono też zostało opracowane na specjalne zamówienie. To w zasadzie nasze firmowe oprogramowanie na

bazie zwykłego Adwokata, które nasi specjaliści nieco podrasowali i dodali trochę dzwonków alarmowych. Kod dostępu jest zmieniany raz na tydzień, hasło codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie. O każdej zmianie będziecie powiadamiani zakodowanym mailem. Próba wejścia do systemu przy użyciu nieważnego kodu lub hasła uruchamia alarm. Za coś takiego można wylecieć z pracy.

Obrzuciła srogim spojrzeniem swych słuchaczy i ciągnęła:

– System jest w pełni autonomiczny i nie da się do niego wejść znikąd w biurze lub poza biurem. Działa online i nie jest dostępny z żadnego innego miejsca poza tym pomieszczeniem. Tylko tu można uzyskać dostęp do dokumentów, a wejście jest zamykane codziennie o dwudziestej drugiej i pozostaje zamknięte do szóstej rano. Czyli przykro mi, ale nie możecie liczyć na żadne całonocne nasiadówki. Za to możecie pracować co dzień przez siedem dni w tygodniu.

Kazała wszystkim usiąść przed komputerami i każdemu wręczyła osobisty kod dostępu i hasło. Na ekranie nie pojawiła się żadna informacja o producencie sprzętu lub autorstwie oprogramowania.

Sherry podchodziła kolejno do każdego, przyglądała się ekranowi i rzucała uwagi, całkiem jak asystent prowadzący zajęcia w college'u.

– Na początku jest obszerna instrukcja obsługi i usilnie namawiam, byście się z nią zapoznali jeszcze dziś. Otwórzcie skorowidz. Dokumenty są w nim podzielone na trzy podstawowe zbiory i sto podzbiorów. Zbiór A zawiera nieistotne śmieci, które już zostały przekazane Bartinowi: kopie korespondencji, maile, notatki służbowe i temu podobne. W zbiorze B są istotne materiały, które podlegają ujawnieniu stronie przeciwnej, ale jak dotąd nie wszystkie zostały przekazane. Zbiór T jak „tajne" zawiera prawdziwe rarytasy, około miliona dokumentów opisujących przeprowadzone badania naukowo-techniczne, i to one stanowią przedmiot sporu sądowego. Wszystkie są ściśle tajne i nikt poza sędzią nie wie, czy zostaną kiedykolwiek udostępnione Bartinowi. Pan Rush uważa, że nie zostaną. Zbiór T jest utajniony i posiada status poufnych materiałów adwokackich. Każde wasze wejście do zbioru T zostaje automatycznie odnotowane w komputerze pana Ganta. Jakieś pytania?

Cała ósemka siedziała wpatrzona w monitory i wszystkim kołatała się po głowie jedna myśl: w komputerze są cztery miliony dokumentów i ktoś musi je wszystkie przejrzeć.

– Hiper działa doskonale – powiedziała Sherry. – Kiedy go opanujecie, będziecie mogli w ciągu paru sekund znaleźć dowolny dokument lub zbiór dokumentów. Zostanę tu z wami do końca dzisiejszej sesji szkoleniowej. Im szybciej opanujecie poruszanie się po naszej wirtualnej bibliotece, tym bardziej ułatwicie sobie życie.

O szesnastej dwadzieścia w piątek Kyle dostał od Benniego maila: „Spotkajmy się dziś wieczór o 9.00. Szczegóły spotkania doślę. BW”.

Kyle odpowiedział: „Nie mogę”.

Bennie odpisał: „To jutro po południu o 5.00 lub 6.00”.

Kyle: „Nie mogę”.

Bennie: „Niedziela wieczór o 10:00?”.

Kyle: „Nie mogę”.

Kyle jeszcze spał, gdy w sobotę rano dziesięć po siódmej rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam?! – wrzasnął, zwlekając się z łóżka i ruszając przez zagracony pokój.

– Bennie – padła odpowiedź.

– Czego chcesz? – burknął Kyle przez drzwi.

– Przyniosłem ci kawę.

Kyle przekręcił zamek, zdjął łańcuch i otworzył drzwi. Bennie wszedł raźnym krokiem z dwoma papierowymi kubkami, postawił je na blacie i rozejrzał się.

– Boże, co za nora! – prychnął. – Zdawało mi się, że nieźle zarabiasz.

– Czego chcesz?

– Nie lubię, jak się mnie ignoruje. – Bennie stanął przodem do Kyle'a, jakby zamierzał się na niego rzucić. Twarz miał wykrzywioną grymasem, wzrok rozjarzony. Wyciągnął palec i pokiwał nim tuż przed nosem Kyle'a. – Nie wolno ci mnie ignorować, rozumiesz? – syknął.

Kyle po raz pierwszy widział u niego taką agresję.

– Uspokój się – rzucił i wyminął go, niemal potrącając go ramieniem. Poszedł do sypialni po podkoszulek i wróciwszy do pokoju, zastał Benniego nad kubkami kawy ze zdjętymi wieczkami.

– Mów, co nowego.

Znajdującym się w zasięgu ręki narzędziem walki była tania ceramiczna lampa stołowa, którą Kyle kupił w sklepie ze starzyzną. Bez słowa przejął kubek z kawą i popatrzył na lampę. Z jakim miłym brzękiem można by ją rozbić na łysej pale Benniego. I jak cudownie byłoby usłyszeć, jak lampa i czaszka pękają na kawałki. I jak łatwo byłoby mu walić tak długo, aż skurwiel przestałby oddychać, krwawiąc na taniej poprzecieranej wykładzinie.
Z pozdrowieniami od mojego kumpla, Baxtera.
Kyle pociągnął łyk, potem nabrał powietrza. Obaj wciąż stali na środku pokoju: Bennie w swym szarym prochowcu, Kyle w czerwonych bokserkach i wygniecionym podkoszulku.

– Przydzielili mnie wczoraj do sprawy Trylona.

To dla ciebie sensacja czy o tym też już wiesz, skurwielu?

Wyraz oczu agenta prowadzącego niczego nie zdradzał. Bennie spokojnie łyknął kawy, po czym powiedział:

– A to tajne pomieszczenie na siedemnastym piętrze? Opowiedz mi o nim.

Kyle je opisał.

– A komputery?

– Producent nieznany. Na wygląd zwykłe komputery stacjonarne, ale podobno wykonane na specjalne zamówienie. Wszystkie podłączone do serwera w pomieszczeniu obok. Ogromna pamięć, wszelkie możliwe zabezpieczenia. Wszędzie kamery i mający na wszystko oko spec od bezpieczeństwa. Według mnie sprawa beznadziejna. Nie ma mowy, żeby dało się coś wykraść.

Bennie ironicznie się skrzywił.

– Radziliśmy sobie z dużo trudniejszymi obiektami, zapewniam cię. Wszystko da się wykraść. Zostaw to już nam. Oprogramowanie to Hiper?

– Tak.

– Opanowałeś je?

– Jeszcze nie. Wybieram się dziś na kolejne szkolenie.

– Ile jest tych dokumentów?

– Ponad cztery miliony.

To wywołało na twarzy Benniego pierwszy uśmieszek tego ranka.

– A jak się tam wchodzi?

– Pomieszczenie jest dostępne przez siedem dni w tygodniu, ale zamknięte w nocy od dwudziestej drugiej do szóstej rano. Jest tylko

jedno wejście, które stale monitorują co najmniej trzy kamery.

– Czy jest ktoś, kto musi cię wpuścić?

– Nie sądzę. Ale każde włożenie karty przy wejściu i wyjściu jest rejestrowane.

– Pokaż mi tę kartę.

Kyle niechętnie ją przyniósł i podał Benniemu, a ten przez chwilę uważnie jej się przyglądał.

– Chcę, żebyś w ciągu najbliższych dni jak najczęściej tam bywał, ale tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Chodź tam o różnych porach, wszystko obserwuj i zapamiętuj. Spotkamy się we wtorek o dziesiątej wieczór, pokój siedemnaście osiemdziesiąt w hotelu Four Seasons przy Pięćdziesiątej Siódmej. Zapamiętasz?

– Jasne.

– I tym razem bez niespodzianek.

– Tak jest, proszę pana!

Rozdział 31

Przy siedemdziesięciu ośmiu tysiącach prawników na samym tylko Manhattanie znalezienie kogoś nie powinno być trudne. Kyle skrócił listę, ponownie jej się przyjrzał, po czym dodał i skreślił kilka nazwisk. Obmyślił swój plan od razu po przeprowadzce do Nowego Jorku i już kilkakrotnie go zarzucał. Nie był do końca pewien, czy powinien zatrudnić prawnika, chciał jednak mieć pod ręką nazwisko. Morderstwo Baxtera wszystko zmieniło. Teraz Kyle nie szukał już tylko pomocy, szukał sprawiedliwości.

Roy Benedict bronił w sprawach karnych i kierował dwustuosobową firmą mieszczącą się w wieżowcu przecznicę na wschód od Scully & Pershing. Ta lokalizacja miała kluczowe znaczenie w związku z ciągłą inwigilacją Kyle'a. Benedict spełniał też inne ważne kryteria. Przed studiami prawniczymi na Uniwersytecie Nowojorskim pracował w FBI, a po dyplomie przez sześć lat w Departamencie

Sprawiedliwości. Brały się z tego liczne kontakty i przyjaźnie z ludźmi z drugiej strony barykady, którym mógł ufać. Jako specjalista od prawa karnego mieścił się w pierwszej setce nowojorskich obrońców, choć może nie w pierwszej dziesiątce. Kyle'owi potrzebny był solidny doradca, ale nie mógł sobie pozwolić na kogoś o bardzo rozdętym ego. Firma Benedicta często występowała w roli przeciwnika procesowego Scully & Pershing. Kluczowym argumentem okazała się koszykarska kariera Kyle'a w Duquesne, ponieważ w rozmowie telefonicznej Benedict nie wykazał zbytniego zainteresowania. Oświadczył, że nie przyjmuje żadnych nowych spraw i dopiero wzmianka o koszykówce przeważyła szalę.

Umówili się na poniedziałek o czternastej, ale Kyle zjawił się przed czasem. Nie potrafił poruszać się po firmie prawniczej i nie porównywać jej ze swoją. Ta była dużo mniejsza i wydawała się znacznie mniej nastawiona na mamienie gości abstrakcyjną sztuką i designerskimi meblami. Także recepcjonistka nie była aż tak urodziwa.

W aktówce miał dossier Roya Benedicta – stare notki i fotografie z Duquesne, biogramy z almanachów prawniczych, relacje prasowe

z jego dwóch najgłośniejszych spraw. Benedict miał czterdzieści siedem lat, mierzył metr dziewięćdziesiąt pięć i wyglądał na człowieka w tak dobrej kondycji fizycznej, jakby miał lada chwila wbiec na boisko. W jego gabinecie – mniejszym od gabinetów większości wspólników w Scully & Pershing, ale elegancko urządzonym – panował ciągły ruch. Benedict przywitał Kyle'a serdecznie, jakby poznanie nowojorskiego prawnika, który jak on grał kiedyś w Dukes, autentycznie go ucieszyło.

Kyle wyjaśnił, że jego kariera zawodnicza nie trwała zbyt długo, ale Benedict i tak się rozgadał i Kyle musiał w pewnej chwili mu przerwać.

– Proszę posłuchać, panie mecenasie…

– Na imię mi Roy.

– Dobrze, Roy. Nie mogę tu za długo siedzieć, bo jestem śledzony.

Benedict na moment zamilkł, jakby przetrawiał tę wiadomość.

– A dlaczego adept największej firmy prawniczej na świecie miałby być śledzony?

– Mam parę problemów. To dość skomplikowane i myślę, że potrzebny mi adwokat.

– Przestępcy w białych kołnierzykach to moja specjalność, Kyle. Coś narozrabiałeś?

– Jeszcze nie. Ale chcą mnie zmusić do popełnienia całej serii przestępstw.

Benedict rzucił ołówek na biurko i zamilkł.

– Naprawdę potrzebuję adwokata – powtórzył Kyle.

– Moje wstępne honorarium wynosi pięćdziesiąt tysięcy – powiedział Benedict, nie spuszczając z niego wzroku. Wiedział z dokładnością do dziesięciu tysięcy, ile ktoś taki jak Kyle może zarabiać w wielkiej firmie. Nie próbował konkurować z firmą Scully & Pershing, ale stawki w jego firmie zbytnio nie odbiegały od tamtych.

– Tyle nie mogę zapłacić. Mam odłożone pięć tysięcy w gotówce. – Kyle wyjął z kieszeni kopertę i rzucił na biurko. – Ale jak mi dasz trochę czasu, to resztę zbiorę.

– Czego ta sprawa dotyczy?

– Gwałtu, morderstwa, kradzieży, nielegalnego podsłuchu, wymuszenia, szantażu i jeszcze paru innych rzeczy. Nie mogę podać żadnych szczegółów, dopóki nie podpiszemy umowy.

Benedict pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Nadal jesteś pod obserwacją? – spytał.

– O, tak. Zaczęli ją na początku lutego, jeszcze w Yale.

– Twoje życie jest w niebezpieczeństwie?

Kyle chwilę się zastanowił.

– Tak, myślę, że tak.

W powietrzu wisiało wiele pytań i ciekawość starszego prawnika zwyciężyła. Otworzył szufladę i wyjął z niej papiery. Szybko przebiegł wzrokiem treść trzech stronic spiętych zszywką, dopisał coś piórem i przesunął po biurku w stronę Kyle'a.

– To umowa na świadczenie obsługi prawnej – powiedział.

Kyle szybko rzucił okiem. Początkowe honorarium uległo obniżeniu do pięciu tysięcy dolarów, stawka godzinowa zmniejszeniu z ośmiuset na czterysta. Kyle dopiero niedawno pogodził się z tym, że liczy klientom po czterysta dolarów za godzinę swej pracy. Teraz sam miał się stać klientem i płacić identyczną stawkę.

– Dzięki – rzucił, kładąc podpis pod umową.

Benedict bez słowa wziął kopertę z pieniędzmi i schował do szuflady.

– Od czego zaczynamy? – spytał.

Kyle rozsiadł się wygodniej w fotelu, czując, jak ciężar spada mu z serca. Nie był do końca pewny, czy jego koszmar będzie od tej chwili zmierzał ku końcowi, czy wykopuje pod sobą jeszcze głębszy dół, ale samo to, że będzie mógł

z kimś o tym rozmawiać, dawało mu poczucie ogromnej ulgi.

– Sam nie wiem… – Przymknął oczy. – Jest tak dużo do opowiedzenia.

– Kto cię śledzi? Agenci jakichś służb rządowych?

– Nie, prywatni dranie. Bardzo sprawni. I nie mam pojęcia, kim są.

– To zacznijmy od początku.

– Dobra.

Kyle zaczął opowieść od Elaine, studenckiej balangi, oskarżenia o gwałt i ówczesnego śledztwa, po czym przeszedł do Benniego i jego ludzi, szantażu, nagrania i tajnej misji wykradzenia dokumentów ze Scully & Pershing. Wyjął teczkę z papierami i zaprezentował wizerunek Benniego oraz portrety pamięciowe Nigela i dwóch typów, którzy za nim łazili.

– Benny Wright to na pewno pseudonim. Gość używa pewnie dwudziestu innych nazwisk. Mówi z lekkim akcentem, myślę, że wschodnioeuropejskim. Ale to tylko moje domysły.

Benedict przyjrzał się fotografii Benniego.

– Czy istnieje jakiś sposób, żeby go można było zidentyfikować? – spytał Kyle.

– Nie wiem. Wiesz, gdzie przebywa?

– Tu, w Nowym Jorku. Widziałem się z nim w sobotę, mam się z nim ponownie spotkać jutro wieczorem. Jest moim prowadzącym, a ja jego agentem.

– Mów dalej.

Kyle wyjął następny plik papierów i przedstawił w zarysach wojnę między Trylonem a Bartinem, uważając, by przytaczać jedynie fakty podawane przez prasę. Wprawdzie siedział teraz przed swoim adwokatem, którego obowiązywała przysięga dochowania tajemnicy, ale przecież sam też był adwokatem, a jego klient miał prawo oczekiwać tego samego.

– To największy w historii kontrakt Pentagonu, więc i proces może być największy.

Benedict przez chwilę wodził wzrokiem po wycinkach prasowych.

– Słyszałem o tej sprawie – rzucił. – Mów dalej.

Kyle przeszedł do inwigilacji i podsłuchów, jakie wobec niego stosowano, i Benedict na tym skupił uwagę.

– Nielegalny podsłuch to przestępstwo federalne zagrożone karą pięciu lat – powiedział.

– Nielegalny podsłuch to pestka. Co powiesz o morderstwie?

– Kogo zamordowano?

Kyle szybko opowiedział o włączeniu Joeya, niespodziewanym pojawieniu się Baxtera i jego postanowieniu spotkania się z dziewczyną, po czym wręczył swojemu adwokatowi plik materiałów prasowych, w których opisywano zabójstwo Baxtera Tate'a.

– Widziałem coś w telewizji – mruknął Benedict.

– W ubiegłą środę był pogrzeb, a ja niosłem jego trumnę.

– Współczuję.

– Dzięki. Policja nic nie wie. Jestem pewien, że to Bennie zlecił zabójstwo, ale sprawcy zniknęli bez śladu.

– Dlaczego miałoby mu zależeć na śmierci Baxtera Tate'a? – Benedict równocześnie robił notatki, wpatrywał się w twarz Benniego Wrighta i przerzucał zawartości teczki z papierami, ale głównie kręcił z niedowierzaniem głową.

– Uznał, że musi tak postąpić – odparł Kyle. – Gdyby Baxterowi udało się wyspowiadać przed Elaine, a na to się zanosiło, dalszy przebieg zdarzeń mógł się wymknąć Benniemu spod kontroli. Sądzę, że Elaine by odbiło, od nowa zaczęłaby oskarżać wszystkich o gwałt i razem z Joeyem i Alanem Strockiem stanąłbym przed

sądem w Pittsburghu. Moje życie ległoby w gruzach, wyrzuciliby mnie z firmy, ale Bennie straciłby swojego agenta.

– Ale czy śmierć Baxtera nie powoduje, że z oskarżenia o gwałt uchodzi powietrze?

– Tak, tylko że to nagranie wciąż istnieje. Wierz mi, że jest wstrętne, i nie chcemy świecić za niego oczami.

– Ale ciebie w niczym nie obciąża, tak?

– Dowodzi tylko, że zachowałem się jak kretyn. Ale tak, gdy w końcu dochodzi do seksu, mnie nigdzie nie ma w kadrze. Nawet tego nie pamiętam.

– I nie wiesz, jak Bennie zdobył to nagranie?

– To najtrudniejsze pytanie ze wszystkich. Zadaję je sobie regularnie od dziewięciu miesięcy. Nie jestem w stanie pojąć, skąd się dowiedział o istnieniu tego nagrania i jak je potem wykradł lub kupił. I nawet nie wiem, co mnie bardziej przeraża: jego zawartość czy to, że dostało się w łapy Benniego.

Benedict znów pokręcił głową. Wstał zza biurka, wyprostował się na swoje imponujące metr dziewięćdziesiąt pięć, przeciągnął się i jeszcze raz pokręcił głową.

– Ilu praktykantów było w Scully and Pershing w ubiegłym roku?

– Około setki.

– Czyli Bennie i jego ludzie znają nazwiska tej około setki młodych ludzi. Przeczesują je i szukają u kogoś pięty Achillesa. Przy twoim nazwisku zaczynają węszyć w Pittsburghu i Duquesne. Zapewne dowiadują się o gwałcie, naciskają na kogoś z policji, docierają do akt śledztwa i postanawiają pokopać jeszcze głębiej. Sprawa jest zamknięta, więc gliniarze są skłonni być bardziej otwarci, niż powinni. Wspominają, że podobno istniało jakieś nagranie, tylko nie udało im się go odnaleźć. Po czym Benniemu jakimś cudem się udaje.

– No, to możliwe.

– Ma do dyspozycji masę pieniędzy i wielu ludzi.

– Najwyraźniej. Czyli dla kogo pracuje?

Benedict spojrzał na zegarek i zmarszczył czoło.

– Mam dziś spotkanie o trzeciej – mruknął, po czym chwycił słuchawkę, chwilę odczekał i rzucił: – Odwołaj moje spotkanie o trzeciej. I nie ma mnie dla nikogo. – Opadł na fotel i potarł pięścią podbródek.

– Nie sądzę, żeby pracował dla APE. Nie wierzę, by konkurencyjna firma była skłonna

wydawać taki majątek na łamanie tylu przepisów. To nie mieści się w głowie.

– Dla Bartina?

– Bardziej prawdopodobne. Mają dużo pieniędzy i silną motywację. Jestem pewien, że Bartin uważa, że te dokumenty zostały im skradzione. Więc czemu nie mieliby ich ukraść z powrotem?

– Jeszcze ktoś?

– Kyle, zastanów się, sprawa dotyczy technologii wojskowej, a Rosjanie i Chińczycy wolą kraść, niż się męczyć samemu. Na tym polega ta gra. Nasi naukowcy robią cuda, a oni je wykradają.

– Przy pomocy firmy prawniczej?

– Firma prawnicza jest zapewne tylko elementem układanki. Mają szpiegów w różnych innych miejscach i takich jak Bennie jest więcej. Bezimiennych ludzi bez adresu, za to z dziesięcioma paszportami. Prawdopodobnie jest byłym, świetnie wyszkolonym agentem wywiadu, który wynajmuje się za miliony dolarów, a oni mu płacą, żeby robił to, co właśnie robi.

– Zabija Baxtera.

Benedict wzruszył ramionami.

– Dla kogoś takiego jak on zabicie nic nie znaczy.

– No to świetnie! A już zaczynałem się trochę odprężać.

Roy uśmiechnął się, ale zmarszczki na jego czole pozostały.

– Daj mi parę dni. Muszę to przetrawić – powiedział.

– Trzeba działać szybko. Mam już dostęp do tych dokumentów i Bennie będzie coraz bardziej cisnął.

– Spotykasz się z nim jutro wieczór?

– Tak, w hotelu Four Seasons przy Pięćdziesiątej Siódmej. Chcesz dołączyć?

– Dzięki. Jak długo trwają takie spotkania?

– Przy odrobinie szczęścia dziesięć minut. Warczymy na siebie, obrzucamy się pretensjami, a potem trzaskam drzwiami i wychodzę. Udaję twardziela, ale cały czas śmiertelnie się boję. Musisz mi pomóc, Roy.

– Trafiłeś pod właściwy adres.

– Dzięki. Muszę iść. Matoł już pewnie na mnie czeka.

– Matoł?

Kyle wyciągnął z kupki portret pamięciowy i położył go na wierzchu.

– Przedstawiam ci Matoła, przypuszczalnie najgłupszego z ulicznych szpicli, jacy za mną łazili w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. A ten to jego koleś, Łajza. Też jest do niczego, ale nie aż tak jak Matoł. Tak się nauczyłem udawać, że o niczym nie mam pojęcia, że tym idiotom się zdaje, że mogą mnie śledzić nawet przez sen. Popełniają mnóstwo błędów.

Podali sobie ręce na pożegnanie i jeszcze przez dłuższą chwilę po wyjściu Kyle'a Benedict siedział wpatrzony w okno, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Były redaktor naczelny „Yale Law Journal", śledzony na ulicach Nowego Jorku przez bandę zawodowych opryszków, którzy szantażem chcą go zmusić do szpiegowania we własnej firmie.

Roya zdumiewał ten scenariusz. Z uśmiechem uzmysłowił sobie, jak bardzo kocha swój zawód.

Paskudny rozłam, do jakiego doszło w dziale procesowym, miał też swoje dobre strony. Wiadomo było, że trzeba będzie ustanowić kilku nowych wspólników, i to w przyśpieszonym trybie. Odejście jednych dawało szansę innym na szybszy awans, bo trzeba było zapełnić powstałe wakaty. Dla pierwszorocznych adeptów

najważniejsze było to, że po buntownikach zwolniły się gabinety, i niemal natychmiast po ich odejściu zaczęły się podchody. Taborowi udało się uzyskać zgodę na przeprowadzkę i jeszcze przed końcem weekendu przeniósł się do własnego pokoju.

Kyle nawet o tym nie myślał. Zdążył się już przyzwyczaić do swego ciasnego boksu i cieszyła go bliska obecność Dale. Upewniwszy się, że są zupełnie bezpieczni, czasami pozwalali sobie nawet na przelotne pieszczoty. Co dzień rano czekał w biurze na nią i jej kolejną kreację oraz towarzyszące jej uwagi o projektancie. Podziwianie ubiorów Dale było niemal tak przyjemne jak zdejmowanie ich z niej.

Zaskoczył go widok Sherry Abney, która w poniedziałek wpadła pod koniec dnia i kazała mu pójść za sobą. Weszli po schodach na trzydzieste trzecie piętro, ruszyli korytarzem i po minięciu szeregu drzwi Sherry się zatrzymała.

– Twój nowy gabinet – oświadczyła.

Pokój miał około dwunastu metrów kwadratowych, stały w nim szklane biurko i skórzane fotele, podłogę pokrywał ładny dywan, przez wychodzące na południe okno wpadało prawdziwe światło słoneczne. Kyle nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dlaczego ja? –

cisnęło mu się na usta, ale udało mu się zachować zimną krew.

– Z pozdrowieniami od Wilsona Rusha – dodała Sherry.

– Ładny – wydusił Kyle, podchodząc do okna.

– Będziesz się dzielił sekretarką z Cunninghamem obok. Mój gabinet jest kawałek dalej, gdybyś czegoś potrzebował. Na twoim miejscu przeniosłabym się jak najszybciej, bo pan Rush może chcieć do ciebie zajrzeć.

Przeprowadzka potrwała piętnaście minut. Kyle odbył cztery spacery między boksem a nowym gabinetem, w ostatnim towarzyszyła mu Dale ze śpiworem i laptopem. Była dumna, że tak mu się udało, i podsunęła nawet kilka pomysłów w kwestii udekorowania wnętrza.

– Szkoda, że nie masz tu kanapy – parsknęła.

– Nie w biurze, kochanie.

– To gdzie i kiedy?

– Rozumiem, że jesteś w nastroju.

– Muszę się czuć kochana, a co najmniej pożądana.

– No to może kolacja i potem szybki numerek?

– No to może maraton, a potem szybka kolacyjka.

– O rany!

O siódmej wymknęli się z biura i pojechali taksówką do niej. Kyle właśnie rozpinał guziki koszuli, gdy jego FirmFon zasygnalizował nadejście maila. Nieznany mu bliżej wspólnik rozesłał go na kilkanaście adresów; wzywał adresatów do natychmiastowego stawienia się w biurze i dodawał, że sprawa jest tak ważna, że może zaważyć na przyszłości całej firmy. Kyle wzruszył ramionami i zgasił światło.

Rozdział 32

Tylko na złość Benniemu Kyle przyszedł na wtorkowe spotkanie w hotelu Four Seasons spóźniony trzy kwadranse. Spodziewał się zastać Nigela, więc nie zaskoczyło go, że to on otworzył drzwi, ostentacyjnie udając radość ze spotkania.

– Kyle, staruszku, co u ciebie? – zaćwierkał ze sztucznym uśmieszkiem.

– Świetnie. A ty jak się nazywasz?

– Nigel.

– Ach tak, zapomniałem. A nazwisko?

– Przykro mi, staruszku.

– Nie masz nazwiska czy masz ich tyle, że już zapomniałeś, które jest dla mnie?

– Dobry wieczór, Kyle – powiedział Bennie, wstając z fotela i składając gazetę.

– Jakże miło cię widzieć, Bennie. – Kyle rzucił aktówkę na łóżko, ale nie zdjął płaszcza. – To kto zwołał to spotkanie?

– Opisz nam to pomieszczenie na siedemnastym piętrze. – Bennie odpuścił sobie

wszelkie wstępy.

– Już je opisałem.

– Dziesięć monitorów na dziesięciu stołach, tak? – wtrącił Nigel.

– Tak.

– A gdzie są te komputery?

– Stoją na stołach, obok monitorów.

– Jak wyglądają? Wysokie i smukłe, niskie i przysadziste? Powiedz mi coś o nich, Kyle.

– Kwadratowe pudła, stoją po prawej od monitorów.

Na sekretarzyku obok telewizora leżała otwarta broszura.

– Przyjrzyj się tym komputerom, Kyle – powiedział Nigel, sięgając po nią. – Masz tu różne kształty i wielkości komputerów produkowanych w różnych krajach świata. Widzisz tu coś podobnego?

Kyle bez pośpiechu przejrzał broszurę. Na każdej stronie widniały kolorowe fotografie ośmiu komputerów, stron było dziesięć, w sumie osiemdziesiąt komputerów różnych kształtów i wielkości. Wskazał jeden z nich, wyglądem bardziej przypominający drukarkę atramentową niż komputer.

– Rzeczywiście dość kwadratowy – przyznał Nigel. – Po ile gniazd napędów?

– Ani jednego.

– W ogóle nie mają stacji dysków? Jesteś pewny?

– Tak. Komputery zostały zbudowane na zamówienie z myślą o maksymalnym zabezpieczeniu danych. Nie mają zewnętrznych napędów ani żadnych portów, które umożliwiałyby przenoszenie danych.

– A panel sterowania? Przełączniki, przyciski, lampki kontrolne, cokolwiek.

– Nic z tych rzeczy. Proste kremowe pudło.

– A serwer?

– Pod kluczem w sąsiednim pomieszczeniu. W ogóle go nie widziałem.

– Ciekawe. A monitory?

– Zwykłe płaskie monitory LCD.

– Popatrzmy. – Nigel otworzył broszurę na innej stronie i oczom Kyle'a ukazał się zestaw monitorów. – Z jakim ekranem?

– Czternastocalowym.

– Rozumiem, że kolorowym?

– Tak.

Kyle zatrzymał się na trzeciej stronie i pokazał palcem.

– Ten wygląda bardzo podobnie – powiedział.

– Doskonale – mruknął Bennie.

– A co z drukarkami? – spytał Nigel.

– Brak.

– Nie ma ani jednej?

– Ani jednej.

Nigel zamilkł i w zamyśleniu podrapał się po policzku.

– Powiedzmy, że musisz sporządzić jakąś notatkę czy konspekt. Co robisz, jeśli chcesz to wydrukować?

– Powiadamiam kierownika, a on przychodzi i czyta tekst na ekranie, sprawdza, poprawia i tak dalej. I jeżeli jest to dokument do przedstawienia w sądzie, zostaje wydrukowany.

– Gdzie? Powiedziałeś, że nie ma żadnych drukarek.

– Drukarka stoi w sąsiednim pomieszczeniu i nadzoruje ją jeden z pracowników. Każdy wydruk jest kodowany, kopiowany i rejestrowany. Nie da się nic wydrukować bez zostawienia śladu.

– Całkiem sprytnie pomyślane, trzeba przyznać. – Nigel zrobił krok do tyłu i zamilkł.

– Kyle, ile razy byłeś w tym pomieszczeniu? – spytał Bennie, przejmując pałeczkę.

– Codziennie przez ostatnie pięć dni.

– Ile osób zwykle tam przebywa?

– Różnie. W niedzielę wieczorem przez godzinę byłem sam. Dziś rano było nas pięć czy

sześć osób.

– Byłeś tam pod sam koniec dnia, kiedy zamykają na noc?

– Jeszcze nie.

– To zrób to. Posiedź tam do dziesiątej.

– Nie mogę tak po prostu wejść i posiedzieć, Bennie. To nie kawiarnia. Wszystko odbywa się pod ścisłym nadzorem ludzi i kamer. Muszę mieć jakiś konkretny powód, żeby tam wejść. Chęć posiedzenia tam nie wystarczy.

– Czy ktoś kontroluje wszystkie wejścia i wyjścia?

– Przy drzwiach nie ma strażnika, ale każde włożenie karty do zamka przy wchodzeniu i wychodzeniu zostaje automatycznie zarejestrowane. Jestem pewien, że przebywanie w pomieszczeniu jest ściśle monitorowane.

– Czy wchodzisz tam ze swoją aktówką?

– Nie.

– Wnoszenie czegoś jest zabronione?

– Nie.

– Masz na sobie marynarkę?

– Nie. Noszenie marynarek w biurze nie jest obowiązkowe.

Bennie i Nigel przez chwilę patrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Wybierasz się tam jutro? – spytał Bennie.

– Może. Jeszcze nie wiem. Zależy, co mi rano dadzą do zrobienia.

– Chciałbym, żebyś jutro tam poszedł w marynarce i z aktówką. Jak tylko usiądziesz, od razu zdejmij marynarkę i wstaw aktówkę pod stół.

– Uda ci się, Kyle? – upewnił się Nigel.

– Pewno, czemu nie? Coś jeszcze? Może jeszcze wziąć paczkę tacos i rozsypać okruchy sera po klawiaturze? Do czego to zmierza?

– Po prostu nam zaufaj, Kyle – rzekł łagodnie Nigel. – Wiemy, co robimy.

– Jesteś ostatnim człowiekiem na świecie, któremu bym zaufał.

– Przestań, Kyle.

– Słuchajcie, jestem zmęczony. Chciałbym już pójść…

– Jakie masz plany na najbliższe dni? – spytał Bennie.

– Jutro jestem w pracy, wyjdę około piątej po południu i wsiądę w pociąg do Filadelfii, tam wynajmę samochód i pojadę do Yorku. W czwartek będę świętował Dziękczynienie na kolacji z ojcem. Wrócę do miasta w piątek późnym popołudniem i będę w pracy w sobotę o świcie. Może być?

– Spotkamy się w niedzielę wieczorem.

– W moim mieszkanku, czy twoim?

– Poinformuję cię o szczegółach.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, chłopcy – mruknął Kyle, ruszając do wyjścia.

Na drzwiach swego nowego gabinetu Kyle powiesił dwa trencze przeciwdeszczowe, jeden czarny, drugi jasnobrązowy. W czarnym chodził na co dzień do pracy, a także kręcił się po mieście. Brązowego używał rzadko – w zasadzie tylko wtedy, gdy chciał, by nikt go nie śledził. O czternastej trzydzieści w środę zarzucił go na rękę i zjechał windą na pierwsze piętro, tam przesiadł się do windy serwisowej i zjechał do podziemia. Włożył trencz i klucząc wśród potężnych rur hydraulicznych, wiązek kabli i kotłów grzejnych, dotarł do stalowych schodków. Zamienił parę słów z konserwatorem, z którym nieraz już rozmawiał, i wyszedł z budynku na wąski przesmyk między jego gmachem a sąsiednim wielkim biurowcem. Dziesięć minut później był już w gabinecie Roya Benedicta.

W rozmowie telefonicznej Benedict przedstawił mu plan i Kyle nie był nim szczególnie zachwycony.

W przeciwieństwie do jego adwokata, który był pełen entuzjazmu. Przestudiował zostawione przez Kyle'a materiały, przeanalizował fakty i możliwości, oszacował niebezpieczeństwa i był gotów do działania.

– Mam kolegę w FBI, któremu w pełni ufam – powiedział. – Pracowaliśmy z sobą, nim zostałem prawnikiem, i choć teraz jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, nadal bez zastrzeżeń mu ufam. A może nawet bardziej. Jest grubą rybą w nowojorskiej placówce FBI.

Kyle powrócił myślami do ostatniego kontaktu z agentami Biura FBI. Kojarzył mu się z fałszywymi nazwiskami, fałszywymi odznakami i długą nocą w pokoju hotelowym z Benniem.

– Tak? – rzucił niepewnym tonem.

– Chcę się z nim spotkać i wyłożyć wszystko na stół. Absolutnie wszystko.

– I co on wtedy zrobi?

– Zostały popełnione określone przestępstwa. Inne są w planach, i to nie jakieś drobne wykroczenia. Myślę, że będzie równie zaszokowany jak ja. I włączy w to FBI.

– Federalni zapuszkują Benniego?

– Oczywiście. A ty nie chcesz, żeby trafił za kratki?

– Oby siedział do końca życia. Tylko że facet dysponuje bardzo rozbudowaną siatką, o której nic nie wiemy.

– FBI umie zastawiać pułapki. Czasami im nie wychodzi, ale w sumie są naprawdę dobrzy. Mam z nimi stale do czynienia i wiem, jacy potrafią być sprytni. Jeśli ich teraz powiadomię, po cichu przygotują teren. W razie potrzeby są w stanie uruchomić całą armię i osaczyć wroga. A tobie przyda się armia.

– Dzięki.

– Tyle że muszę mieć twoją zgodę na powiadomienie FBI.

– A może się zdarzyć, że się temu przyjrzą i odpuszczą?

– Tak, ale wątpię, by tak się stało.

– Kiedy porozmawiasz z tym swoim kumplem?

– Może jeszcze dziś po południu.

– Dobra, zróbmy to – powiedział Kyle, niemal bez wahania.

Rozdział 33

Gdy Kyle wślizgiwał się przez niezamknięte na klucz kuchenne drzwi do rodzinnego domu w Yorku, zbliżała się już północ. W domu było ciemno, nie paliło się żadne światło. Ojciec wiedział, że syn dojedzie późnym wieczorem, ale Johnowi McAvoyowi nigdy nic nie zakłócało nocnego snu. Zack, staruszek border collie, któremu jeszcze się nie zdarzyło spotkać obcego i nie pokochać go od pierwszego wejrzenia, zwlókł się ze swego posłania w kącie śniadaniowym i przyszedł się przywitać. Kyle poczochrał go po łbie, uradowany, że raz jeszcze go widzi. Wiek Zacka i jego pochodzenie stanowiły zagadkę. Trafił do nich od jednego z klientów w formie częściowej zapłaty honorarium adwokackiego i od początku lubił spędzać życie pod biurkiem Johna McAvoya, przesypiając pod nim najgorętsze nawet dyskusje prawnicze. Lunch zjadał zwykle w kancelaryjnej kuchni w towarzystwie jednej z sekretarek.

Kyle zsunął ze stóp mokasyny i przeszedł na palcach po schodach do swojego pokoju. Parę minut później leżał już opatulony w pościel i spał.

Niecałe pięć godzin później John wparował z impetem do pokoju, niemal wyłamując drzwi.

– Wstawaj, ty śpiochu. Wyśpisz się po śmierci.

W szufladzie Kyle znalazł stare ciepłe gatki i wełniane skarpetki, z szafy spośród zakurzonych ciuchów z czasów licealnych wygrzebał kombinezon używany do polowań. Brak kobiety w domu oznaczał, że na wiszących w szafie ubraniach gromadziły się pajęczyny i kurz. Buty do polowań stały dokładnie tam, gdzie je postawił po ubiegłorocznym Święcie Dziękczynienia.

Ojciec siedział przy stole kuchennym, szykując się do boju. Trzy strzelby z lunetami leżały gotowe obok kilku pudełek amunicji. Kyle, który od dziecka uczestniczył w rytuale polowań, był pewien, że poprzedniego wieczoru broń została dokładnie wyczyszczona.

– Dzień dobry – rzucił John na widok syna. – Gotowy?

– Mhm. A co z kawą?

– W termosie. O której dojechałeś?

– Dopiero co.

– Młody jesteś. Ruszamy.

Załadowali sprzęt do forda pick-upa z napędem na cztery koła, ulubionego środka transportu Johna po Yorku i okolicy. Kwadrans po zerwaniu z łóżka Kyle już jechał w ciemnościach zimnego listopadowego poranka, sącząc czarną kawę i pogryzając owsiany batonik. Miasto wkrótce zostało za nimi, drogi zrobiły się węższe.

John palił papierosa, wydmuchując dym przez szparę w niedomkniętym oknie kierowcy i jak zwykle rano prawie się nie odzywał. Spędzając całe dnie w ruchliwej małomiasteczkowej kancelarii prawnej i mając wokół dzwoniące telefony, niecierpliwych klientów i kręcące się sekretarki, potrzebował paru godzin porannej ciszy.

Kyle, wciąż jeszcze senny, z niedowierzaniem przypatrywał się otaczającym go pustym przestrzeniom i drogom, napawając się brakiem ludzi i kontaktem z przyrodą. Co go właściwie ciągnie do wielkiego miasta? Zatrzymali się pod bramą, Kyle wysiadł i ją otworzył, po czym wjechali na pagórkowaty teren. Horyzont na wschodzie pozostawał zupełnie ciemny.

– No to jak twój romans? – spytał, postanawiając przerwać ciszę. Ojciec wspominał

mu o związku z nową kobietą, tym razem całkiem poważnym.

– Raz lepiej, raz gorzej. Szykuje dzisiejszą kolację.

– Jak jej na imię?

– Zoe.

– Zoe?

– Zoe. To greckie imię.

– Jest Greczynką?

– Jej matka jest Greczynką. Ojciec to typowy anglomieszaniec. Zoe jest czystej krwi etniczną kundlicą, jak większość z nas.

– Fajna?

John pstryknął popiół za okno.

– Myślisz, że bym się z nią spotykał, jakby nie była fajna?

– Tak, bo pamiętam Rhodę. Co to była za zołza!

– Rhoda była gorąca. Po prostu nie doceniłeś jej urody.

Samochód wjechał na wyboisty odcinek drogi i zaczęło nimi rzucać.

– Skąd jest Zoe?

– Z Reading? Po co te wszystkie pytania?

– Ile ma lat?

– Gorące czterdzieści dziewięć.

– Ożenisz się z nią?

– Nie wiem. Ale rozmawialiśmy o tym.

Droga ze żwirowej zamieniła się w bitą. John zaparkował na skraju pola i zgasił światła.

– Czyj to teren? – spytał Kyle.

– Należał do rodziny byłego męża Zoe. Dostała go w ramach podziału majątku po rozwodzie. Osiemdziesiąt hektarów, które aż się roją od jeleni.

– Nie żartuj.

– Naprawdę. Wszystko oficjalnie i zgodnie z prawem.

– I ty przeprowadzałeś ten rozwód?

– Pięć lat temu. Ale zaczęliśmy się spotykać dopiero przed rokiem. No, może rok wcześniej. Dokładnie nie pamiętam.

– Czyli będziemy polować na terenie Zoe?

– Tak, ale jej to obojętne.

Ach, ci małomiasteczkowi adwokaci, pomyślał Kyle. Przez dwadzieścia minut szli wzdłuż brzegu lasu, nie zamieniając ani słowa. Zatrzymali się pod wielkim wiązem w chwili, gdy rozciągającą się przed nimi niewielką dolinkę rozświetliły pierwsze promienie wschodzącego słońca.

– Bill Henry w zeszłym tygodniu ustrzelił na tamtym zboczu ósmaka – powiedział John,

wyciągając rękę. – Zdarzają się tu wielkie byki. Jeśli jemu się udało, to każdemu może się udać.

Na pniu wiązu wisiała ambona na jelenie, do której prowadziła chwiejna sześciometrowa drabina.

– Zostań tu – nakazał John. – Ja stanę sto metrów dalej na takiej samej. Strzelamy tylko do byków, zgoda?

– Jasne.

– Masz ważne pozwolenie łowieckie?

– Chyba już nie – odparł Kyle.

– Nie ma sprawy. Lester jest tu nadal strażnikiem zwierzyny łownej. W zeszłym miesiącu wybroniłem jego syna od więzienia. Handlował metą.

John ruszył dalej, ale nim się skrył w ciemnościach, jeszcze się odwrócił.

– Tylko uważaj i nie zaśnij! – zawołał.

Kyle zawiesił broń na ramieniu i wspiął się po drabinie. Ambona była przymocowanym do pnia podestem zbitym z desek i jak wszystkie tego typu konstrukcje nie odznaczała się nadmierną dbałością o wygodę myśliwego. Chwilę się powiercił, w końcu usiadł, oparł się plecami o drzewo i zwiesił nogi. Bywał na takich ambonach już jako pięcioletnie dziecko i nauczył się trwać w absolutnym bezruchu. Lekki

wiaterek szeleścił w liściach, słońce szybko wspinało się po niebie. Wkrótce jelenie wyjdą z leśnych ostępów i wejdą na pole w poszukiwaniu trawy i kukurydzy.

Strzelbą był remington 30.06, prezent na jego czternaste urodziny. Kyle przytulił go do piersi i niemal natychmiast zapadł w drzemkę.

Huk wystrzału wytrącił go ze snu. Kyle odruchowo skierował w stronę gąszczu broń gotową do strzału i spojrzał na zegarek. Przedrzemał całe czterdzieści minut. Po lewej, gdzie skrył się ojciec, dostrzegł białe ogonki zwierząt rzucających się ucieczki. Minęło dziesięć minut w kompletnej ciszy. Widać ojciec spudłował i wciąż czekał w ukryciu.

Po godzinie Kyle znów zaczął walczyć z ogarniającą go sennością.

Święto Dziękczynienia. W tym dniu biura Scully & Pershing były oficjalnie zamknięte, wiedział jednak, że paru gorliwców w dżinsach i butach z cholewkami siedzi w pracy i nabija godziny. Jest też na pewno kilku wspólników, których gonią terminy. Pokręcił z politowaniem głową.

Usłyszał jakiś hałas. Ktoś nadchodził, nie starając się zachować ciszy. Wkrótce pod wiązem stanął John.

– Chodź, idziemy stąd – powiedział. – Kawałek za tym polem płynie strumień, ulubiony wodopój tutejszej zwierzyny.

Kyle nie zdążył do końca zejść z ambony, gdy ojciec rzucił z wyrzutem:

– Nie widziałeś tego byka?

– Nie.

– Nie wiem, jak mogłeś go przegapić. Przebiegł ci tuż przed nosem.

– To ten, do którego strzelałeś?

– Tak, co najmniej dziesiątak.

– Czyli ty też go nie ustrzeliłeś.

Wrócili do samochodu, sięgnęli po termos i przysiedli na krawędzi paki, siorbiąc mocną kawę z papierowych kubków i żując resztę owsianych batoników.

– Tato, ja już nie chcę polować – powiedział Kyle. – Musimy porozmawiać.

Ojciec początkowo słuchał cierpliwie, potem zapalił papierosa. Dochodząc do śledztwa w sprawie gwałtu, Kyle spodziewał się gwałtownej reakcji i lawiny pełnych urazy pytań, dlaczego wtedy nie zwrócił się o pomoc. Ale John słuchał bez słowa, jakby już to wszystko wiedział i tylko czekał na spowiedź.

Pierwsze oznaki gniewu pojawiły się dopiero z pojawieniem się na scenie Benniego.

– Zaszantażowali cię – syknął i zapalił następnego papierosa. – Sukinsyny!

– Proszę, wysłuchaj mnie do końca. – Kyle nieco podkręcił tempo opowieści.

Szczegóły płynęły z jego ust nieprzerwanym strumieniem, a on kilka razy uniósł rękę, by ojciec mu nie przerywał. Po chwili John przestał próbować i tylko słuchał w niemym zdumieniu o nagraniu, Joeyu, Baxterze, morderstwie, Trylonie i Bartinie i tajnym pomieszczeniu na siedemnastym piętrze. O spotkaniach z Benniem i Nigelem, planie wykradzenia dokumentów i dostarczenia ich wrogowi. I na koniec o zwróceniu się o pomoc do Benedicta i włączeniu w to FBI.

Kyle kilkakrotnie przeplótł swą opowieść przeprosinami, że nie zwrócił się z tym do ojca, oraz przyznał się do popełnienia błędów – zbyt wielu, by je wszystkie wymieniać. Otworzył przed ojcem duszę i gdy wreszcie skończył, słońce znajdowało się już wysoko, po kawie w termosie nie było śladu, a jelenie poszły w zapomnienie.

– Myślę, że potrzebuję twojej pomocy – zakończył.

– Myślę, że przede wszystkim potrzebujesz zdrowego skopania tyłka za to, że nic mi nie powiedziałeś.

– To prawda.

– Boże święty, synu, w coś ty się wpakował!

– Nie miałem wyboru. To nagranie mnie przeraziło i bałem się kolejnego śledztwa w sprawie gwałtu. Gdybyś je widział, sam byś zrozumiał.

Zostawili strzelby w samochodzie i poszli na długi spacer wąskim leśnym traktem.

Pieczony indyk wraz ze wszystkimi dodatkami został przygotowany przez miejscowe delikatesy, które przyjmowały zamówienia na świąteczną ucztę od klientów niechcących zawracać sobie głowy przygotowaniami. John zajął się nakrywaniem stołu, Kyle pojechał po matkę.

Patty otworzyła drzwi radośnie uśmiechnięta i wyściskała syna. Zażyła lekarstwa i była ubrana i gotowa do wyjścia, przedtem jednak oprowadziła Kyle’a po pracowni, chwaląc się swymi najnowszymi arcydziełami. W końcu udało mu się wyciągnąć ją z domu, wsadzić do samochodu z wypożyczalni i wyruszyć na krótką

przejażdżkę ulicami Yorku. Usta miała umalowane, na twarzy pełen makijaż; włożyła ładną pomarańczową sukienkę, którą Kyle pamiętał z lat chłopięcych. Włosy miała świeżo umyte, uczesane i niemal zupełnie białe. Przez całą drogę zasypywała go opowieściami o miejscowych, których znała lata temu, skacząc z tematu na temat tak niespodziewanie, że w innych okolicznościach mogło to być całkiem zabawne.

Kyle'owi na jej widok ulżyło, bo równie dobrze mogła zapomnieć o zażyciu lekarstw i zachowywać się w sposób nieodpowiedzialny. Rodzice przywitali się grzecznym uściskiem i zaczęli wspominać bliźniaczki, z których jedna mieszkała w Santa Monica, druga w Portlandzie i żadna nie odwiedziła Yorku już od ponad roku. Zadzwonili kolejno do obu i przekazywali sobie słuchawkę. Telewizor w salonie był włączony bez dźwięku, na ekranie trwał mecz futbolowy. Usiedli do stołu i Kyle rozlał wino do trzech kieliszków, ale matka odmówiła choćby umoczenia ust.

– A ty zacząłeś pić wino? – spytał John, stawiając na stole niewielkiego indyka.

– Tak, ale bardzo mało.

Obaj zajęli się obsłużeniem Patty; nakładali jej na talerz i starali się, by czuła się jak najlepiej, a ona z zapałem paplała o swojej sztuce i zdarzeniach sprzed lat. Udało jej się nawet spytać Kyle'a o jego karierę w Nowym Jorku, a on odpowiedział tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Wcześniejsze rozmowy spowodowały, że przy stole panowała dość naprężona atmosfera między ojcem a synem, ale Patty niczego nie zauważyła. Prawie nic nie zjadła, za to oni obaj poświęcili dużo uwagi zawartości talerzy. Po dziobnięciu tarty pekanowej i wypiciu kawy oświadczyła, że jest zmęczona i chciałaby wrócić do domu. Kyle bez słowa protestu poprowadził ją do samochodu i odbył dziesięciominutową przejażdżkę do jej domu.

Mecz dobiegł końca i płynnie przeszedł w następny. Kyle na kanapie i John na rozkładanym fotelu zerkali na ekran między długimi chwilami drzemki, prawie się nie odzywając. Atmosfera była ciężka od niewypowiedzianych słów, niezadanych pytań i nieomówionych planów. Ojciec miałby ochotę

pouczać i krzyczeć, ale syn był zbyt rozbity i bezbronny.

– Przejdźmy się na spacer – zaproponował Kyle, gdy już niemal się ściemniło.

– Spacer dokąd?

– Zrobimy sobie rundkę wokół kwartału. Chciałbym porozmawiać.

– A nie możemy rozmawiać w domu?

– Chodźmy się przejść.

Włożyli kurtki i wzięli na smycz Zacka.

– Przepraszam, ale nie lubię rozmawiać o poważnych sprawach w zamkniętych pomieszczeniach – powiedział Kyle po paru krokach.

John zapalił papierosa z wprawą wieloletniego palacza, nie zatrzymując się i nie myląc kroku.

– Aż się boję spytać dlaczego – mruknął.

– Pluskwy, mikrofony, dranie słuchający rozmów.

– Mów prosto z mostu. Sądzisz, że ci dranie mogli założyć podsłuch w moim domu?

Szli ulicą, po której Kyle często wałęsał się jako dziecko. Znał właścicieli stojących przy niej domów i związane z nimi opowieści.

– Co się dzieje z panem Polkiem? – spytał, wskazując głową jeden z nich.

– Szczęśliwie w końcu zmarł. Przeżył pięćdziesiąt lat na wózku inwalidzkim. Bardzo smutne. Ale wróćmy do mojego pytania. Bo nie wybraliśmy się na spacer po to, żeby powspominać, prawda?

– Nie, nie sądzę, żeby twój dom lub kancelaria były na podsłuchu, ale nie da się tego wykluczyć. Ci ludzie mają szpiegowanie we krwi i dysponują nieograniczonym budżetem. A założenie podsłuchu jest banalnie proste. Wierz mi, bo jestem w tych sprawach ekspertem. Potrafię w ciągu pół godziny skonstruować amatorskie urządzenie podsłuchowe z części kupionych w pierwszym lepszym sklepie RadioShack.

– I jak zdobyłeś taką wiedzę?

– Z książek, z instrukcji. Na Manhattanie jest sklep ze szpiegowskimi gadżetami i czasem tam zaglądam. Jak uda mi się zgubić ogon.

– To nie do wiary, Kyle. Gdybym cię nie znał, tobym powiedział, że ci kompletnie odbiło. Mówisz jak paru moich klientów schizofreników.

– Jeszcze nie zwariowałem, tato, ale nauczyłem się dmuchać na zimne i ważne rozmowy prowadzę na wolnym powietrzu.

– W twoim mieszkaniu jest podsłuch?

– O, tak. Wiem o co najmniej trzech ukrytych urządzeniach podsłuchowych. Jedno jest

w otworze klimatyzacyjnym nad kanapą w pokoju, drugie w ścianie sypialni, tuż nad komodą, trzecie w drzwiach kuchennych. Nie mogę ich dokładnie obejrzeć, bo są też trzy maleńkie kamery, co najmniej trzy, które bez przerwy mnie podglądają, gdy jestem w mieszkaniu, co nie zdarza się zbyt często. Udało mi się je zlokalizować pod pozorem wykonywania czynności porządkowych: czyszczenia wlotów powietrza, mycia okien, szorowania podłóg. Mieszkam w prawdziwej norze, ale za to bardzo czystej.

– A telefon?

– Wciąż mam swoją starą komórkę z czasów studenckich i ta jest na podsłuchu. Dlatego jej nie wymieniłem. Wiem, że ją podsłuchują, więc dostarczam im wystarczająco dużo bezwartościowego chłamu, żeby czuli się usatysfakcjonowani. Założyłem telefon stacjonarny i ten na pewno też jest na podsłuchu, ale nie udało mi się go sprawdzić, bo kamery wciąż mnie obserwują. Korzystam z niego do zupełnie niewinnych celów. Dzwonię po pizzę, awanturuję się z gospodarzem domu lub zamawiam taksówkę. – Kyle wyjął z kieszeni FirmFon i pokazał ojcu.

– Ten dostałem od firmy pierwszego dnia pracy i jestem prawie pewien, że jest czysty.

– Pytanie natomiast brzmi: co on robi w twojej kieszeni w Święto Dziękczynienia?

– Z przyzwyczajenia. Ale jest wyłączony. Ważne sprawy omawiam przez telefon biurowy. Uznałem, że jeśli potrafią podsłuchiwać telefony w biurze, to tak czy siak mam przesrane.

– Och, niewątpliwie masz przesrane. Należało mi powiedzieć wiele miesięcy temu.

– Wiem. Należało w różnych sprawach postąpić inaczej, niż postąpiłem, ale działałem pod wpływem impulsu. Byłem przerażony. Wciąż jestem.

Zack podniósł nogę przy hydrancie, John poczuł potrzebę zapalenia kolejnego papierosa. Powiew wiatru poderwał zeschłe liście i zakręcił nimi młynka. Zrobiło się już całkiem ciemno, a czekała ich jeszcze świąteczna kolacja u Zoe.

Resztę spaceru poświęcili na omawianie przyszłości.

Rozdział 34

Ci, którzy odważyli się skorzystać z krótkiej świątecznej przerwy, tym gorliwiej stawili się w pracy wczesnym rankiem w sobotę. Czas spędzony poza biurem dawał im chwilę wytchnienia, ale napięcie towarzyszące wyjazdowi powodowało, że wracali jeszcze bardziej znerwicowani. No i brakowało im godzin do zafakturowania.

Kyle wszedł do tajnego pomieszczenia na siedemnastym piętrze punktualnie o ósmej rano i usiadł przy jednym z komputerów. Przy stołach siedziało już czterech innych członków drużyny Trylona, zajętych niemającym końca grzebaniem w wirtualnym archiwum. Skinął im głową na powitanie, ale żaden nie zareagował. Był w dżinsach i wełnianej sportowej marynarce, w ręku trzymał czarną aktówkę Bally – nieco sfatygowaną skórzaną walizeczkę o grubości piętnastu centymetrów, kupioną w sklepie przy

Piątej Alei tydzień przed stawieniem się do pracy. W biurze używano wyłącznie czarnych aktówek.

Ustawił ją przy nogach, częściowo wsuwając pod stolik z beżowym pudłem komputera, który tak zainteresował drogiego Nigela. Wyjął notatnik i teczkę z dokumentami i rozłożył na stoliku, co od razu nadało mu profesjonalny wygląd. Po chwili zdjął marynarkę, rozwiesił ją na oparciu krzesła i podwinął rękawy koszuli, dając tym samym do zrozumienia, że od tej chwili Trylon płaci firmie następne czterysta dolarów za godzinę.

Szybki rzut oka na salę ujawnił, że poza nim tylko jedna osoba ma aktówkę, a wszystkie marynarki i płaszcze zostały w pokojach na górze. Kyle zagłębił się w futurystyczny świat hiperdźwiękowego bombowca B-10 i czas zaczął wolno płynąć.

Zaletą tajnego pomieszczenia był zakaz korzystania z telefonów komórkowych. Po paru godzinach siedzenia Kyle poczuł, że musi sobie zrobić przerwę, poza tym chciał sprawdzić otrzymane SMS-y. Zależało mu zwłaszcza na wiadomości od Dale, która tego ranka w ogóle się nie zjawiła. Poszedł do siebie, zamknął drzwi – co stanowiło lekkie odstępstwo od firmowych zasad – i zadzwonił na prywatną komórkę. Wszyscy

pracownicy używali prywatnych komórek, traktując je jako oddech od znienawidzonych FirmFonów.

– Tak – rzuciła.

– Gdzie jesteś?

– Nadal w Providence.

– Nie wracasz do Nowego Jorku?

– Nie jestem pewna.

– Czy mam ci przypomnieć, młoda damo, że to twój trzeci dzień bez zafakturowania choćby jednej godziny?

– Rozumiem z tego, że siedzisz w biurze.

– I nabijam godziny jak każdy pierwszoroczny rekrut. Są wszyscy poza tobą.

– To mnie wyrzuć. Podaj mnie do sądu. Jest mi obojętne.

– Z takim podejściem nigdy nie zostaniesz wspólnikiem.

– Możesz mi to przyrzec?

– Pomyślałem o kolacji dziś wieczór. W East Village otworzyli nową knajpę, która właśnie dostała dwie gwiazdki od Franka Bruniego.

– Czy to znaczy, że zapraszasz mnie na randkę?

– Bez przesady. Pracujemy w firmie genderowo neutralnej, więc możemy płacić po połowie.

– Boże, jaki romantyk!

– Romantykowaniem możemy zająć się później.

– A więc o to ci chodzi.

– Jak zawsze.

– Wracam około siódmej. Zadzwonię, kiedy dojadę.

Kyle naliczył Trylonowi dwanaście godzin i zadzwonił po samochód, by zawiózł go na kolację. W restauracji było dwadzieścia stolików, tureckie menu i nie obowiązywały żadne reguły ubraniowe, choć preferowano dżinsy. Po dwóch gwiazdkach w „Timesie" na sali panował tłok i Kyle'owi udało się zdobyć stolik tylko dzięki temu, że ktoś odwołał rezerwację.

Dale czekała w barze, sącząc białe wino i sprawiając wrażenie zrelaksowanej. Ucałowali się w oba policzki, usiedli na tyle blisko siebie, by się zmieścić przy barze, i zaczęli sobie opowiadać przebieg Święta Dziękczynienia, jakby wracali z miesięcznego urlopu na plaży. Oboje rodzice Dale wykładali matematykę w college'u w Providence i choć byli cudownymi ludźmi, wiedli dość monotonne życie. Matematyczne zdolności szybko doprowadziły Dale do

doktoratu, ale po zrobieniu go zaczęła się obawiać, że czeka ją takie życie jak rodziców. I wtedy dała się uwieść uprawianiu prawa znanego z filmów i telewizji jako niekończące się pasmo ekscytujących zdarzeń. Prawa stanowiącego fundament demokracji i wytyczającego pierwszą linię walki w tylu konfliktach społecznych. Skończyła z wyróżnieniem studia prawnicze, dostała oferty pracy z wielu czołowych firm i po trzech miesiącach męczarni w jednej z nich zaczynała gorzko żałować porzucenia matematyki.

Później, siedząc już przy stoliku i sącząc wino, przekazała mu sensacyjną wiadomość:

– Dziś rano odbyłam rozmowę w sprawie pracy.

– Zdawało mi się, że masz już pracę.

– Mam, ale okropną. W Providence działa butikowa kancelaria prawna. Mieści się w przepięknej starej kamienicy. Jeszcze w college'u zatrudniłam się tam któregoś lata w charakterze pomocy biurowej do robienia kopii, parzenia kawy i biegania z papierami. Pracowało tam wtedy około dwudziestu prawników, z czego połowa kobiet, którzy świadczyli typowe usługi prawnicze.

Zadzwoniłam i umówiłam się na rozmowę w sobotę rano.

– Ale przecież masz już prestiżowe stanowisko w największej firmie prawniczej na świecie. Czego chcieć więcej?

– Normalnego życia. Tego samego, czego i ty chcesz.

– Ja chcę być wspólnikiem, dzięki czemu będę mógł codziennie wysypiać się do piątej rano, aż mi stuknie pięćdziesiątka i umrę. Tego chcę.

– Otwórz oczy, Kyle. Bardzo niewielu wytrzymuje dłużej niż trzy lata. Co sprytniejsi odchodzą już po dwóch. Tylko szaleńcy zostają na całe życie.

– Czy to znaczy, że odchodzisz?

– Ja się do tego nie nadaję. Zdawało mi się, że jestem twarda, ale to nie dla mnie.

Kelner przyjął zamówienia i dolał wina do kieliszków. Siedzieli obok siebie w wąskim boksie z widokiem na salę, ręka Kyle'a tkwiła pod stołem między jej kolanami.

– Kiedy zamierzasz odejść? – zapytał.

– Najszybciej, jak to możliwe. Dziś rano praktycznie błagałam o przyjęcie mnie do pracy. Jak nie dostanę propozycji, będę dalej pukać. Praca tu to szaleństwo i ja się z tego wypisuję.

– Gratuluję. Cała nasza grupa będzie ci zazdrościć.

– A co z tobą?

– Nie mam pojęcia. Mam takie uczucie, jakbym dopiero co zaczął. Wszyscy jesteśmy w szoku, ale to przejdzie. Na razie to obóz rekrucki i jesteśmy trochę poobijani.

– Nie życzę sobie więcej siniaków. Raz już zemdlałam i więcej się to nie zdarzy. A na razie zwalniam do pięćdziesięciu godzin tygodniowo i niech spróbują mi coś powiedzieć.

– Powodzenia, dziewczyno.

Kelner przyniósł półmisek oliwek i koziego sera i oboje zabrali się do jedzenia.

– Jak było w Yorku? – spytała.

– Jak zwykle. Zjadłem lunch z moją prawdziwą matką i kolację z przyszłą, wziąłem udział w szybkim polowanku na jelenie, podczas którego nikt niczego nie ustrzelił, i odbyłem długą rozmowę z tatą.

– O czym?

– O tym co zwykle. O życiu. O przeszłości. O przyszłości.

Nigel uczestniczył w drugim spotkaniu z rzędu i na długo przed przyjściem Kyle’a do

hotelu zajął się przygotowaniami. Na małym biureczku ustawił komputer bardzo podobny z opisu do tych na siedemnastym piętrze, obok umieścił monitor identyczny z tym, przed jakim Kyle spędził wczoraj dwanaście godzin.

– Jesteśmy blisko, Kyle? – zaćwierkał pogodnie, wskazując ręką swe dzieło. – Proszę, siadaj.

Kyle usiadł przy biurku, czując na sobie czujne spojrzenia Nigela i Benniego.

– Wygląda bardzo podobnie – przyznał.

– Jak wiesz, rozmawiamy na razie o samym sprzęcie. Nie jest to najważniejsze, ale chcemy zidentyfikować producenta, nic więcej. Najistotniejsze jest oprogramowanie i zdajemy sobie z tego sprawę. Jak nam to wyszło?

Na komputerze i na monitorze nie było nazw producenta ani żadnych oznaczeń modelu czy serii. Wydawały się tak samo bezosobowe jak urządzenia, które próbowali podrobić.

– Wyglądają bardzo podobnie – powtórzył Kyle.

– Przyjrzyj im się dobrze i znajdź jakieś różnice, kolego – rzekł z naciskiem Nigel. Stał nachylony nad Kyle’em i wpatrywał się w ekran.

– Tamten komputer jest trochę ciemniejszy, niemal szary, szeroki na czterdzieści

centymetrów i wysoki na pięćdziesiąt.

– Zmierzyłeś go?

– Oczywiście. Jako miarki użyłem notatnika.

– Zuch z ciebie! – wykrzyknął z zachwytem Nigel i rozłożył ręce, jakby chciał go uściskać. Bennie też nie umiał ukryć uśmiechu. – To musi być Fargo.

– Co?

– Fargo, producent specjalistycznych komputerów z San Diego. Specjalizują się w zamówieniach rządowych i wojskowych, również masowo obsługują CIA. Potężne solidne komputery wyposażone w tyle zabezpieczeń i różnych gadżetów, że nie uwierzyłbyś. Nie znajdziesz ich w sklepie w żadnym centrum handlowym. No i firma Fargo należy do Deene, które wiadomo, czyim jest klientem. Scully and Pershing chroni sobie tyłek za tysiąc dolców za godzinę.

Nigel nacisnął klawisz na klawiaturze i na ekranie wyświetlił się obraz, z jakim Kyle nigdy wcześniej się nie zetknął. Z całą pewnością nie była to strona startowa Microsoftu czy Apple.

– Jak w tamtym komputerze wygląda strona startowa? Coś zbliżonego do tej?

– Nie, ani trochę niepodobna. Po uruchomieniu pokazuje się tylko jedna ikonka od

instrukcji obsługi i nic więcej. Żadnych ikon, pól dialogowych, pasków, opcji formatu. Tylko sam skorowidz dokumentów. Po włączeniu komputera i wpisaniu kodu i hasła czekasz około piętnastu sekund i od razu wchodzisz do biblioteki. Żadnych informacji systemowych, żadnych komunikatów, żadnego panelu sterowania.

– Niesłychane! – Nigel nie odrywał wzroku od ekranu. – A ten skorowidz, Kyle?

– To prawdziwy labirynt. Zaczyna się od podziału dokumentów na kategorie, potem dzieli je na podkategorie i podpodkategorie. Wyszukanie konkretnego dokumentu nie jest wcale proste.

Nigel zrobił krok do tyłu i przeciągnął się; jego miejsce zajął Bennie.

– Powiedzmy, że chcesz znaleźć opis prac badawczych nad powietrzno-przepływowymi silnikami B-dziesięć oraz wykaz przetestowanych typów paliwa wodorowego. Jak byś to zrobił?

– Nie wiem. Jeszcze tego nie robiłem. Nigdy nie słyszałem o silnikach powietrzno-przepływowych. – Tak rzeczywiście było, ale Kyle postanowił postawić w tym miejscu kropkę. Przy czterech milionach dokumentów w bibliotece

mógł łatwo twierdzić, że nie ma pojęcia o tym, o co go pytają.

– Ale umiałbyś to znaleźć?

– Umiałbym szybko znaleźć, gdybym wiedział, gdzie tego szukać. Program Hiper jest bardzo szybki, ale ma miliony stron do przeszukania.

Bennie w podnieceniu gestykulował i mówił z większym naciskiem niż zwykle, Nigel wyglądał na wręcz oszołomionego rewelacjami Kyle'a. Widać było, że są poruszeni jego postępami.

– Byłeś tam wczoraj? – upewnił się Bennie.

– Tak, cały dzień.

– Z aktówką i marynarką?

– Tak, wniosłem je bez problemu. Poza moją była jeszcze jedna aktówka. Nikt tego nie sprawdza.

– Kiedy znów tam będziesz? – zapytał Bennie.

– Ekipa ma odprawę rano i bardzo możliwe, że dostanę następne zadanie. Na pewno w poniedziałek lub wtorek.

– Spotkajmy się we wtorek wieczorem.

– Już nie mogę się doczekać.

Rozdział 35

Jako pełnoprawny członek ekipy Trylona Kyle zaczynał każdy tydzień o siódmej rano od odprawy w ogromnej sali konferencyjnej, której nigdy wcześniej nie widział. Po trzech miesiącach pracy nadal ze zdumieniem odkrywał miejsca spotkań, antresole, półpiętra i kameralne sale biblioteczne, o których istnieniu nie miał pojęcia. W firmie przydałby się przewodnik po pomieszczeniach.

Sala mieściła się na czterdziestym piętrze i była tak ogromna, że zmieściłaby się w niej niejedna kancelaria prawnicza. Stół pośrodku przypominał długością tor w kręgielni; po jego obu stronach zasiadło około czterdziestu prawników i sącząc kawę, szykowało się do kolejnego długiego tygodnia pracy. Siedzący przy końcu stołu Wilson Rush wstał, odchrząknął i zapadła głucha cisza.

– Dzień dobry. Zaczynamy naszą cotygodniową odprawę. Proszę wszystkich

o zwięzłe wypowiedzi. Dzisiejsza sesja potrwa tylko godzinę.

Nikt nie miał wątpliwości, że rozejdą się punktualnie o ósmej.

Kyle usiadł możliwie jak najdalej od szczytu stołu, pochylił głowę i zaczął robić notatki, których nikt – nawet on sam – nie byłby w stanie odczytać. Ośmiu wspólników kolejno wstawało i informowało o tak ekscytujących wydarzeniach jak złożone ostatnio w sądzie wnioski, najnowsze kłótnie o dostęp do dokumentów i udział ekspertów, nowe posunięcia APE i Bartina. Doug Peckham złożył sprawozdanie na temat skomplikowanego wniosku o udostępnienie materiałów, które wszystkich niemal uśpiło.

Ale Kyle'owi udawało się zachować trzeźwość umysłu i nie przestając pisać w notatniku, powtarzał sobie w duchu, że nie wolno mu parsknąć śmiechem na myśl o absurdalności całej sytuacji. Był szpiegiem perfekcyjnie ulokowanym przez swego prowadzącego i miał dostęp do tajemnic tak ważnych, że nie potrafił nawet docenić ich znaczenia. A musiały być niezwykle cenne, skoro ktoś był gotów za nie zabić.

Popatrzył na Isabelle Gaffney, która jako następna zabrała głos, i powędrował wzrokiem

po torze kręglarskim do miejsca, gdzie siedzący przy końcu Wilson Rush zdawał mu się przyglądać. A może nie. Odległość między nimi była ogromna, starszy pan miał na nosie okulary i trudno było ocenić, na co naprawdę patrzy.

Ciekawe, co by zrobił, gdyby znał prawdę? Co zrobiliby członkowie ekipy Trylona i inni wspólnicy i prawnicy S&P na wieść o prawdziwej roli młodego Kyle'a McAvoya, niegdyś redaktora naczelnego „Yale Law Journal"?

Konsekwencje byłyby straszne, a myśl o skandalu wywołała u Kyle'a gwałtowne bicie serca. W ustach mu zaschło i łyknął letniej kawy. Najchętniej zerwałby się z miejsca, wypadł z sali, zbiegł po schodach czterdzieści pięter i jak szaleniec pognał ulicami Nowego Jorku.

W czasie przerwy na lunch zastosował swoją sztuczkę z wyjściem przez podziemie i pośpieszył do biura swojego adwokata. Przez chwilę rozmawiali, po czym Benedict oświadczył, że na Kyle'a czekają dwie osoby. Pierwszą był kolega z FBI, drugą wysokiej rangi urzędnik Departamentu Sprawiedliwości. Kyle bez entuzjazmu kiwnął głową i obaj przeszli do sali konferencyjnej.

Szef wydziału FBI nazywał się Joe Bullington i był sympatycznym mężczyzną o jowialnym uśmiechu i mocnym uścisku dłoni. Urzędnik z Departamentu Sprawiedliwości nazywał się Drew Wingate i w przeciwieństwie do Bullingtona miał skrzywioną minę i zachowywał się tak, jakby wyciągnięcie ręki sprawiało mu trudność. Usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym, Kyle i jego adwokat obok siebie po jednej stronie, przedstawiciele władz rządowych po drugiej.

Benedict jako inicjator spotkania przyjął na siebie rolę prowadzącego.

– Przede wszystkim, Kyle, jak długo możesz zostać?

– Około godziny.

– Wcześniej odbyłem kilkanaście rozmów z panami Bullingtonem i Wingate'em i zapoznałem ich z całością sprawy. Teraz powinniśmy wspólnie uzgodnić, na czym stoimy. Joe, opowiedz nam coś więcej o Benniem Wrighcie.

Bullington jak zwykle błysnął uzębieniem, złożył dłonie i zaczął mówić.

– Tak, no cóż, zaczęliśmy od przepuszczenia jego podobizny przez nasz system identyfikacji. Nie będę was zanudzał szczegółami

technicznymi i powiem tylko, że dysponujemy bardzo zaawansowaną siecią komputerową, w której przechowujemy wizerunki milionów osób. Po wprowadzeniu podobizny podejrzanego komputery ją skanują, przeszukują bazę danych i generalnie robią to, co do nich należy. W przypadku pana Wrighta, czy jak tam się naprawdę nazywa, nie odnotowaliśmy żadnego trafienia. Nic, zero. Prawdę mówiąc, jesteśmy tym zaskoczeni, bo byliśmy pewni, że uda nam się go zidentyfikować.

Kyle'a to nie zaskoczyło, ale i tak poczuł zawód. Czytał o superkomputerach używanych przez służby wywiadowcze i liczył na to, że wreszcie się dowie, kim jest dręczący go od wielu miesięcy łajdak.

Bullington uśmiechnął się i mówił dalej:

– Sytuacja z Nigelem może wyglądać inaczej. Wprawdzie wprowadziliśmy do systemu pański portret pamięciowy i komputer nic nie znalazł, ale wygląda na to, że CIA w swoim systemie natrafiło na jakiś ślad. – Bullington otworzył teczkę, wyjął czarno-białą odbitkę w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i podał Kyle'owi, a ten bez chwili wahania potwierdził, że to Nigel.

– To on.

– Doskonale. Naprawdę nazywa się Derry Hobart. Urodził się w Afryce Południowej, wychował w Liverpoolu, został przeszkolony w pionie technicznym brytyjskiego wywiadu, dziesięć lat temu usunięty ze służby za włamanie się do tajnych danych pewnych bogatych Szwajcarów. Powszechnie uważany za jednego z najlepszych hakerów na świecie. Świetny technicznie, ale prawdziwy łajdak i płatny zabójca. Ścigany listami gończymi w co najmniej trzech krajach.

– Jak dużo zdradził pan tym ludziom? – spytał Wingate tonem bardziej przypominającym oskarżenie niż pytanie. Kyle spojrzał pytająco na swojego adwokata, a ten skinął głową.

– Mów wszystko, Kyle. Nie jesteś o nic podejrzany. Nie zrobiłeś nic złego.

– Opisałem im salę komputerową, ale tylko w ogólnych zarysach. Powiedziałem tyle, by poczuli się usatysfakcjonowani, ale bez żadnych szczegółów.

– Odnośnie do pozostałych dwóch portretów pamięciowych – podjął na nowo Bullington – wynik był negatywny. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, to zwyczajni uliczni tajniacy, więc nie są na tyle ważni.

– Zgadza się – potwierdził Kyle.

– Pański portret pamięciowy Hobarta był naprawdę świetny – dodał Bullington.

– Sporządziłem go, korzystając ze strony internetowej QuickFace.com. Każdy by to zrobił.

– Co pan teraz zamierza? – spytał Wingate.

– Spotykamy się znów jutro wieczorem. Plan jest taki, że mam się jakoś włamać do systemu i albo pobrać, albo przesłać dalej wybrane dokumenty. Nie mam pojęcia, jak mam to zrobić. System komputerowy wygląda na idealnie zabezpieczony.

– I kiedy ma do tego dojść?

– Jeszcze mi nie powiedzieli, ale podejrzewam, że niedługo. Mam pytanie.

Widać było, że ani Bullington, ani Wingate nie palą się do odpowiadania na jakiekolwiek pytania, ale Kyle'a to nie zraziło.

– Kim są ci ludzie? – spytał. – Dla kogo pracują?

Bullington wyszczerzył zęby i po chłopięcemu wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie wiemy, Kyle. Hobart jest płatną dziwką, która jeździ po świecie i sprzedaje się temu, kto da więcej. Nie mamy pojęcia, kim jest Bennie. Wspomniał pan, że nie jest Amerykaninem.

– Sądząc po sposobie mówienia.

– Nie wiedząc, kim jest, nie możemy nawet zacząć zgadywać, dla kogo pracuje.

– W lutym, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z Benniem, było z nim co najmniej pięciu agentów. I z całą pewnością wszyscy byli Amerykanami.

Bullington pokręcił głową.

– Zapewne wynajęte pistolety. Oprychy, którym się płaci za konkretne zadanie i na tym koniec. Istnieje cały mroczny świat byłych gliniarzy i agentów, wojskowych i szpiegów, których z różnych powodów usunięto ze służby. Większość z nich nie umie się odnaleźć w normalnym świecie. Zostali wyszkoleni do życia w mroku i w nim żyją i pracują. Są gotowi służyć każdemu, kto im zapłaci. Najprawdopodobniej ta piątka nawet nie wiedziała, co Bennie zamierza.

– A jaką mamy szansę na złapanie morderców Baxtera Tate’a?

Uśmiech na twarzy Bullingtona zgasł i twarze obu gości się zasępiły.

– Najpierw musimy dopaść Benniego – powiedział po chwili milczenia Bullington. – Dopiero wtedy będziemy mogli zidentyfikować jego mocodawców i trafić do jego rzezimieszków od brudnej roboty. Ale jeśli jest profesjonalistą,

a wszystko na to wskazuje, szanse na wydobycie z niego nazwisk są dość mizerne.

– Jak go dopadniecie?

– To akurat będzie łatwe. Pan nas do niego doprowadzi.

– Aresztujecie go?

– Och, tak. Będziemy mieli dość powodów, żeby go dziesięć razy aresztować: nielegalny podsłuch, wymuszenie, spiskowanie, może pan wybierać. Wsadzimy go za kratki, Hobarta zresztą też, i żaden sędzia federalny na świecie nie wypuści ich za kaucją. Prawdopodobnie przeniesiemy ich do więzienia o zaostrzonym rygorze, gdzieś poza Nowym Jorkiem, gdzie będziemy mogli spokojnie poddać ich przesłuchaniom.

Obraz Benniego przykutego do krzesła i dwóch warczących na niego brytanów budził całkiem miłe skojarzenia.

Benedict odchrząknął i zerknął na zegarek.

– Przepraszam, ale muszę porozmawiać z Kyle’em – powiedział. – Odezwę się później.

Kyle wstał, podał gościom rękę i podążył za swoim adwokatem. Ten zamknął drzwi gabinetu i spojrzał na Kyle’a.

– I co o tym myślisz?

– Ufasz im? – odpowiedział pytaniem Kyle.

– Tak. A ty nie?

– I powierzyłbyś im swoje życie?

– Tak.

– A co powiesz na to? Aktualnie w naszym kraju działa co najmniej osiemnaście różnych służb wywiadowczych, i to tylko tych oficjalnie istniejących. Prawdopodobnie jest jeszcze kilka, o których nic nie wiemy. A jeśli Bennie pracuje dla jednej z nich? Jeśli jego zadanie ma na celu przejęcie i ochronę tajemnic? Jeśli superkomputery nie zidentyfikowały jego twarzy dlatego, że nie należało jej zidentyfikować?

– To dość absurdalny scenariusz, Kyle. Bandzior, który w imieniu Stanów Zjednoczonych szpieguje amerykańską firmę prawniczą i zabija amerykańskich obywateli? Nie sądzę.

– Oczywiście, że brzmi to absurdalnie, ale gdy twoja głowa może być następna do odstrzału, wyobraźnia zaczyna pracować.

– Wyluzuj, Kyle. To twoje jedyne wyjście.

– Nie ma żadnego wyjścia.

– Oczywiście, że jest. Tylko musisz posuwać się krok po kroku. I nie panikować.

– Przez dziewięć miesięcy nie wpadłem w panikę, ale jestem coraz bliższy tego.

– Bzdura! Zachowaj spokój. Musimy zaufać tym dwóm.

– Zadzwonię jutro. – Kyle chwycił swój brązowy trencz i wyszedł z gabinetu.

Rozdział 36

Cessna 182 była własnością emerytowanego lekarza, który latał nią tylko przy dobrej pogodzie i nigdy w nocy. Z Johnem McAvoyem znali się od ponad czterdziestu lat i lekarz wielokrotnie latał z nim w jego sprawach zawodowych, łącząc przyjemne z pożytecznym. John zakładał słuchawki i czasami przejmował stery, z radością zamieniając się w pilota. Za każdym razem sprzeczali się o koszty: John chciał płacić więcej niż za samo paliwo, a lekarz upierał się przy niższej kwocie, argumentując, że latanie to jego hobby i nie musi na nim zarabiać. Ostatecznie uzgodnili dwieście pięćdziesiąt dolarów, spotkali się we wtorek rano na lotnisku w Yorku i wystartowali przy idealnej pogodzie. Siedemdziesiąt jeden minut później wylądowali w Scranton, John wysiadł i wynajął samochód, a lekarz poleciał dalej, by odwiedzić syna w Williamsport.

Kancelaria Michelin Chiz mieściła się na pierwszym piętrze starej kamienicy przy Spruce Street, w śródmieściu Scranton. John zjawił się punktualnie o dziewiątej i został chłodno powitany przez sekretarkę. Nigdy wcześniej nie zetknął się z mecenas Chiz i nawet o niej nie słyszał, ale nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, że w stanie było ponad sześćdziesiąt tysięcy prawników. Od znajomego adwokata ze Scranton dowiedział się, że w kancelarii pani Chiz pracują same kobiety: kilka adwokatek i para prawniczek bez pełnych uprawnień, a także gromadka sekretarek i personelu pomocniczego w niepełnym wymiarze czasowym. Żaden mężczyzna nie miał tu szans na zatrudnienie. Specjalnością mecenas Chiz były sprawy rozwodowe, opieka nad dziećmi, molestowanie seksualne i dyskryminacja w miejscu pracy – wszystko z kobiecego punktu widzenia. Cieszyła się reputacją stojącej twardo po stronie swych klientek, sprawnej negocjatorki nielękającej się sali sądowej, a także – zdaniem informatora Johna – całkiem atrakcyjnej kobiety. W rezultacie jej kancelaria nie narzekała na brak pracy.

Znajomy Johna w niczym nie przesadził. Mecenas Chiz czekała już w swoim gabinecie

ubrana w niezbyt krótką czarną skórzaną spódniczkę, obcisły fioletowy sweterek i czarno-fioletowe szpilki na koturnie i z paseczkiem wokół kostki, które nie każda dziwka odważyłaby się włożyć. Miała czterdzieści kilka lat i co najmniej dwa rozwody za sobą, a także masę biżuterii i mocny makijaż – zdaniem Johna o wiele za dużo jednego i drugiego – ale w końcu nie przyjechał tu po to, by oceniać jej gust.

Sam włożył stonowany szary garnitur i gładki czerwony krawat.

Gdy usiedli przy niewielkim stole w salce przylegającej do jej gabinetu, sekretarka została wysłana po kawę. Przez chwilę zabawiali się w „kogo znasz”, rzucając nazwiskami adwokatów od Filadelfii po Erie.

– Zatem przejdźmy do sprawy, panie mecenasie – powiedziała Chiz, kiedy podano im kawę.

– Świetny pomysł. I proszę mi mówić John.

– Jasne, a ja jestem Mike. Nie wiem, czy to właściwe zdrobnienie od Michelin, ale tak mnie nazywają od dziecka.

– Więc niech będzie Mike. – Jak dotąd jego gospodyni była uosobieniem czaru i gościnności, ale John już wyczuwał pod jej uśmiechami twardą sztukę. – Chcesz zacząć?

– Nie. Ty zadzwoniłeś i ty tu przyjechałeś, czyli masz do mnie sprawę, więc słucham.

– Doskonale. Klientem jest mój syn. To nie najlepszy układ na świecie, ale co zrobić. Jak ci wiadomo, pracuje w firmie prawniczej w Nowym Jorku, jest absolwentem prawa na Yale, przedtem skończył college Duquesne. Zapewne znane ci są szczegóły rzekomego gwałtu.

– Owszem, znam sprawę. Elaine pracuje u mnie na ćwierć etatu i jesteśmy bardzo zaprzyjaźnione. Planuje rozpocząć studia prawnicze.

– Miejmy nadzieję, że się jej uda. Jak pewnie wiesz… bo ja do niedawna nie miałem o całej sprawie zielonego pojęcia… policja w Pittsburghu zamknęła śledztwo krótko po jego otwarciu. – Jego słowa wyraźnie ją zaskoczyły. – Tak, Kyle o niczym mi wtedy nie powiedział. Zamierzał, ale nim to zrobił, śledztwo zostało zamknięte. To dla mnie przykre, bo byliśmy sobie bardzo bliscy, ale w tej chwili to nieistotne. O ile mi wiadomo, kilka tygodni temu pani Keenan i ty spotkałyście się tu, w Scranton, z Joeyem Bernardo i według jego relacji spotkanie nie poszło najlepiej. Wiem także, że Baxter Tate nawiązał kontakt z twoją klientką i w drodze na spotkanie z nią został zamordowany.

– Tak było.

– Zamierzali się spotkać?

– Tak.

– Zatem wygląda na to, że ten epizod sprzed pięciu i pół roku nie chce odejść w zapomnienie. Mój klient chciałby rozwiązać tę sprawę i raz na zawsze ją zamknąć. Wisi to jak gradowa chmura nad głowami chłopaków i jestem tu po to, by znaleźć sposób na pozbycie się problemu. Reprezentuję wyłącznie syna. Pozostali dwaj nic nie wiedzą o naszym spotkaniu. Rodzina Tate'ów oczywiście też o niczym nie wie i możesz sobie wyobrazić, co ci ludzie teraz przeżywają. Narzeczona Joeya spodziewa się dziecka i wkrótce mają się pobrać. Z tego, co wiem, Alan Strock w ogóle nie pamięta tego zdarzenia.

Mike nie wzięła nawet pióra do ręki i uważnie słuchając, tylko lekko postukiwała palcami o blat biurka. Niemal wszystkie były ozdobione pierścionkami, na obu nadgarstkach podzwaniały liczne tandetne bransoletki, piwne oczy patrzyły twardo i nieustępliwie.

– Nie wątpię, że masz nam coś do zaproponowania – powiedziała, przerywając milczenie.

– Nie wiem, czego twoja klientka oczekuje. Może liczy na to, że wszyscy trzej żyjący

współlokatorzy przyznają się do gwałtu, zostaną skazani i pójdą siedzieć. Może wystarczą jej ciche przeprosiny. A może oczekuje finansowego zadośćuczynienia. Więc byłbym wdzięczny, gdybyś pomogła mi w tej kwestii.

Przejechała językiem po uszminkowanych wargach i zabrzęczała bransoletkami.

– Znam Elaine od dwóch lat. Miała trudną przeszłość. Jest krucha, wrażliwa i miewa ponure nastroje. Możliwe, że cierpi na depresję. Od blisko roku nie pije, ale wciąż się zmaga z tym demonem. Dla mnie stała się niemal córką. Od pierwszego dnia naszej znajomości twierdziła, że została zgwałcona, i ja jej wierzę. Jest przekonana, że to rodzina Tate'ów wykorzystała swoje znajomości i spowodowała, że policja szybko zamknęła śledztwo.

John pokręcił głową.

– To nieprawda. Żaden z czterech chłopaków nie przyznał się rodzicom.

– Być może, ale nie wiemy tego na pewno. Tak czy inaczej, wiele problemów Elaine bierze się z tego epizodu. Była zdrową, radosną, pełną życia dziewczyną, której świetnie szło w college'u i która miała wielkie plany. Krótko po gwałcie zrezygnowała z dalszej nauki i od tamtej pory boleśnie zmaga się z życiem.

– Znasz jej oceny w Duquesne?

– Nie.

– Na pierwszym semestrze nie zaliczyła jednego przedmiotu, zrezygnowała z drugiego i dostała katastrofalne oceny z pozostałych trzech.

– Jak dotarłeś do jej ocen?

– Na drugim semestrze nieco się poprawiła i zaliczyła wszystko na pełne trójki. Po rzekomym gwałcie przystąpiła do wszystkich czterech egzaminów, po czym wyjechała do domu i już nie wróciła do Duquesne.

Mike aż zesztywniała, a jej brwi wygięły się w łuki.

– Jak dotarłeś do jej ocen w college'u? – powtórzyła.

– Nie dotarłem do nich i nie ma to znaczenia. Jak często klienci mówią ci całą prawdę?

– Sugerujesz, że Elaine kłamie?

– Prawda jest w tej sprawie dość niepewna, Mike. Pewne jest tylko to, że nigdy się nie dowiemy, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Ci smarkacze pili i palili zioło przez osiem bitych godzin i wszyscy byli dużo bardziej rozwiąźli, niż nam się wydaje. Twoja klientka była znana z chętnego wskakiwania do łóżka.

– Wszyscy chętnie wskakiwali do łóżek. To jeszcze nie powód, żeby kogoś gwałcić.

– Oczywiście, że nie.

W powietrzu zapachniało pieniędzmi. Było jeszcze kilka przeszkód do pokonania, ale oboje wiedzieli, że ich rozmowa skończy się próbą dojścia do „ugody finansowej”.

– A co twój klient mówi o tym zdarzeniu? – spytała Mike. W jej tonie już nie było słychać gniewu, ale czuło się, że ma go wystarczająco dużo w zapasie.

– Całe popołudnie przesiedzieli nad basenem, potem przenieśli się do mieszkania. Było ich z piętnaście osób, więcej chłopaków niż dziewcząt, Elaine wśród nich nie było. Brała udział w innej imprezie w sąsiednim mieszkaniu. Około wpół do dwunastej w nocy zjawiła się policja i bractwo się rozpierzchło. Nikogo nie aresztowano, policjanci okazali wyrozumiałość.

Mike cierpliwie potakiwała głową. Wszystko to było w protokole policyjnym.

– Po odjeździe policji – kontynuował John – zjawiła się Elaine. Baxter i ona zaczęli się gzić na kanapie, co doprowadziło do oczywistego finału. W tym czasie mój klient, podobnie jak Alan Strock, siedział w tym samym pokoju i oglądał telewizję. Mój klient był, mówiąc oględnie,

mocno wstawiony i w pewnym momencie całkiem odjechał. Ale nie ma cienia wątpliwości, że tego wieczoru nie uprawiał seksu z Elaine i nie był nawet pewien, czy poza Baxterem robił to ktoś jeszcze. Był zbyt pijany, by następnego dnia dużo pamiętać, a jak sama wiesz, twoja klientka dopiero po czterech dniach wystąpiła z oskarżeniem. Sprawą zajęła się policja, wszyscy czterej chłopcy byli o krok od przyznania się rodzicom, tylko że śledczy szybko doszli do wniosku, że nie da się z tego sklecić aktu oskarżenia. Mój klient rozmawiał ostatnio z Baxterem Tate'em i Joeyem Bernardo i obaj się przyznali, że owego wieczoru uprawiali seks z twoją klientką. Ale obaj twierdzą… twierdzili, że działo się to za jej zgodą.

– To dlaczego Baxterowi tak bardzo zależało, żeby ją przeprosić?

– Na to nie umiem odpowiedzieć. Nie wypowiadam się w jego imieniu.

– I dlaczego Joey ją przeprosił? Wiesz, że zrobił to w mojej obecności.

– Czy przeprosił ją za gwałt, czy za nieporozumienie?

– Przeprosił ją. I to się liczy.

– Nadal nie ma z tego sprawy, a jego przeprosiny nie wnoszą nic nowego do materiału

dowodowego. Udowodnienie gwałtu jest niemożliwe. Doszło do stosunku, oczywiście, ale niczego więcej nie udowodnisz.

W końcu, eleganckimi pociągnięciami pióra i brzęcząc bransoletkami na nadgarstkach, coś zapisała w notesie ze stroniczkami w fiołkowym kolorze. Zaczerpnęła głęboko powietrza i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w okno.

Dla drużyny McAvoyów nadszedł moment najtrudniejszego zagrania. John nie zamierzał ujawniać wszystkiego, bo udane negocjacje nie polegają na całkowitej szczerości, ale należało rozbroić potencjalną minę, która mogła wysadzić w powietrze ewentualne porozumienie.

– Rozmawiałaś ze śledczymi z Pittsburgha? – spytał.

– Nie, ale przeczytałam wszystkie akta.

– Jest w nich mowa o nagraniu?

– Tak, w aktach jest wzmianka o jakimś nagraniu, ale policja nie umiała go odnaleźć. Elaine też słyszała jakieś plotki.

– To nie plotki. Nagranie rzeczywiście istnieje.

Przełknęła to bez mrugnięcia okiem. Nic w jej wzroku, ruchach czy postawie nie wskazywało na zaskoczenie. Cóż za świetna pokerowa twarz, pomyślał w duchu John. Mike po prostu czekała na dalszy ciąg.

– Osobiście go nie widziałem – dodał. – Ale mój klient zobaczył je w lutym tego roku. Nie wiem, gdzie to nagranie się obecnie znajduje, i nie mam pojęcia, ile osób jeszcze je oglądało, prawdopodobnie bardzo niewiele. Ale jest możliwe, że nagle gdzieś się pojawi, może w internecie, może w twojej poczcie.

– I co z niego wynika?

– Wynika, że gdy twoja klientka i Baxter Tate usiedli na kanapie i zaczęli się całować i obmacywać, ona była pijana i znarkotyzowana. Z tego ujęcia kamery nie widać samego stosunku seksualnego, ale z widoku ich nóg od kolan w dół wynika niezbicie, że oboje dobrze się bawią. Po Baxterze przychodzi kolej na Joeya. Chwilami Elaine jakby przestaje aktywnie reagować, kiedy indziej reaguje bardzo żywo. Mój klient sądzi, że to dowodzi, że chwilami mogła tracić świadomość, ale nie jest tego pewien. Pewien jest natomiast tego, że ani on, ani Alan Strock nie uprawiali z nią wtedy seksu.

– Gdzie jest to nagranie?

– Nie wiem.

– A twój klient wie?

– Też nie.

– Kto je ma?

– Nie wiem.

– Dobra, kto je pokazał twojemu klientowi?

– Mój klient nie zna prawdziwego nazwiska tego kogoś. Wcześniej nigdy się nie spotkali.

– Czyli rozumiem, że wiąże się z tym jakaś skomplikowana intryga.

– Wyjątkowo skomplikowana.

– Zjawia się ktoś obcy, pokazuje twojemu synowi nagranie i znika, tak?

– Tak, z wyjątkiem tego zniknięcia. Obcy nadal się z nim kontaktuje.

– Chodzi o wymuszenie?

– Coś w tym rodzaju.

– I dlatego tu jesteś? Twój klient boi się ujawnienia tego nagrania? A ty chcesz z nami zawrzeć pokój i wybić zęby temu wymuszeniu?

– Jesteś bardzo przenikliwa. – Mike nadal nie mrugnęła nawet okiem, ale zdawała się czytać w nim jak w otwartej księdze.

– To nagranie musi być szalenie ciekawe – powiedziała.

– Mój klient uznał je za bardzo niepokojące, choć dowodzi ono, że nie brał udziału w czynnościach seksualnych. Ukazuje natomiast twoją klientkę, która z ochotą uczestniczy w igraszkach na kanapie. Nie jest tylko jasne, czy w ich trakcie nie straciła na chwilę świadomości.

W każdym razie na podstawie tego nagrania nie da się tego ustalić.

– Widać, jak chodzi po pokoju, rozmawia i normalnie się porusza?

– Bez cienia wątpliwości. Mike, ci chłopcy nie przywlekli jej tam z ulicy. Bywała w ich mieszkaniu wielokrotnie, po pijanemu i na trzeźwo.

– Biedactwo – bąknęła Mike, popełniając swój pierwszy błąd.

– Biedactwo świetnie się bawiło. W torebce miała pełno prochów oraz zbiór legitymacji na fałszywe nazwiska. Była zawsze gotowa do wzięcia udziału w imprezie.

Mike powoli wstała.

– Przepraszam na chwilę – rzuciła i ruszyła do drzwi, pozwalając Johnowi podziwiać swe kształty obleczone w czarną skórę. Przez zamknięte drzwi dobiegł jej stłumiony głos, zapewne do słuchawki telefonicznej. A potem wróciła i spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

– Możemy tak debatować godzinami i nie dojść do niczego – powiedziała.

– Zgadzam się. Trzy tygodnie temu Baxter był w Nowym Jorku i spotkał się z moim klientem. W trakcie długiej rozmowy o tamtym wieczorze

wyznał mojemu klientowi, że wydaje mu się, że coś na Elaine wymusił. Miał wielkie poczucie winy. Więc może rzeczywiście doszło do napaści seksualnej.

– A teraz gwałciciel nie żyje.

– Właśnie. Niemniej mój klient był przy tym, kiedy to się stało. Działo się to w jego mieszkaniu i brali w tym udział jego przyjaciele, którzy pili jego alkohol. Chce się od tego ciężaru uwolnić.

– Ile?

Johnowi udało się nerwowo parsknąć. Cóż za bezpośredniość! Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Zapisał coś w notatniku i podniósł na nią wzrok.

– Czy możemy zawrzeć ugodę finansową, w ramach której twoja klientka zrzeknie się wszelkich roszczeń cywilnych i zgodzi się nie wnosić oskarżenia?

– Tak. Zakładając, że warunki tej ugody będą satysfakcjonujące.

Na moment zamilkł i znów coś zanotował.

– Mój klient nie śmierdzi pieniędzmi.

– Wiem, ile twój klient zarabia. Zajmuję się prawem od dwudziestu lat, a on zarabia więcej niż ja.

– I niż ja… po trzydziestu pięciu latach pracy. Ale ma do spłacenia studenckie kredyty, a życie w Nowym Jorku nie jest tanie. Zapewne będę musiał trochę mu dołożyć, a ja też nie należę do bogaczy. Poza kancelarią w centrum Yorku nie mam nic, a to nie jest droga do osiągnięcia bogactwa.

Jego szczerość na tyle ją rozbroiła, że uśmiechnęła się i nieco odprężyła. Jeszcze przez chwilę wymieniali się uwagami o praktykowaniu prawa w małomiasteczkowej Ameryce, w odpowiedniej chwili John zmienił temat i powiedział przyjaznym tonem:

– Opowiedz mi o Elaine. O jej pracy, zarobkach, stanie finansów, rodzinie i tak dalej.

– No cóż, jak mówiłam, pracuje u mnie za grosze na ćwierć etatu. Jako zastępczyni dyrektora wydziału miejskich parków i terenów rekreacyjnych zarabia dwadzieścia cztery tysiące rocznie, ale jej pracę trudno uznać za spełnienie marzeń. Wynajmuje skromne mieszkanko, które dzieli ze swoją przyjaciółką Beverly, jeździ kupionym na raty nissanem. Jej rodzina pochodzi z Erie i nie wiem, jak im się kiedyś powodziło, lecz obecnie ich sprawy stoją źle. Jest samotna, ma dwadzieścia trzy lata i jakoś sobie radzi. Ale wciąż marzy o czymś lepszym.

John zrobił parę notatek, po czym powiedział:

– Wczoraj rozmawiałem z adwokatem rodziny Tate'ów, notabli z Pittsburgha. Baxter dostawał miesięcznie sześć tysięcy dolarów z funduszu powierniczego, ale to mu nigdy nie wystarczało. Kwota ta miała z czasem rosnąć, tyle że wszystkie fundusze rodziny Tate'ów są obecnie ściśle kontrolowane przez stryja Baxtera, a ten ma węża w kieszeni. Udział Baxtera w funduszu wygasł z chwilą jego śmierci. W sensie prywatnej własności zostawił po sobie bardzo niedużo, więc wszelkie płatności ze strony jego rodziny musiałyby mieć charakter dobroczynnych darowizn. A Tate'owie nie są szczególnie znani z dobroczynności i trudno jest sobie wyobrazić, że w imieniu Baxtera wypisują czeki dla jego dawnych panienek.

Mike ze zrozumieniem pokiwała głową.

– A co z Joeyem? – spytała.

– Ciężko pracuje, by utrzymać powiększającą się rodzinę. Pewnie jest bez grosza i taki już zostanie do końca życia. Mój klient wolałby nie mieszać do tego Joeya i Alana Strocka.

– Godne podziwu.

– Proponujemy płatność w dwóch ratach. Pierwsza teraz, druga za siedem lat, gdy zarzut gwałtu się przedawni. Jeśli twoja klientka zgodzi

się zapomnieć i przestanie grozić tym chłopcom, to w sumie dostanie całkiem niezłe pieniądze. Dwadzieścia pięć tysięcy teraz, a potem przez następne siedem lat mój klient będzie wpłacał po dziesięć tysięcy rocznie na konto oszczędnościowe. W ten sposób Elaine w wieku trzydziestu lat otrzyma okrągłą sumę stu tysięcy dolarów.

Na pokerowej twarzy Mike nie widać było żadnej reakcji.

– Dwadzieścia pięć tysięcy na początek brzmi śmiesznie – powiedziała.

– On nie ma dwudziestu pięciu tysięcy. Te pieniądze będą pochodziły ode mnie.

– Źródło ich pochodzenia specjalnie nas nie interesuje. Dużo bardziej interesuje nas kwota.

– No cóż, na dzień dzisiejszy wynosi ona zero i jeśli nie dojdziemy do porozumienia, prawdopodobne tak zostanie. Wasze szanse na uzyskanie czegokolwiek są bardzo nikłe.

– To czemu w ogóle cokolwiek proponujecie?

– Dla świętego spokoju. Mike, pozbądźmy się tego problemu i pozwólmy młodym zająć się swoim życiem. Kyle praktycznie zapomniał o tej sprawie. Haruje po sto godzin tygodniowo, po czym Joey nadziewa się na Elaine i pojawia się Baxter dręczony wyrzutami sumienia, bo nagle

coś sobie przypomniał. To szaleństwo. Byli tylko gromadą pijanych smarkaczy.

Mówił prawdę i Mike nie mogła się z tym nie zgodzić. Gdy przekładała nogę na nogę, nie oparł się odruchowi zerknięcia na jej buty i wyżej, a ona to dostrzegła.

– Porozmawiam z Elaine i przedstawimy kontrpropozycję – oświadczyła.

– W porządku, tylko pamiętaj, że nie mamy wielkiego pola manewru. Początkowe dwadzieścia pięć tysięcy byłoby moją pożyczką dla klienta, który z oczywistych względów ma opory przed wzięciem na siebie siedmioletniego zobowiązania. Ma dwadzieścia pięć lat i nawet trzyletnia perspektywa to dla niego wieczność.

– Zadzwonię do Elaine. Myślę, że będzie chciała przyjechać i porozmawiać o tym sama.

– Nie ruszę się z miasta, póki czegoś nie uzgodnimy. Usiądę w jakiejś kawiarni i będę czekał.

Godzinę później wrócił do kancelarii. Usiedli przy tym samym stole, wzięli do rąk pióra i przystąpili do negocjacji.

– Rozumiem, że odrzucacie naszą propozycję – zaczął John.

– I tak, i nie. Siedmioletnia spłata jest do przyjęcia, ale Elaine musi dostać więcej na początek. Zostały jej dwa lata do ukończenia college'u w Scranton. Marzy o podjęciu studiów prawniczych, a bez finansowego wsparcia nie będzie to możliwe.

– O jakim wsparciu mówimy?

– Sto tysięcy na początek.

Na twarzy Johna odmalowały się kolejno szok, niedowierzanie, zdumienie, odmowa. Skrzywił się, poprawił na krześle i ze świstem wypuścił powietrze. Wszystko było dobrze wyćwiczoną reakcją świadczącą o tym, że kontrpropozycja drugiej strony jest kompletnie nie do przyjęcia. Wyrażało zniechęcenie, niemal pogodzenie się z porażką.

– Mike, my chcemy zawrzeć porozumienie, wy chcecie zrobić skok na bank.

– Za dwa lata Elaine będzie nadal zarabiała dwadzieścia cztery tysiące rocznie, twój klient w tym czasie dojdzie do czterystu tysięcy z gwarancją stałych podwyżek. Dla niego to żadna sprawa.

John wstał na znak, że uważa negocjacje za skończone i szykuje się do wyjścia.

– Muszę się z nim porozumieć – mruknął.

– Oczywiście. Zaczekam.

Wyszedł z budynku i przytknął komórkę do ucha, ale nigdzie nie zadzwonił. O akceptowalności kwoty do zapłacenia decydowały nie tyle potrzeby Elaine, ile konieczność jej uciszenia. W tych okolicznościach sto tysięcy dolarów można było uznać za taniochę.

– Zgodzimy się na siedemdziesiąt pięć tysięcy i ani grosza więcej – oznajmił, siadając przy stole.

Wyciągnęła rękę z miłym dla ucha pobrzękiwaniem bransoletek.

– Załatwione – oświadczyła.

Podali sobie ręce na zgodę i następne dwie godziny spędzili na przelewaniu na papier szczegółów ugody. Na koniec John zaprosił ją na lunch, a ona z miłym uśmiechem przyjęła zaproszenie.

Rozdział 37

Sprzęt Nigela był zestawiony na eleganckim mahoniowym biurku w salonie przestronnego apartamentu w hotelu Waldorf-Astoria przy Park Avenue. Komputer o wymiarach czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów był idealną kopią komputerów w pomieszczeniu na siedemnastym piętrze, monitor też dokładnie przypominał tamte. Obok leżała tajemnicza granatowa skrzyneczka o rozmiarach dużego laptopa.

Nigel zaczął z dumą objaśniać poszczególne elementy zestawu, Bennie i Kyle w milczeniu przyglądali się plątaninie kabli, nazywanych przez niego „spaghetti”. Kabel zasilający, kabel audio, przewód łączący komputer z monitorem, podłączenie do drukarki.

– Jest tam jakiś dźwięk, Kyle? – spytał. – Coś tam hałasuje?

– Nie – mruknął Kyle i Nigel ostrożnie zwinął kabel audio i odsunął na bok, po czym przykucnął za komputerem i wyciągnął rękę.

– A tu jest nasz magiczny punkt, nasza ziemia obiecana – powiedział. – Gniazdo USB. Niemal niewidoczne, ale wiem, że tam jest, bo mam kontakt z Fargo. Musi tam być, możesz mi wierzyć.

Kyle westchnął i nie odezwał się.

– Nasz plan jest taki – ciągnął podnieconym tonem Nigel, wyjmując z niewielkiej walizeczki z hakerskimi narzędziami high-tech dwa identycznie wyglądające pudełeczka mniej więcej dwa na cztery centymetry. Widać było, że jest całkowicie pochłonięty prezentacją. – To są bezprzewodowe nadajniki USB, nowiutkie, prosto od producenta, najwyższa jakość, jeszcze niedostępne w wolnej sprzedaży. – Wetknął jeden z nich do gniazda pod przewodem zasilającym. Nadajnik wystawał z obudowy niewiele ponad centymetr. – Po prostu go tu wciskasz i jesteśmy w domu. Jest praktycznie niewidoczny. – Pomachał drugim pudełeczkiem. – A ten mały łobuziak to odbiornik, który umieszczamy w tej granatowej skrzyneczce. Nadążasz, Kyle?

– Rozumiem.

– Skrzyneczkę wsadzamy do aktówki, którą stawiamy na podłodze bezpośrednio pod

komputerem. Wystarczy teraz tylko zrobić pstryk i pliki zaczynają się przegrywać.

– Z jaką prędkością?

– Sześćdziesiąt megabitów na sekundę dla około tysiąca plików, pod warunkiem że odbiornik jest nie dalej niż trzy metry od nadajnika, co nie powinno stanowić problemu. Ale im bliżej, tym lepiej. Wszystko jasne?

– Ni cholery – parsknął Kyle, siadając przed monitorem. – Mam sięgnąć za komputer, wetknąć nadajnik, zostawić go w gnieździe i uruchomić przegrywanie, i wszystko to zrobić w obecności innych użytkowników i kamer obserwujących każdy mój ruch. Niby jakim cudem?!

– Wystarczy, jak upuścisz długopis, rozlejesz kawę, strącisz na podłogę kartkę, stworzysz pozór. Zrób to, kiedy będziesz sam, i odwróć się plecami do kamery.

Kyle pokręcił głową.

– To zbyt ryzykowne. Oni nie są głupi. W sąsiednim pomieszczeniu dyżuruje cerber, który ma na wszystko oko. Nazywa się Gant.

– Ale nie przez szesnaście godzin na dobę.

– Nie wiem, kiedy to robi. W tym rzecz. Nigdy nie wiadomo, kto i kiedy cię obserwuje.

– Znamy takich kolesi, Kyle. Palantów, którym płacą za całodzienne gapienie się w obraz z kamer monitorujących. Zwykle na wpół drzemią, bo to potwornie nudne zajęcie.

– To nie jest pomieszczenie socjalne, Bennie. Ja tam pracuję. Kradzież dokumentów może być dla was priorytetem, ale mnie firma płaci za to, żebym nad nimi pracował. Będę miał konkretne zadanie do wykonania i partnera, który będzie czekał na efekt mojej pracy.

– Jeśli szybko dotrzesz do odpowiednich dokumentów, wszystko może się zamknąć w dwóch godzinach – powiedział Nigel.

Bennie w końcu puścił farbę.

– Najważniejsze są dla nas silniki powietrzno-przepływowe, opracowane wspólnie przez naukowców Trylona i Bartina. Koncepcja jest tak rewolucyjna, że na myśl o niej Pentagon jeszcze teraz przeżywa orgazm. Drugi co do ważności jest skład mieszanki paliwowej. Szukaj pod hasłem „kriogeniczne paliwo wodorowe” i dalej pod „scramjet”. Powinna istnieć bogata dokumentacja w tej sprawie. Po trzecie interesują nas wyniki badań nad „waveriders”. Szukaj pod tym hasłem. To konstrukcje aerodynamiczne, które pozwalają zwiększyć stosunek nośności do opadania, tak zwane L/D

ratio. Tu masz opracowanie w tej sprawie. – Bennie wręczył Kyle'owi dwustronicowy konspekt.

– Czy coś z tych rzeczy brzmi znajomo, Kyle? – spytał Nigel.

– Nie.

– Ale wszystko tam jest – rzekł z naciskiem Bennie. – To serce całego systemu i główny przedmiot sporu sądowego. A ty bez trudu to odnajdziesz.

– Och, dzięki za zaufanie.

Nigel wyjął nadajnik z gniazdka USB i podał Kyle'owi.

– Spróbuj to teraz sam włożyć – powiedział.

Kyle niechętnie wstał, pochylił się nad komputerem, rozgarnął wiązkę kabli i z pewnym trudem umieścił wtyczkę w gnieździe.

– Nie dam rady – rzucił, siadając.

– Oczywiście, że dasz – prychnął Bennie. – Musisz tylko trochę myśleć.

– Mój mózg umarł.

Nigel podszedł do granatowej skrzyneczki.

– To moje osobiste dzieło – oznajmił. – Po włożeniu nadajnika wciskasz ten przycisk, program automatycznie łączy się z komputerem i zaczyna ściągać pliki z bazy danych. Dzieje się to bardzo szybko, a ty tymczasem możesz sobie

zrobić przerwę. Wstać od biurka, wyjść na siusiu, zachowywać się tak, jakby nic się nie działo. A moja zabaweczka będzie cały czas łykała dokumenty.

– Cholernie sprytne – mruknął Kyle.

Bennie sięgnął po czarną skórzaną aktówkę Bally, identyczną jak ta Kyle'a, z klapką zamykaną z boku na zatrzask. Wewnątrz znajdowały się trzy przegródki, z których środkowa, wyłożona miękką wykładziną, była przeznaczona na laptop. Tak jak aktówka Kyle'a, ta też miała na zewnątrz otarcia i ślady użytkowania oraz umieszczoną w skórzanej zawieszce jego służbową wizytówkę z logo Scully & Pershing.

– Użyjesz tej – powiedział, patrząc, jak Nigel ostrożnie unosi granatową skrzyneczkę i wsuwa ją do środkowej przegródki. – Kiedy odsuniesz ten suwak, odbiornik będzie już na miejscu. Gdybyś z jakiegoś powodu musiał przerwać przegrywanie, zatrzaśnij i wciśnij ten przycisk, a aktówka automatycznie się zablokuje.

– „Musiał przerwać"?

– Tak tylko na wszelki wypadek, Kyle.

– Żebym dobrze zrozumiał. Dzieje się coś niedobrego, ktoś coś zauważa, może po moim wejściu do bazy danych superkomputer

wszczyna alarm, o którego istnieniu nie mamy pojęcia, i wtedy zgodnie z twoim planem mam zatrzasnąć aktówkę, wyciągnąć nadajnik z gniazda… I co dalej? Rzucić się do ucieczki jak złodziej przyłapany na kradzieży w sklepie? Dokąd mam uciekać? Bennie, może ty masz jakiś pomysł?

– Wyluzuj, Kyle – powiedział Bennie z wymuszonym uśmieszkiem. – To dziecinnie proste. Bez problemu sobie poradzisz.

– Nie będzie żadnego alarmu – dodał Nigel. – Moje oprogramowanie jest na to zbyt dobre. Zaufaj mi.

– Mógłbyś przestać to powtarzać?

Kyle podszedł do okna i spojrzał na panoramę Manhattanu. Był wtorek, dochodziło wpół do dziesiątej wieczór. Od szybkiego lunchu z Taborem przed dwunastą nie miał nic w ustach, ale uczucie głodu i tak było na dalekim miejscu na liście nękających go problemów.

– Jesteś gotów, Kyle? – odezwał się Bennie z drugiego końca pokoju. Z tonu wynikało, że to bardziej wezwanie do działania niż pytanie.

– Bardziej gotowy nie będę – rzucił przez ramię Kyle.

– To kiedy?

– Najszybciej, jak się da. Chcę to zrobić i wreszcie mieć to z głowy. Jutro zrobię kilka podejść i zobaczę, jaka będzie sytuacja w środku. Myślę, że najluźniej będzie około ósmej wieczorem. Dość późno, ale starczy czasu na ściągnięcie waszych plików. Zakładając oczywiście, że wcześniej mnie nie zastrzelą.

– Jakieś pytania w sprawie sprzętu? – zapytał Nigel.

Kyle podszedł wolnym krokiem do stanowiska roboczego i przyjrzał się zestawowi.

– Nie – powiedział po chwili milczenia. – Wszystko wygląda dość prosto.

– Super. Jeszcze ostatnia sprawa, Kyle. Ta granatowa skrzyneczka samoczynnie wyśle sygnał radiowy, z którego będę wiedział, kiedy dokładnie nastąpi pobieranie dokumentów.

– Do czego ci to potrzebne?

– Do monitorowania całej operacji. Będziemy bardzo blisko ciebie.

– Wszystko mi jedno. – Kyle wzruszył ramionami.

Granatowa skrzyneczka nadal tkwiła w środkowej przegródce i Nigel obchodził się z nią ostrożnie jak z bombą. Kyle przełożył do pozostałych przegródek materiały ze swojej

aktówki, zamknął zatrzask, chwycił za rączkę i aż się ugiął.

– Trochę cięższa, co? – zauważył Nigel.

– Trochę więcej niż trochę – mruknął Kyle.

– Nic się nie martw. Spód aktówki jest specjalnie wzmocniony. Możesz być spokojny, że ci nie odpadnie na chodniku Broad Street.

– Wolę swoją. Kiedy mi ją oddacie?

– Niedługo, Kyle, niedługo.

Włożył trencz i ruszył do wyjścia, Bennie poszedł za nim.

– Powodzenia – powiedział, zatrzymując się przy drzwiach. – Zbliżamy się do finału. Wierzymy w ciebie.

– Idź do diabła – burknął Kyle.

Rozdział 38

Podczas krótkiej bezsennej nocy aktówka zrobiła się jeszcze cięższa i gdy w środę rano Kyle wytaszczył ją z bagażnika taksówki, niemal chciał, by jej dno odpadło, a granatowa skrzyneczka rozbiła się z hukiem o chodnik Broad Street, zamieniając „zabaweczkę” Nigela w kupę złomu. Nie był pewien, co by się potem mogło stać, ale każdy inny scenariusz był lepszy od tego, co go czekało.

Dwadzieścia minut po tym, jak wjechał na trzydzieste trzecie piętro, do tej samej windy wsiadł Roy Benedict, dołączając do dwóch młodych prawników Scully & Pershing, co można było łatwo poznać po ich wyglądzie: obaj byli przed trzydziestką, jechali do pracy przed wpół do siódmej rano, wyglądali na niedospanych i wyżętych, ale obaj byli w drogich garniturach, a w rękach trzymali eleganckie czarne aktówki. Benedict był przygotowany na spotkanie kogoś znajomego, choć było to raczej mało

prawdopodobne. Odwiedziny prawników z innych firm nie były niczym niezwykłym, a on znał wielu wspólników S&P, lecz w związku z tym, że o tej porze zwalało się do pracy tysiąc pięćset osób, szanse na wypatrzenie kogoś były nikłe. I nie mylił się. Nie spotkał nikogo znajomego, a dwaj towarzyszący mu w windzie prawnicy byli tylko pozbawionymi twarzy żywymi trupami, których za rok już tu nie będzie.

Benedict też trzymał w ręku czarną aktówkę Bally, dokładnie taką samą, jaką Kyle kupił w sierpniu, i już trzecią biorącą udział w tej misji. Wysiadł z windy na trzydziestym trzecim piętrze, minął pustą o tej porze recepcję, skręcił w korytarz na prawo, minął czwarte, piąte, szóste drzwi i za następnymi ujrzał swego klienta, który siedział przy biurku, sącząc kawę. Zamiana aktówek nastąpiła błyskawicznie i Roy niemal od razu zawrócił do wyjścia.

– Gdzie są federalni? – spytał niemal szeptem Kyle, choć w pobliżu nie było nikogo, a sekretarki dopiero szykowały się do wstawania z łóżek.

– Za rogiem w furgonetce. Od razu sprawdzą aktówkę na obecność nadajników pozycjonujących. Jeśli coś znajdą, przyniosę ją

z powrotem i coś wymyślimy. Jeśli nie, odeślą ją do laboratorium w Queens. Ciężka jest.

– To przez tę granatową skrzynkę. Skonstruowaną specjalnie przez ich geniusza zła.

– Kiedy musisz mieć ją z powrotem?

– Powiedzmy, że o siódmej. To daje dwanaście godzin. Powinno im chyba wystarczyć.

– Tak mówią. Bullington twierdzi, że mają całą armię komputerowych maniaków, którzy nie mogą się doczekać, żeby się do tego dobrać.

– Oby tylko czegoś nie spieprzyli.

– Nie spieprzą. U ciebie wszystko gra?

– Wszystko. Mają gotowe nakazy aresztowania?

– O, tak. Nielegalny podsłuch, wymuszenie, spiskowanie, mnóstwo tego. Czekają tylko na ciebie.

– Jeśli ma to doprowadzić do aresztowania Benniego, to nie musisz mi powtarzać.

– Powodzenia.

Benedict wyszedł, zostawiając czarną aktówkę Bally z identycznymi obtarciami i zawieszką z wizytówką. Kyle szybko zapełnił ją dokumentami, notatnikami i długopisami, po czym poszedł po następną kawę.

Po dwunastu długich godzinach Benedict wrócił z aktówką, a Kyle zamknął za nim drzwi.

– No i? – spytał.

– Jest tak, jak ci powiedzieli. Specjalnie spreparowany komputer, zbudowany zgodnie z zasadami obowiązującymi w wojsku. Wszystko w nim jest masywne i ciężkie, a jego jedyną funkcją jest ściąganie plików. Ma dwa twarde dyski po siedemset pięćdziesiąt gigabajtów każdy. To w zasadzie dość pamięci, by zapisać wszystko, co się mieści w tym gmachu i trzech sąsiednich wieżowcach. Bardzo zmyślne oprogramowanie, z jakim komputerowcy FBI nigdy wcześniej się nie zetknęli. Ci dranie są naprawdę dobrzy.

– Nie musisz mi tego powtarzać.

– I w środku rzeczywiście jest nadajnik radiowy, który pozwala im cię śledzić.

– Jasna cholera. Czyli muszę naprawdę coś przegrać.

– Obawiam się, że tak. Z sygnału radiowego nie dowiedzą się, co konkretnie ściągasz lub ile, ale będą wiedzieć, czy jesteś w środku i grzebiesz w bazie danych.

– Kurwa!

– Poradzisz sobie, Kyle.

– Wygląda na to, że wszyscy we mnie wierzą.

– Czy wiesz już, gdzie macie się spotkać?

– Nie, powiedzą mi to w ostatniej chwili. Zakładając, że ściągnę co trzeba i nie uruchomię przy tym alarmu, mam zadzwonić do Benniego z radosną wiadomością, a on mi wtedy powie, gdzie się spotykamy. Wybieram się na siedemnaste piętro za godzinę i zamierzam wyjść o dziewiątej, bez względu na rezultat. Więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, o dziewiątej piętnaście powinienem być już na ulicy.

– Będę czekał u siebie. Zadzwoń, jeśli będziesz mógł. To wszystko jest podniecające!

– Podniecające? A nie przerażające?

– Wszystko zależy od ciebie.

Ponownie zamienili aktówki i Benedict wyszedł.

Przez następną godzinę Kyle nie robił nic poza wpatrywaniem się w zegar i naliczaniem czasu dla Trylona, w końcu jednak przystąpił do akcji. Rozluźnił krawat, podwinął rękawy koszuli i starając się sprawiać wrażenie wyluzowanego, zjechał windą na siedemnaste piętro.

W środku była Sherry Abney i Kyle musiał się przywitać. Sądząc po jej biurku, siedziała tu już od wielu godzin, a praca nie bardzo jej szła. Wybrał stanowisko na końcu sali za jej plecami.

Wbrew swym utyskiwaniom tak naprawdę nie obawiał się, że któryś z członków ekipy Trylona coś zauważy. Wszystkie dziesięć krzeseł przy stanowiskach roboczych stało tyłem do pomieszczenia, dzięki czemu siedzący mieli przed sobą tylko monitor, komputer i kawałek ściany. Prawdziwe zagrożenie tkwiło w kamerach wideo na suficie, ale i tak czułby się pewniej, gdyby na sali poza nim nie było nikogo.

Po piętnastu minutach postanowił wyskoczyć do toalety i po drodze zatrzymał się przy stanowisku Sherry.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał.

– Nie, dziękuję. Zaraz wychodzę.

To świetnie. Wyszła dokładnie o dwudziestej trzydzieści, bo kończenie pracy o równych godzinach ułatwiało fakturowanie. Kyle położył na komputerze notatnik i dwa długopisy, które mogły łatwo się stoczyć i które trzeba będzie podnieść z podłogi. Koło monitora rozrzucił kilka teczek z papierami i trochę nabałaganił. O dwudziestej czterdzieści zastukał w stalowe drzwi do pomieszczenia z drukarkami, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Zapukał do stalowych drzwi prowadzących nie wiadomo dokąd, choć podejrzewał, że to właśnie za nimi znajduje się dyżurka Ganta, który w niej siedzi

i wszystkiego pilnuje. Czasami widywał, jak Gant kręci się po sali, i teraz zakładał, że musi przebywać gdzieś w pobliżu. Tu też nikt na jego pukanie nie zareagował. O dwudziestej czterdzieści pięć Kyle postanowił przystąpić do akcji, zanim do pomieszczenia wejdzie ktoś nowy. Wrócił do swojego stanowiska, potrącił leżący na komputerze notatnik i strącił na podłogę oba długopisy. Ze złością zamachał rękami, warknął głośno „Kurrwa!” i sięgnął za komputer, udając, że je zbiera. Znalazł jeden i zaczął szukać drugiego. Na podłodze, za monitorem, pod krzesłem i znów za komputerem, co pozwoliło mu zgrabnie wsunąć końcówkę nadajnika do gniazda USB. Znalazł wreszcie drugi długopis i z westchnieniem ulgi uniósł go tak, by kamera dokładnie to zarejestrowała. Usiadł na krześle i zacząć stukać w klawiaturę, jednocześnie wsuwając aktówkę bezpośrednio pod komputer i wciskając przełącznik.

Nie odezwał się żaden alarm, na ekranie nie pojawiło się ostrzeżenie o wykryciu obcego oprogramowania. Nie otworzyły się też drzwi i nie wpadł Gant na czele gromady uzbrojonych ochroniarzy. Nie zdarzyło się nic szczególnego, choć haker Kyle właśnie uruchomił kradzież

dokumentów i ściągał je z oszałamiającą prędkością. W ciągu dziewięciu minut przegrał całą Kategorię A – korespondencję, notatki służbowe i setki bezużytecznych danych, które już wcześniej zostały udostępnione APE i Bartinowi. Dotarł do końca i rozpoczął ściąganie tego samego od nowa. A potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Godzinę po wejściu na salę ponownie odegrał komedię ze strącaniem i szukaniem długopisów, co pozwoliło mu bez trudu wyjąć końcówkę nadajnika z gniazda USB. Na koniec uprzątnął bałagan z biurka i wyszedł. Szybko wrócił do swojego pokoju, zabrał marynarkę i trencz i dotarł do wind, nie spotkawszy nikogo po drodze. Jadąc w dół, uzmysłowił sobie, że właśnie nadszedł moment, którego od początku najbardziej się bał. Był złodziejem i miał w aktówce dość wykradzionych dokumentów, by zarobić wieloletni wyrok i zostać dożywotnio pozbawiony uprawnień adwokackich.

Wyszedł na ulicę i od razu zadzwonił do Benniego.

– Misja zakończona – zameldował z dumą w głosie.

– Wspaniale, Kyle. Hotel Oxford, róg Lexington i Trzydziestej Piątej, pokój pięćset

pięćdziesiąt jeden. Dotrzesz tu w ciągu piętnastu minut.

– Już jadę.

Podszedł do czarnego auta z logo znanej firmy taksówkowej z Brooklynu i usiadł na tylnym siedzeniu. Niski kierowca o azjatyckich rysach twarzy odwrócił się do niego.

– Dokąd? – spytał.

– A ty kto?

– Al Capone.

– Gdzie się urodziłeś, Al?

– Tutwiler, Teksas.

– Gra. Hotel Oxford, pokój pięćset pięćdziesiąt jeden.

Agent Al Capone od razu do kogoś zadzwonił i przekazał informację, po czym wolno ruszył z miejsca. Dopiero po chwili milczenia zaczął mówić:

– Plan jest taki, panie McAvoy. Nasi ludzie już są w drodze i w ciągu dziesięciu minut powinni być w hotelu. Pokręcimy się i spokojnie na nich zaczekamy. Kiedy kierujący akcją znajdzie się na miejscu, zadzwoni i poda nam dalsze instrukcje. Chce pan kamizelkę?

– Czy co chcę?

– Kamizelkę kuloodporną. W bagażniku mam zapasową, jeśli pan chce.

Kyle był zbyt pochłonięty kradzieżą, by myśleć o okolicznościach towarzyszących aresztowaniu Benniego oraz – w miarę możności – Nigela. Był pewien, że uda mu się doprowadzić do nich FBI, ale nie zastanawiał się, jak potoczy się to dalej. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłaby mu być potrzebna kamizelka kuloodporna. Bo po co?

Żeby się zabezpieczyć przed kulami, oczywiście. Dopiero w tym momencie zaświtała mu w rozgorączkowanej głowie myśl o Baxterze.

– Odpuszczę – mruknął, uświadamiając sobie jednocześnie, jak mało ma danych do podjęcia takiej decyzji.

– Oczywiście, proszę pana.

Al pakował się w korki i jechał okrężną drogą, byle tylko trwało to dłużej. W końcu jego komórka zadzwoniła, przez chwilę słuchał, po czym powiedział:

– Dobra, panie McAvoy. Teraz wysadzę pana pod hotelem, a pan sam wejdzie do środka. Proszę przejść do wind po prawej stronie holu i pojechać na trzecie piętro. Jak pan wysiądzie na trzecim, proszę skręcić w lewo i podejść do drzwi na klatkę schodową. Na schodach spotka pan pana Bullingtona i jeszcze paru agentów, którzy pana przejmą.

– Brzmi ekscytująco.

– Życzę powodzenia, panie McAvoy.

Pięć minut później Kyle wkroczył do holu hotelowego i zastosował się do instrukcji. Na schodach między trzecim a czwartym piętrem natknął się na Joego Bullingtona i dwóch innych agentów. Wszyscy trzej wyglądali dokładnie jak fałszywi agenci, którzy dziesięć miesięcy wcześniej zgarnęli go po meczu koszykówki w New Haven, tyle że ci byli prawdziwi, a on nawet nie pomyślał, by ich wylegitymować. Widać było, że są spięci, a serce Kyle'a waliło jak młotem.

– Agent Booth – przedstawił się jeden z nich. – A to jest agent Hardy.

Kyle z podziwem przyjrzał się posturze obu.

– Podejdź do drzwi pokoju pięćset pięćdziesiąt jeden i zadzwoń – polecił Booth. – Gdy tylko zaczną się otwierać, kopnij z całej siły i natychmiast odskocz w bok. Będziemy tuż za tobą. Nie przewidujemy strzelaniny. Zakładamy, że są uzbrojeni, ale nie spodziewają się żadnych niespodzianek. Gdy tylko wejdziemy do środka, ty zostaniesz wycofany.

Co takiego! Nie będzie strzelaniny? Kyle już się szykował do rzucenia żarciku, ale nagle zrobiło mu się miękko w kolanach.

– Zrozumiałeś? – warknął Booth.

– Zrozumiałem. Ruszajmy.

Kyle wyszedł na korytarz i w miarę równym krokiem podszedł do drzwi pokoju 551. Nacisnął guzik, wstrzymał oddech i zerknął za siebie. Booth i Hardy stali pięć metrów dalej, obaj sprężeni do skoku, z połyskującymi czarnymi pistoletami w dłoniach. Korytarzem od drugiej strony nadchodziło dwóch innych agentów, obaj też z bronią w rękach.

Może jednak trzeba było włożyć tę kamizelkę, przemknęło Kyle'owi przez głowę.

Ponownie nacisnął przycisk dzwonka. Nic, cisza. Żadnego dźwięku ze środka.

Płuca przestawały mu pracować, w żołądku trwała rewolucja. Aktówka ważyła tonę, jakby kradzione dokumenty były dużo cięższe.

Spojrzał pytająco na Bootha, który też miał niepewną minę. Kyle nacisnął przycisk po raz trzeci, potem jeszcze dodatkowo zapukał i wykrzyknął:

– Hej, Bennie! To ja, Kyle.

Cisza. Zadzwonił po raz czwarty i piąty.

– To pokój jednoosobowy – szepnął Booth, dając ręką sygnał do podjęcia jakiejś wyćwiczonej akcji. – Odsuń się. Przejdź w głąb korytarza i czekaj – rzucił w stronę Kyle'a.

Hardy wyjął z kieszeni kartę i wsunął ją do szczeliny. Zapaliła się zielona lampka i czterej agenci FBI wpadli do środka, jedni na zgiętych kolanach, drudzy wyprostowani, jedni rzucający się w lewo, drudzy w prawo, wszyscy czterej wrzeszczący i omiatający lufami całe pomieszczenie. Korytarzem biegł ku nim Bullington, zza jego pleców wyłoniło się jeszcze kilku agentów.

Pokój był pusty i jeśli ktokolwiek ostatnio w nim przebywał, nie zostawił po sobie żadnych śladów. Bullington wyjrzał na korytarz i do trzymanego w ręku telefonu czy walkie-talkie wykrzyknął „Blokada budynku!”, po czym obrzucił pełnym niedowierzania wzrokiem Kyle’a, pod którym ugięły się kolana. Wokół kręcili się agenci, niepewni, co mają robić. Kilku ruszyło do wind, inni zawrócili na klatkę schodową.

Z pokoju 562 wyjrzała na korytarz starsza kobieta i krzyknęła „Ciszej tam!”, ale na widok dwóch agentów z bronią w rękach głos jej zamarł, szybko się cofnęła i zatrzasnęła drzwi. Udało jej się ujść z życiem, ale pewnie do rana nie zmruży już oka.

– Kyle, wejdź, proszę! – zawołał Bullington, przyzywając go ręką.

Ten chwycił aktówkę i wszedł do pokoju pięćset pięćdziesiąt jeden.

– Zostań tu przez chwilę – nakazał mu Bullington. – Ci dwaj agenci zostaną z tobą.

Kyle usiadł na krawędzi łóżka i postawił aktówkę między nogami, podczas gdy agenci zamknęli drzwi i schowali broń. Mijały minuty, a jemu przewalały się przez głowę dziesiątki scenariuszy, z których żaden nie poprawiał mu humoru. Pomyślał o Royu i postanowił do niego zadzwonić. Adwokat siedział w swoim gabinecie i czekał na wiadomości.

– Zwiali – powiedział słabym głosem Kyle.

– Jak to?

– Jesteśmy w pokoju hotelowym, ale ich tu nie ma. Uciekli, Roy.

– Gdzie jesteś?

– W pokoju pięćset pięćdziesiąt jeden w hotelu Oxford, chyba pod strażą. FBI przeszukuje hotel, ale nikogo nie znajdą.

– Będę tam za piętnaście minut.

Podczas gdy w hotelu trwało przeszukanie, do mieszkania Kyle’a w Chelsea weszło trzech agentów FBI. Otworzyli drzwi jego kluczem i przystąpili do przeszukania, które potrwało

cztery godziny i ujawniło trzy ukryte kamery, mikrofon w ściennym telefonie i sześć innych urządzeń podsłuchowych. Wystarczająco dużo, by postawić sprawców w stan oskarżenia. Federalni dysponowali kompletem dowodów potrzebnych do wsadzenia drani za kratki. Brakowało im tylko podejrzanych.

Rozdział 39

Roy Benedict dotarł na miejsce o dwudziestej trzeciej, został powitany w drzwiach hotelu przez Joego Bullingtona i wpuszczony do holu. Budynek był nadal zamknięty dla postronnych i trwało przeszukanie całego hotelu, pokój po pokoju. Wywoływało to głośne protesty gości hotelowych i awantury w recepcji.

– Co z Kyle'em? – brzmiało pierwsze pytanie Benedicta.

– Jest bardzo zgnębiony – odrzekł Bullington. – Pójdziemy schodami, bo windy nie działają. Cholera, wszyscy jesteśmy poruszeni.

Drugie pytanie też było oczywiste.

– Co poszło nie tak?

– Nie wiem, Roy. Nic z tego nie rozumiem.

Kyle siedział w płaszczu na brzegu łóżka, ściskając nogami stojącą między nimi aktówkę. Wzrok miał wbity w podłogę i nie zwracał uwagi na pilnujących go agentów. Benedict położył mu rękę na ramieniu i przykucnął.

– Kyle, dobrze się czujesz?

– Oczywiście. – Pojawienie się budzącej zaufanie twarzy nieco poprawiło mu humor.

Bullington skończył rozmawiać z kimś przez telefon i rozłączył się.

– Słuchajcie, na pierwszym piętrze jest wolny apartament. Łatwiej go zabezpieczyć i jest w nim dużo więcej miejsca. Przenieśmy się.

– Słyszałeś, co powiedział? – szepnął Kyle, wychodząc z pokoju. – Łatwiej go zabezpieczyć. Pilnują mnie.

– Nic się nie przejmuj.

Jedno z pomieszczeń trzypokojowego apartamentu było wyposażone w biurko, faks, bezprzewodowy internet, kilka wygodnych foteli i niewielki stół konferencyjny, co czyniło z niego idealne prowizoryczne biuro.

– Tu nam będzie dużo wygodniej – powiedział Bullington, ściągając płaszcz i marynarkę, jakby szykował się do dłuższej nasiadówki.

Kyle i Roy poszli w jego ślady i usiedli na fotelach. Dwaj agenci zostali przy drzwiach.

– Oto co udało nam się na razie ustalić – zaczął Bullington, gładko wchodząc w rolę dowodzącego akcją. – Pokój został zarezerwowany dziś po południu przez niejakiego Randalla Kerra, który użył do tego

fałszywego nazwiska i fałszywej karty kredytowej. Około dwudziestej czterdzieści pięć Kerr przyjechał do hotelu, mając za cały bagaż niewielką czarną aktówkę. Przez chwilę gadał z recepcjonistką, informując ją, że właśnie przyleciał z Mexico City. Obejrzeliśmy nagranie z kamery monitoringu i mamy pewność, że Kerrem był Bennie, który nawet nie starał się zmienić wyglądu. Pojechał na górę i według zapisu w elektronicznym systemie kontroli drzwi o godzinie dwudziestej pięćdziesiąt osiem otworzył drzwi pokoju pięćset pięćdziesiąt jeden. Ponownie otwarto je osiemnaście minut później, najwyraźniej zrobił to wychodzący z pokoju Kerr, bo już nikt ich potem nie otwierał. Nikt nie zauważył jego wyjścia z hotelu. W korytarzach i w holu są kamery monitoringu, ale jak dotąd niczego nie znaleźliśmy. Jakby się rozpłynął w powietrzu.

– Pewnie, że się rozpłynął – mruknął Kyle. – I możecie być pewni, że go nie znajdziecie.

– Robimy, co w naszej mocy.

– Co ściągnąłeś z komputera, Kyle? – zapytał Benedict.

– Dokumenty ze zbioru A. Pięć albo sześć razy. Niczego więcej nie tknąłem.

– Wszystko poszło gładko?

– Na to wygląda. W każdym razie w trakcie przegrywania nic niepokojącego się nie wydarzyło.

– O której zacząłeś przegrywanie? – spytał Bullington.

– Około dwudziestej czterdzieści pięć.

– A o której zadzwoniłeś do Benniego?

– Tuż przed dwudziestą drugą.

Bullington przez moment się zastanawiał, po czym wyciągnął oczywiste wnioski.

– Czyli Bennie czekał na sygnał z nadajnika i usłyszawszy, że sesja przegrywania dokumentów ruszyła, pojechał do hotelu. Po czym już osiemnaście minut później dał nogę. Brzmi to bezsensownie.

– Nie, jeśli się go zna – rzucił Kyle.

– Nie rozumiem – żachnął się Bullington.

– Ktoś uprzedził go o naszych zamiarach, to dla mnie oczywiste. I tym kimś nie byłem ani ja, ani mój adwokat. Zatem jedynymi, którzy mogli to zrobić, byli pan i inni ludzie z FBI, a także Wingate i jego banda z Departamentu Sprawiedliwości. Nie wiemy kto i pewnie nigdy się nie dowiemy. Niemniej Benny dostał cynk i postanowił się zabawić. Czuł, że was do niego doprowadzę, a wy będziecie chcieli go dopaść, więc zrobił nas wszystkich w konia. Pewnie

siedzi gdzieś kawałek dalej, obserwuje, jak stu agentów FBI przeszukuje hotel, i zanosi się śmiechem.

Policzki Bullingtona oblał sinoczerwony rumieniec, po czym okazało się, że musi pilnie dokądś zadzwonić, i opuścił pokój.

– Spokojnie, Kyle – odezwał się cicho Benedict.

Kyle splótł dłonie na karku i pochylił się nad aktówką, wciąż wetkniętą między jego stopy. Przymknął oczy i spróbował uporządkować myśli, ale nie mógł. Adwokat przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, potem podszedł do minibaru i wyjął dwie butelki wody.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział, wręczając jedną Kyle'owi. – Musimy podjąć szybkie decyzje.

– Zgoda. Na przykład, co zrobimy z tym cholerstwem? – Kyle klepnął dłonią aktówkę. – Firmie jest to obojętne, bo te materiały nie są tajne. Po prostu wykradłem kopie jawnych dokumentów. Jak dotąd niczego jeszcze nie stracili. W archiwum nie będzie śladu włamania.

– FBI na pewno będzie chciało zatrzymać to jako materiał dowodowy.

– Materiał dowodowy przeciw komu?

– Benniemu.

– Benniemu? Benniego już nie ma. Roy, posłuchaj, oni nigdy go nie złapią, bo jest od nich o niebo sprytniejszy. Nie aresztują go i nigdy nie stanie przed sądem. Pewnie siedzi teraz w samolocie, zapewne w prywatnym odrzutowcu, i zastanawia się, którym ze swoich piętnastu paszportów posłużyć się po wylądowaniu.

– Nie byłbym taki pewny.

– Nie? On dziś wszystkich przechytrzył. Musi mieć kogoś wysoko postawionego. Może nie w Nowym Jorku, może w Waszyngtonie. Zamieszanych w to było zbyt wielu ludzi z FBI i Departamentu Sprawiedliwości i pogłoski o akcji wymknęły się spod kontroli. Ktoś inny planował akcję, ktoś inny ją zatwierdzał. Odbywały się narady na wysokim szczeblu, wiadomości rozchodziły się w coraz liczniejszym gronie. To był błąd.

– Nie miałeś wyboru.

– Wybór miałem ograniczony. I wygląda na to, że źle wybrałem.

– A co z twoją pracą?

– Jestem pewien, że z tego też się nie wyplączę. A ty co radzisz? Bóg mi świadkiem, że za to płacę, nawet jeśli to cena z rabatem. – Obaj lekko się uśmiechnęli, ale zaraz spoważnieli.

Benedict łyknął wody, otarł usta rękawem koszuli i pochylił się bliżej. Dwaj agenci wciąż trwali w zasięgu słuchu.

– Możesz do niczego się nie przyznawać. Po prostu idź jutro do pracy jakby nigdy nic. Ich dokumentacja nie poniosła uszczerbku, nic złego się nie stało. Nigdy nie zamierzałeś czegokolwiek przekazywać Benniemu, ściągnąłeś tylko kilka bezwartościowych plików, by doprowadzić do jego aresztowania. Do aresztowania nie doszło, ale firma o tym nie wie. I jeśli drań nie stanie przed sądem, nigdy się nie dowie.

– Ale zgodnie z planem Bennie miał być wyeliminowany, a ja miałem się przyznać do wszystkiego i prosić firmę o wybaczenie. Coś jak bandzior, który napada na bank, a potem oddaje skradzioną forsę, przeprasza i prosi, by o wszystkim zapomnieć. Oczywiście z kilkoma drobnymi różnicami.

– Chcesz zostać w tej firmie, Kyle?

– Moje odejście ze Scully and Pershing zostało przesądzone w chwili otwarcia drzwi do twojego biura.

– Może istnieć jakiś sposób na uratowanie tej pracy.

– Podjąłem ją, bo Bennie przyłożył mi pistolet do głowy. W miejsce tego pistoletu pojawił się

teraz inny, ale przynajmniej uwolniłem się od groźby szantażu. To wideo może nadal narobić mi wstydu, ale nic więcej. Chciałbym już stąd pójść.

W salonie zaskrzeczała krótkofalówka i obaj agenci aż podskoczyli, ale zaraz znów zapadła cisza.

Kyle w końcu rozwarł nogi, uwolnił aktówkę i spojrzał na swojego adwokata.

– Jesteś ważnym wspólnikiem w dużej firmie. Jak byś postąpił, gdyby twój pracownik wyciął ci taki numer?

– Bez wahania bym go zwolnił.

– No właśnie. Z miejsca i nie tracąc czasu na zbędne wyjaśnienia. Jak taka firma miałaby mi jeszcze zaufać? Na moje miejsce czeka tysiąc młodych prawników. I jest coś jeszcze, Roy. Coś, o czym firmę trzeba poinformować. – Kyle rozejrzał się po salonie. Obaj agenci siedzieli na kanapie i oglądali telewizję. – Nie byłem w niej jedynym szpiegiem. Bennie wiedział o wiele za dużo. Miał tam kogoś jeszcze, kto o wszystkim mu donosił. A ja muszę im to uświadomić.

Od drzwi dobiegły jakieś hałasy, agenci szybko wyłączyli dźwięk w telewizorze i zerwali się z kanapy, Roy i Kyle też wstali. Do pokoju wkroczył Bullington w towarzystwie kilku

oficjeli, wśród których centralną postacią był mężczyzna około sześćdziesiątki z krótką siwą czupryną. Był w eleganckim garniturze i już z daleka roztaczał aurę kogoś pewnego siebie, kto nad wszystkim panuje. Bullington przedstawił go jako Maria Delano, dyrektora biura FBI w Nowym Jorku.

– Panowie – zwrócił się Delano do Kyle'a i Roya. – Pan Bennie Wright najwyraźniej wymknął się z hotelu i mamy w związku z tym poważny problem. Nie wiem, gdzie nastąpił przeciek, pragnę was jednak zapewnić, że na pewno nie w moim biurze. Choć wątpię, by was to szczególnie pocieszyło. Dokładnie przeczesujemy całe miasto: dworce kolejowe, lotniska, stacje metra, heliporty, punkty opłat na autostradach. Wszyscy moi agenci są aktualnie w terenie.

Jeśli miało to wywrzeć na Kyle'u wrażenie, to się nie udało, bo ten wzruszył obojętnie ramionami, jakby mówił: „I co z tego?".

– Powinien pan bezzwłocznie wyjechać z miasta, panie McAvoy – mówił dalej Delano. – Proponuję, byśmy przez kilka dni zapewnili panu opiekę. Niech opadnie kurz, a my przez ten czas znajdziemy Benniego Wrighta.

– A jak go nie znajdziecie? – spytał Kyle.

– Wrócimy do tego później. Na lotnisku Teterboro czeka niewielki odrzutowiec. Dowieziemy tam pana w ciągu pół godziny. Będzie pan pod całodobową opieką do chwili, aż coś się wyjaśni. – Z jego słów wynikało, że poważnie traktuje grożące mu niebezpieczeństwo, więc właściwie nie było o czym dyskutować. Kyle był podwójnym agentem, a jeśli uda się dopaść Benniego, stanie się też świadkiem koronnym. Skoro ci dranie zamordowali Baxtera tylko po to, by nie dopuścić do spotkania z Elaine, aż strach pomyśleć, co mogliby zrobić jemu.

– Ruszajmy – zarządził Delano.

– Potrzebuję chwili z moim klientem – powiedział Benedict.

– Oczywiście. – Delano pstryknął palcami i wszyscy natychmiast opuścili apartament.

– Zadzwonię do twojej firmy i zniechęcę ich do rozrabiania – rzekł Benedict, gdy zostali sami.

– Nie musisz. – Kyle wyjął FirmFon. – Skontaktuję się z Dougiem Peckhamem i zawiadomię go, że jestem chory. Bennie nigdy się nie dorwał do tego telefonu.

– W porządku. Najlepiej, jeśli aktówka i komputer zostaną u mnie.

– Tylko nie oddaj tego FBI.

– Nie oddam.

Podali sobie ręce.

– Postąpiłeś słusznie – rzucił Benedict.

– Słusznie czy nie, i tak nic z tego nie wyszło.

– Niczego im nie przekazałeś, Kyle. Nie nadużyłeś zaufania klienta.

– Porozmawiamy o tym później.

– Trzymaj się.

Rozdział 40

W czwartek rano John McAvoy siedział przy swoim biurku, gdy sekretarka powiadomiła go, że zjawiło się dwóch niezapowiedzianych panów z FBI. John polecił ich wprowadzić, ci przedstawili się, błysnęli odznakami i podziękowali za kawę.

– U niego wszystko w porządku? – spytał John.

– Wszystko – potwierdził agent nazwiskiem Halsey, a drugi, Murdock, ochoczo pokiwał głową.

– To co się stało?

– Kyle poinformował nas, że pan znał plany związane z próbą ujęcia jego agenta prowadzącego – powiedział Halsey.

– Tak. Znam okoliczności tej sprawy i wiem, co planował. W czym rzecz?

Obaj agenci przestąpili z nogi na nogę.

– No cóż – podjął Murdock. – Sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Kyle ściągnął dokumenty z komputera i miał je przekazać

swojemu prowadzącemu wczoraj około dziesiątej wieczorem w jednym z hoteli w mieście, ale tamten w ostatniej chwili dał nogę. Jak dotąd nie udało nam się go dopaść.

John przymknął oczy, zdjął okulary i zapalił papierosa.

– Gdzie jest teraz Kyle? – spytał.

– Pod naszą opieką. Jest bezpieczny i bardzo chce z panem rozmawiać. Niestety, w tej chwili to niemożliwe.

Zza biurka buchnął kłąb niebieskiego dymu.

– Pod waszą opieką? – powtórzył John. Chmura dymu rozpełzła się po pokoju i zaczęła zasnuwać Halseya i Murdocka.

– Niestety. Może grozić mu niebezpieczeństwo.

– Kto sknocił tę akcję?

– Nie jesteśmy pewni, czy ktokolwiek coś sknocił ani jak i dlaczego. Powiedzmy tyle, że trwa intensywne śledztwo.

– Kiedy będę mógł porozmawiać z synem?

– Niedługo – odparł Halsey.

– Nie wracamy teraz do Filadelfii – dodał Murdock. – Przez najbliższe parę dni będziemy tu, w Yorku. Naszym zadaniem jest służyć panu informacjami. – Obaj agenci wyjęli wizytówki. –

Proszę dzwonić na numery podane na odwrocie. I proszę się nie krępować.

Kyle spał dość długo i obudził go dopiero szum fal rozbijających się na plaży. Czuł się tak, jakby płynął w chmurach – puszysta biała kołdra, puszyste białe poduszki, złożona w nogach łóżka gruba biała kapa, rozciągający się nad wielkim królewskim łożem biały baldachim. Wiedział, gdzie jest, ale potrzebował paru minut na upewnienie się, że to nie sen.

Ściany były obwieszone tanimi pastelami z morskimi widoczkami, podłoga – z polakierowanych desek. Zaczął się wsłuchiwać w szum morza i dosłyszał dalekie krzyki mew, ale poza tym nie dochodziły żadne inne dźwięki. Jakiż kontrast z hałaśliwym porankiem w Chelsea! Przy łóżku nie było też budzika wyrywającego go ze snu o nieludzkiej porze, a on nie musiał się zrywać, pędzić pod prysznic i w pośpiechu się ubierać, by jak co dzień zdążyć o świcie do biura. Nic z tych rzeczy, w każdym razie nie dziś.

Niezły początek reszty życia.

Jego pokój był jedną z trzech sypialni w skromnym piętrowym domu przy plaży nad

zatoką, godzinę drogi na wschód od Destin na Florydzie i czterdzieści osiem minut lotu learjetem z lotniska Teterboro w New Jersey. Wylądowali w Destin – on i jego nowi przyjaciele – tuż przed czwartą rano. Czekała na nich furgonetka z uzbrojoną załogą, którą gnali szosą 98, mijając ciągnące się kilometrami osiedla mieszkań na wynajem, letnie domki i małe hoteliki. Sądząc po parkingach, większość była pusta, a wiele stojących na nich samochodów miało kanadyjskie tablice rejestracyjne.

Okna w pokoju były uchylone, firanki powiewały na lekkim wietrze. Minęły pełne trzy minuty, nim myśli Kyle'a powędrowały ku Benniemu, a wtedy od razu się zmusił, by skupić uwagę na dalekim skrzeczeniu mew. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Tak – rzucił ochrypłym głosem.

Drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się pucułowata twarz Todda, jego nowego najlepszego przyjaciela.

– Chciałeś, żeby cię obudzić o dziesiątej.

– Dzięki.

– Wszystko w porządku?

– Jasne.

Todd dołączył do grupy w Destin i teraz pełnił funkcję ochroniarza świadka – czy kapusia, czy

kim tam Kyle dla nich był. Pracował w biurze FBI w Pensacola, skończył studia w Auburn i był raptem dwa lata starszy od Kyle'a. Był też dużo bardziej otwarty od wszystkich wcześniej spotkanych agentów FBI, prawdziwych i udawanych.

Kyle, w samych bokserkach, wyplątał się z otulających go chmur i zszedł na dół do przestronnego salonu połączonego z kuchnią. Todd widać zdążył już zrobić zakupy, bo blat był zawalony kartonami płatków śniadaniowych, ciasteczek, chipsów i wszelkiego autoramentu chrupek.

– Kawy? – spytał.

– Pewno.

Na kuchennym blacie leżało kilka poskładanych części męskiej garderoby. Drugim nowym najlepszym przyjacielem Kyle'a był Barry, dużo starszy i mniej wylewny typ z przedwcześnie posiwiałą czupryną i większą ilością zmarszczek, niż to przysługiwało czterdziestolatkowi.

– Dzień dobry – powiedział. – Zrobiliśmy ci zakupy. Masz tu parę T-shirtów, szorty, płócienne spodnie, klapki. Całkiem fajne rzeczy z tutejszego Kmartu. Nic się nie martw, wuj Sam za to zapłacił.

– Na pewno będę się świetnie w nich prezentował. – Kyle wziął od Todda kubek kawy.

Agenci, obaj w płóciennych spodniach i koszulkach polo, byli nieuzbrojeni, ale niewątpliwie ich broń leżała gdzieś niedaleko. Poza tym byli jeszcze Nick i Matthew i ci też kręcili się w pobliżu.

– Muszę zadzwonić do biura – powiedział Kyle. – Dać im znak życia, zawiadomić, że jestem chory i nie przyjdę do pracy. Bo pewnie już mnie szukają.

Todd podał mu FirmFon.

– Nie krępuj się. Zapewniono nas, że połączenia z tego są bezpieczne. Tylko im nie mów, gdzie jesteś, dobrze?

– A gdzie ja jestem?

– Na półkuli zachodniej.

– Tak się domyślałem.

Z kawą i telefonem Kyle wyszedł na taras, z którego roztaczał się widok na przybrzeżne wydmy, a ciągnąca się za nimi plaża była długa, piękna i pusta. Powietrze było rześkie, ale o wiele cieplejsze niż w lodowatym o tej porze roku Nowym Jorku. Włączył telefon i niechętnie przeczytał i odsłuchał liczne wiadomości od Douga Peckhama, Dale, Sherry Abney, Tima Reynoldsa, Tabora i jeszcze paru innych. Żadna

nie brzmiała zbyt alarmująco. Ot, codzienna lawina słów od zagonionych ludzi, którzy mają zbyt łatwy dostęp do środków komunikacji. Dale dwukrotnie dzwoniła z pytaniem, czy u niego wszystko w porządku.

Zadzwonił do Douga Peckhama, połączył się z jego skrzynką głosową i zostawił wiadomość, że leży w łóżku z grypą, fatalnie się czuje i w ogóle. Potem zadzwonił do Dale, ta jednak była na spotkaniu i nie mogła odebrać, zostawił więc jej tę samą wiadomość. Jedną z dobrych stron zadawania się z pracoholikami jest to, że nie mają czasu przejmować się drobnymi kłopotami zdrowotnymi innych. Masz grypę, to łyknij pigułki, wyleż się i tylko nie przywlecz swoich zarazków do biura.

Za to Roy Benedict jakby czekał na jego telefon.

– Gdzie jesteś, Kyle? – sapnął niecierpliwie już po pierwszym dzwonku.

– Na półkuli zachodniej. U mnie wszystko dobrze, a u ciebie?

– W porządku. Jesteś bezpieczny?

– Bezpieczny. Trzymają mnie w ukryciu i pilnuje mnie co najmniej czterech kolesi, którzy tylko marzą o tym, żeby kogoś zastrzelić. Jakieś wiadomości o naszym przyjacielu Benniem?

– Żadnych. Do południa będą mieli gotowe formalne zarzuty. Dodali jeszcze jeden o morderstwo. Roześlą wici po całym świecie i będą czekać na efekt. Miałeś rację. W twoim mieszkaniu było pełno pluskiew. I to najwyższej jakości, najnowsza generacja w technice podsłuchu.

– Czuję się zaszczycony.

– Znaleźli też nadajnik pod tylnym zderzakiem twojego jeepa.

– To mi nawet nie przyszło do głowy.

– Wszystko to jest teraz prezentowane wielkiej ławie przysięgłych, więc jeśli Benniemu powinie się kiedyś noga, będą na nim ciążyć poważne zarzuty.

– Nie byłbym taki pewien, że mu się powinie.

– Rozmawiałeś z firmą?

– Zostawiłem Peckhamowi wiadomość, że mam grypę. Na parę dni wystarczy.

– Żadnych alarmujących wieści, nietypowych zachowań?

– Nic. To takie dziwne, Roy. Jestem teraz ponad tysiąc kilometrów od Nowego Jorku i jak się nad tym zastanawiam, to aż nie mogę uwierzyć, jak łatwo było wejść do chronionego pomieszczenia ze szpiegowskim sprzętem i wyjść ze skradzionymi plikami. Mogłem wykraść

dowolny dokument z bazy danych zawierającej ponad cztery miliony plików i przekazać go Benniemu czy innemu łajdakowi. A rano pójść do biura, jakby nigdy nic. Trzeba im to uświadomić.

– I kto im to powie?

– Ja. Mam parę rzeczy na sumieniu, z których muszę się oczyścić.

– Porozmawiajmy o tym jutro. Całe rano przegadałem przez telefon z Bullingtonem. Dwukrotnie wspomniał o programie ochrony świadków. FBI na to nalega. Bardzo się o ciebie boją, Kyle.

– Też się o siebie boję, ale żeby aż program ochrony świadków?

– Oczywiście. Uważasz, że nie uda im się złapać Benniego. Oni uważają, że go dopadną. Jeśli im się uda i postawią go przed sądem z całą listą zarzutów, będziesz ich najważniejszym świadkiem. Gdybyś nie mógł zeznawać, cały ich plan się zawali.

Miły poranek na plaży zaczynał się komplikować. Ale właściwie czemu nie? Już od dawna nic w życiu Kyle’a nie było proste.

– Będę musiał to przemyśleć – powiedział.

– To zacznij myśleć od razu.

– Zadzwonię później.

Kyle włożył płócienne spodnie i T-shirt, które całkiem nieźle leżały, i przeglądając „Pensacola News Journal” i „New York Timesa”, zjadł dwie miseczki płatków śniadaniowych. W „Timesie” nie było ani słowa o wczorajszym zamieszaniu w hotelu Oxford. Oczywiście, że nie. Działo się to zbyt późno w nocy i dotyczyło zbyt poufnych spraw. Więc dlaczego tego szukał?

Todd dosiadł się do niego po tym, jak Kyle zjadł śniadanie i przeczytał gazety.

– Chcę cię poinformować o pewnych regułach, jakie tu obowiązują – powiedział pogodnym tonem, choć bez uśmiechu.

– No nie mów!

– Możesz oczywiście dzwonić, dokąd chcesz, ale tylko z tego aparatu. Nie wolno ci wyjawić miejsca pobytu. Możesz chodzić po plaży, ale będziemy ci z daleka towarzyszyć.

– Chyba żartujesz. Idę sobie po plaży, a za mną lezie ktoś z pistoletem maszynowym?! Super!

Todd wyczuł kpinę i parsknął śmiechem.

– Nie będzie żadnych pistoletów maszynowych. I nie będziemy rzucać się w oczy.

– Zawsze rzucacie się w oczy. Potrafię na kilometr wypatrzyć agenta.

– Tak czy siak nie oddalaj się zbytnio od domu.

– Jak długo tu zostanę?

Agent wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Pilnujecie mnie czy jestem tu w ramach ochrony świadków?

– Chyba pilnujemy.

– Nie wiesz tego, Todd? Nie udawaj. Pilnowanie sugeruje, że pilnowany jest o coś podejrzany, nie?

Ponowne wzruszenie ramion.

– A ja nie jestem podejrzanym. Jestem świadkiem, który nie wyraził jeszcze zgody na objęcie go programem ochrony. Według mojego adwokata, z którym przed chwilą rozmawiałem, mogę w każdej chwili otworzyć te drzwi i się stąd oddalić. A ty co o tym myślisz, Todd?

– Wspominałeś coś o pistolecie maszynowym. Mamy ich tu sześć.

– Czyli nie powinienem nigdzie się oddalać, tak?

– Tak.

– Dobra, zbliża się południe. Co będziemy robić?

Kręcący się w pobliżu Barry nie uronił ani słowa z ich rozmowy. Podszedł teraz do stołu

z dużym koszem pełnym gier planszowych, jakie właściciele letnich domów na wynajem zostawiają na użytek gości.

– Mamy Monopol, Ryzyko, szachy, scrabble, chińskie warcaby – powiedział. – Możesz wybierać.

Kyle zajrzał do kosza.

– No to niech będą scrabble.

Rozdział 41

Gwałtowny atak grypy przeciągnął się do piątku i Doug Peckham wprawdzie wyraził współczucie, ale zaczął z niepokojem dopytywać się o „rokowania zdrowotne”. Firmę zasypywała lawina wniosków w sprawie Trylona i każda para rąk była na wagę złota. Na szczęście Peckham w swej trosce nie posunął się do tego, by spytać, gdzie Kyle leży, kto się nim opiekuje czy jakie zażywa lekarstwa. Kyle na wszelki wypadek poinformował go, że rozpoznana u niego odmiana grypy jest okropnie zaraźliwa, a ponieważ Nowy Jork przeżywał swą doroczną grudniową panikę epidemii, ta wersja brzmiała prawdopodobnie. Dale też w nią uwierzyła, tyle że jej współczucie było dużo głębsze.

Temperatura w godzinach popołudniowych sięgnęła trzydziestu stopni Celsjusza i Kyle miał już dość siedzenia w domu.

– Chciałbym się przejść – zwrócił się do Todda. – Mógłbyś przyszykować plażę?

– Z przyjemnością. W którą stronę chcesz pójść?

– Na wschód, w stronę Miami.

– Skrzyknę chłopaków. Zaczynają się przy tobie nudzić.

Kyle przez godzinę nie spotkał nawet dziesięciu spacerowiczów idących w przeciwnym kierunku. Trzydzieści metrów dalej podążało dwoje opiekunów udających parę zakochanych ze słuchawkami w uszach i pistoletami w kieszeniach.

Dosłyszał dźwięki muzyki, rozejrzał się i w głębi plaży dostrzegł grupkę ludzi pod szałasem pokrytym sztuczną strzechą. Należał do hotelu Gator, rodzinnego moteliku w stylu lat pięćdziesiątych, szczycącego się niedużym basenem i niskimi cenami. Wyglądał dość odstręczająco, ale był jedyną budowlą w zasięgu wzroku. Z nudów Kyle postanowił spłatać figla swoim opiekunom i oddalił się od brzegu, przeszedł między dwiema małymi wydmami i usiadł w barze Pedro. Z głośników sączył się cichy śpiew Jimmy’ego Buffetta o życiu w republice bananowej, barman miksował firmowy koktajl z rumem; oblegająca go gromadka liczyła siedem osób. Wszyscy dobrze po sześćdziesiątce, wszyscy z widoczną nadwagą,

wszyscy mówiący z gardłowym akcentem z północy. Pierwszy desant zbiegów z zimnego klimatu.

Pociągnął łyk koktajlu z rumem i poprosił o cygaro. W szparze między wydmami widać było jego opiekunów, którzy stali niepewni, co powinni zrobić. Po paru minutach do motelu dotarł inny z agentów. Przeszedł koło baru, puścił do Kyle'a oko i poszedł dalej. Jesteśmy przy tobie, kolego.

Kyle jeszcze chwilę został; pił, palił i starał się sprawiać wrażenie, że jest mu tu dobrze. Jeszcze jeden zapracowany gość, któremu udało się wygospodarować kilka dni na plaży.

Ale nie bardzo mu to wychodziło. W Nowym Jorku czekało zbyt wiele niedokończonych spraw.

Po trzech dniach troskliwej opieki Kyle się zbuntował. Learjet wylądował na lotnisku Teterboro tuż po osiemnastej w sobotę, szóstego grudnia. Na jego wyraźne życzenie zarezerwowano mu apartament w hotelu Grand Tribeca, w kwartale między Walker i White, w pobliżu Village, i na jego równie kategoryczną prośbę wszyscy agenci FBI zostali na dole w holu

hotelowym i atrium. Miał dość ich ciągłej obecności i głupich reguł, głupich przynajmniej w jego opinii.

Dale zjawiła się punktualnie o ósmej. Przywiozło ją dwóch agentów i wpuściło do hotelu wejściem dla personelu. Kyle zaczął od rzekomej grypy i cofając się, opowiedział jej całą historię. Mówił długo, a ona słuchała go z takim samym niedowierzaniem, z jakim wcześniej słuchali jego opowieści ojciec i Roy Benedict. W jej trakcie zadzwonił na room service i zamówił na rachunek rządu homara i butelkę dobrego białego burgunda. Podjął już decyzję o odejściu z firmy, ale nie wiedział jeszcze co dalej. Dale też postanowiła zrezygnować z pracy w Scully & Pershing na rzecz przyjaźniejszych warunków życia i pracy w śródmieściu Providence. Chciał porozmawiać o jej przyszłości, ona jednak wolała poznać do końca jego przeszłość. Opowieść zrobiła na niej piorunujące wrażenie i Dale tylko co jakiś czas powtarzała: „Czemu nic mi nie powiedziałeś?”, on zaś za każdym razem miał jedną odpowiedź: „Bo nikomu nic nie mówiłem”.

Ich rozmowy przeciągnęły się długo po północy i przypominały bardziej zwierzenia starych przyjaciół niż dwojga kochanków.

Pożegnali się długim pocałunkiem i solenną obietnicą, że spotkają się za kilka tygodni, gdy tylko Kyle upora się z pewnymi sprawami.

O pierwszej nad ranem zadzwonił na dół i poinformował swych opiekunów z FBI, że kładzie się spać.

W niedzielę w południe Kyle wkroczył po raz ostatni do luksusowej siedziby firmy Scully & Pershing. Towarzyszyli mu Roy Benedict, Mario Delano z biura FBI i Drew Wingate z Departamentu Sprawiedliwości. Zaprowadzono ich do sali konferencyjnej na trzydziestym czwartym piętrze, kolejnego pomieszczenia – którego Kyle nigdy wcześniej nie widział – gdzie czekało na nich sześciu wspólników z kamiennymi twarzami. Wszyscy sucho się sobie przedstawili i tylko Doug Peckham okazał iskierkę sympatii na widok Kyle'a, ale i ta szybko zgasła. Zasiedli po przeciwnych stronach stołu niczym wrogowie na dwóch szańcach pola bitwy. Scully & Pershing reprezentowali wspólnik zarządzający Howard Meezer, Peckham, mocno nadąsany Wilson Rush, legenda firmy na emeryturze Abraham Kintz i dwóch młodszych

wspólników z zarządu firmy, z którymi Kyle nigdy wcześniej się nie zetknął.

W sobotę wieczorem Roy Benedict przesłał do firmy dwudziestopięciostronicowy raport z działalności Kyle'a i widać było, że każde zawarte w nim słowo zostało wielokrotnie przeczytane przez wszystkich sześciu obecnych. Do raportu dołączone było podanie Kyle'a o rozwiązanie stosunku służbowego.

Meezer rozpoczął spotkanie od stwierdzenia pełnym satysfakcji tonem, że „pańska prośba, panie McAvoy, została jednomyślnie przyjęta".

Nie zwyczajnie przyjęta. Przyjęta „jednomyślnie". Kyle skinął w milczeniu głową.

– Przeczytaliśmy raport pańskiego adwokata – ciągnął Meezer spokojnym, wypranym z emocji tonem. – Jest w równym stopniu fascynujący, co wysoce niepokojący i wynika z niego szereg spraw. Proponuję, byśmy je omówili według hierarchii ważności.

Oczywiście, oczywiście, wszyscy się zgadzają.

– Najważniejsze pytanie brzmi: co z panem zrobić, panie McAvoy. Rozumiemy motywy pańskiego postępowania, ale jakkolwiek na to patrzeć, dopuścił się pan kradzieży. Wszedł pan w posiadanie poufnych dokumentów ważnego klienta bez wiedzy i zgody naszej firmy. Takie

postępowanie jest w najwyższym stopniu naganne i uzasadnia wszczęcie przez nas procedury karnej. Czy jesteśmy co do tego zgodni?

Kyle'a uprzedzono, żeby siedział cicho i bez pozwolenia swojego adwokata nie otwierał ust.

– Procedura karna jest rzeczywiście uzasadniona – przyznał Benedict. – Tyle że nic wam to nie da. Firma nie poniosła żadnych strat.

– Poniesienie straty nie stanowi warunku koniecznego, mecenasie.

– Teoretycznie ma pan rację. Ale podejdźmy do tego praktycznie. Kyle od początku nie zamierzał nikomu przekazywać zabranych dokumentów. Zabrał je tylko po to, by zdemaskować spisek wymierzony przeciwko wam i waszemu klientowi.

– FBI nie włączy się do procedury karnej, panie Meezer – wtrącił Delano, dając wyraz twardemu stanowisku władz federalnych.

– Ani Departament Sprawiedliwości – dodał szybko Wingate.

– Dziękuję, ale niepotrzebna nam w tej sprawie panów pomoc – powiedział Meezer. – Kradzież może być przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego, a my mamy dobre kontakty z władzami w tym mieście. Niemniej

jesteśmy skłonni odstąpić od rozpatrywania tej sprawy w kategoriach przestępstwa kryminalnego. – Słowo „kryminalnego” zostało mocno zaakcentowane. – Bo można na tym niewiele zyskać, a dużo stracić. Nie chcemy, by nasi klienci zaczęli się niepokoić o zachowanie poufności powierzonych nam spraw, a ta historia stałaby się smakowitym kąskiem dla prasy.

Wilson Rush nie odrywał od Kyle’a rozjarzonego wzroku i tylko Doug siedział z opuszczoną głową, wpatrując się w swój notatnik. Znalazł się tu dlatego, że Kyle był jego bezpośrednim podwładnym, ale także dlatego, że firmie zależało na liczniejszej reprezentacji, by w tym niefortunnym dla niej momencie okazać siłę. Kyle zerkał na Douga i unikał wzroku Rusha, zastanawiając się, ilu z nich wystawi Trylonowi faktury za spędzone tu godziny. I to w podwójnej wysokości, bo była niedziela.

Faktury, faktury, nic tylko faktury. Miał nadzieję, że już do końca życia nie ujrzy druku do naliczania godzin, nigdy więcej nie będzie patrzył na zegarek i dzielił godzin na dziesiąte części, nigdy nie będzie musiał naciągać czasu, by mieć pewność, że na koniec miesiąca nie zabraknie mu paru godzin do magicznej liczby dwustu.

– W kategoriach etyki zawodowej – mówił dalej Meezer – stanowi to poważne naruszenie zaufania klienta, a to wymaga powiadomienia stanowej komisji dyscyplinarnej.

Zamilkł i czekał tak długo, że z drugiej strony stołu musiała paść odpowiedź.

– Sądziłem, że chcecie uniknąć rozgłosu – odezwał się Benedict. – Wiemy, że tego rodzaju sprawy załatwia się za zamkniętymi drzwiami, ale wiemy też, że bardzo często zdarzają się wycieki. A jeśli komisja dyscyplinarna da panu McAvoyowi naganę lub pozbawi go uprawnień adwokackich, jej decyzja trafi do wiadomości publicznej. Prawnik Scully and Pershing pozbawiony praw adwokackich za wyniesienie poufnych akt klienta? Chcecie widzieć taki tytuł na pierwszej stronie „New York Lawyer”?

Czterech z sześciu wspólników wolno pokręciło głowami i Kyle nagle sobie uświadomił, że strona przeciwna jest równie spięta jak on. Reputacja firmy mogłaby ucierpieć na tej sprawie. Jakiś ważny klient mógłby zrezygnować z jej usług. Konkurencja z lubością rozniosłaby po całej Wall Street pogłoski o łamaniu zasad bezpieczeństwa w Scully & Pershing.

– Czy pan zamierza pozostać w Nowym Jorku, panie McAvoy? – spytał Meezer.

Benedict kiwnął przyzwalająco głową i Kyle odpowiedział:

– Nie, nie mogę.

– Doskonale. Jeśli zobowiąże się pan nie podejmować praktyki prawniczej w stanie Nowy Jork, my zgodzimy się zapomnieć o złamaniu przez pana zasad etyki zawodowej.

– Zgadzam się – rzucił skwapliwie Kyle. Może nawet nieco zbyt skwapliwie, ale chciał jak najszybciej mieć to z głowy.

Meezer zaczął przeglądać notatnik, jakby miał jeszcze wiele spraw do omówienia, ale tak naprawdę spotkanie dobiegało końca. Jego prawdziwym celem było oficjalne rozstanie się z Kyle'em, skarcenie go i wysłuchanie ewentualnych przeprosin, a następnie jak najszybsze rozejście się i zapomnienie o całej sprawie.

– Gdzie jest teraz ta granatowa skrzyneczka? – spytał Wilson Rush.

– U mnie pod kluczem – odparł Benedict.

– I nie zawiera nic poza dokumentami kategorii A?

– Nie.

– Chciałbym, aby nasza ochrona ją sprawdziła.

– Jest do dyspozycji w każdej chwili.

– Ale chcielibyśmy w tym uczestniczyć – wtrącił Delano. – Bo jeśli uda nam się złapać tego Benniego, to owa skrzyneczka stanie się dowodem rzeczowym numer jeden.

– Jakieś postępy w tej dziedzinie? – spytał Meezer.

Przez usta Delano nie przeszłyby słowa, że w poszukiwaniach podejrzanego brak jakichkolwiek postępów, udzielił więc standardowej odpowiedzi:

– Sprawdzamy pewne tropy. Jesteśmy dobrej myśli.

Czyli, inaczej mówiąc, nie mamy nic.

Jeszcze trochę poszeleszczono papierkami, jeszcze powiercono się na fotelach.

– W pańskim raporcie, panie McAvoy, zawarte są pewne aluzje odnośnie do standardów bezpieczeństwa w firmie Scully and Pershing. Zechciałby je pan rozwinąć?

Benedict znów kiwnął głową i Kyle zaczął mówić:

– Tak, ale najpierw chciałbym przeprosić za swoje postępowanie. Mam nadzieję, że rozumieją panowie powody, które mnie do tego zmusiły, choć sam nadal uważam, że zrobiłem źle. I za to przepraszam. Co do standardów bezpieczeństwa, podczas mojego pobytu w Nowym Jorku odbyłem

dziesięć spotkań z tymi ludźmi. Pierwsze w lutym, do dziesiątego doszło w miniony wtorek wieczorem. Z każdego z nich robiłem szczegółowe notatki, zapisywałem daty, miejsca, czas trwania, uczestników, co kto powiedział. Wszystko, co byłem w stanie odtworzyć z pamięci. Mój adwokat posiada te notatki, kopie zostały przekazane do FBI. Trzykrotnie dzielono się ze mną wiedzą, którą mógł dysponować tylko ktoś zatrudniony w firmie. Myślę, że działa w niej jeszcze jakiś szpieg. Na przykład Bennie… niechętnie używam tego imienia, bo to tylko jego pseudonim, ale innego nie znam… A więc Bennie wiedział o istnieniu, jak to określił „gdzieś na południu", magazynu pełnego dokumentów. Podczas jednego ze spotkań on i Nigel… to kolejny pseudonim… dali mi do zrozumienia, że robią postępy w pokonaniu zabezpieczeń użytych w magazynie. Wiedzieli też o istnieniu tajnego pomieszczenia na siedemnastym piętrze. Bennie znał nazwiska wszystkich wspólników i prawników przydzielonych do sprawy Trylona. Wiedział też, że z firmy odejdzie młody prawnik McDougle, który pracował w ekipie Trylona pod kierunkiem starszej wspólniczki Sherry Abney. Polecił mi wtedy zacząć grać w squasha, bo to ulubiona rozrywka Sherry. Bennie przekazał mi

też kopie pism procesowych, wniosków i orzeczeń. Posiadam ponad sześćset stron dokumentów sądowych, które, jak panowie wiedzą, trzymane są w sejfie i nie podlegają upublicznieniu.

Trzy z sześciu par szczęk po drugiej stronie stołu opadły ze zdziwienia. Może nie aż na piersi, jak po nokautującym ciosie, ale wyraz zdumienia na twarzach był wymowny. Myśl, że jakiś smarkacz złamał ich niemożliwy do pokonania system zabezpieczeń, była wystarczająco przygnębiająca. Ale jeszcze ktoś?

By ich dodatkowo dobić, Kyle dorzucił jeszcze coś, w co naprawdę wierzył, tylko nie potrafił tego udowodnić.

– I jestem przekonany, że tym kimś nie jest szeregowy prawnik – oświadczył.

Cała szóstka po drugiej stronie stołu zrozumiała to jednakowo: skoro nie szeregowy prawnik, to znaczy, że wspólnik.

Doug Peckham przełknął głośno ślinę i odchrząknął, zanim się odezwał.

– Chcesz przez to powiedzieć…

Siedzący obok Wilson Rush uniósł rękę i machnął nią niemal tuż przed twarzą Douga. Niczym władca, który gestem ręki nakazuje ciszę i poddani milkną.

Wszyscy przy stole umilkli.

– Coś jeszcze? – odezwał się w końcu Benedict.

– Myślę, że to już wszystko – odrzekł Meezer. Po paru sekundach niezręcznej ciszy Benedict wstał. Kyle, Delano i Wingate zrobili to samo. Żaden z sześciu wspólników nawet nie drgnął. Siedzieli jak porażeni i z wymownymi grymasami na twarzach przyglądali się, jak Kyle i towarzyszący mu mężczyźni opuszczają salę.

Rozdział 42

W holu czekało na nich tych samych trzech rosłych agentów, którzy przywieźli Kyle'a z hotelu. Wyszli całą grupą na Broad Street i przeszli spacerem do budynku, gdzie na szesnastym piętrze mieściły się biura Benedicta. Trzej agenci, a ściślej mówiąc, ochroniarze, rozsiedli się w pomieszczeniu recepcji i znów zaczęli czekać. Po wejściu do biura Drew Wingate uznał, że jego rola dobiegła końca, i pożegnał się, obiecując dalszą pomoc na wszelkie możliwe sposoby. Po jego wyjściu Kyle, Benedict i Delano usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym, nieszczęsna sekretarka awaryjnie ściągnięta w niedzielę z domu z uśmiechem podała im kawę.

– Jakie masz plany, Kyle? – spytał Delano.

– No cóż, wygląda na to, że na pewno nie będę praktykował prawa w stanie Nowy Jork. Pojadę na parę tygodni do domu, trochę odpocznę, spędzę święta z rodziną.

– Nie jestem pewien, czy to najmądrzejszy plan.

– Doceniam pańską troskę, panie dyrektorze, ale nie zamierzam się ukrywać. Dziękuję za propozycję ukrycia mnie w tajnym świecie ochrony świadków, ale nie skorzystam. Mam dwadzieścia pięć lat, potknąłem się, ale nie upadłem. Poradzę sobie.

Filiżanka z kawą znieruchomiała w drodze do ust Benedicta.

– Kyle, chyba nie mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie, Roy, i nie jest to zamierzona gra słów. Właśnie wytrwałem trzy dni pod pieczołowitą opieką gromady agentów, kryjąc się po kątach i wypatrując złoczyńców. Nie, dziękuję, nie skorzystam. Chciałbym w przyszłości robić coś więcej, niż tylko wymyślać fałszywe nazwiska i grać w scrabble.

– Grać w scrabble?

– Zostawmy to. Panowie, od dziesięciu miesięcy byłem przedmiotem stałej inwigilacji. Czy wiecie, jak to wpływa na człowieka? Prowadzi do prawdziwej paranoi. Zaczyna się wszystkich podejrzewać. Wpatruje się w każdą nową twarz, bo może należeć do wroga. Zauważa się każdą wnękę w murze, każdy zaułek, każdego włóczęgę na parkowej ławce, każdego mężczyznę

w ciemnym trenczu. Rozmawia się przez telefon i zastanawia, kto jeszcze tego słucha. Wysyła maila i specjalnie przekręca słowa, bo ktoś niepowołany może to przechwycić. We własnym mieszkaniu przebiera się plecami do kamery, żeby nie błyskać fiutem. Wchodzi do kawiarni i natychmiast podchodzi do okna, żeby sprawdzić, kto szedł za mną po chodniku. Uczy się tysiąca drobnych sztuczek, bo im więcej się wie, tym więcej trzeba wiedzieć. Ściany napierają na człowieka. Cały świat karleje, bo zawsze ktoś może obserwować. Mam tego dość. Nie będę całe życie uciekał.

– Ci dranie zabili Baxtera Tate'a – przypomniał mu Benedict. – Skąd wiesz, że nie zrobią tego samego z tobą?

– Kiedy Baxter się wtrącił, operacja była jeszcze w pełnym rozkwicie. Ta operacja, przynajmniej w części dotyczącej mnie, została zakończona. Benniego już nie ma, a jego plan diabli wzięli. Być może powróci z czymś nowym, ale…

– Jestem pewien, że powróci – wtrącił Delano.

– Ale mnie to już nie będzie dotyczyło. Co by mu przyszło z zabijania mnie?

– Pozbyłby się ważnego świadka – powiedział Roy.

– Tylko jeśli go złapią, w co mocno wątpię. Jeśli Bennie rzeczywiście będzie miał stanąć przed sądem, wtedy możemy pogadać o ukryciu mnie.

– Wtedy już będzie za późno – rzucił Delano. – Możesz mi wierzyć. Gdy tylko dopadniemy Benniego, paru zbirów od razu się tobą zajmie.

– Niech się zajmują. W domu mamy co najmniej pięć strzelb na jelenie. W aktówce będę miał lugera. Jeśli się pojawią, urządzimy im prawdziwą kanonadę.

– Kyle, nie wygłupiaj się – mruknął Roy.

– Podjąłem już decyzję. FBI nie może mnie zmusić do udziału w programie ochrony świadków, zatem oficjalnie i z pełnym uszanowaniem oświadczam: nie, dziękuję. Dzięki za pańską propozycję, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz jej żałował – powiedział Delano.

– Miejmy. I proszę, nie chodźcie już więcej za mną. Bo może mi odbić i zacznę strzelać do kogoś kryjącego się w cieniu.

– Och, o to możesz się nie martwić. Mamy wystarczająco dużo zajęć gdzie indziej. – Delano wstał i wszyscy trzej podali sobie ręce. – Będę się odzywał raz na tydzień z najświeższymi

wiadomościami – dodał, zwracając się do Benedicta.

Roy odprowadził go do drzwi, definitywnie uwalniając życie Kyle'a od FBI. Potem usiadł na swoim miejscu i obrzucił klienta pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Cholernie jesteś odważny – powiedział.

– Odważny albo głupi. Granica często się zaciera.

– Dlaczego nie chcesz się gdzieś zaszyć na parę miesięcy, może nawet na rok? Niech wszystko przycichnie.

– Rok nic nie znaczy. Tacy jak oni mają długą pamięć. Jeśli Bennie będzie chciał się mścić, prędzej czy później mnie dopadnie i nie będzie miało żadnego znaczenia, gdzie się ukryję.

– Nie ufasz FBI?

– Nie. Ufam tobie, sobie, mojemu ojcu, dziewczynie imieniem Dale i to by było na tyle.

– Myślisz, że FBI było w to wmieszane?

– Tego się pewnie nigdy nie dowiemy, prawda? Osobiście podejrzewam, że Bennie pracuje dla rządu, który utrzymujemy z naszych podatków. Dlatego udało mu się uciec. I dlatego nigdy go nie złapią.

– Nadal w to nie wierzę.

Kyle wzruszył ramionami i zapadła długa cisza.

W końcu spojrzał na zegarek.

– Roy, słuchaj, jest niedziela po południu, a ty masz rodzinę. Wracaj do domu.

– A ty?

– Ja? Wyjdę tymi drzwiami i przejdę się spacerem do mojego mieszkania, ani razu nie oglądając się za siebie. Spakuję ciuchy i całą resztę, wrzucę do mojego jeepa z ponad trzystoma tysiącami kilometrów na liczniku i ruszę do domu. Powinienem zdążyć na późną kolację z ojcem. Jutro spiszemy umowę o powołaniu do życia spółki prawniczej McAvoy i McAvoy i dzięki temu zostanę wspólnikiem szybciej, niż jakikolwiek absolwent Yale.

– To mi się podoba. Redaktor naczelny „Yale Law Journal" prowadzący kancelarię przy głównej ulicy Yorku w Pensylwanii.

– Mnie też się to podoba. Prawdziwi klienci, prawdziwi ludzie, prawdziwe sprawy. Polowanie na jelenie w soboty, mecze Steelersów w niedziele. Prawdziwe życie.

– Mam nadzieję, że sobie nie kpisz.

– W życiu nie mówiłem poważniej.

– No to chodź. Odprowadzę cię do wyjścia.

Zjechali windą i wyszli na ulicę. Podali sobie ręce na pożegnanie, a potem Roy Benedict jeszcze przed długą chwilę patrzył, jak jego klient swobodnym krokiem idzie Broad Street i znika za rogiem.

[1] Prawa Mirandy – prawo do zachowania milczenia, o którym przesłuchujący ma obowiązek uprzedzić przesłuchiwanego. Nazwa nawiązuje do procesu oskarżonego Mirandy z roku 1966.

[2] W żargonie footballowym oznacza to „trzecią próbę i daleko do linii bramkowej”.

[3] *Ape* (ang.) – małpa.

[4] Fortune 500 – doroczna lista największych amerykańskich przedsiębiorstw ogłaszana w magazynie „Fortune”.

[5] UCLA – University of California, Los Angeles.

[6] Placid Mortgage – dosł. łagodna (przyjazna) hipoteka.

[7] Massachusetts Institute of Technology – najlepsza uczelnia techniczna w USA.

[8] T-ball – dziecięca odmiana baseballu.